WŁADYSŁAW UMIŃSKI.

W GŁĘBINACH OCEANU

GEBETHNER i WOLFF WARSZAWA

427
8. - 12
8180

W GŁĘBINACH OCEANU

WŁADYSŁAW UMIŃSKI

WYBÓR POWIEŚCI
DLA MŁODZIEŻY

TOM XIV—XV

W GŁĘBINACH OCEANU

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

WŁADYSŁAW UMIŃSKI

W GŁĘBINACH OCEANU

POWIEŚĆ FANTASTYCZNA

WYDANIE DRUGIE

Z SZEŚCIOMA ILUSTRACJAMI

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

Printed in Poland

SKŁADY GŁÓWNE:

»THE POLISH BOOK IMPORTING CO. INC.« NEW YORK
»KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, SP. AKC.« KATOWICE

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1925

I. Wymagająca panna.

Gabinet profesora geografji na Sorbonie, dr-a Klaudjusza Moriot, zwykle posępny, przepełniony księgami, odgrodzony od świata grubemi firankami, pewnego poranku kwietniowego nabrał fizjognomji niezwykłej. Wszystkie okna, wychodzące na przepiękny ogród Luksemburski, były pootwierane narozścież, i przez nie wlewała się do zapleśniałego wnętrza istna powódź słonecznego światła oraz wiosennego powietrza, niosącego subtelne wonie narcyzów i konwalij. Ostre jak strzały, palące jak ogień żywy, promienie słoneczne przenikały do wszystkich zakątków pracowni, kładąc plamy świetliste na starożytnych mapach i globusach, uwydatniały grzbiety pergaminowych ksiąg z opisami podróży Marco Polów i Vasco de Gamów. Tchnienie wiosny zbudziło te wszystkie szpargały, nad któremi życie nowe i bujne oddawna przelało się gwarną falą zapomnienia. Od całego tego otoczenia odbijała, jak złota litera od starej oprawy, stojąca w oknie urocza postać córki geografa, panny Celiny, dwudziestodwuletniej osoby. Jej blond włosy w kaskadzie słonecznej paliły się jak złota pochodnia; na tle zieleni drzew rysował się delikatny profil o prostym nosku i energicznie wykrojonych wargach; delikatna cera błyszczała jak różowy marmur. Panna Celina patrzyła

wdal zadumana, i zdawało się, że nie zwraca najmniej szej uwagi na obecność pana de Convielle, który siedział przy niej w głębokim fotelu, ulubionym meblu starego profesora. Młodzieniec w niemym zachwycie zawisł wzrokiem na subtelnej, uśmiechniętej zlekka twarzyczce panny Celiny, jakby pragnąc zbadać, jakie wrażenie wywierają jego słodkie słówka, przygłuszane dalekim rozgwarem wielkiego miasta.

Na policzkach Kornela de Convielle odbijało się żywe wzruszenie, w jego niebieskich łagodnych oczach płonął tłumiony ogień. Nagle opuścił się na jedno kolano, pochwycił drobną dłoń panienki i przycisnął ją do ust.

Młoda osoba drgnęła i odwróciła się szybko.

— Wstań pan! — zawołała z odcieniem niecierpliwości w głosie. — Nie lubię, gdy kto uniża się przede mną!

Usiłowała go podnieść, ale młodzieniec pozostał w pozie błagalnej,

— Nie, nie wstanę, póki nie powie pani: „tak"! Od tego jednego słówka zależy...

— Życie pańskie, nieprawdaż? — wybuchnęła śmiechem panna. — No, to powiem panu, że nie tą drogą należy iść do mnie! — dodała poważnie.

— Idę drogą, jaką mi wskazuje głębokie uczucie dla pani. Mówię poprostu: — Oddaj mi pani rękę, a ja ofiaruję ci serce i majątek. Czyż nie postępuję szczerze?

— Przyznaję, to mi jednak nie wystarcza... Jest pan młody, dobrze urodzony, prawda! ma pan powierzchowność sympatyczną; jest pan nawet, dla mnie przynajmniej, przystojny. Rodzice pańscy posiadają obszerne włości, które panu, jako jedynakowi, prędzej czy później oddadzą. Charakter pański jest bez zarzutu... ale... ale...

Młodzieniec, który słuchał tych słów z nietajonem zadowoleniem, spochmurniał...

— Ale.. — ale... powtórzył z bolesnym akcentem, widząc, że panna milczy.

— Ale to mi jeszcze nie wystarcza, panie de Convielle. Jeżeli wyjdę za kogo, to za człowieka, który nietylko mi się podoba, ale który mi będzie imponował, którego nazwisko będzie zapisane nietylko w księgach heroldji, ale i w złotych księgach sławy... Tak, nie przerywaj mi pan — ciągnęła dalej Celina, widząc, że młodzieniec protestuje gestem. — Muszę panu raz powiedzieć, czego wymagam od tego, kogo nazwę swoim mężem! Musi on wyróżniać się czemś, musi o całą głowę przerastać zwykłych ludzi, musi dokonać czynów, któreby imię jego uczyniły głośnem w całym świecie! Jednem słowem pragnę wyjść za człowieka wybitnego. Pan zaś jesteś *tylko* wymówiła ten wyraz z naciskiem — bogatym, przystojnym i dobrze urodzonym młodzieńcem — epuzerem... Nie gniewaj się pan, nie miałam zamiaru okazać panu lekceważenia; tylko pragnę być szczerą. Rozumiem zresztą, że wiek pański — liczy pan dopiero dwadzieścia sześć lat, nieprawdaż? — nie pozwoliły panu się wyrobić.

Ale nie kroczy pan po tej drodze, na jakiej pragnęłam pana widzieć.

Uprawia pan sport automobilowy, ma pan swój jacht, którym kieruje pan znakomicie, jeździ pan pięknie konno... posiadł pan staranne wykształcenie literacko-artystyczne. Wiem, że setki innych pięknych i bogatych panien czułyby się szczęśliwemi, widząc pana u swych stóp; ale ja jestem dziwaczka: mierzę wartość ludzi swoją skalą... więc...

Panna Celina wymówiła te słowa z przejęciem, potem energicznym gestem zmusiła młodzieńca, żeby powstał i zajął dawne miejsce.

— Więc...?

— Więc narazie przynajmniej, nie otrzyma pan ode mnie żadnej odpowiedzi. Zna pan moje warunki, wynik od pana tylko będzie zależał!

Przygasłe źrenice młodzieńca zapłonęły na nowo.

— Mogę więc żywić nadzieję, że kiedyś, gdy stanę się godnym...

— Nie odmawiam panu stanowczo...

— Dzięki, dzięki! — szeptał de Convielle. — Boże, Boże! — zawołał, kładąc dłoń na czole — wskaż mi pani przynajmniej, co powinienem uczynić, aby stać się godnym tej rączki?

Ale zamiast odpowiedzi, panna Celina położyła palec na ustach. We drzwiach bowiem rozległy się kroki, kotara uchyliła się, i ukazał się niezmiernie wzruszony profesor Moriot.

— Sensacyjna wiadomość! — wołał, wymachując trzymaną w ręku gazetą. — Genjusz ludzki odniósł znowu świetne zwycięstwo. Jeszcze jedna tajemnica wydarta naszej planecie. Kolosalne odkrycie.

Szanowny profesor geografji był zarumieniony, co mu się niezmiernie rzadko zdarzało; w jego zimnych zwykle oczach płonął ogień zachwytu i triumfu. Drżącą dłonią podał córce „Matina", gdzie olbrzymia, energiczna kresa czerwonym ołówkiem ujmowała w klamrę artykuł wstępny.

— Czytajcie, czytajcie! A, to pan, panie de Convielle? dawno nie widziałem pana. Czytajże pan!

Chciał odebrać Celinie dziennik, ale ta nie wypuściła zdobyczy. Córka śledziła z równem niemal jak ojciec zainteresowaniem ruch na polu odkryć geograficznych. Słuchała od kilku lat wykładów na Sorbonie,

i z geografji, idąc za przykładem sławnego ojca, uczyniła sobie specjalność.

— Co? biegun południowy odkryty?! — zawołała — Czy to tylko nie kaczka dziennikarska? „Matin“ poluje zwykle na sensacje...

— Ależ takie same depesze możesz przeczytać i w innych dzisiejszych dziennikach porannych! Sam Amundsen podał wiadomość o swem wiekopomnem odkryciu!

— Amundsen?! A więc Norwegji przypadł zaszczyt, o który dobijało się tyle narodowości?! — zawołała panna.

— Tak, norweska flaga powiewa nad punktem, gdzie się zbiegają południki! — potwierdził profesor. — Scott i inni przegrali w tym kolosalnym wyścigu! Ha! trudno. Sprawa to dla mnie koniec końców obojętna. Najważniejsza, że biegun południowy odkryty! Boże, jakże Ci jestem wdzięczny, żeś mi pozwolił doczekać tej pięknej chwili, tej uroczystości, tego święta!

Szanowny profesor, zapalony szlachetnym płomieniem radości, rzucił się na szyję swej córce i ronił łzy na tę piękną, okrągłą szyję, prawdziwe łzy wzruszenia. Nastrój ten udzielił się i pannie Celinie.

— Jak to pięknie! — mówiła wibrującym głosem. — Jaki szczęśliwy ten Amundsen! Jakże mu zazdroszczę!

— Czytaj, czytaj!

Panna Celina odczytała depesze z Nowej Zelandji, w których odkrywca bieguna południowego, Royald Amundsen, komunikował światu cywilizowanemu o swoim triumfie.

— Wszyscy zdrowi; tak wielkie dzieło dokonane bez ofiar w ludziach, bez przygód nadzwyczajnych, bez przejść bolesnych! Zrobić to, czego inni nie mogli do-

konać przy największych wysiłkach; a przytem tak elegancko, tak gładko! Ten Amundsen — to prawdziwy genjusz, anioł, przed którym najsroższe lodowce i boreasze kładą się niby pokorne baranki! Co jabym dał, gdybym mógł uścisnąć rękę tego człowieka.

— Ja dałabym rok życia w najpiękniejszej dobie! — rzekła z zapałem panna Celina.

— A ja ostatni rok życia, moja córko, ostatni, ten, na którym człowiekowi zwykle najbardziej zależy.

— Czy ojczulek ma gdzie portret Royalda Amundsena?

— Znajdzie się.

— Muszę koniecznie wiedzieć, jak wygląda ten bohater.

— Oto jest.

Piękna panna z uniesieniem wpatrywała się w fotografię, którą podał jej ojciec.

— Jaka przyjemna, pełna inteligencji i woli fizjognomja! — zachwycała się Celina.

Pan de Convielle, niemy świadek tej sceny, czuł jakąś dziwną gorycz, która chwilami przechodziła w ból serdeczny.

I nagle zrozumiał jasno całą treść słów, które przed kilku minutami wyszły pod jego adresem z malinowych ust panny Moriot. Zrozumiał tajemnicę zdobycia tej, którą nadewszystko kochał. Zrozumiał, że gdyby w tym momencie ów bohater dalekiego Południa, ów szczęśliwy odkrywca bieguna ukląkł tak, jak on, de Convielle klęczał przed niewielu chwilami, i poprosił o to, o co on daremnie błagał, to otrzymałby wszystko!

Młodzieniec doznał jadowitego ukąszenia węża zazdrości. Lica mu pobladły.

Szukał wzrokiem spojrzenia Celiny, ale ta nie zwracała nań teraz najmniejszej uwagi. Pobiegła za ojcem.

Wnet powrócili oboje.

Profesor trzymał w ręku numer „Ilustracji“, w którym mieścił się opis wyprawy do bieguna. Na pierwszej stronicy znów widniał duży portret Royalda Amundsena.

— Patrz pan. Oto pośpiech, co się zowie. I tutaj mamy obszerne sprawozdanie telegraficzne oraz mnóstwo interesujących fotografij.

Profesor wyciągał numer, chcąc go podać młodzieńcowi. Ten jednak nerwowym ruchem pochwycił za kapelusz.

— Cóż to, nie przeczytasz pan?

Przepraszam najmocniej, ale... czekają na mnie... Jutro... z przyjemnością...

Dławił się własnemi słowami.

Profesor machnął lekceważąco ręką. Panna Celina ledwie dotknęła końcami paluszków wyciągniętej na pożegnanie ręki młodzieńca. Nie odprowadziła go nawet do drzwi jak zwykle. Cała jej uwaga była skoncentrowana na portrecie Norwega, którego sławę w tej chwili druty telegraficzne roznosiły po całym globie ziemskim.

Przybity, upokorzony, zepchnięty do rzędu najmizerniejszych pyłków wszechświata, pan Kornel de Convielle siadał do swego nowiuteńkiego samochodu i, pędząc z zawrotną szybkością, znalazł się niebawem poza rogatkami Paryża.

W tej bolesnej chwili był dalszy upragnionego celu, niż kiedykolwiek dotąd.

Czuł to wyraźnie i miał się za najnieszczęśliwszego człowieka pod słońcem.

II. Człowiek, który musi zostać sławnym.

Im dłużej pan de Convielle zastanawiał się nad słowami niedawno usłyszanemi z ust panny Celiny Moriot, tem boleśniej odczuwał swoje upokorzenie. Przecież powiedziano mu wszystko, co najdotkliwiej rani dumę młodzieńca, określono go jako epuzera, czyli wielkie, okrągłe, nic nie mówiące zero.

Wychowany w sferze bogatej arystokracji francuskiej, młodzian nigdy, albo prawie nigdy nie zastanawiał się nad wartością ludzi. W jego oczach i w oczach jego codziennego otoczenia, „człowiek“ — była to istota przedewszystkiem dobrze urodzona, potem majętna, ustosunkowana, posiadająca pewne wykształcenie, w każdym razie nie specjalne, boć w „sferach“ pracować zawodowo nie potrzeba i nie wypada. To wystarcza, aby przejść przez życie po różach, o ile, naturalnie, nie ma się „ambicyj“. A i te ambicje świata „dobrze urodzonego“ nie są specyficzne. Najczęściej ludzie, dotknięci taką chorobą, dążą do władzy, do wpływów, zostają mecenasami i znawcami sztuki, zbieraczami, jeżdżą na wielkie łowy do Afryki albo do Indyj, zdobywają nagrody sportowe, i na tem koniec.

Pan de Convielle, głęboko dotknięty słowami pięknej mieszczanki, na którą padł jego wybór, rozmyślał

na ten temat, pędząc do swoich dóbr, położonych o kilkadziesiąt kilometrów od Paryża. w stukonnym samochodzie Panharda i Levassora. Coraz jaśniej zdawał sobie sprawę z tego, że musi dokonać czegoś, wychodzącego daleko poza zwykłą miarę. Czem jednak zaimponować pannie, ażeby zdobyć jej miłość?

Pan de Convielle, choć głęboko upokorzony, musiał w duchu przyznać, że Celina jest istotą niepospolitą, skoro tak właśnie a nie inaczej ocenia wartość ludzi, i owa przykra scena, zamiast przygasić uwielbienie młodzieńca, podniecała jeszcze jego uczucia do żaru potężnego, wulkanicznego ogniska. Zapalał się jak myśliwy, party niepohamowaną żądzą zdobycia rzadkiej, szlachetnej zwierzyny, rajskiego ptaka, przebywającego w niedostępnych puszczach dziewiczych.

— Muszę zdobyć Celinę, chociażbym wszystko, życie nawet miał postawić na kartę! — powtarzał sobie Kornel, zagryzając energicznie wykrojone wargi.

W jaki jednak sposób rozegrać tę wielką stawkę o szczęście, na jakiej drodze szukać laurowego wieńca, ażeby ozdobioną nim głowę schylić przed piękną córką profesora?

Młodzieniec napróżno suszył sobie mózg nad tą kwestją.

Zostać lotnikiem? Zdobyć wszechświatowy rekord? Przelecieć z narażeniem karku przez Alpy, przez Himalaje choćby? Dobrze. Ale czy to zaimponuje dostatecznie pannie Celinie, która o sporcie odzywała się przed chwilą uszczypliwie? A zresztą, któż zaręczy, czy za parę miesięcy, za parę tygodni nawet odważniejszy albo poprostu szczęśliwszy współzawodnik nie dokona czegoś jeszcze godniejszego uwagi, albo poprostu pobije rekord? Triumf krótki i niepewny.

Dokonać jakiego odkrycia w dziedzinie nauk ścisłych? Zrobić wielki wynalazek?

Niestety, ta dziedzina była dla pana de Convielle zupełnie niedostępna! Nie posiadał odpowiednich kwalifikacyj w tym kierunku; skończył liceum, słuchał przez rok wykładów w szkole wojskowej, potem przez dwa lata uczęszczał na wykłady literatury i historji sztuki w Sorbonie, gdzie miał szczęście poznać pannę Celinę, i koniec. Ze sławy człowieka nauki, badacza, wskazującego wiedzy nowe tory, odkrywającego przed umysłem ludzkim nowe widnokręgi — pan Kornel musiał zrezygnować.

Żadnego zaś talentu pan Kornel nie posiadał, nawet miernych wierszy nie potrafił sklecić, choć miał nieraz ochotę w tej formie wypowiedzieć Celinie to, co czuł dla niej. Artystą więc w żadnym razie nie mógł zostać. W którymkolwiek kierunku zapuścił wzrok, wszędzie widział w całej nagości swoją nieudolność.

— Czyżbym naprawdę był epuzerem, bogatym paniczem i niczem więcej — pytał sam siebie z rozpaczą?

W duszy młodzieńca podnosił się bunt przeciwko temu przeświadczeniu.

— Kwalifikacyj nie mam, przypuśćmy nawet! — myślał sobie, wtulony w miękkie poduszki karety. — Posiadam jednak energję, odwagę, no i środki materjalne. Z tem zawsze można coś niecoś zrobić. Poradzę się przyjaciół.

— Do klubu! — krzyknął szoferowi.

Wspaniały samochód zawrócił, wpadł niebawem na Pola Elizejskie i zatrzymał się w dziesięć minut potem przed klubem, gdzie młodzieniec spędzał od czasu do czasu kilka godzin.

W sali restauracyjnej zastał kilku przyjaciół, którzy powitali go wesołemi okrzykami.

— No, siadaj, Kornelu, z nami, zjemy razem śniadanie! — zawołał wicehrabia de Roheville.

— Cóż porabiasz? — pytał Capu, — słyszeliśmy, żeś zakochany!

Śmiano się i żartowano. De Convielle, nic nie mówiąc, zajął miejsce. Kiedy podano czarną kawę i likiery, Kornel pogrążył się w kłębach dymu tytoniowego.

Dokoła niego sypały się dowcipy i żarty, których jednak nie słyszał. Miał na ustach pytanie, które nie chciało mu w tem otoczeniu przejść przez gardło. Nareszcie zdecydował się.

— Chciałbym coś zrobić! — rzucił nagle.

To zdanie wywołało nowy paroksyzm wesołości.

—Ba! rób to, co inni! W ostatnich czasach spoważniałeś!

Kornel machnął lekceważąco ręką.

— Nie umiem się już bawić. Patrzę wyżej.

— Oho! de Convielle chce zostać lotnikiem — odezwał się jakiś głos.

— Nie, choć pragnę, przyznam się, żeby oczy całego świata były na mnie zwrócone; słowem — pożądam sławy!

Wicehrabia de Rocheville uśmiechnął się pobłażliwie.

— Muszę ci powiedzieć, mój chłopcze, że sława jest podobna do pięknej kobiety, która ucieka od tego, kto za nią zbyt natarczywie goni. Powinieneś o tem pamiętać. Żeby ją zdobyć, potrzeba czasu i cierpliwości.

— Ba! nie mam ani tego, ani tamtego!

— No, to spal katedrę Nôtre-Dame, a zdobędziesz jednym zamachem sławę Herostrata!

— Albo ukradnij Giocondę z Luwru!

— Zapóźno, już raz była skradziona.

— Wysadź w powietrze wieżę Eiffla!

— Nie, nie! Oddaj swoje dziesięć miljonów na jaką fundację społeczną, sam zaś zamieszkaj w lasku Buloń-

skim w szałasie. Cały Paryż będzie o tobie mówił przez tydzień!

— Mam przed sobą życie, majątek jest mi więc potrzebny — odparł Kornel, nie urażając się żarcikami. — Zresztą rozgłos, dla osiągnięcia którego potrzeba jedynie wyrzec się czegoś, nie wystarczyłby mi. Pragnę czynów.

— Zaczynasz bawić mnie, mój drogi! — zaśmiał się wicehrabia. — Dziś niełatwo zwrócić na siebie uwagę świata, bo ten djabelnie się zepsuł. Ma dziś nerwy jak ograne struny, z których najlepszy artysta nie wydobędzie melodji. Potrzeba w nie bębnić pięścią chyba. Ot, skręć kark na jakim samolocie, skocz z wieży Eiffla, pobij na pięści Johnsona, albo chociaż naszego Carpentiera, rozbij bank w Monaco, a zaręczam ci, że będą o tobie mówili przez parę dni.

— Nie o tem myślę.

— Wiem. Ale pamiętajże, mój chłopcze, że na prawdziwą sławę trzeba w ciszy jakiego gabinetu albo przy szczęku oręża pracować nieraz szereg łat. A jeszcze i wówczas połowa ludzi wykształconych nie będzie o tobie nic a nic wiedziała, bo sława i popularność nie zawsze idą z sobą w parze.

— Popularność! — sarknął ktoś zboku — to znaczy: będziesz figurował na etykietach od karmelków, na pocztówkach, nazwą twojem imieniem jaką brudną ulicę na przedmieściu Paryża.

Rozległ się ogólny śmiech, który zaczynał irytować młodzieńca...

— Tak, tak — mówił w zamyśleniu wicehrabia. — Dzisiaj sława trwa krótko jak fajerwerk, i pozostaje po niej trochę gryzącego dymu. Trudno, ludzie szybko żyją w dwudziestym wieku i również szybko zapominają o zasługach. Radzę ci, mój chłopcze nie zawracaj sobie

głowy takiemi rzeczami. No, jeszcze kieliszek likieru, mój ty kandydacie na nieśmiertelnego!

— Każdy świat ma swoich bożków — pomyślał sobie Kornel.

Czuł się jak na rozżarzonych węglach. Rozmowa przeszła na konie i wyścigi. Korzystając z tego, że ktoś zaczął się żegnać, młodzieniec wziął za kapelusz i po chwili siedział znów w swoim samochodzie.

Uczuł nagle jakby wstręt do tych ludzi, w których towarzystwie dotąd pędził życie. Wydawali mu się teraz płytcy, pozbawieni szerszej idei, wyższych aspiracyj, mali... Skrzywił się z niesmakiem.

— U nich życie a grube użycie — to jedno! — pomyślał. — Ani jednej głowy, coby wyrastała nad poziom. — Mimowoli zaczął porównywać profesora Moriot i jego sympatyczną, ciągle zajętą poważnemi kwestjami córkę — ze swojem zwykłem otoczeniem, z tymi panami z „towarzystwa“. Jakaż kolosalna różnica! Teraz dopiero dostrzega ją wyraźnie. Wyszydzono go dlatego jedynie, że na chwilę wzleciał ponad ich widnokręgi. Był nierozsądny, szukając w takiem środowisku natchnienia do wielkich czynów. Należy udać się gdzie indziej. Ale gdzie?

III. Białe pole.

W mózgu każdego człowieka odbywa się ciągła praca nawet wówczas, kiedy jego umysł napozór wypoczywa. Myśli nagromadzone w nieładzie, pragnienia, wrażenia, cały ten surowy materjał ulega przeróbce w komórkach nerwowych, układając się powoli w pewnym pożądanym porządku. Mądrość ludów wyraża tę zdolność żywiołową do pracy naszego mózgu w przysłowiach np.: „La nuit porte conseil". Pan de Convielle miał sposobność sprawdzić na sobie trafność tego zdania. Wieczorem szedł do swej sypialni z jałową głową. Przez cały dzień daremnie starał się wpaść na jaki racjonalny pomysł i kładł się przygnębiony, zmartwiony swoją nieudolnością do czynu.

Kiedy jednak nazajutrz obudził się, w głowie jego zrodził się projekt napozór może dziwaczny, nieziszczalny, ale bądź co bądź posiadający pewne szanse powodzenia.

Stanley, Sven Hedin, Landor, Shackleton, Peary, Amundsen... Powtarzał sobie sławne imiona, które zabłysnęły nagle jak meteory, i w duszy jego budziła się nadzieja.

Był młody, odważny do szaleństwa, zdrów, energiczny, umiał doskonale pływać, strzelać, znał się na przebiegach myśliwskich, nie lękał się trudów fizycznych.

Czyż te wszystkie przymioty w połączeniu ze znacznym majątkiem nie pozwoliłyby mu sięgnąć śmiało po laury takie same, jakiemi ozdobili swe skronie Stanleye, Landorowie, Gilesowie, Przewalscy, a chociażby nawet i Amundsenowie?

Tak oceniając siebie bezstronnie, pan Kornel dochodził do przekonania, że jest bardzo poważnym kandydatem na podróżnika. Niestety jednak wstyd mu było do tego przyznać się nawet przed sobą samym, że nie znał geografji. Gdyby go kto zapytał: dokąd należy się wybrać? jaka okolica na kuli ziemskiej stanowi dziś najlepsze, najowocniejsze pole do odkryć? — nie potrafiłby odpowiedzieć. Tak, jest ignorantem na terenie naukowym. Ale od czegóż istnieje szanowny i uczony profesor Moriot? Z jego bezdennej skarbnicy wiedzy może każdy czerpać pełnemi garściami. Skarbnica ta, zwłaszcza dla niego, Kornela, otworzy się naroścież. Trzeba tylko wyciągnąć rękę. Dlaczego nie wpadł wczoraj jeszcze na taki pomysł?

Ubierał się gorączkowo. Kazał swój samochód przyozdobić girlandami ze świeżo rozkwitłych konwalij, i pełen otuchy, dzwonił po upływie godziny do drzwi mieszkania, zajmowanego przez profesora.

— Daruje pan — zaczął — że zabieram mu drogi czas, ale wczorajsza wiadomość o odkryciu bieguna południowego niezmiernie mnie zainteresowała. Przyznaję, że zazdroszczę z całego serca temu Amundsenowi.

— Ja jeszcze bardziej od ciebie, mój chłopcze! — zawołał profesor, uśmiechając się. Jestem stary, odbywałem już niejedną podróż, ale niestety, znajdowałem się w opłakanych warunkach pieniężnych i nigdy nie mogłem zorganizować poważnej wyprawy naukowej. Jestem więc teoretykiem, ot, zwyczajnym molem książkowym, który rejestruje poprostu to, co inni zrobili.

Wiesz pan? Udało mi się ze znacznem przybliżeniem, na zasadzie telegraficznego sprawozdania, odtworzyć drogę, jaką Amundsen dotarł do bieguna. Patrz na tę kreskę czerwonym ołówkiem. To właśnie szlak, po którym posuwał się dzielny Norweg i jego towarzysze.

Pan Kornel pochylił się z zaciekawieniem nad wielką kartą okolic antarktycznych.

— Oto widzisz pan! Wyruszywszy z przystani, którą sobie był obrał na wybrzeżach Szóstej Części świata, tak bowiem nazywam ląd południowy, szedł niemal prosto do celu. Zadziwiająco mało zygzaków przedstawia linja jego ruchu. Miał szczęście! Udało mu się trafić na okolice, gdzie mógł zwalczyć stosunkowo łatwo przeszkody.

— I w tem, jak we wszystkiem, należy mieć szczęście — rzekł jakby do siebie młodzieniec. — Teraz już nikomu nie uda się dokonać równie poważnego odkrycia geograficznego. O ile mi się zdaje, glob ziemski nie ma już tajemnic. Ostatnią odsłonił przed nami Amundsen.

— Tak, istotnie, epoka wielkich odkryć geograficznych piętnastego wieku należy do dalekiej przeszłości. Możemy śmiało powiedzieć, że poznaliśmy dość dokładnie powierzchnię ziemi. Livingstone, Baker, Stanley, pozwolili nam przeniknąć do wnętrza Afryki, która najdłużej opierała się usiłowaniom naszym. Azję, co prawda, znaliśmy oddawna, ale tylko na pewnej przestrzeni, zbliżonej do morza. Dopiero Landor, Sven Hedin i Przewalski zbadali samo serce tego olbrzymiego kontynentu. Australja dziś nie przedstawia się tajemniczo, odkąd Giles i kilku innych przedarło się wpoprzek tego pustynnego lądu. W Ameryce Południowej, mianowicie w Brazylji Środkowej, leżą jeszcze obszary bardzo mało znane, ale i tam niepodobna dziś dokonać, jak to się mówi, „epokowego“ odkrycia. Jedna

tylko Antarktyda była doniedawna wielką zagadką geograficzną. Ale dziś ostatnia zasłona z niej spadła dzięki Schakletonowi i temu szczęśliwcowi, Royaldowi Amundsenowi. Tak, tak, kochany panie, pozostaje nam dopełniać drugorzędnemi szczegółami ten olbrzymi materjał, jaki już posiadamy. Za lat kilkadziesiąt będziemy znali powierzchnię naszej planety równie dokładnie, jak obecnie Europę.

— Biegun północny także odkryto! — westchnął Kornel, jakby żałując, że dla niego nic już do zrobienia nie pozostało.

— Niby tak, ale właściwie nie — rzekł profesor po pewnem wahaniu.

— Jakto? a Cook, a Peary?

Profesor Moriot bębnił palcami po stole, w głębokiem lecz bardzo charakterystycznem milczeniu.

— Przecież Peary... — nalegał Kornel, pragnąc wyrwać profesora z rezerwy.

— Słyszałeś pan zapewne o tem, że Cook nie potrafił swym dziennikiem podróży i swemi wyliczeniami dowieść, że jemu należy się palma tego wielkiego odkrycia — odezwał się po chwili uczony.

— Prawda, przypominam sobie, że Peary zakwestjonował pierwszeństwo swego szczęśliwego współzawodnika, ale przyznam się — nie śledziłem dokładnie przebiegu tej gorszącej i nie licującej z powagą uczonych kłótni. Ostatecznie zdaje mi się, że obaj podróżnicy mają jednakie prawo nazwać się odkrywcami bieguna północnego.

— Niekoniecznie — mruknął profesor.

— Jakto? — zagadnął mocno zdziwiony Kornel.

— Jeżeli mam powiedzieć, co myślę, to Cook nigdy u bieguna nie był. To sprawa przesądzona! Ot, pospolity

szarlatan, pragnący przetopić rozgłos podróżnika na złoty kruszec!

— To okropne!

— A jednak prawdziwe, niestety!

— No, a Peary?

— Hm, Peary jest wytrwałym badaczem stref podbiegunowych. Udało mu się zbadać północną Grenlandję i dotrzeć bardzo daleko. Podobno w dniu 6 kwietnia 1909 roku, po 28 marszach dziennych od opuszczenia przylądka Kolumbji, dotarł on do bieguna północnego w towarzystwie pięciu ludzi; ale...

— Czyżby i tutaj nastręczały się jakie wątpliwości? — zawołał Kornel, poruszając się niecierpliwie.

— Jak zaznaczyłem, Peary jest znakomitym podróżnikiem, który sam zasługuje na wiarę. Kiedy jednak idzie o tak ważne fakty naukowe, jak odkrycie bieguna północnego, o co kusiło się tylu dzielnych badaczy od paru wieków, to niezbędni są tutaj wiarogodni świadkowie.

— Było ich przecież aż pięciu?

— Tak. Szkoda tylko, że to są ludzie innej rasy, nieucywilizowani, krótko mówiąc — rodowici Eskimowie. Nie przeczę, że mieszkańcy stref polarnych nadają się, jak nikt inny, do takich ekspedycyj, że potrafią oddać nieocenione przysługi każdemu podróżnikowi; znają bowiem doskonale przyrodę stref polarnych, są myśliwcami niezrównanymi, umieją kierować zaprzęgiem z psów, ale nie zapominajmy, że barbarzyńcy bez wykształcenia to nie oświeceni Europejczycy, i że świadectwa ich nie można postawić narówni ze świadectwem mojem albo pańskiem naprzykład... Tak, tak, pochodzenie towarzyszów Pearego — to słaba strona tej imprezy. Cook popełnił ten sam błąd, i to go zgubiło. Eskimowie patrzyli bezkrytycznie na obliczenia swego przewodnika, łatwo

ich było zasugestjonować... Oto dlaczego ja, profesor Moriot, uważam, że biegun północny należy odkryć po raz trzeci, zachowując przytem wszelkie możliwe formalności, żeby sam fakt nie ulegał najmniejszej wątpliwości.

— Ależ Cook i Peary musieli pozostawić na biegunie jakieś ślady swojej obecności — zauważył nieśmiało młodzieniec.

Profesor uśmiechnął się pobłażliwie.

— Jakież to, proszę?

— Zatknęli flagę, która może tkwi tam po dziś dzień...

— Widać zaraz, że nie znasz pan warunków fizycznych, jakie panują w okolicach bieguna północnego. Otóż wybacz, ale muszę dać ci parę słów objaśniających. Odkrycia Amundsena nikt nie kwestjonuje i nie będzie kwestjonował. Dlaczego? Bo podróżnik ten dotarł do bieguna południowego lądem. Antarktyda rozciąga się daleko na południe, stanowiąc obszerny ląd, większy niż Australja. Dowodzi to, że postać naszego planety nie jest dokładnie kulista, ale raczej tetraedryczna.

Biegun południowy leży na wierzchołku jednego ze sferycznych kątów, północny musi zatem leżeć pośrodku przeciwległego trójkąta tetraedru, śród rozległego morza, które, jak tego dowiodły sondowania Nansena, dosięga pod najwyższemi szerokościami znacznej głębokości. Krótko mówiąc, biegun północny, w przeciwieństwie do południowego, leży pośród oceanu. Jakże więc można pozostawić w tym punkcie jakieś trwałe dowody swojej obecności?

— Na lodowcach.

— Ależ lodowce ani przez chwilę nie pozostają nieruchomemi, mój chłopcze. Pędzone prądami i wiatrami, błąkają się po wewnętrznem morzu, i flaga, zatknięta przez Pearego w 1909 roku. dziś leży, być może, gdzieś u brzegów wschodniej Grenlandji!

Latem lody rozstępują się, pomiędzy staremi polami lodowemi powstają rozległe jeziora, przez które podróżnik musi przeprawiać się na łodziach, władowawszy na nie sanki i psy, jak to czynił Nansen. Widzi pan więc, że w takich warunkach niepodobna zabezpieczyć sobie usypaniem kopca z kamieni i złożeniem w nich dokumentów — pierwszeństwa odkrycia. Ani Peary, ani tem bardziej Cook nie potrafiłby się zatem wylegitymować, tak jak Amundsen, ze swej obecności na biegunie północnym. Pozostają więc takie dowody, jak świadectwo towarzyszów wykształconych, orjentujących się w pomiarach i umiejących je w potrzebie skontrolować, potem dziennik prowadzony sumiennie, gdzie podróżnik notuje skrzętnie swoje obserwacje i obliczenia, ażeby po powrocie oddać je znawcom do przejrzenia. Otóż Peary nie miał inteligentnych towarzyszów, choć dziennik jego znajdował się w porządku. To wszystko uprawnia mię do wypowiedzenia zdania, że biegun północny do dziś dnia czeka na swego odkrywcę.

— Czy inni uczeni podzielają pańskie zapatrywania na tę kwestję?

— Przypuszczam. Gdyby odkrycie Pearego nie nastręczało żadnych wątpliwości, znakomity ten podróżnik cieszyłby się lepszemi dowodami uznania, niż te, jakie go spotkały.

— Czy... czy i panna Celina... — Kornel miał już na ustach pytanie, lecz nagle, poczuwszy jego niestosowność, uciął.

Profesor spoglądał nań badawczo. Na jego dobrej twarzy zabłysnął pobłażliwy uśmiech.

— Nieraz rozmawiałem z Celiną na ten temat i wypowiadałem przed nią swoje wątpliwości. Od czasu śmierci mojej ukochanej żony, jedyna to istota, z którą codziennie

mogę wymieniać myśli. Otóż Celina patrzy na kwestję odkrycia bieguna północnego tak, jak i ja. Zna ona doskonale trudności, z jakiemi muszą walczyć podróżnicy na dalekiej północy.

— Jakież to są trudności? — zagadnął de Convielle, który słuchał słów profesora z najwyższem natężeniem uwagi.

— Mam na myśli najtrudniejsze. Kto czytał choćby opis podróży Nansena, ten dokładnie zdaje sobie z nich sprawę. O tem, żeby dostać się na pokładzie okrętu pod 90 stopień szerokości północnej, niema mowy. „Fram“ specjalnie w tym celu zbudowany, posunął się w ciągu dwóch lat nie dalej jak pod 87 stopień, co jest rezultatem zdumiewającym. Każdy zresztą statek musi, siłą konieczności, stać się igraszką prądów i lodów, które trzymają go w swych żelaznych objęciach, tamując każdy jego ruch swobodniejszy. Powierzać się choćby takim wytrzymałym na ciśnienie ławic lodowych okrętom, jak „Fram“ Nansena, byłoby według mnie loterją, albo też lekcją cierpliwości, na którą nie każdy potrafiłby się zdobyć. Dotrzeć do bieguna północnego można jedynie metodą, jakiej użył Nansen, ten prawdziwy lew Północy. We dwóch, a najwyżej we trzech, zabrać doskonale zaprzęgnięte, lekkie i mocne sanki, tyleż kajaków płóciennych, i przedzierać się przez niezliczone wały, któremi pokryte są ławice lodowe. Podróż to nad wszelki wyraz uciążliwa i wymaga nietylko siły, wytrwałości, znajomości okolic podbiegunowych, ale także zdrowia, no i szczęścia. Najdrobniejszy bowiem wypadek, jak naprzykład złamanie czy zwichnięcie nogi, zgruchotanie saneczek z zapasami żywności i paliwa, choroba — odrazu może postawić podróżnika w położeniu bez wyjścia. Według mnie, dużo jeszcze upłynie czasu,

zanim jaki Nansen albo Peary postawi stopę na tym punkcie, strzeżonym przez wszystkie zaklęte moce dalekiej Północy. Technika podbiegunowych podróży stoi o całe niebo wyżej od pierwotnych, nie liczących się z tamtejszemi warunkami, środków Rossa, Kanego; ale ja sądzę, że należy uciec się do innych sposobów. Kto wie, może człowiek dotarłby tam łatwiej na skrzydłach... Żegluga powietrzna rozwinęła się tak dalece, że jaki zuchwalec z pewną szansą mógłby się chyba pokusić o wzięcie szturmem bieguna północnego, na złość wszystkim lodowcom i prądom morskim, ciągle utrzymującym je w ruchu.

Profesor zamilkł. Pogrążony w zadumie, utkwił wzrok w głębi ogrodu, w lazurze nieba rozsłonecznionego, jakby spodziewał się ujrzeć na jego tle jednego z tych olbrzymich ptaków mechanicznych, które niejednokrotnie szybowały ponad stolicą świata. Kornel siedział również, nie otwierając ust. Ale głęboka zmarszczka, zarysowana na jego białem czole, dowodziła, że mózg jego pracuje intensywnie.

Nagle podniósł się i wyciągnął dłoń do profesora.

— Dziękuję panu za... natchnienie... — rzekł.

— Natchnienie? Do czego? — pytał profesor zdziwiony.

Kornel wahał się.

— Proszę pana, jedno zapytanie.

— No, o co idzie?

— Jeżelibym ja... zorganizował nową wyprawę do bieguna północnego, czyby pan profesor raczył wziąć w niej udział?

Moriot aż podskoczył na krześle.

— Co? Pan chcesz urządzić wyprawę do bieguna północnego? — zawołał oburzony niemal. — Cóż to panu do głowy przyszło? Et!

Uczony machnął ręką z takim gestem powątpiewania, że Kornel uczuł się niemal obrażonym.

— Dlaczegóżbym nie miał urządzić wyprawy do bieguna północnego? — rzekł z godnością.

— Pan, panie de Convielle? Nigdy! Pan lubisz życie spokojne, wygodne, miękkie. O ile mi wiadomo, pan nigdy nie podróżował dalej jak na Południe. Co znowu! Do takiej wyprawy trzeba energji...

— Mam jej dość.

— Zdrowia i wytrwałości...

— Posiadam to i tamto.

— Nauki, a przynajmniej znajomości tego, co umie każdy oficer marynarki.

— Pan będzie moim przewodnikiem.

— Nie, nie, co za pomysł! Zresztą, pomijając wszystko, ekspedycja podobna pochłonęłaby znaczną sumę...

— Przeznaczę, ile będzie potrzeba, chociażby cały majątek.

Profesor podniósł się ze swego fotela i zaczął biegać po gabinecie w najwyższem podnieceniu.

— Co ten chłopiec plecie! — mruczał. — Taki paniczyk chce dotrzeć do bieguna... No, założę się, że za kilka dni cały projekt upadnie! — zawołał.

— A jeżeli nie?

— No, w takim razie chętnie służę ci radą, mój chłopcze kochany. Możesz na mnie liczyć... Naturalnie. Ale...

— Trzymam pana za słowo.

— No, no...

Profesor Moriot patrzył z zainteresowaniem na młodzieńca. W głowie jego nie mogło się wprost pomieścić, że ten paniczyk, w którym przeczuwał niejasno przyszłego zięcia, może się nosić z podobnemi zamiarami. Wzruszył ramionami, potem, jakby uważając rozmowę na ten temat

za bezużyteczne marnowanie czasu, zasiadł znów przy biurku i wlepił nos w książkę.

— No, do widzenia, Kornelu. Idź teraz pogadać z Celiną. — I poklepawszy protekcjonalnie młodego szlachcica po ramieniu, odprowadził go do drzwi sąsiedniego pokoju.

IV. Samobójca.

De Convielle spostrzegł odrazu, że panna Celina zainteresowała się żywo projektem, i to podwoiło jego energję. Niebawem profesor przekonał się, że ten paniczyk, który dotąd bawił się życiem, jest człowiekiem woli i potrafi wcielać w czyn swoje zamiary.

Odbywszy w parę dni potem gruntowną naradę z profesorem, Kornel doszedł do przekonania, że z pomiędzy wszystkich badaczy sfer polarnych, Nansen zastosował najlepszą metodę podróżowania. Młodzieniec postanowił go zatem naśladować. Należało na mocnym okręcie, zdolnym wytrzymać ciśnienie kry, dotrzeć jak można najdalej ku Północy, potem, kiedy lodowce zamkną dalszą drogę okrętowi, opuścić go i przy pomocy psów, zaprzężonych do lekkich saneczek drewnianych, starać się przebyć pozostałą przestrzeń. Pan Kornel, jako zapamiętały sportsmen, doskonale jeździł na nartach, i ta umiejętność, którą rozwijał w Norwegji co zimę, obecnie w realizowaniu doniosłych projektów mogła mu się bardzo przydać.

Powziąwszy ten ogólny plan, młodzieniec wybrał się do jednego z północnych portów francuskich, celem wyszukania gotowego statku, któryby się nadawał do tego rodzaju wyprawy.

Posiadając znaczne środki materjalne do swojej dys-

pozycji, sądził, że nabytek ten nie zajmie mu wiele czasu.

Umówiono się, że podczas jego nieobecności w Paryżu, profesor Moriot porobi niezbędne zakupy, jak oto sanie norweskie, zamówi w północnej Syberji trzy wyborowe zaprzęgi psów, odzież, przybory naukowe i inne przedmioty.

Pełen zapału, de Convielle zasięgał informacyj o odpowiednim dla siebie parowcu i niebawem znalazł to, czego szukał. Zaofiarowano mu prawie nowy statek, zbudowany w warsztatach angielskich, o bardzo mocnym kadłubie ze stalowej blachy, pojemności dwóch tysięcy beczek. Parowiec ten, zaopatrzony w omasztowane i ożaglowane barki, dałby się małym kosztem przerobić i wzmocnić wewnętrznemi belkami żelaznemi, tak, iżby mógł stawiać czoło atakom pływających pól lodowych.

Nie było czasu do stracenia, gdyż wyprawa miała wyruszyć w początkach czerwca. Pan Kornel zajął się przeto niezwłocznie werbowaniem załogi dla „Celiny“ — tak bowiem zamierzał nazwać swój statek.

Pewnego wieczora, oczekując na poleconego sobie oficera marynarki handlowej, przyszły dowódca wyprawy podbiegunowej przechadzał się wzdłuż portowego molo. Była szósta wieczór. Słońce wisiało prawie nad samym widnokręgiem; jaskrawe, pomarańczowe światło igrało kapryśnie na rozkołysanej nieco powierzchni morza. W odstępach dziesięciosekundowych nadchodzące z otwartego oceanu bałwany uderzały z głuchym łoskotem w potężne, spojone żelaznemi klamrami bryły granitowe, opluwając białą pianą boki grobli. Młodzieniec śledził bezmyślnie ten odwieczny ruch; monotonny szum działał kojąco na jego podniecone całodzienną bieganiną nerwy.

W ten poszum goniących się swawolnie, jak owce

po łące, fal wniknął nagle szelest kroków. De Convielle podniósł głowę. Mijał go jakiś trzydziestoparoletni mężczyzna, pogrążony tak dalece w sobie, że nie dostrzegł go wcale. Jego ciemnofioletowe oczy wtapiały się pożądliwie w szmaragdową toń, szedł szybko, ruchy jego cechował niepokój. Od czasu do czasu rzucał zpodełba spojrzenie dookoła. Pustka, panująca w tej chwili na molo, była mu znać przyjemna. Zrobiwszy jeszcze ze sto kroków, zatrzymał się tuż pod latarnią morską, która, jak czerwona kolumna, sterczała z pośród bezładnie narzuconych granitów. Stał odwrócony tyłem, tak, iż Kornel nie widział już jego twarzy.

— A może to jest ów młody oficer, na którego czekam tutaj? — pomyślał młodzieniec. Wydobył zegarek. Do umówionej godziny brakowało czterdziestu minut. Chyba to nie on.

Ale, niewiadomo dlaczego, smukła, pełna wdzięku postać nieznajomego pociągała go ku sobie jakąś magnetyczną siłą. Mimowoli zaczął się ku niemu zbliżać, starając się nie zwrócić na siebie uwagi. Stąpał ostrożnie. Miał zamiar podejść i zapytać: — Czy to porucznik Dumergue?

Znajdował się o kilka metrów zaledwie od samotnie stojącego na końcu mola człowieka, gdy ten nagle przesadził lewą nogę przez żelazną barjerę. W jego ruchach była groźna stanowczość; utkwił źrenice w pluskającej głucho głębi, podał całe ciało naprzód.

Już miał wykonać rozpaczliwy skok, dać się porwać cofającej się właśnie fali, gdy Kornel sprężynowo wyciągniętą ręką pochwycił go energicznie za ramię.

Nieznajomy, ulegając naciskowi fizycznemu, znieruchomiał na chwilę, ale wnet odwrócił się. Oczy ich spotkały się niespodzianie.

— Co pan chciał uczynić? — wyszeptał z łagodnym wyrzutem Kornel. Tamten spuścił powieki: siedząc bokiem na poręczy, kurczył się coraz bardziej, jakby pragnął zapaść się w granitowe głazy. Jego policzki zapłonęły rumieńcem wstydu. Trwało to jednak krótko. Złamana wola odżyła na nowo, wyprężyła się jak stalowa klinga i uderzyła w czyn.

Desperat energicznie odepchnął de Conviella i dał susa, ale Kornel zdołał pochwycić go za odzież; wywiązała się krótka, zaciekła walka. Rozpacz dodawała nieznajomemu sił; gdyby nie wygimnastykowane mięśnie, de Convielle musiałby dać za wygraną. Zdołał jednak ująć szaleńca w żelazne swe objęcia, przesadził go przez poręcz i obezwładnionego złożył na ziemi. Nieznajomy jęczał głucho; raz jeszcze zrobił wysiłek, ażeby się podnieść, i legł nieruchomie. Jęk przeszedł w głębokie szlochanie, pierś podnosiła się i opadała konwulsyjnie, łzy popłynęły z pod przymkniętych powiek.

- Uspokój się pan! — mówił zdyszany zmaganiem się Kornel.

— To okropne! Nie pozwalasz pan umrzeć człowiekowi, który nie ma już poco żyć!

— Zapewnie jesteś pan żonaty; czy panu nie żal skazywać na cierpienie i niedostatek rodziny?

— Nie posiadam rodziny.

— Cóż więc pana skłania do popełnienia zbrodni na sobie samym?... Usiądź pan tu, przy mnie, i pozwól, że cię będę trzymał za rękę, póki nie odstąpią cię złe myśli. Tak. A teraz wyznaj mi pan wszystko!

Niedoszły samobójca powoli odzyskiwał równowagę ducha.

— Utraciłem owoc pracy całego mego życia, ostatnią nadzieję. Zrobiłem wynalazek, który według mnie

sprawiłby przewrót w dziedzinie komunikacji; ażeby go urzeczywistnić, poświęciłem cały majątek, ośmdziesiąt tysięcy franków — pieniądze, zarobione w pocie czoła, zaoszczędzone na najpierwszych potrzebach. Kazałem budować mój statek w jednym z tutejszych wielkich warsztatów; już zdawało mi się, że marzenia moje ucieleśnią się, marzyłem o sławie i majątku, a spotkał mię bolesny zawód; pokazało się, że statek mojego pomysłu będzie kosztował znacznie więcej, aniżelim obliczył. Fabryka, nie otrzymując pieniędzy, wystawia niedokończony model na licytację; mój wynalazek stanie się za kilka dni publiczną tajemnicą. Ktokolwiekbądź przywłaszczy go sobie, albo sprzedadzą go na stare żelastwo. Rozbiłem się u wnijścia do portu! Prosiłem ze stu rozmaitych ludzi o poparcie, błagałem, żebrałem niemal. Napróżno! — Praca całego mojego życia zmarnowana!

Nieznajomy załamał rozpaczliwie ręce; na jego inteligentnej twarzy legło przygnębienie.

Po chwili wstał.

— Spełniłeś pan to, co panu nakazywał źle pojęty obowiązek — rzekł, składając sztywny ukłon Kornelowi.— Nie mogę jednak wzbudzić w sobie uczucia wdzięczności dla pana. Przeciwnie, mam urazę. To nieludzko zmuszać do życia tego, dla kogo stanowi ono ciężar nieznośny. A panu się wydaje, żeś mi wyświadczył przysługę! Do widzenia! Co znowu!... Nie życzę sobie spotkać się znów z panem w podobnych okolicznościach. — Zaśmiał się z gorzką ironją.

— Zaczekaj pan — zawołał Kornel, przytrzymując dłoń nieznajomego. Powiedz mi choć parą słów o swoim wynalazku.

Nieznajomy machnął dłonią beznadziejnie.

— Starałem się od pół roku zainteresować nim lu-

dzi. Zwracałem się do fachowców, którzy mogliby trafnie ocenić moje pomysły: odmówiono mi. Nikt nie chce ryzykować. Ludzie lubią przychodzić do pełnego żłobu. Jest tyle łatwych i doskonałych interesów na świecie.

— Jakiż to statek obmyśliłeś pan?

Wynalazca spojrzał bystro w oczy pana de Convielle.

— Zaprowadzę pana zresztą do warsztatów; może nabędziesz pan to, na zwykły szmelc. Czy wolno jednak zapytać, jaki pański zawód?

— Jestem Kornel de Convielle — właściciel dóbr ziemskich... rolnik...

— Tak? Co do mnie, nazywam się Plot — krótko Raul Plot, bez żadnego „de“, inżynier, a raczej zbankrutowany wynalazca. No, chodźmy, niech spojrzę raz jeszcze na mojego „Neptuna“, choć czuję, że mi serce będzie się krajało, gdy go znów zobaczę.

Raul Plot pobiegł szybko, nerwowo. Kornel musiał dobrze wyciągać nogi, żeby za nim nadążyć. Minąwszy kilka portowych ulic, stanęli przed bramą warsztatów okrętowych. Plot wylegitymował swojego towarzysza, i wkrótce zatrzymali się obaj w obszernej hali, krytej szklanym dachem.

Panował tu ogłuszający łoskot młotów, uderzających w stalowe blachy, zgrzyt pilników i świdrów, któremu wtórowały astmatyczne oddechy parowych maszyn pomocniczych. W półmroku rysowały się olbrzymie sylwety kilku pudeł okrętowych. Uwijał się przy nich i w nich cały rój czarnych postaci w bluzach, skórzanych fartuchach, z obnażonemi po łokcie rękami. Windy dźwigały olbrzymie części żelazne, które, uwolnione z ich uścisków, znikały w głębi kadłubów, sterczących stalowemi żebrami. Desperat, przecisnąwszy się pomiędzy robotnikami, wskazał ręką na podłużną bryłę, przypominającą formami wielo-

ryba, która stała na rusztowaniu w samym kącie warsztatów.

— Oto mój „Neptun“ — rzekł złamanym głosem.

De Convielle ze współczuciem przypatrywał się nieszczęśliwemu wynalazcy, któremu wargi drżały ze wzruszenia, jakby znajdował się wobec zwłok drogiej osoby.

— Dziwny statek — rzekł Kornel, obejmując wzrokiem potworne żelazne cielsko. — Zdaje mi się, że to łódź podmorska — czy tak?

— Zgadłeś pan. Neptun jest przeznaczony do żeglugi pod powierzchnią morza, nadałem jego kadłubowi kształty rekina, który należy do najlepszych pływaków; w pośrodku ma on cielsko najgrubsze a z obu końców wysmukłe. Łatwo się pan przekona, że Neptun jednoczy w sobie wszystkie zalety budowanych kiedykolwiek łodzi podwodnych; zaopatrzyłem go nadto w cały szereg ulepszeń, będących owocem długoletnich studjów. Dzięki temu mój statek rozwiązuje raz na zawsze kwestję żeglugi podmorskiej, przenosi ją z dziedziny fantasmagorji w sferę faktów dokonanych. Niestety, ludzkość odrzuca dar, który jej pragnę złożyć; „Neptun“ w tej chwili — to kupa bezużytecznego żelastwa, które jakiś handlarz kupi za parę tysięcy franków.

Plot odwrócił głowę, jakby jego oczy nie mogły znieść skazanego na zagładę dzieła.

— Na czem polegają ulepszenia, o których pan wspomina? — rzucił de Convielle.

Inżynier wzruszył ramionami.

— Nie mówmy więcej na ten temat. Rozumie pan, że taki przegląd zmarnowanych wysiłków sprawiłby mi nowy ból... O ile zmiarkowałem, to kwestja żeglugi podmorskiej jest dla pana obca.

— To prawda, gdyby jednak pański wynalazek po-

dobał mi się, to kto wie... Lecz nie chcę robić panu nadziei, proszę tylko, objaśnij mnie pan w kilku słowach.

Desperat słuchał słów młodzieńca z rosnącem zaciekawieniem; w przymglonych jego źrenicach zapłonęła nagle iskra, przygarbiona postać wyprostowała się.

— Doprawdy, dałby się pan zainteresować?!... Ależ gotów jestem wtajemniczyć pana we wszystkie szczegóły. Jako nie fachowiec, nie może mi pan zaszkodzić! Proszę, siadaj pan tu, tu, na tej belce żelaznej; pokażę panu plany.

— Bardzo panu dziękuję.

Zajęli miejsce obok siebie; wynalazca wyjął zwitek papierów i rozłożył go na brudnej podłodze.

— Tu jest ogólny plan mojego statku — rzekł. — Przyjrzyj się pan najprzód przecięciu podłużnemu, które jest dla pana rzeczą najbardziej interesującą. Odrazu rzuci się panu w oczy, że pudło mojego „Neptuna“ składa się jakby z dwóch oddzielnych części. Spodnia część mieści w sobie kajuty, komorę maszynową, magazyny do nafty — ona bowiem dostarcza energji motorom o sile 5 tysięcy koni parowych — wreszcie składy. Jest to jakby kadłub wewnętrzny, zawierający najważniejsze organa. Za pośrednictwem drzwi wewnętrznych ta centralna część komunikuje się z częścią zewnętrzną, którą w razie potrzeby, naprzykład nieszczęśliwego przypadku, można łatwo i szybko odłączyć od części wewnętrznej. W takim razie owa zewnętrzna część wypływa sama na powierzchnię morza. Nadałem jej formę łodzi. Mieści ona zapasy żywności, przyrządy żeglarskie, maszty składane, wiosła, odzież ciepłą, słowem to wszystko, co jest niezbędne do podróży.

— Czy to urządzenie ma na celu zabezpieczenie załogi od zatonięcia? — zagadnął Kornel, który słuchał uważnie objaśnień,

— Ostatnie wypadki z łodziami podwodnemi skłoniły

mię do obmyślenia takiej konstrukcji — odparł wynalazca. — Dzięki niej załoga, znajdując się nawet w znacznej głębokości na dnie morskiem, może wydostać się na powierzchnię i dopłynąć do brzegu. Prócz tego, owe pudło zewnętrzne, w razie starcia się statku ze skałą albo innym statkiem, działa jak pancerz. Jest to najważniejsze może udoskonalenie. Porobiłem wiele innych, nie tak doniosłych jak tamto dla bezpieczeństwa załogi, ale zato rozszerzających niezmiernie sferę działalności statku.

— Jak to mam rozumieć?

— Wiadomo panu zapewne, że dzisiejsze łodzie podwodne nie mogą zanurzać się zbyt głęboko, z powodu znacznego ciśnienia, jakie panuje w łonie wód. Ciśnienie to powiększa się mniej więcej o jedną atmosferę na każde dziesięć metrów. Nie odważano się zapuszczać na najsilniej zbudowanych łodziach poniżej sześćdziesięciu metrów. A trzeba panu wiedzieć, że dobry nurek może zejść niemal równie głęboko. Na tym punkcie łodzie podmorskie były niedołężne. Otóż udało mi się, przez zwiększenie odporności pudła wewnętrznem obelkowaniem, podnieść do dwustu i więcej metrów granicę zanurzalności mojej łodzi. Jest to postęp, jak pan musi przyznać, ogromny! Poza tem zastosowałem motory Diesela, pracujące bardzo ekonomicznie, a zużywające ropę naftową albo też naftę czystą. Motor taki nie zabiera wiele miejsca, a jednak rozwija siłę półtora tysiąca koni parowych, co pozwala „Neptunowi“ płynąć pod wodą z szybkością szesnastu węzłów, na powierzchni zaś — dwudziestu.

— Ależ to zdumiewająca szybkość! — zawołał Kornel.

Wynalazca uśmiechnął się. Rozpaczliwy nastrój minął. Opowiadając, zapalał się. Niktby w tej chwili nie poznał w nim człowieka, który godzinę temu chciał rzucić się do morza.

— Nie na tem koniec! — rzekł z zadowoleniem. — Ponieważ „Neptun“ ma znacznie wyższą pojemność w porównaniu z innemi łodziami, przeto może zabrać większe ilości paliwa, co zkolei pozwala mu odbywać długie podróże bez odnawiania zapasów.

— Doprawdy? — zagadnął de Convielle, który coraz bardziej interesował się temi szczegółami. — Ileż więc mil morskich jest w stanie przepłynąć pański „Neptun“, nie zawijając do portu?

— Cztery tysiące przynajmniej!

De Convielle zamyślił się. Widocznie liczył coś w pamięci.

— A czy nie dałoby się powiększyć tej, już i tak znacznej przestrzeni?

— Owszem, ale kosztem oszczędności na innych pozycjach. Naprzykład, zamiast torped i kilku dział, przystosowanych do strzelania pod wodą, możnaby wziąć ze czterysta tonn nafty. W takim razie „Neptun“ z łatwością przepłynąłby podwójną nawet przestrzeń.

— To znaczy, że zrobiłby ze sto czterdzieści stopni geograficznych, na równiku? — rzekł głośno Kornel.

— Tak, o ile posuwałby się w prostej linji — dodał Plot. — Najlepiej jednak liczyć na mile morskie. Otóż „Neptun“ zdołałby przepłynąć Atlantyk w najszerszym miejscu, a więc pod tym względem dorównywałby wielkim parowcom oceanowym. Przyzna pan, że dotąd żadna łódź podwodna nie mogła się o to pokusić.

— A jak oddychaliby pańscy podróżni, gdyby im wypadło tak długo przebywać w łonie wód?

— O tem niema mowy. Zresztą byłoby to zupełnie zbyteczne. W ostateczności mam pomysł, któryby pozwolił pasażerom „Neptuna“ czerpać powietrze, nie wynurzając się wcale ponad powierzchnię.

— W jakiż to sposób? — zagadnął żywo Kornel.

— W bardzo prosty, proszę pana. Dajmy na to, że wpobliżu mojego statku znajduje się przeciwtorpedowiec, czy jaka inna nieprzyjacielska jednostka, gotowa powitać go strzałami po wynurzeniu się z wody. Przewidując to, załoga „Neptuna“ wypuszcza z wnętrza jego rurę gumową, wzmocnioną drutem i przywiązaną do lekkiego pływaka, który wynosi jej koniec na powierzchnię. Rura czerpie powietrze, które pompy nagromadzają pod ciśnieniem kilku atmosfer w zbiornikach stalowych; zużyte powietrze usuwa się częściowo, a zastępuje świeżem. Sądzę, że 20 metrów rury wystarczy zupełnie.

— A gdyby naprzykład „Neptun“ znalazł się pod lodem?

— To mu się nie może wydarzyć, chyba zimą na rzece.

— Przypuśćmy jednak. Czyż powietrze nie dałoby się zaczerpnąć w takich warunkach?

Inżynier pomyślał przez chwilę.

— I na to znalazłaby się rada.

— Przychodzi panu do głowy jaki sposób?

— Nawet niejeden. Najprzód możnaby wypiłować w lodzie otwór.

— To mi się wydaje rzeczą trudną.

— Nurkowie zrobiliby go świdrami w ciągu pół godziny.

— A jeżeliby natrafiono na bardzo grubą krę?

— Mnie się wydaje, że to nie należy do rzeczy. Wracając do mojego „Neptuna“...

— Jestem ciekawy, jakby sobie pan poradził w tym wypadku, gdyby kra miała grubość trzech a nawet czterech metrów — nalegał Kornel.

— Umieściłbym w „Neptunie“ świdry odpowiedniej

długości, które poruszałbym elektrycznością; te świdry byłyby wydrążone i pełniłyby zarazem funkcję rur do pompowania; skoro przeszłyby przez lód nawylot, zaczerpnięcie powietrza nie przedstawiałoby żadnej trudności. To udoskonalenie uskuteczniłbym, gdyby było potrzebne. Ale nie przeznaczyłem „Neptuna“ do żeglugi rzecznej; jego rozmiary nie pozwalałyby na to. Zresztą z wyjątkiem Tamizy, Renu i Dunaju żadna europejska rzeka nie posiada odpowiedniej głębokości.

Wynalazca zamilkł. De Convielle, podparłszy głowę na dłoni, pogrążył się w zamyśleniu; jego mózg pracował energicznie — dowodziły tego głębokie zmarszczki na czole.

— Czy pan jest pewny, że „Neptun“, wykończony zupełnie, odpowiadałby nadziejom, jakie pan w nim pokłada? — zagadnął po chwili.

Wynalazca wyprostował się.

— Najpewniejszy! — zawołał z energicznym gestem.— Zbudowałem przed rokiem model na małą skalę, który funkcjonował znakomicie, lecz zatonął skutkiem nieostrożności moich pomocników. Plany są zrobione na zasadzie sumiennych obliczeń. Och! gdybym posiadał pieniądze, zadziwiłbym świat! Brak mi tego oparcia, o jakiem mówił Archimedes, podejmując się wzruszyć z posad glob ziemski; złotą dźwignią wielu pięknych rzeczy dokonać można.

— Ja posiadam tę dźwignię! — rzekł wolno Kornel, ważąc każde słowo.

— Co! Panby zechciał? Doprawdy? Nie żartuje pan ze mnie?

Inżynier zerwał się na równe nogi; zawisł oczyma u warg młodzieńca.

— Pański rozpaczliwy zamiar pozwala mi domyślać się, że istotnie przykłada pan wielką wagę do swego wy-

nalazku; inaczej mówiąc, pan w niego wierzysz. Ta wiara udzieliła mi się, kiedym pana słuchał.

Raul Plot nie wierzył swoim uszom. Stał sztywny, nieruchomy, jakby sparaliżowany radością; bełkotał coś niewyraźnie, zaczerwieniony jak student przy egzaminie.

— Pożyczę panu pięćset tysięcy franków na ten wynalazek! — dodał de Convielle, śmiejąc się. — Nie zrobi to wielkiego uszczerbku w mojej kasie.

Teraz dopiero uszczęśliwiony wynalazca zrozumiał, że błysnęła mu gwiazda szczęścia.

— Dobroczyńco, zbawco! — wołał ze łzami, potrząsając z całych sił obiema dłońmi młodzieńca. — Oddam panu połowę dochodów z mojego wynalazku!

— Nie potrzebuję pańskich pieniędzy. Natomiast „Neptun“ przydałby mi się bardzo do pewnych celów, gdyby naturalnie nie zawiódł oczekiwań.

— Oddaję go do pańskiego rozporządzenia, skoro tylko będzie gotów.

— Dziękuję panu. Oto mój adres. Przyjdź pan jutro, naradzimy się. Będzie dla mnie zaszczytem prawdziwym, jeżeli pomogę panu doprowadzić do pożądanego skutku pańskie plany. Jeżeli istnieją tylko trudności finansowe, zwalczymy je. Zatem czekam na pana u siebie. Do widzenia.

I odszedł, pozostawiając wynalazcę oszołomionego niespodziewanym obrotem sprawy.

V. Tajemnicze plany.

Pan de Convielle przypuszczał narazie, że w ciągu tygodnia załatwi swoje interesa nad morzem. Omylił się jednak, gdyż przebudowanie nowonabytego statku zabrało mu wiele czasu. Należało „Celinę“ przenieść do suchych doków, opatrzyć doskonale pudło, wzmocnić je od wewnątrz krzyżującemi się belkami stalowemi, w formie litery T; kajuty od wewnątrz wyłożyć grubą warstwą korka i wojłoku dla zabezpieczenia załogi od zimna podbiegunowego, przerobić składy węgla na zbiorniki nafty, bo za poradą Plota ten rodzaj paliwa zastosowano na okręcie, wreszcie dokonać wielu drobnych ulepszeń, które w dodatku okazały się bardzo kosztowne, tak, iż prócz poważnej sumy, wyłożonej na zakup samego statku, Kornel musiał wydać jeszcze kilkadziesiąt tysięcy na zaopatrzenie wyprawy w najniezbędniejsze przedmioty.

Mając dużo wolnego czasu, Kornel odwiedzał często wynalazcę, który, uszczęśliwiony otrzymanym zasiłkiem, z zapałem zabrał się do wykończenia swego „Neptuna“.

Młodzieniec asystował mu nieraz w dokach, brał żywy udział w jego zabiegach i przy tej sposobności wtajemniczał się coraz głębiej w tajniki żeglugi podmorskiej. Musiał przyznać, że owe pięćset tysięcy franków nie poszły na marne. Statek podmorski rokował wielkie nadzieje, i jego twórca był jak najlepszej myśli.

— Zobaczy pan! dzięki panu stworzę istny cud mechaniki! — mawiał nieraz Plot w chwilach zapału, kiedy rozprawiano o przyszłych sukcesach. — Skoro mój „Neptun“ zostanie spuszczony na wodę, i jego pokolenie rozmnoży się w toniach morskich, nie oprze mu się żadna forteca pływająca!

Na ten temat lubił wieczorami rozprawiać Raul, który marzył, jak wiele dusz szlachetnych, o wiecznym pokoju między narodami, zamieszkującemi ziemię, o triumfie myśli nad brutalną siłą materjalną, o zwaleniu brzemienia ucisku z narodów słabych i podbitych.

Nigdy, albo przynajmniej rzadko, nie wspominał o korzyściach materjalnych swego wynalazku. Im lepiej poznawał go de Convielle, tem bardziej zbliżał się duchowo do tego genjalnego, czystego, jak kryształ, człowieka. Kiedy „Celinę“ spuszczono wreszcie na wodę, między bogatym szlachcicem a wynalazcą zawiązała się prawdziwa przyjaźń. Kornel, jako protektor, prosił Plota o porobienie pewnych zmian w konstrukcji „Neptuna“, nie wdając się w wyjaśnienia. Twórca łodzi podwodnej stosował się chętnie do tych wskazówek, jakby odgadując marzenia przyjaciela.

Był już koniec maja, kiedy Kornel, stęskniony nietyle do Paryża, ile do pięknej córki profesora, mógł wreszcie powrócić. Nie miał naturalnie nic pilniejszego, jak pobiec do Moriotów i zdać obszernie sprawę ze swych starań. O „Neptunie“ milczał jednak uparcie.

Profesor ze swej strony brał także żywy udział w przygotowaniach do wyprawy. Uskutecznił wszystko, czego się podjął, a nawet ułożył szczegółowy plan podróży.

Nazajutrz po powrocie Kornela stary geograf przy filiżance herbaty, podanej w obszernym gabinecie, wykładał swój plan panu de Convielle. Należało, według jego

zdania, naśladować Pearego: posunąć się jak najdalej wzdłuż wschodnich wybrzeży Grenlandji, tam zaopatrzyć się w co najlepsze psy, zwerbować kilku Eskimów, i w takiem towarzystwie ruszyć lądem, przecinając wielką wyspę w kierunku północno-zachodnim, aż do północnego jej wybrzeża; stamtąd wyruszyć po powierzchni lodów morskich do ostatecznego celu podróży. Taki plan miał ważne zalety: podróż lądem, nawet poprzez obszerne lodowce, byłaby w każdym razie łatwiejsza, aniżeli przedzieranie się przez kry, spękane w porze letniej i znajdujące się w ustawicznym ruchu. Dowodziło tego powodzenie wyprawy Amundsena i Scotta, którzy znajdowali się w bardzo złych warunkach, szli bowiem poprzez wysokie pasma górskie, po prastarych lodnikach, pełnych głębokich szczelin.

Przestrzeń, jaką wyprawa miała przebyć po opuszczeniu Grenlandji, nie byłaby znaczna, gdyż ten ląd, jak tego dowiodły badania Pearego, ciągnie się daleko na północ. Obfituje on, co nie jest bagatelną okolicznością, w zwierzynę. Wyprawa miałaby więc sposobność zaopatrzyć się w świeże mięso, tak potrzebne dla utrzymania zdrowia w uciążliwej podróży.

Profesor nie wątpił ani na chwilę, że Kornel przyjmie z wdzięcznością ten plan, obmyślony ze znajomością rzeczy. Jakież więc było zdziwienie, powiedzmy — oburzenie uczonego, kiedy młodzieniec stanowczo, lubo grzecznie, odrzucił projekt.

— Grenlandja dla pewnych ważnych dla mnie względów nie może nam służyć za podstawę operacyjną — rzekł. — W dodatku tamtejsze morza obfitują w potężne góry lodowe, z któremi starcie jest tak niebezpieczne dla każdego, najmocniej nawet zbudowanego statku... Poza tem zamówiłem już zaprzęgi psów na Syberji...

— Ależ to są powody, które nie mogą w moich oczach usprawiedliwić wielkiego ryzyka, jakie pan poniesie, jadąc inną drogą! — oponował cokolwiek zirytowany profesor.

— Istnieje jeszcze jeden wzgląd decydujący, o którym jednak nie mogę obszerniej mówić w tej chwili — rzekł Kornel. — Co do mnie, postanowiłem naśladować Nansena. Jak panu profesorowi wiadomo, dzielny ten podróżnik wyruszył morzem Karskiem, dotarł do ujścia potężnej rzeki syberyjskiej, Leny, która na znacznej odległości od lądu trzyma kry, z tego miejsca pozwolił unieść się wraz ze swym „Framem“ polem lodowem. Istnieje niezaprzeczenie słaby prąd morski, który przy sprzyjających warunkach mógłby doprowadzić oddany na jego wolę okręt do samego bieguna północnego. Ale ja nie zamierzam mu się powierzać, poprostu dlatego, że nie mam wiele czasu do stracenia. Jeden rok powinien, według mnie, wystarczyć na całą tę podróż.

— Chyba przy wyjątkowo przyjaznych warunkach...

— Dlaczego nie miałbym natrafić na takie przychylne warunki? Od czasu do czasu one się powtarzają. Zresztą chcę sam sobie wytworzyć owe warunki, stokroć nawet lepsze, niż te, jakiemi darzy przyroda wybranych szczęśliwców.

— No, no... Uzurpujesz sobie, jak widzę, władzę nad potęgami przyrody, mój poczciwy chłopcze! — rzekł profesor, uśmiechając się pobłażliwie.

— Bynajmniej, lecz pragnę zastosować nowe metody w podróżach do sfer polarnych. Dzięki Nansenowi posiadłem cenne wskazówki. Byłoby mi niezmiernie przykro, gdyby moja samodzielność uczyniła na panu złe wrażenie; liczę bowiem na to, że profesor Moriot nie odmówi mej prośbie i przyjmie naukowe kierownictwo wyprawy.

Stary profesor pokiwał głową.

— Mam już pięćdziesiąt ośm lat, a w tym wieku należy pozostawić młodszym dokonywanie nowych odkryć geograficznych — rzekł.

Wszak czuje się pan zupełnie zdrów, nieprawdaż?

— Tak, ale nie zapominaj pan o tem, że wyprawy na saniach do bieguna to najbardziej może utrudzające, wymagające największego zapasu sił i energji przedsięwzięcie, do którego potrzeba nie liczącej się z niczem, złotej młodości.

— No, podróż sankami byłaby istotnie za uciążliwa dla szanownego pana profesora — mówił Kornel. — Ale nie odmówi mi pan swego cennego kierownictwa do chwili, kiedy „Celina“ — tak bowiem zamierzam nazwać nabyty parowiec — znajdzie się wpośród lodów.

— Wtedy powrót nie będzie tak łatwą sprawą, jak pan to sobie wyobrażasz.

— Opuści pan „Celinę“ w ostatniej przystani, dokąd zawiniemy.

— No, no, nie powiadam dziś „nie“, ale podróż powrotna z odległego portu syberyjskiego w moim wieku — to także nie bagatelka... Zobaczymy zresztą! tymczasem bierz się pan do dzieła, bo drogi czas leci. Za parę tygodni, w początkach czerwca, należy odpłynąć z Francji, ażeby oczekiwać dogodnej pory dla przeprawy przez morze Karskie. Opuściwszy dobrą sposobność, można czekać na nią rok cały.

— Więc pan profesor przyjmuje stanowisko naukowego kierownika mojej wyprawy?

— Narazie — teoretyczne.

Proszę więc pana o skompletowanie sztabu naukowego. Potrzebujemy geologa, botanika, zoologa, fizyka do badań magnetyzmu i zórz polarnych, lekarza. Kapitana

już mam. Jest to dymisjonowany dowódca krążownika, który spędził wiele lat na morzach całego świata, marynarz dzielny i inteligentny. Zajmie się on ze swej strony zwerbowaniem załogi dla „Celiny“. Kłopot ten spada nam z głowy.

Poczciwy profesor, nie zrażony bynajmniej odrzuceniem wypracowanego przez siebie planu podróży, zabrał się z zapałem młodzieńczym do pracy. W tydzień po tej rozmowie „sztab naukowy“ był już w komplecie.

Składali go ludzie młodzi, nieznani jeszcze na polu naukowem, ale żądni okazji do spożytkowania nabytej wiedzy, pełni energji i szczęśliwi, że będą pracowali pod przewodnictwem sławnego profesora Moriota, który błyszczał jak gwiazda pierwszorzędnej wielkości na firmamencie wiedzy.

Kornel, zorganizowawszy wyprawę, wrócił do portu i wziął udział w ekwipowaniu „Celiny“. Jego niespożyta energja i szeroko otwarta kieszeń zrobiły swoje. W połowie czerwca parowiec był już zupełnie gotowy do podróży i oczekiwał tylko na sztab naukowy, ażeby podnieść kotwicę.

VI. Zagadkowe zniknięcie.

W czerwcu 192... roku, u lewego trapu „Celiny", stojącej na kotwicy w porcie hawrskim, zatrzymała się lekka motorówka, z której wysiadły dwie osoby. Jedną — był nasz uczony profesor geografji, drugą — urocza, pełna wdzięku jego córka, panna Celina Moriot.

Na pomoście była zgromadzona cała załoga parowca z kapitanem na czele.

Pan de Convielle, który niecierpliwie oczekiwał tej uroczystej dla siebie chwili, podał dłoń pięknej pannie, a kiedy jej zgrabna stopa dotknęła pokładu, zagrzmiała armatka, przeznaczona do wyrzucania harpunów na wieloryby, i jednocześnie z wystrzałem wiwatowym rozległo się podwójne entuzjastyczne h u r r a marynarzy. Kornel ofiarował pannie wspaniały bukiet najrzadszych kwiatów, podał jej ramię i zaprowadził do jadalni, udekorowanej *ad hoc*.

— Pozwól pani, że ci przedstawię naszych dzielnych towarzyszy, którzy, przejęci tem samem pragnieniem, co i my, zdecydowali się przypuścić szturm do fortecy, gdzie się ukrywa jego królewsko-lodowata mość, biegun północny — rzekł żartobliwie młodzieniec. — Komendant parowca, kapitan Dumerque, który niejeden rok spędził na morzu; uczony geolog, pan Briot, który zna skorupę

ziemską jak swą własną kieszeń; pan Lequetre, dla którego fizyka kuli ziemskiej nie ma tajemnic; pan Carré — przyrodnik; pan Bertheau — mareograf, który ma podczas naszej podróży badać tajniki oceanu arktycznego; porucznik Latour — zastępca kapitana.

Panna Celina z anielskim uśmiechem podawała rękę przedstawionym sobie kolejno członkom wyprawy.

— Panowie! — mówił Kornel — zasiadamy do wspólnej biesiady dla uczczenia rzadkiego zaiste zdarzenia, jakiem jest udział młodej kobiety w tak trudnem przedsięwzięciu jak nasze.

— No, no, nie obiecuj pan za wiele — wtrącił rozczulony profesor Moriot — nie możemy towarzyszyć wam dalej jak do ujścia Leny, skąd nie omieszkamy powrócić.

— To się zobaczy! — zawołał de Convielle. — A teraz niech pani raczy dokonać obrządku chrztu marynarskiego naszego okrętu, który ma zmienić swoje stare imię na nowe, najpiękniejsze, jakie znam. Oto butelka szampana.

De Convielle wręczył pannie Moriot butelkę, i całe towarzystwo powróciło na pokład, przybrany flagami i zielenią.

— Chrzczę ciebie imieniem „Celina“! — rzekła piękna Paryżanka.

Wypowiedziawszy te sakramentalne słowa, rzuciła butelkę z całych sił o pokład; szampan zrosił białe deski, obrzęd chrztu był skończony.

Od tej chwili parowiec, mający zawieźć na stalowych barkach wyprawę do odległego celu, miał prawo nosić nazwę „Celina“. Równocześnie odsłoniono odpowiednie napisy złotemi literami; armatka odezwała się trzykrotnie, i podniesiono na głównym maszcie flagę.

Załoga krzątała się żywo około ostatnich przygotowań do odjazdu.

Kotły były pod parą; przyjęto ostatnią pocztę, wyekspedjowano ostatnie, pożegnalne listy. Pan de Convielle miał przedsmak sławy; dzienniki i ilustracje umieściły jego portrety i obszerne, pełne patrjotycznego zapału artykuły, w których wychwalano inicjatora i fundatora wyprawy do bieguna. Wyrażano nadzieję radosną, że ekspedycja rozniesie po świecie sławę Francji, która nie chce pozostać wtyle poza innemi cywilizowanemi krajami.

Panna Moriot czytała z bijącem sercem życzenia, wypisywane pod adresem człowieka, który ją kochał, który dla niej i tylko dla niej majątek i życie stawiał na kartę.

Kornel zaczynał rosnąć w jej oczach na olbrzyma. Po raz pierwszy spojrzała nań okiem kobiety, jeżeli już nie kochającej, to gotowej kochać.

Dłonie ich spotkały się pod arkuszami zadrukowanego papieru, i de Convielle uczuł z niewysłowioną rozkoszą uścisk długich, różowych paluszków panny Celiny. W tej chwili przysiągł sobie w duchu, że albo zginie w krainie lodów i nocy, jak żołnierz podczas szturmu, albo powróci zwycięzcą.

Około stołu biesiadnego w sali jadalnej na „Celinie“, oprócz członków wyprawy, zajęło miejsce kilkanaście osób: przedstawiciele Akademji, Tow. Geograficznego, prasy, władz miejscowych. Kiedy uderzyła godz. 12 w południe, kapitan oświadczył, że wznosi ostatni toast za zdrowie gości, albowiem parowiec podnosi kotwicę.

Nastąpiły pożegnania. Goście wsiedli do oczekującej motorówki. Jeszcze ta nie znalazła się przy brzegu, kiedy parowa dźwignia wyciągnęła ciężkie żelazo. „Celina“ zachwiała się jak tanecznica, gotująca się do pląsów. Kapitan zajął miejsce na swoim mostku i przesłał maszyniście rozkaz: — Naprzód wolno!

Parowiec zadrżał, śruba spieniła wodę. Zgromadzona w porcie publiczność zaczęła wydawać gromkie okrzyki na cześć wyprawy, powiały chustki, kapelusze, zabrzmiała kapela wojskowa, grając marsyljankę. „Celina“, przyśpieszając nagle ruch, za chwilę minęła latarnię i znalazła się na otwartem morzu.

Podróż rozpoczęła się.

Kornel czekał, aż spokój zapanuje na pokładzie, ażeby zaprowadzić pannę Moriot i jej ojca na tył okrętu.

— Oto wasze kajuty, moi państwo — rzekł, otwierając drzwi, ukryte pod zwieszającemi się girlandami ze świeżych kwiatów.

Panna Celina weszła z okrzykiem podziwu.

Kajuty, oddane profesorowi i jego córce, były istnem cackiem. Pierwszą zamieniono na gabinet uczonego. Profesor z rozczuleniem dziękował młodzieńcowi, oglądając wygodne biurko, bibljotekę, napełnioną dziełami, odnoszącemi się do geografji i przyrody stref polarnych, wygodne i wykwintne umeblowanie. Panna Celina zaś, minąwszy pokój, w którym profesor z rozkoszą się ulokował, znalazła się w istnej bombonierce, wybitej różowym atłasem. Troskliwa, kochająca ręka nagromadziła tutaj wszystko, co stanowi otoczenie młodej kobiety, przywykłej do miękkości, a nawet zbytku. Obszerna szafa z garderobą, zastosowaną do warunków panujących na dalekiej Północy, szafka z książkami ulubionych autorów, materjały do zielnika, tualeta pełna kobiecych drobiazgów, łóżeczko podobne do gniazda rajskiego ptaka, mebelki przystosowane idealnie do podróży morskiej — wszystko stanowiło nęcącą i estetyczną całość.

W trzeciej kajucie panna Moriot znalazła fertyczną pokojówkę, oddaną przez pana de Convielle do jej wyłącznego rozporządzenia. Słowem, młodzieniec uczynił

stokroć więcej, niżby było potrzeba dla najbardziej wybrednej elegantki, za co naturalnie otrzymał słodką burę.

Nacieszywszy się swoją bombonierką, Celina udała się na zwiedzenie statku, w towarzystwie Kornela, ojca i kapitana. Okazało się, że pan de Convielle zastosował wszystkie możliwe udoskonalenia. Pudło było wybornie zabezpieczone od zimna izolacyjnemi materjałami, kajuty dla członków wyprawy obszerne i zaopatrzone we wszelkie przyrządy do badań naukowych; zapasów żywności i paliwa zabrano tyle, że załoga, składająca się z dwunastu marynarzy, zrekrutowanych przeważnie z pośród rybaków normandzkich, zahartowanych na wszelkie niewygody, miała zabezpieczony byt na przeciąg przynajmniej trzech lat.

Nie zapomniano o niczem, coby się mogło przyczynić do utrzymania zdrowia i zwiększenia szans wyprawy.

Sam okręt swoją solidnością budził jak najlepsze nadzieje. Dodano mu z przodu stalową ostrogę do przerzynania cieńszego lodu; była ona podniesiona do góry i wyostrzona, tak iż nawet półmetrowej grubości kra nie mogłaby wstrzymać „Celiny".

Profesor i wszyscy członkowie wyprawy odzywali się z najwyższem uznaniem dla pana de Convielle, który pomimo tak młodego wieku dał liczne dowody przenikliwości i praktyczności.

Pierwsza część podróży podobna była raczej do przejażdżki turystów, wybiorających się na luksusowym statku dla obeznania się z powabami dalekiej Północy, aniżeli do wyprawy, stawiającej sobie poważne cele. Pogoda sprzyjała znakomicie, przecięto morze Niemieckie i żeglowano wzdłuż malowniczych wybrzeży Norwegji, powyszczerbianych głębokiemi fjordami. Niejeden w skrytości ducha życzył sobie spędzić w tej rozkosznej krainie

kilkanaście dni, ale nikt głośno się z tem nie śmiał odezwać, gdyż przed „Celiną“ leżała długa droga, dookoła Europy Północnej i Azji. Było sprawą niezmiernie ważną w końcu czerwca dostać się do morza Karskiego i przedrzeć się przez okrywające je lody jak najprędzej.

W parę dni po opuszczeniu Francji wyprawa minęła szczęśliwie pierwszy wrzynający się czarnemi swemi stopami w szmaragdowe morze Przylądek Północny, i znaleziono się w świetle niegasnącego dnia.

Pogoda była zdumiewająco piękna. Parowiec, snując poza sobą smugę dymu, sunął po lekko falującej, ciemnoniebieskiej tafli oceanu Lodowatego, z prędkością 16 węzłów. W 5 dni po opuszczeniu Vardö wyprawa znalazła się naprzeciw wielkiej, podwójnej wyspy Nowej Ziemi, poza którą leżało morze Karskie, gdzie się spodziewano pierwszego spotkania z lodami.

Kapitan nie chciał się awanturować w cieśninę Matoczkin-Szar, oddzielającą wyspy, lecz przesunął się szczęśliwie między południowym krańcem Nowej Ziemi a stałym lądem Azji, i niebawem „Celina“ znalazła się na morzu Karskiem.

— Gdzież są te lody? — pytała codziennie prawie panna Moriot, wychodząc rankiem na pokład, w swym niebieskim, marynarskim kosjumie.

Ostry wiatr północno-wschodni, toczący ciężkiemi falami, wydobywał cudne rumieńce na jej przybladłej twarzyczce; oczy ożywione błyszczały głębokiemi ogniami ciekawości.

— Lada chwila możemy je ujrzeć! — odpowiadał profesor. — O tej porze, która odpowiada w tych szerokościach naszemu kwietniowi, nie powinno ich brakować, zwłaszcza, że wiatr mamy z pełnego morza. Dziś niezawodnie spotkamy się z niemi.

Ale upłynęły całe 24 godziny, a przepowiednia ta nie sprawdziła się. Parowiec, korzystając z wolnej przestrzeni, rozwinął całą swoją szybkość, ażeby jak najprędzej wydostać się z niebezpiecznego worka, gdzie wielu żeglarzy musiało spędzić kilka długich miesięcy w objęciach napędzonych lodów.

— Bywają lata wyjątkowo przyjazne — tłumaczył córce profesor Moriot — w których morze Karskie uwalnia się na parę miesięcy od pływających pol lodowych. Zdaje mi się, że natrafiliśmy właśnie na takie wyjątkowe warunki: podobnie udało się w 1893 roku Nansenowi.

Pragnienia panny Celiny ziściły się jednak niebawem. Wyprawa znajdowała się w północnej okolicy morza Karskiego, kiedy majtek, siedzący w bocianiem gnieździe, sygnalizował „lód" pod wiatrem.

Okrzyk ten wywołał na pokład wszystkich członków wyprawy. Uczeni z lornetkami Zeissa w dłoniach przypatrywali się białej linijce na szarym widnokręgu. Srebrzysty ten pasek rozszerzał się, aż po paru godzinach „Celina" znalazła się o kilkaset metrów od pola lodowego, którego olśniewająca białość odbijała jaskrawo od ciemnoindygowej barwy wód.

— Oto masz pole lodowe, i to dość grube! — zawołał profesor Moriot do córki. — Zdaje się, że liczy ono parę lat wieku, co można poznać po jego grubości. Wystaje w przybliżeniu na 50 cm. nad powierzchnię, a ponieważ ⅞ części lodu pływającego swobodnie wynurza się z wody, przeto nie popełnię znacznego błędu, oceniając grubość ławicy na 3 do 4 metrów. Nie są to więc cienkie kry, napotykane na rzekach albo jeziorach, lecz potężne pola, utworzone w ciągu paru lat przy niskich temperaturach i na morzu otwartem. Patrzcie, pole lodowe jest sfalowane pozaokrąglanemi pagórkami: dowód to, że

ulegało ono ciśnieniu lodów, niewytłumaczonemu dotąd, wielce tajemniczemu zjawisku, które odgrywa tę samą rolę, co siły tektoniczne, przemieszczające w łonie skorupy ziemskiej warstwy skał. Zapoznacie się z niem panowie dobrze w ciągu podróży. Zdaje się przytem, że pole ma rozległość wcale pokaźną, gdyż kolor nieba daleko ponad niem jest perłowo-biały. Taki refleks stanowi nieomylną wskazówkę obecności kry; ciemny zaś błękit świadczy, że morze jest wolne od lodów. Przypatrzcie się państwo! na samym horyzoncie widnieje wąska, bladoniebieska smuga. Znak to, że ławica ma kilkanaście mil morskich szerokości, a poza nią znówby się dla nas otworzyła żeglowna przestrzeń.

Kapitan Dumerque, który odbywał niejednokrotnie podróże na Północ, przyświadczył profesorowi, uważając powyższe wskazówki za nieomylne.

Musiano wziąć się prosto na wschód i płynięto wolno wzdłuż brzegu ławicy, w nadziei, że otworzy się w niej przesmyk, którym „Celina“ prześlizgnie się na drugą stronę.

Lecz w ciągu kilkunastu godzin nie spostrzeżono żadnego przejścia. Należało przytem zwolnić biegu, gdyż ołowianka, rzucana od czasu do czasu, wykazywała głębokość dwudziestu kilku metrów zaledwie. Okolice morza Karskiego, sąsiadujące z niskiemi wybrzeżami, są bardzo płytkie.

Monotonny widok ławicy lodowej znużył wreszcie członków wyprawy, którzy pokolei wracali do swoich kajut. Chociaż i słońce, zniżywszy się do widnokręgu, znowu zaczęło się wznosić, zegary wskazywały jednak godzinę spoczynku. Pokład opustoszał, pozostało na nim kilku marynarzy i porucznik, pełniący obowiązki kapitana.

Panna Moriot udała się także do swej „bombonierki“, jak nazwała sypialnię. Kornel pozostał sam.

Upewniwszy się, czy nikt na niego nie patrzy, udał się na tył parowca, gdzie stała niewielka budka, mieszcząca stację iskrowej telegrafji.

Bez podobnego urządzenia nie może się dziś obejść żaden statek. Kornel nie zapomniał więc zaopatrzyć w wynalazek Marconiego „Celiny“, która pomimo swej odporności mogłaby znaleźć się w ciężkiem położeniu w razie burzy.

Zamknąwszy się w budce, puścił w ruch przyrządy i przez całą godzinę wysyłał tajemnicze znaki i otrzymywaj odpowiedzi, które skrzętnie notował. Na jego twarzy malowało się zadowolenie. Wróciwszy do swojej kajuty, do drugiej w nocy był zajęty wertowaniem kart morskich, na których pooznaczał jakieś punkty.

Nazajutrz, skoro tylko się odział, pobiegł znów do budki, i nałożywszy kołpak telegrafisty ze słuchawkami, oczekiwał jakby na umówione sygnały.

Zachowanie się naczelnika wyprawy mocno zaintrygowało kapitana.

— Z kim, u stu cyklonów, chcesz się pan porozumieć w tych pustkowiach? — zagadnął komendant „Celiny“ wychodzącego ze stacji de Conviella. — Chwalić Boga, wszystko u nas w porządku, pomocy nie potrzebujemy.

Kornel zmieszał się.

— Udało mi się wejść w połączenie z pewnym statkiem, który, podobnie jak my, stara się dotrzeć do Nowej Syberji.

— Doprawdy? A to dziwny zbieg okoliczności! Co prawda nie słyszałem o żadnej wyprawie podbiegunowej w chwili obecnej. Jak daleko znajduje się od nas statek, o którym pan mówi.

— O kilkadziesiąt mil morskich zaledwie!

De Convielle nie miał jednak chęci prowadzić dalej rozmowy, kapitan nie nalegał więc i usunąwszy się na bok, obserwował ławicę.

— Ten lód zabarykaduje nas tutaj — zaczął po chwili; a co najgorsza, może nas zepchnąć na odmiał, a wówczas znaleźlibyśmy się w poważnem niebezpieczeństwie.

— Tak — rzekł Kornel, zamyśliwszy się głęboko — ale znajdzie się na to rada.

— Nie widzę jej.

— Według mnie, należałoby zrekognoskować ławicę. Kto wie, czy ta barjerą lodowa, przez którą nasz parowiec nie może przeskoczyć, stanowi przeszkodę niezwalczoną? czy o kilkanaście, kilkadziesiąt mil wreszcie stąd nie znaleźlibyśmy przejścia?

— Naturalnie, że pole lodowe nie ciągnie się do samego lądu.

— A więc zrobimy tak! Wsiądę z dwoma towarzyszami do naszej motorówki, i puścimy się na poszukiwanie przepływu. Przy sposobności zapolujemy na morsy albo białe niedźwiedzie.

— Owszem; taka wycieczka pozwoliłaby nam zorjentować się w położeniu.

— Każ więc, kochany kapitanie, przygotować łódkę.

— Za pół godziny może pan wyruszyć.

— Doskonale!

Kapitan zdziwił się znowu, że pan de Convielle, zamiast poczynić niezbędne przygotowania do podróży, zamknął się w budce Marconiego. Przez całą godzinę wysyłał i przyjmował depesze od jakichś tajemniczych korespondentów, potem zbiegł na chwilę, ażeby się pożegnać z profesorem i jego piękną córką.

— Kilkogodzinna przejażdżka wzdłuż ławicy! — mówił, ściskając dłoń Celiny.

W kilka minut potem łódka, kołysząc się na fali, szparko płynęła w kierunku zachodnim i niebawem zniknęła pomiędzy odłamami kry.

Parowiec posuwał się ćwierć-parą, śladem motorówki, sondując bezustannie. Członkowie wyprawy, dowiedziawszy się o wycieczce, żałowali, że nie wzięli w niej udziału. Oceanograf zwłaszcza czuł się urażonym.

Obiad, bez wesołego i pełnego werwy Kornela, zjedzono pośpiesznie, poczem wszyscy wyszli na pokład, ażeby wypatrywać powracającej łódki. Niecierpliwiono się już obecnością rozległej tafli lodu, która nie pozwalała posuwać się „Celinie“ w pożądanym kierunku.

Mijały jednak godziny, a motorówka nie ukazywała się.

Dopiero nad samym wieczorem — o ile można mówić o tej porze nieustającego dnia polarnego — spostrzeżono łódkę.

Posuwała się leniwie, zakreślając mocno zygzakowatą linję wzdłuż ławicy, w najsłabszem tempie, jakby z wahaniem się.

Kiedy się znalazła o tysiąc metrów od parowca, kapitan, który posiadał doskonały wzrok, krzyknął!

— Widzę tylko dwóch ludzi! Co u licha stało się z trzecim?

To spostrzeżenie, które wszyscy mogli niebawem stwierdzić, mocno zaniepokoiło zebranych na pokładzie.

— Kogo brak? Czyżby się wydarzyło jakie nieszczęście?

Celina stała ze ściśniętem sercem, łzy zaczęły gwałtem cisnąć się jej do oczu, skoro się przekonała, że tym nieobecnym był właśnie Kornel.

Niebawem motorówka przybyła do opuszczonych schodków.

— Gdzież jest pan de Convielle? — zagadnął kapitan.

Marynarz wzruszył ramionami.

— Co się stało z panem de Convielle? — powtórzył profesor Moriot, w najwyższym stopniu zaniepokojony.

— Ano przepadł, jak kamień w wodę — odparł wreszcie majtek. — Płynęliśmy przez trzy, czy cztery godziny wzdłuż ławicy, zapuszczając się w każdą szczelinę, gdzie się mogła zmieścić motorówka, zanim się przekonaliśmy, że niema przejścia; cofaliśmy się, szukaliśmy nowej przerwy. Wkońcu pan de Convielle powiada:

— Wejdę na ten oto pagórek, skąd widać daleko wokół; może co stamtąd wypatrzę. Wy tu poczekacie na mnie.

Ano dobrze. Przybiliśmy do lodu; pan de Convielle wysiadł, zabrawszy dubeltówkę i zniknął między odłamami kry.

Wnet dostał się na ów wzgórek i przez lornetę długo się wokół rozglądał, potem znów zeszedł. Czekamy godzinę, czekamy dwie — czas wracać. Powiadam tedy do niego — tu marynarz wskazał na kolegę: — „Idźże, poszukaj pana“. Poszedł i sam nie wraca. Nareszcie jest. Gdzie pan? — pytam. — Nie widać — odpowiada. Więc zatknęliśmy mocno w lód kotwicę i szukamy razem. Ślady po skrzepłym śniegu doprowadziły nas do szerokiej waki, potem nagle się urwały, zupełnie jakby pan de Convielle do wody skoczył. Szukaliśmy jeszcze ze dwie godziny; hukaliśmy, ile piersi starczyło, wszystko nadaremnie. Pan de Convielle zniknął, jakby pod ziemię się zapadł.

Obecni wysłuchali z najwyższą uwagą tego prostego opowiadania.

Panna Moriot, nie mogąc opanować wzruszenia, usunęła się nabok, połykając łzy. Kapitan zaklął siarczyście; członkowie wyprawy zaczęli czynić różne przypuszczenia.

— Nie ulega żadnej wątpliwości, że panu de Convielle wydarzyło się jakieś nieszczęście... — zawołał profesor. — Kapitanie, zarządź akcję ratunkową.

Komendant parowca biegał po pokładzie zamaszystym krokiem; na jego ogorzałej twarzy malowało się zakłopotanie.

— Wszystkie szalupy na wodę!! — ryknął nagle. — Załoga na górny pomost!

Czyniono przygotowania na wielką skalę. Trzy łodzie, każda z czterema ludźmi, miały niezwłocznie wyruszyć na poszukiwania. Jedna z nich odbiła już od trapu, gdy wtem rozległ się dzwonek w budce telegraficznej.

— Ktoś chce się z nami skomunikować — rzekł porucznik, zbliżając się do kapitana.

— Proszę, przyjmij pan depeszę. Nie mam czasu — odburknął Dumerque.

Porucznik ukłonił się i zniknął.

Po pięciu minutach wybiegł stamtąd kłusem.

— Nie potrzeba, nie potrzeba. Pan de Convielle żyje i ma się doskonale! — wołał. — Prosi, żeby się nie niepokoić.

Oświadczenie to wywołało powszechne zdumienie.

— De Convielle telegrafuje? Skąd u licha? Jakim cudem dostał się na obcy okręt? Czy widziano jaki statek wpobliżu?

Gubiono się w domysłach, daremnie starając się wytłumaczyć przyczyny i okoliczności tego tajemniczego zniknięcia de Conviella.

Panna Celina prosiła porucznika, żeby ją skomunikował z Kornelem. Daremnie!

Wszelkie pytania pozostawały bez odpowiedzi. Wkońcu jednak, kiedy piękna panna zupełnie utraciła nadzieję, w słuchawce odezwały się umówione sygnały, z których złożono tych kilka wyrazów: — Jestem zdrów. Niebawem zobaczymy się. Cierpliwości. Kornel.

VII. Olbrzymi wieloryb.

Lakoniczna depesza uspokoiła członków wyprawy co do losów pana de Convielle. Wiedziano, że nie uległ żadnemu nieszczęśliwemu wypadkowi, że znajduje się na pokładzie jakiegoś dużego statku, gdyż ma do rozporządzenia stację telegrafji iskrowej. Ale towarzysze młodzieńca byli niezmiernie zaintrygowani jego nieprzewidzianym postępkiem.

Poco opuścił swój okręt i przeniósł się na obcy? Skąd się wziął ów tajemniczy statek w tych mało uczęszczanych okolicach oceanu polarnego? Dlaczego główny kierownik i inicjator ekspedycji przedłuża swoją nieobecność?

Takie i tym podobne pytania zaprzątały umysły wszystkich uczestników wyprawy podbiegunowej; ale daremnie szukano na nie odpowiedzi.

Profesor Moriot, ulegając prośbom swej córki, od czasu do czasu wysyłał depesze iskrowe z prośbą o wyjaśnienie sytuacji; pozostawały one jednak bez echa. Albo pan de Convielle nie życzył sobie dać żadnych informacyj, albo też aparaty Marconiego na tajemniczym statku popsuły się. Dość, że upłynęła cała doba, a nie nadeszło ani słówko od naczelnika wyprawy.

Panna Celina, nie wiedząc, co ma o tem myśleć, zamknęła się w swojej kajucie. Profesor, widząc niepokój, targający sercem córki, przeklinał lekkomyślność młodzieńca i co godzinę dowiadywał się, czy nie otrzymano depeszy.

Tymczasem parowiec płynął wolno wzdłuż brzegu ławicy. Majtkowi z bocianiego gniazda polecono śledzić, czy gdzie wpobliżu nie znajduje obcy statek.

Ale mijały godziny, a na powierzchni morza nie ukazało się nic, coby zdradzało obecność statku.

Kapitan zaczynał przypuszczać, że pan de Convielle udał się pieszo na drugą stronę ławicy i tam napotkał ów tajemniczy parowiec. Czując się znużonym ciężką drogą, przyjął gościnność obcych marynarzy, ażeby wypocząć i zapewne czekać, aż „Celina“ znajdzie przejście.

Podzielił się swojemi domysłami z profesorem, który uznał je za wysoce prawdopodobne.

W odległości jakich 50 mil morskich od punktu, w którym zniknął pan de Convielle, zauważono, że pole lodowe rozstępuje się. Ponieważ szczerba, obserwowana ze szczytu masztu, wydawała się bardzo głęboką, przeto bez wahania zapuszczono się w nią. Ostatecznie jednak zwęziła się ona tak dalece, że parowcowi groziło ściśnięcie między lodami, i musiano się wycofać.

Do wybrzeży obszernego i niskiego półwyspu Jalmol było nie więcej, jak trzydzieści mil. Lękano się więc, że olbrzymia ławica dotyka lądu swem lewem skrzydłem i zupełnie zamyka drogę na północ. W takim razie „Celina“ ujrzałaby się w pułapce, z której wydostać się byłoby sprawą niełatwą.

Kapitan zaczął już na serjo zastanawiać się, czyby nie zawrócić, gdy wtem w budce odezwał się sygnał

elektryczny. Latour, który siedział przy aparatach, przyjął niezwłocznie depeszę tej treści:

„Do kapitana parowca „Celina".

D. 20 czerwca.

„Wygodny przepływ o ośm mil na wschód. Szerokość ławicy 13 mil morskich. Ocean wolny od lodów. Wszystko jak najlepiej.

De Convielle".

Jeszcze telegrafista nie zdążył zakomunikować tej ważnej wiadomości komu należało, gdy w słuchawce aparatu znów zabrzmiała serja krótszych i dłuższych tonów muzycznych, odpowiadających kropkom i kreskom alfabetu Morse'a. Tony owe, wyraźnie wychodzące z telefonu, po zanotowaniu złożyły drugą depeszę:

„Do szan. prof. Moriot, na pokładzie „Celiny". Niebawem połączymy się po tamtej stronie pola lodowego. Wszystko jak najlepiej. Pozdrowienia dla panny Celiny i wszystkich członków wyprawy.

Kornel".

Telegramy iskrowe wywołały ogólne zadowolenie; sytuacja wyjaśniła się nareszcie. Pan de Convielle, choć nieobecny, myślał o towarzyszach i pracował dla nich. Jego to niewątpliwie zasługą było odszukanie tak upragnionego przejścia przez ławicę, grożącą zabarykadowaniem na całe lato wyprawy w głębi morza Karskiego. Kto wie, czy nie w tym właśnie zamiarze Kornel opuścił był parowiec.

Ma się rozumieć, że postanowiono skorzystać z cennej informacji. Kapitan kazał powiększyć prędkość. Posuwano się jak najbliżej ławicy, bacznie wypatrując wskazanego przepływu.

Dokładnie w oznaczonym punkcie ujrzano szeroką szczerbę w polu lodowem. „Celina" zrobiła zwrot na północ.

— Nareszcie wydostaliśmy się z pułapki! — zawołał profesor Moriot. — Kapitanie! zdaje mi się, że dostrzegam flagi.

— Flagi? Coby tu robiły flagi? — zawołał komendant z lekkim odcieniem ironji.

— Dostrzegam wyraźnie dwie flagi, powiewające nad lodem, po obu bokach szczeliny. Nie wie pan o tem zapewne, ale jeśli idzie o dużą odległość, to mogę iść w zawody z każdym marynarzem; cierpię bowiem na dalekowidztwo.

— Istotnie — potwierdził geolog, który stojąc obok profesora, obserwował ławicę przez doskonałą lornetkę pryzmatyczną Zeissa. — Ktoś zatknął u wnijścia do wskazanego nam przepływu flagi republikańskie. Tak, odróżniam doskonale barwę czerwoną i niebieską; natomiast biała źle odbija na tle lodów.

— Któż, u licha, mógł to uczynić? — zagadnął kapitan, spojrzawszy przez szkła.

— De Convielle, jak przypuszczam.

— Hm, stąd wniosek, że statek, na którym się znajduje, przepłynął tą samą drogą. Przepływ jest więc świeżo wypróbowany, i śmiało możemy się weń zapuścić! Pół pary naprzód!

Kapitan, ucieszony, wydawał rozkazy maszyniście i sternikowi ze swego mostku. Parowiec wkrótce wpłynął w szczelinę, która miała nie więcej jak sto metrów szerokości i zwężała się coraz bardziej. Miejscami załamywała się, tak że przejście wydawało się zamkniętem. Ale na zakręcie droga znów otwierała się przed parowcem. Posuwano się z wielką oględnością, wymijając spiętrzone na kilkanście metrów zatory kry.

Wszyscy uczestnicy wyprawy, nie wyłączając nawet panny Celiny, która po otrzymaniu wiadomej depeszy

odzyskała dobry humor, znajdowali się na pokładzie i z biciem serca śledzili manewry statku, przemykającego się, niby ryba przez oczka sieci, wąskiem przejściem, które, jak się zdawało, lada chwila mogło się zamknąć skutkiem powolnego ale ustawicznego ruchu ludów, unoszonych niedostrzegalnym prądem. Ilekroć statek znalazł poprzez zwały lodów wąziutką drogę, którą uważano już za straconą, z piersi podróżników wydobywało się westchnienie ulgi.

To naprężenie trwało całych ośm godzin; tyle bowiem czasu potrzebowała „Celina“, ażeby przedostać się na drugą stronę potężnego pola lodowego.

Kiedy nareszcie ukazała się ciemnoindygowa tafla wolnego morza, rozległo się gromkie „hurra“ marynarzy, którzy w ten sposób dali wyraz swemu zadowoleniu z odzyskania swobody ruchów.

Niebo nad rozległą przestrzenią falującego swobodnie oceanu miało aż do samego widnokręgu nieskalanie czysty błękit, najlepszy dowód, że nie należało się spodziewać spotkania z lodami w najbliższym czasie.

Oczy zapuszczały się ciekawie wdal; wszyscy bowiem spodziewali się ujrzeć po przeciwnej stronie pola lodowego ów tajemniczy okręt, na którym znajdował się Kornel de Convielle.

Nic jednak nie pozwalało się domyślać bliskiego sąsiedztwa jakiegokolwiek statku. Morze było najzupełniej puste; prosty, nieznacznie sfałdowany brzeg, pozwolił wzrokowi bez przeszkody zapuszczać się zarówno we wschodnim, jak i zachodnim kierunku.

— Gdzież, u stu cyklonów, znajduje się pan de Convielle ze swoim statkiem? — mruczał kapitan, rozglądając się na wszystkie strony. — Hola, tam, na bocianiem gnieździe! Czy nic nie widać?

— Nic! — brzmiała krótka odpowiedź ze strażnicy.

— Dalibóg, nie wiem, co robić! — frasował się stary wilk morski. Pozostać tutaj, czy też płynąć na północny zachód koło Białego Ostrowu. De Convielle formalnie żartuje sobie z nas.

— Ja sądzę, że należy wysłać depeszę z prośbą o instrukcje — rzekł profesor.

— Chyba!... Poruczniku, postaraj się pan wejść w telegraficzne połączenie z panem de Convielle.

Wiedziona ciekawością, panna Moriot udała się do budki, gdzie znajdowały się przyrządy Marconiego. Przypatrywała się, jak Latour, nałożywszy kask z telefonicznemi słuchawkami, które mu zakrywały oba uszy, puścił w ruch cewkę; podziwiała długi na kilkadziesiąt centymetrów snop iskier, wytwarzających fale Hertza.

— Co pani każe zakomunikować panu de Convielle? — zagadnął Latour.

— Ażeby dał natychmiast znać o miejscu swego pobytu. Ta gra w ślepą babkę nie podoba mi się wcale.

— Dobrze — odparł porucznik. — Wysyłam znak, że się pragnę połączyć z tajemniczym statkiem.

Powtórzono sygnał kilka razy w odstępach dziesięciominutowych.

— No i cóż? — pytała od czasu do czasu rozgorączkowana oczekiwaniem Celina.

— Niema odpowiedzi, proszę pani.

— To bardzo niegrzecznie ze strony pana de Convielle — rzekła piękna panna. — Niech pan mnie pozwoli. Co mam robić?

— Przyciskać i puszczać klucz elektryczny; ot tak...

— Dość! — zawołał nagle porucznik — słyszę sygnał. Teraz niech mi będzie wolno zająć miejsce pani.

Skomunikowano się wreszcie. Panna Moriot dyktowała depeszę towarzyszowi:

„Do pana Kornela de Convielle. Dokąd płynąć? Jesteśmy o pana w najwyższym stopniu niespokojni. Proszę wracać natychmiast. Celina“.

— To powinno poskutkować — rzekł z uśmiechem Dumerque.

Odpowiedź nadeszła niezwłocznie:

„Do panny Celiny Moriot. Wziąć kierunek północno-wschodni. Jutro połączymy się. Pozdrowienie od Kornela de Convielle“.

— A widzi pan? — zawoła z triumfem panna.

Otrzymawszy pożądaną wskazówkę, kapitan ściśle się do niej zastosował.

W kierunku północno-wschodnim rozpościerało się wolne zupełnie od lodów morze, po którem „Celina“ płynęła z prędkością szesnastu węzłów.

Po kilkunastu godzinach takiej idealnej żeglugi, zamajaczył na widnokręgu Biały Ostrów, pomimo rozpoczynającego się lata drzemiący jeszcze pod całunem śnieżnym. Rozglądano się bacznie dokoła, spodziewano się bowiem lada chwila ujrzeć tajemniczy okręt.

Ale wyminięto wyspę, nie napotkawszy żadnych śladów obecności ludzi w tych pustkowiach. Widnokrąg, dotąd czysto błękitny, w kilku punktach zaczynał się zabielać. Był to ostrzegawczy znak, że znaczniejsze ławice lodowe znajdowały się w kierunku północno-wschodnim.

Prognostyk ten nie zawiódł; w parę godzin potem „Celina“ musiała zwolnić biegu; otoczył ją młody lód, pływający w postaci drobnych kawałków kry. Ale rozmiary jego zwiększały się — natrafiono na ławicę, mającą kwadratową milę obszaru, przyczem warstwy stawały się coraz grubsze. Parowiec, unikając spotkania z lodow-

cami, musiał co chwila zmieniać kierunek; zmniejszono prędkość do sześciu węzłów.

Kapitan i porucznik nie opuszczali mostku rozkazowego; uczeni przechadzali się po górnym pokładzie, rozmawiając na temat spodziewanego powrotu de Conviella.

Była godzina 4 po południu 22 czerwca; o 2-ej upłynęły dwie doby od nadejścia wiadomej depeszy; kilkanaście lornetek i lunet morskich śledziło widnokrąg.

Tajemniczy okręt, unoszący na swoim pokładzie inicjatora wyprawy, nie ukazywał się jednak, wbrew zapowiedzi.

Panna Celina zaczynała się niecierpliwić.

— Nie wiem już, doprawdy, co mam myśleć o postępowaniu pana de Convielle; opuścił nas w tak tajemniczy sposób i przedłuża swoją nieobecność, według mnie, całkiem niepotrzebnie. Zamiast kierować zorganizowaną przez siebie wyprawą, pozostawia ją samej sobie; sieje zamęt i nastręcza przypuszczenia, wcale nie podnoszące jego powagi. Poco było przesiadać się na cudzy statek, mając do rozporządzenia swój własny?

— Czy nie surowo sądzisz pana do Convielle, moja kochana córko? — stanął w obronie Kornela profesor Moriot. — Nie przypuszczam, żeby chciał nas zaintrygować i nic więcej. Byłoby to z jego strony dziecińśtwem.

— Dlaczegóż więc bawi się z nami w chowanego? Jakże bowiem nazwać inaczej tę całą grę?

Geograf wzruszył ramionami.

— Wyjaśni się to po jego powrocie. Tymczasem pan Kornel oddał nam ważną usługę, wskazując przejście, którego daremnie poszukiwaliśmy sami. Kto wie, czy nie w tym celu przesiadł się na ów statek.

Rozmowę powyższą przerwał niezwykły ruch na pokładzie. Wszyscy biegli na przedni pomost; marynarze

opuszczali swoje pomieszczenie i, gestykulując żywo, pokazywali sobie jakiś przedmiot.

— Wieloryb, wieloryb! — rozległy się wołania.

— Gdzie on jest? — zagadnęła Celina z ciekawością. — Nigdy jeszcze nie widziałam tego największego stworzenia na kuli ziemskiej.

Geograf śledził przez chwilę powierzchnię morza. Dalekowidztwo przydało mu się; odnalazł bowiem bez trudności wieloryba i wskazał go córce.

— Tam, między dwiema krami. Leży nieruchomie na powierzchni, wynurzony nieco z wody... — mówił.

— Ta czarna, podłużna plama?

— Właśnie. O ile mogę wnosić, jest to prawdziwy olbrzym, jakiego dziś, w epoce zapamiętałych łowów na te ssaki, trudno napotkać.

Kapitan wydał znać rozkaz zabicia potwora, który mógł dostarczyć cenionego w podróżach podbiegunowych zapasu tranu, bo do armatki, stojącej na przednim pomoście, zbliżył się jeden z marynarzy i wsadził w lufę najprzód nabój prochu, potem harpun, przywiązany do wielkiego zwoju cienkiej, lecz bardzo mocnej linki.

Przygotowania do łowów podnieciły wszystkich. Cała załoga parowca, poczynając od kuchcika, a skończywszy na komitecie naukowym w pełnym składzie, wyległa na pomost, pragnąc być świadkiem polowania na najgrubszą zwierzynę pod słońcem.

Kapitan wydawał rozkazy sternikowi, który sam jeden pozostał w swojej budce, na drugim pomoście, i „Celina“ posuwała się wolno, a możliwie cicho w kierunku owej czarnej, podłużnej plamy, leżącej nieruchomie pomiędzy bryłami lodu.

Ażeby wystrzał harpunem odniósł pożądany skutek, należało się zbliżyć przynajmniej na 200 metrów do po-

tworu, który kołysany łagodnie falą, widocznie oddawał się słodkiej drzemce.

W miarę jak parowiec, zaledwie poruszając śrubą w obawie obudzenia wieloryba, podpływał, na pokładzie serca biły coraz mocniej, panowała głucha cisza, wszystkie oczy utkwiły w kolosalnem cielsku.

Geograf, który cierpiał na dalekowidztwo, potrząsnął nagle głową, pokrytą srebrnemi kędziorami.

Jak żyję, nie oglądałem tak potężnej sztuki! — zawołał w tej chwili zoolog, stojący obok profesora. — Ależ bestja ta ma chyba z ośmdziesiąt metrów długości, gdy najroślejsze wieloryby grenlandzkie, za czasów Rossa, nie dochodziły 50 metrów!

A może to jaki nowy, kolosalny gatunek, całkiem nieznany? — zaśmiał się fizyk.

Rozmowie tej położyła nagle kres donośna detonacja.

To armatka dała ognia. Wystrzelony harpun świsnął w powietrzu; widać go było, jak pruł powietrze, unosząc ze sobą linkę.

Wszystkim się zdawało, że ostrze trafiło w czarne cielsko; ale zamiast pogrążyć się w niem po samą nasadę, odskoczyło, niby od tarczy.

Harpunjer zaklął siarczyście.

Przecież nie chybiłem — zawołał, rozkładając ręce.

W tej chwili potwór wyrzucił w górę dwa strumienie wody na wysokość kilkunastu metrów i, poruszywszy się leniwie, zanurzył się powoli pod powierzchnię.

— Ucieknie!

— Czy jest ranny?!

— Zniknął!

— Ależ ma chyba pancerz!

— Harpun nie trafił!

Te i tym podobne zdania posypały się, jak grad, wśród ogólnego zgiełku na podkładzie.

Harpunjer z zimną krwią nabił armatkę drugim harpunem, i kiedy linkę od pierwszego nawijano na kołowrót, wypatrywał zdobyczy.

— Dalibóg, trafiłem! — powtarzał porucznikowi, który znajdował się przy armatce.

— Zdawało ci się, mój poczciwy Józefie.

— Niechno tylko się pokaże, to mu poprawię! — odgrażał się harpunjer, którego ambicja mocno ucierpiała w tym przypadku.

Spodziewano się, że potwór lada chwila wypłynie na powierzchnię dla nabrania powietrza. Kapitan, obawiając się, że mu się zdobycz wymknie, kazał spuścić na morze szalupę z drugim oszczepnikiem.

Łódź posuwała się lekkiemi uderzeniami wioseł w odległości pół mili od parowca, gotowa do walki z potworem.

Upływały atoli minuty, potem kwadranse, a wieloryb nie wynurzał się.

— Długo może wytrzymać! — rzucił profesor.

— Chyba uciekł gdzie daleko — wtrąciła Celina.

Młoda panna umierała z niecierpliwości.

— Nie, proszę pani — objaśnił zoolog, ssaki morskie mogą zadziwiająco długo znajdować się pod wodą. Drogą przystosowania się do warunków bytu, ciało ich zawiera dwa razy stosunkowo więcej krwi, aniżeli u innych zwierząt tej samej klasy. Zapas tlenu w czerwonych ciałkach krwi wystarcza przeto walom na pół godziny nawet.

— Ale minęło już trzydzieści parę minut — rzekł profesor.

— No, to lada chwila go ujrzymy — pocieszał pan Carré towarzyszy.

Przepowiednia nie ziszczała się atoli. Kiedy już upły-

nęły trzy kwadranse, kapitan krzyknął przez tubę marynarzom w szalupie, żeby wracali.

Zapanowało rozczarowanie, pomieszane ze zdziwieniem.

— Wyniósł się gdzieś daleko i drwi sobie z twojego harpuna, mój Józefie! — rzekł porucznik, spoglądając na zegarek.

— Przecież morze otwarte, tobyśmy go łatwo zobaczyli — odparł harpunjer, potrząsając głową. — Mnie się widzi, że to nie był zwyczajny wieloryb z krwi i kości.

— Więc cóż?

— Ot, złe i tyle! Djabeł, jak panu wiadomo, może przybierać każdą postać na siebie; jak nie „Pływającego Holendra“, to na ten przykład — wieloryba. Tu, między lodami, to mu bardziej przystoi, niż być okrętem. Nie chciałbym, uchowaj Boże, źle prorokować, tfu! — splunął na stronę — ale chyba nieszczęście na nas czyha!

Pleciesz, pleciesz, stary, jak na mękach! Wieloryb to był, ale dał sobie nura i kwita.

— Ba, zwyczajny wieloryb nie siedziałby godziny pod wodą, proszę pana; a gdyby był ranny albo nieżywy, tobyśmy widzieli krew, a jeszcze prędzej cielsko wypłynęłoby samo.

— Jest, jest! Wypływa znowu! — odezwały się głosy.

— Gdzie? Nic nie widać! — przeczył harpunjer.

O kilkadziesiąt metrów zaledwie od prawej burty, falująca łagodnie powierzchnia morza zaczęła się nagle kotłować, jakby w głębinie coś się miotało konwulsyjnie. Jeszcze zebrani na pokładzie nie zdołali zdać sobie sprawy z tego zjawiska, kiedy z pod wody wynurzył się jakiś ostry, walcowaty przedmiot.

Ząb! - krzyknął zoolog, wychylając się za parapet.

— To narwal, narwal! — wołali marynarze.

— Rzuca się na nas!

— Co za olbrzym!

Potworne cielsko, bijąc miarowo ogonem, płynęło tuż pod powierzchnią oceanu, tak iż zgruba można było odróżnić jego kształty. Miało ono, jak słusznie ktoś ocenił, przynajmniej 80 metrów długości a ośm średnicy w najgrubszem miejscu i przypominało kolosalnego rekina.

Na grzbiecie niosło coś podobnego do okrągłego garbu.

— To chyba jakiś przedpotopowy ichtjozaurus, rybojaszczur — wołał zoolog. Trudno bowiem przypuścić...

Uczony nie dokończył sformułowania swej hipotezy, gdyż bajeczny potwór z uprzedzającą grzecznością wynurzył się do jednej czwartej swej objętości i zatrzymał się o 40 metrów od parowca.

Teraz wszyscy mogli mu się przyjrzeć dokładnie.

— Stać! zakomenderował maszyniście kapitan.

Parowiec usłuchał rozkazu.

Olbrzymi zwierz nie uderzał już ogonem. Leżał nieruchomie, kołysany falą Jego ciemna skóra przypominała pancerz gładki, popielatej barwy. Z garbu, umieszczonego w pośrodku grzbietu, wyzierały owalne, nieruchome oczy. Obok sterczał na parę metrów wysoko ów tajemniczy wyrostek, który wzięto za ząb narwala.

Nagle rozległ się głuchy łoskot; szczyt garbu rozwarł się, i ku niepomiernemu zdziwieniu wszystkich ukazała się w otworze najprzód głowa ludzka, potem zeń wyskoczyła postać dobrze znana świadkom tego nadzwyczajnego zjawiska.

— Kornel, Kornel! — krzyknęła panna Moriot, powiewając radośnie chusteczką.

— Dalibóg to naprawdę on, de Convielle! przyświadczył szanowny profesor, przecierając oczy.

Na pokładzie parowca zapanował gwar nie do opi-

sania. Majtkowie wrzeszczeli wniebogłosy, bijąc brawo, oszczepnik żegnał się zabobonnie, oficerowie posyłali przyjazne gesty w stronę de Conviella, który odpowiedział na te powitania uprzejmym uśmiechem i ukłonem marynarskiej czapeczki.

- Podwodny statek! – zawyrokował ostatecznie zoolog.

– Do jakiej klasy czy rzędu zaliczyć go pan zamierza? — zapytał ironicznie geolog.

Przyrodnik spojrzał drapieżnie na kolegę. Kto wie, czy między dwoma członkami komitetu naukowego nie przyszłoby do jakiego poważniejszego nieporozumienia, gdyby nie to, że potwór znów zaczął się poruszać w zamiarze przybliżenia się do parowca.

Ale tymczasem szalupa z harpunjerami podpłynęła do swej niedoszłej zdobyczy. Oszczepnik wyciągnął dłoń, i de Convielle zręcznym skokiem znalazł się pośród swoich.

Za chwilę stanął na pokładzie parowca, witany grzmiącemi, pełnemi entuzjazmu okrzykami.

— Nareszcie! — rzekła z lekkim odcieniem wyrzutu panna Moriot, podając dłoń młodzieńcowi.

— Gdzież pan był, u licha? — pytał kapitan Dumerque, potrząsając swą niedźwiedzią łapą rękę przybysza.

— Ano, wieloryb mnie połknął i cudem tylko wydostałem się z jego wnętrza odparł młodzieniec, śmiejąc się.

Niech żyje nowożytny Jonasz! zawołał profesor, biorąc w objęcia żartownisia i całując go w oba policzki.

VIII. Nowożytni Jonasze.

— Wieloryb, z którego czeluści wyszedłem — mówił de Convielle, śmiejąc się — mieści w sobie sporą garstkę takich jak ja proroków. Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, to zapoznam was z największym z pomiędzy nich.

Szalupa wróciła do okrętu podwodnego, i za chwilę na pokładzie „Celiny“ zjawił się jego twórca.

— Inżynier Raul Plot — przedstawił przyjaciela Kornel.

Zaprowadził towarzysza do sali jadalnej, gdzie zastawiono śniadanie dla całego sztabu. Tam, przy stole, członkowie wyprawy zaspokoili wreszcie swoją ciekawość.

Płyniemy za parowcem od samego Havru — objaśnił Plot, którego posadzono na honorowem miejscu, obok panny Moriot i jej ojca.

— Jakto, od samego Havru? nie widzieliśmy was ani na chwilę! — zawołał zdziwiony kapitan.

Tak być powinno, gdyż naszą podróż odbywaliśmy przeważnie pod wodą — mówił, śmiejąc się, inżynier.

— Co pana zapędziło w te niegościnne strony świata? — rzucił profesor. — Pański statek prawdopodobnie należy do składu naszej floty wojennej...

— Bynajmniej! — rzekł de Convielle, którego znać bawiła ta indagacja. — Neptun jest nasz, to znaczy należy zarówno do mnie, a więc do wyprawy, jak do

swego genjalnego twórcy, inżyniera Plot, który łaskawie obiecał nam towarzyszyć.

— Jakto, naokoło Syberji? — zadziwił się Moriot.

— Nawet dalej!

— Może do samego bieguna! — zaśmiał się ironicznie fizyk Lequetre.

— Źle się pan wyraziłeś, jeżeli mi wolno zauważyć — odezwał się de Convielle. Nasz parowiec w żadnym razie nie może być przewodnikiem dla „Neptuna“, przeciwnie raczej, czułbym się szczęśliwym, gdyby „Celina“ potrafiła towarzyszyć łodzi podwodnej, chociażby do połowy drogi.

— Tam, do stu piorunów! zaklął kapitan — przecież pan nie chce w nas wmówić, że ten wasz „Neptun“ dopłynie do samego bieguna północnego!

— Czy dopłynie, nie wiem, ale to wiem, że ma wszelkie po temu szanse!

— Żartujesz pan. W łodzi podwodnej dotrzeć pod 90 stopień szerokości północnej?!

— Dlaczegóżby nie, kochany kapitanie? Powiedz mi, jakie widzisz przeszkody po temu?

— O to jeszcze nikt się nie pokusił.

— To nie argument, kochany kapitanie!

— Statki podmorskie nie są jeszcze o tyle udoskonalone, żeby mogły przedsiębrać odległe podróże.

— „Neptuna“ nie należy stawiać narówni z najlepszemi nawet łodziami podwodnemi, gdyż jest to cud mechaniki, którego bez pana Plot ludzkość nie oglądałaby nawet za sto lat. Będę miał honor zaraz o tem przekonać wszystkich niedowiarków. No, inżynierze, czy nie zechciałbyś pokazać obecnym swego arcydzieła?

— Owszem, chociaż, mojem zdaniem, „Neptunowi“ oddaje pan przesadne pochwały.

— No, no, czy mam słuszność, o tem niech sami panowie osądzą. Profesorze, panno Celino...

Zapraszał szerokim gestem ręki, żeby się za nim udano na pokład podwodnej łodzi, która nieruchomie leżała o kilkadziesiąt metrów od parowca.

Z miłą chęcią — odparła panna Moriot — obejrzę okręt podmorski, chciaż zgóry oświadczam, że nie odważyłabym się na nim zapuścić w otchłań.

— No, no, proszę się niczego nie zarzekać. Il ne faut jurer de rien, mademoiselle.

Członkowie komitetu naukowego z zapałem przyjęli propozycję. Spuszczono znów szalupę, która pomieściła dziesięć osób.

Kiedy zbliżono się do potworu, pierwszy Raul Plot wskoczył na płaski pomost, wystający na pół metra zaledwie nad powierzchnię wody. Stanąwszy tam, inżynier podawał rękę gościom, którzy pokolei znikali w otworze kołpaka i schodzili po żelaznych, kręconych schodach do wnętrza.

— Przez ten dzwon — objaśniał młody twórca „Neptuna“ — można wyleźć z mojego statku, nawet pod wodą, w kostjumie nurkowym. Takich kostjumów posiadamy tyle, ile ludzi liczy załoga, i jeszcze z dziesięć w zapasie. Byłoby to możliwe wtedy nawet, gdyby statek już zatonął i leżał w niewielkiej głębokości na dnie.

W jakiż to sposób? Jeżeli otworzyć kołpak, to mi się zdaje, że woda zaleje wnętrze zauważyła panna Celina.

— Byłoby to nieuniknione, gdyby nie pewne środki ostrożności. Mianowicie, kołpak ma szczelną podłogę. Kiedy znajdujemy się pod wodą, wnętrze dzwonu zawiera tylko powietrze. Można doń wejść, zamknąć za sobą klapę, potem otworzyć krany i napełnić go wodą. Uskutecz-

niwszy to, otwieramy klapę zewnętrzną i wypływamy na powierzchnię. Ma się rozumieć, musimy uprzednio wdziać na siebie skafander. Naraz może wyjść czterech ludzi.

— A potem? — pytała zaciekawiona panna.

Ostatni zamyka za sobą klapę zewnętrzną. Pompy opróżniają kołpak z wody, i druga partja może doń wejść. Ponieważ załoga „Neptuna“ liczy tylko dziesięciu ludzi, przeto powtórzywszy powyższą operację trzykrotnie, można wyprowadzić wszystkich.

Rozumiem. Co się jednak stanie, jeżeli statek zatonie na głębokiem miejscu? Ciśnienie wody uniemożliwi nurkom wydostanie się na powierzchnię. Zgniecie ich ono, jakby w prasie hydraulicznej.

- Ma pani zupełną słuszność. Ale w takim razie najgorszy los nas nie spotka. Odemknąwszy kilka zasuw, odłączamy górną część łodzi, gdzie się właśnie znajdujemy, od dolnej, i razem z nią wypływamy na powierzchnię. Ta górna część pudła stanowi bowiem jakby oddzielny statek, na którym w razie potrzeby można odbyć nawet dłuższą podróż, gdyż wszystko tu mamy pod ręką.

– To mię przekonywa bardziej, aniżeli ten kołpak! — rzekła Celina.

Inżynier musiał użyć namowy, żeby młodą osobę wprowadzić do wnętrza swej łodzi. Pierwszy wkroczył profesor, który, jak sam mówił, niewiele miał już do stracenia. Za nim panna Celina, trzymając ojca za rękę, trzecim był Kornel, czwartym fizyk, piątym geolog. Z dolnej części kołpaka drzwi prowadziły do kamery maszyn.

Nasi podróżni stanęli wobec potężnych cylindrów, które w tej chwili znajdowały się w spoczynku. Plot z rosnącym zapałem udzielał objaśnień swym gościom.

Oto jest serce „Neptuna“ mówił, pokazując

stalowe członki machin. — Gdyby ono nie mogło się poruszać, moja łódź podwodna byłaby bezwładną bryłą. Są to motory ropowe Diesela, najekonomiczniej pracujące ze wszystkich dotąd znanych. Rozwijają one siłę tak znaczną, że statek posuwa się z prędkością szesnastu węzłów pod wodą, a dwudziestu na powierzchni. Domyślacie się, szanowni państwo, że motor tego rodzaju potrzebuje koniecznie dopływu powietrza; pracuje więc wówczas tylko, kiedy „Neptun“ znajduje się na powierzchni morza. Skoro zaś musimy się zanurzyć, wówczas zaczynają działać motory elektryczne, znajdujące się w sąsiedniej komorze. Mają one taką samą wprzybliżeniu sprawność, co motory Diesela. Prądu dostarcza im olbrzymia baterja najnowszego typu akumulatorów, które zawdzięczamy genjalnemu Edisonowi. Akumulatory te, przy małej stosunkowo wadze, nagromadzają dużą ilość energji elektrycznej, a co najważniejsza, są bardzo trwałe.

Gdzież się mieści ta baterja? — zagadnął fizyk.

Prawie na samym spodzie okrętu i odgrywa rolę balastu. Skoro więc opuszczamy się pod wodę, motory Diesela ustępują kolei motorom elektrycznym, które poruszają śrubę.

Tutaj dodał inżynier, uderzając w ściany podwójne mieszczą się zbiorniki wody. Potężne pompy mogą je albo napełniać, albo też opróżniać w miarę potrzeby. Naturalnie, że napełniając zbiorniki, czynimy „Neptuna“ cięższym i zmuszamy go do pogrążenia się pod wodę, i odwrotnie, opróżniając je, zmniejszamy jego ciężar właściwy i sprawiamy, że wynurza się on na powierzchnię. Jest to system ogólnie przyjęty.

Przepraszam, — wtrącił fizyk — że powrócę jeszcze do kwestji motoru. Na jak długo może starczyć energja

zawarta w akumulatorach, jeżeli płynąć z normalną prędkością.

— Można poruszać się półtorej doby z zapasem, jaki znajduje się w akumulatorach Edisona.

A zatem odbyć podróż co najwyżej pięciuset kilkudziesięciu mil morskich? Jest to stosunkowo bardzo mało, jeżeli idzie o tak wielką podróż, jaką ma przed sobą nasza wyprawa.

Tak, ale możemy zawsze puścić w ruch motory Diesela i naładować akumulatory. Motor elektryczny, pędzony przez maszyny ropowe, odgrywa rolę dynamo-maszyny, to znaczy wytwarza prąd, potrzebny do zasilenia baterji akumulatorów.

- Pod wodą jednak nie można wcale puścić ich w ruch, bo się nie ma dostatecznego dostępu powietrza.

— To prawda.

Jakże więc nabije pan akumulatory, jeżeli lody nie pozwolą panu wypłynąć na powierzchnię?

Była to kwestja odrazu rzucająca się w oczy; musiałem zatem rozwiązać ją, zanim zdecydowałem się zapuścić w te okolice odrzekł niezmieszany zarzutem inżynier. Widzi pan te cylindry? Są to świdry stalowe w formie rur, poruszane motorami elektrycznemi z prędkością dwustu obrotów na minutę. Świder taki ma długość dziesięciu metrów, tak iż najgrubsza kra łatwo da się przy jego pomocy przebić nawylot. Świder zamienia się wtedy w zwyczajną rurę ssącą, która, połączona z pompami, dostarczy silnego strumienia świeżego powietrza. Widzi pan więc, że nie potrzebujemy nawet wypłynąć na powierzchnię, żeby mieć do zbytku powietrza na użytek motorów i nasz własny.

Hm, hm, mruczał niezupełnie przekonany fizyk. A jeżeli kra okaże się grubszą, niż długość świdra?

Oh, kwestję tę badałem długo, na zasadzie pomiarów Nansena i innych podróżników... — odezwał się Kornel. Skrupulatne poszukiwania i porównania dowiodły, że najpotężniejsze pole lodowe nie ma grubości większej, nad pięć do siedmiu metrów. Grubsze lody tworzą się tylko lokalnie, skutkiem nagromadzenia kawałów kry jeden na drugim, skutkiem tak zwanego ciśnienia lodów. Jeżeli więc przekonamy się, że w danym punkcie pole lodowe jest za grube, to przenosimy się cokolwiek dalej i rozpoczynamy wiercenie w innym punkcie.

— No, zaczynam się przekonywać do pańskiego „Neptuna“ — zawołał Moriot, który z uwagą przysłuchiwał się tym objaśnieniom. — Widzę bowiem, że w każdym razie nie pozwoli się pan udusić lodom. Ale co będzie — niech mi wolno także zainterpelować szanownego pana — jeżeli, płynąc pod wodą, natrafimy na potężną górę lodową? Wie pan przecie, że kolosy te miewają po pięćset, a nawet siedmset metrów wysokości. Jeżeli wystają na pięćdziesiąt metrów nad poziom, co nie jest rzadkością, to sześć razy tak głęboko zanurzają się w wodzie. W razie takiego spotkania nastąpi nieodwołalnie katastrofa, podobna do tej, jaka spotkała już niejeden okręt, pływający na powierzchni.

— I nad tem zastanawiałem się, szanowny profesorze — odparł de Convielle. — Mając na względzie niebezpieczeństwo spotkania z temi poczwarami, nie zgodziłem się obrać drogi około Grenlandji. Na tamtych morzach, sąsiadujących ze stałym lądem i wielowyspami Ameryki Polarnej, góry lodowe są zjawiskiem pospolitem; tutaj zaś, w sąsiedztwie niskich wybrzeży północnej Azji, gdzie niemasz lodników, i gdzie prąd posiada kierunek ku północy, olbrzymów tych nie napotkamy. Polegam w tym względzie na spostrzeżeniach Nansena i kilku innych po-

dróżników. Moglibyśmy płynąć, jak sądzę, do samego bieguna, nie obawiając się starcia.

— Co do mnie, nie lękam się bynajmniej, aby zderzenie „Neptuna“ z najpotężniejszą nawet górą lodową pociągnęło za sobą jakie następstwa – odezwał się Plot. – Mój statek jest niezmiernie mocno zbudowany, na przodzie posiada stalowy taran i prawdopodobnie, oprócz silnego wstrząśnienia, starcie nie miałoby innego skutku. A tego dałoby się uniknąć, dzięki reflektorom o sile paru tysięcy świec.

— Brawo! Jak widzę, potrafi pan odpowiedzieć na każdy zarzut z naszej strony! — rzekł geolog. — Co do mnie jednak wolę nie doświadczać sprawności „Neptuna“ i odbyć wyprawę na pokładzie naszego parowca. Wydaje mi się to w każdym razie bezpieczniejsze,

— I mnie — dodał zoolog.

— No, ale to nie przeszkadza, żebyśmy nie mieli oglądać dalej tego interesującego statku! Prowadź nas pan dalej, inżynierze.

Plot z oddziału maszynowego zaprowadził swych gości do szeregu małych, lecz bardzo wygodnie urządzonych kajut, położonych po obu stronach głównego kurytarza środkowego. Tych małych pokoików, oświetlonych, zamiast oknami, lampkami żarowemi, było dziesięć; każdy na dwa łóżka. Oprócz tego marynarze i mechanicy mieli dla siebie obszerne pomieszczenie, obliczone na dziesięciu ludzi.

— „Neptun“ mógłby zabrać na pokład dwadzieścia cztery osoby — mówił Raul. – Ale dziesięć wystarcza zupełnie do obsłużenia maszyn i do wszelkich innych czynności. Mamy tak wiele miejsca dzięki tej okoliczności, że „Neptun“ nie służy Marsowi, nie dźwiga ani dział szybkostrzelnych, ani torped śmiercionośnych. Ich miejsce

zajmują zbiorniki ropy naftowej, której zabraliśmy kilkaset tonn, ilość wystarczającą do odbycia podróży do bieguna północnego i zpowrotem. Zapasów posiadamy także tyle, że trzy lata moglibyśmy spędzić bez odnawiania prowiantów. Nie zapomnieliśmy także o przyborach naukowych, o broni myśliwskiej, o namiotach i ciepłej odzieży, o nartach i sankach, słowem jesteśmy przygotowani nawet na podróż po powierzchni lodów.

Więc pan naprawdę zamierza popłynąć na „Neptunie“ do bieguna północnego? zagadnęła panna Moriot, spoglądając z trwogą na Kornela.

De Convielle zrobił potwierdzający ruch głową.

Przyznaję, że z początku uważałem ten pomysł za niedorzeczność, za szaleństwo. Ale kiedym rozważył wszystko gruntownie, nie widzę żadnych przeszkód. Ba! zaczynam się dziwić, że podobny pomysł nie przyszedł dotąd nikomu do głowy. Czy to nie szaleństwo raczej starać się dotrzeć do najwyższych szerokości po powierzchniach nierównych, wiecznie znajdujących się w ruchu lodów?

Ross, Kane, Koldewey, Payer, Nordenskjöld, Nansen, książę Savoi i cały szereg innych podróżników, którzy ponieśli tyle daremnych ofiar, powinien każdego przekonać, że posuwając się po lodach, nigdy nie można będzie dosięgnąć bieguna północnego. Czyż nie daleko prościej, bezpieczniej i łatwiej przedewszystkiem — płynąć pod temi lodami, które od niepamiętnych czasów zagradzają nam dostęp do północnego krańca osi ziemskiej? Każdy genjalny pomysł jest prosty. Nie mam na myśli siebie, nie w mojej bowiem głowie zrodził się projekt „Neptuna“, który sam jeden tylko mógłby posłużyć do tego celu. Zamierzam więc spróbować, otrzymawszy to doskonałe narzędzie do podróżowania w przepaściach

oceanu. Pomyślcie panowie — mówił z coraz większym zapałem de Convielle — na powierzchni Polarnego oceanu piętrzą się niezliczone barykady, poza któremi biegun północny ukrywa się jak w niedostępnej fortecy. Pod niemi zaś leży przestrzeń zupełnie wolna. Dość jest zanurzyć się na dwadzieścia, na trzydzieści wreszcie metrów pod wodę, żeby móc sobie szydzić z tych wszystkich przeszkód, jakie natura spiętrzyła na powierzchni morza, żeby móc popłynąć prostą i pewną drogą do celu. Pewną — powiadam, bo wody oceanu w głębokości kilkudziesięciu metrów są spokojne i wówczas, kiedy tam na górze szaleje burza śnieżna, miotająca z łoskotem jedną krę o drugą, druzgocząca każdy najsolidniej zbudowany okręt. Otóż my mamy przed sobą tę drogę otwartą. Kilka dni starczy, żeby naprzekór wszystkim polom lodowym dostać się tam, gdzie, jak mi się zdaje, nie postała jeszcze noga białego człowieka, a może żadna ludzka stopa, żeby odsłonić jedną z ostatnich, największą może tajemnicę naszego globu! A więc, panowie, czem byłbym, gdybym się wahał skorzystać z genjalnego wynalazku inżyniera Raula Plota, który za marną pomoc materjalną oddaje mi do dyspozycji swego niezrównanego, stanowiącego epokę w dziejach marynarki „Neptuna„? Tchórzem, człowiekiem niezdolnym wznieść się ponad przesądy, niezdolnym myśleć jasno!

Kornel wzruszony uciął nagle. Przez chwilę panowało milczenie, rozważano jakby jego słowa. Ale wnet wzniosły się z piersi wszystkich głośne okrzyki.

— Istotnie, genialny pomysł! genjalny! — powtarzał profesor Moriot, kiwając głową. — Zaprawdę, że zadanie przedstawia się, przynajmniej w teorji, bardzo prosto.

— Jadę z panem! rzekł krótko fizyk, wyciągając dłoń do Kornela.

Panna Celina milczała, ale jej wzrok, pełen uwielbienia, jakiem ogarniała postać młodzieńca, był wielce wymowny.

Nawet geolog zachwiał się.

Kto wie, kto wie! — mruczał pod nosem.

De Convielle i Plot nie ukrywali nic przed kolegami. „Neptun“ odsłonił przed swymi gośćmi wszystkie swoje tajemnice. Zwiedzono go od pokładu aż do samego dna.

Poznawszy dokładnie dowcipne urządzenia podwodnej łodzi, musiano przyznać, że Kornel nie przesadzał, uważając wynalazek Raula za rzecz epokową i genjalną.

„Neptun“ był skończonym typem statku, przeznaczonego do pływania, jak ryba, w głębiach morskich. Nie brakowało tam niczego, co tylko mogło podróż uczynić bezpieczną, a nawet przyjemną.

Wszyscy wyszli na pokład górny zachwyceni. Ten sam entuzjazm podzieliła następna partja zwiedzających, bo Plot pokazał swoje arcydzieło wszystkim, nawet starszym majtkom „Celiny“.

Kiedy już ukończono wizyty na „Neptunie“, cały komitet, z profesorem Moriotem na czele, przy udziale de Conviella, Raula Plota i oficerów parowca, odbył walną naradę.

Kornel wyłożył krótko i jasno swój projekt dotarcia w łodzi podmorskiej do samego bieguna północnego. Eksponował go tak ponętnie, umiał tak dobrze przewidzieć i usunąć w wymownych swych słowach wszelkie trudności tej zuchwalej, jedynej w dziejach marynarki wyprawy, że zdobył uznanie nawet najbardziej sceptycznie usposobionych członków ciała naukowego.

Plan ten był bardzo prosty:

„Neptun“ miał towarzyszyć parowcowi nie dalej jak

paręset mil morskich na wschód, a potem oba okręty zapuszczą się prosto na północ, aż do granicy lodów.

Kiedy ławice zagrodzą stanowczo i nieodwołalnie dalszą drogę parowcowi, niektórzy członkowie komitetu naukowego przesiądą się na łódź podmorską, zaopatrzoną w pełny zapas paliwa. „Neptun“ zanurzy się na głębokość kilkudziesięciu metrów i popłynie w prostym kierunku, z możliwie najwyższą prędkością, do bieguna.

Natrafiwszy na wolne od lodów morze, wynurzy się i będzie płynął po powierzchni. Jeżeli napotka przeszkodę, da nurka i będzie znów płynął pod powierzchnią, dopóki nie znajdzie otwartej przestrzeni. W ten sposób w ciągu tygodnia najwyżej spodziewano się dotrzeć do bieguna północnego, o ile ten naturalnie leży wpośród morza, co stosownie do uczonych wywodów o kształcie globu ziemskiego prof. Moriota było wielce prawdopodobne.

Ma się rozumieć, że Kornel w każdym razie weźmie udział w tej wyprawie, obok Raula Plota. Profesor i jego córka mieli pozostać na „Celinie“ i w razie potrzeby nieść pomoc towarzyszom bądź doraźną, bądź w formie zapasów paliwa, urządzania składów w oznaczonych zgóry punktach i t. p.

Plan ten zaakceptowano z zapałem. W kilka godzin potem oba statki, „Celina“ i „Neptun“, płynęły obok siebie, kierując się do wyjścia z morza Karskiego.

IX. Słowo.

Według pierwotnie zakreślonego planu, „Celina“ miała się zatrzymać przy ujściu Leny do oceanu Lodowatego, tam zabrać kilka zaprzęgów psów, które już oddawna były zamówione, i dopiero od tego punktu rozpocząć swoją podróż w kierunku północnym. Ale Kornel de Convielle, zawładnąwszy tak potężnem i nowem narzędziem do osiągnięcia celu, jakiem był „Neptun“, zmienił plan gruntownie. Nie potrzebował już psów, nie potrzebował okrążać prawie całego lądu azjatyckiego, coby mu zabrało kilka tygodni czasu. Postanowiono więc posunąć się tylko do ujścia Jeniseju i stamtąd już próbować przedzierania się na północ, przytem oba statki miały płynąć, o ile się da, razem. Zuchwała próba dotarcia do bieguna w łodzi podwodnej miała się zacząć dopiero pod 80 stopniem szerokości, a przynajmniej pod 75. Posuwano się tylko wzdłuż brzegów w celu wysadzenia na ląd tych członków wyprawy, ktorzy nie mieli w niej brać udziału do samego końca, to jest profesora Moriota i jego córki.

W miarę tego jednak, jak zbliżała się chwila rozstania, profesor starał się ją odraczać. Jak dotąd, podróż nie dawała się bynajmniej we znaki. Co prawda, nie nastręczała ona żadnych trudności; parowiec płynął, przedzierając się bez żadnego niebezpieczeństwa pomiędzy

lodami, które tego roku okazały się bardzo łaskawe dla podróżników. Pannie Celinie pobyt na statku, urządzonym tak wygodnie, podobał się również; przestraszała ją sama myśl rozstania się na czas nieokreślony z Kornelem, który rósł szybko w jej oczach i zabierał w sercu panny coraz wydatniejsze miejsce.

A jednak, trzeba było zgodzić się na rozłąkę, która oboje miała tyle kosztować. Ułożono, że parowiec zawinie do ujścia rzeki syberyjskiej, Jeniseju, i tam w pierwszej większej osadzie, skąd będzie okazja zabrania się do Europy, miał wysiąść uczony geograf, którego wiek nie pozwalał na tak ryzykowną podróż w najwyższe szerokości geograficzne.

Korzystając z ostatnich dni, młodzi ludzie nie rozstawali się prawie z sobą. Kornel spędzał w gabinecie profesora wszystkie wolne od zajęć godziny i umiał to sam na sam wyzyskać dla swoich spraw sercowych. Widział z najwyższą radością, że Celina patrzy nań teraz zupełnie innemi oczyma aniżeli przed paroma miesiącami. To ciągłe obcowanie zbliżało ich duchowo do siebie. Jemu pozwalało zgłębić jej piękną duszę, poznać gruntowny, poważny charakter panny, jej zaś nastręczało sposobność przekonania się, że Kornel, raz popchnięty na drogę poważną, zostanie niepospolitym człowiekiem, po którym ojczyzna wiele może się spodziewać.

De Convielle liczył każdą godzinę, oddzielającą go od chwili stanowczej, która nie dawała na siebie długo czekać.

Parowiec zbliżał się do głębokiej zatoki, w którą potężny Jenisej wlewa w daninie oceanowi Lodowatemu swe obfite wody.

W południe, kiedy profesor udał się na pokład, ażeby się dosyta napatrzeć lodów polarnych, młodzi znaleźli się sami.

Kornel wierzył w powodzenie, chwilami jednak złe przeczucia, jak stado kruków, unosiły się w jego wyobraźni.

To, co się w nim działo, znajdowało tajemniczy oddźwięk w duszy panny Celiny.

Należało się pożegnać. Młodzieniec czuł jednak, że może mu zabraknąć odwagi. Kiedy ujrzy znów tę, którą kochał dziś nadewszystko? Może niezadługo, a może... nigdy.

— Parowiec zmienił już kierunek ze wschodniego na południowy, — rzekł pan de Convielle, rzuciwszy okiem na kompas, który nosił przy zegarku. — Za sześć albo ośm godzin opuści pani... nas. Kiedy zobaczymy się znowu?

Siadł przy niej, wziął ją za rękę i spojrzał w oczy.

Ale panna Moriot odwróciła się nagle, nie chcąc, ażeby dojrzał łzy, gwałtem cisnące się jej z pod powiek.

— Nie wiem — rzekła, potrzasając głową. — Nie wiem — powtórzyła. — Ale nie sądź pan, że pragnę pana odwodzić od celu, jaki sobie zamierzyłeś. Oh, nie! Ja mam odwagę, może nie tę, która prowadzi pośród niebezpieczeństw, ale tę kobiecą, która daje rezygnację w ciężkich chwilach. Trzeba walczyć, sięgać... Chociaż, według mnie, powinien pan poprzestać na planie pierwotnym. Ten „Neptun“ może jest w samej rzeczy genjalnym wynalazkiem, który pozwoli panu osiągnąć cel z minimalnym wysiłkiem, może... nie znam się na tem, ale czasami wyobraźnia maluje mi sceny okropne. Widzę ten wasz statek, leżący gdzieś na samem dnie oceanu Lodowatego, i was w nim, niby w wielkiej, żelaznej trumnie...

Wstrząsnęła się nerwowo, ale siłą woli zapanowała nad sobą. Uśmiechnęła się.

— To nerwy, kobiece nerwy, wiem... trzeba mi wybaczyć, zwłaszcza, że mam chwile, w których widzę obrazy jasne, pełne otuchy... wyprawę, zatykającą sztandar francuski pod samym biegunem, widzę pana uwielbianego,

podziwianego, otoczonego nimbem chwały... sławnego, przed którym świat zniża głowę — i wtedy czuję się dumną...

Urwała, bo Kornel rzucił się przed nią na kolana.

— Pani! oprócz energji, odwagi, potrzebuję jeszcze czegoś, bez czego wszystkie moje wysiłki utraciłyby swoją treść, stałyby się pustą igraszką z życiem... Potrzebuję twego słowa, pani, jednego słówka, które będzie mi talizmanem w niebezpieczeństwach, bodźcem do znoszenia największych chociażby cierpień, bez zmarszczenia brwi...

— Czy doprawdy potrzebujesz go pan tak bardzo koniecznie? — zapytała, ogarniając go spojrzeniem, pełnem słodyczy i miłości.

— O tak, tak!

— A więc niech pan weźmie z sobą ten amulet.

— Celino! — krzyknął Kornel, z błyskiem szczęścia w oczach. Przywarł wargami do jej ręki. Cofnęła ją i położyła mu na głowę.

— Niech pan jednak nie sądzi, — rzekła z uśmiechem — że i ja nie położę swoich warunków, i to twardych!

— Jakież są pani warunki? — zagadnął, podnosząc się. — Zgóry zgadzam się na wszystko.

— Kto wie, czy nie pożałujesz pan tej pośpiesznej zgody i powolności.

Po jego rozpromienionej twarzy przeleciała chmurka.

— Przecież nie będzie pani ode mnie żądała rzeczy niemożliwych...

Wahała się przez chwilę.

— Chcę jechać z panem — rzekła tonem stanowczym. — Niech pan się nie usiłuje cofnąć! — dodała, widząc jego gest przeczący — nie odstąpię od tego za nic w świecie. Zresztą po... po mojem słowie, które pan wydobył ze mnie, mam pewne... prawo, tak, mam prawo

stać przy panu. Wstydziłabym się dzielić z panem owoce zwycięstwa, nie biorąc udziału w walce.

— Paniby się odważyła popłynąć z nami na „Neptunie", na tej, jak się pani sama wyraziła, żelaznej trumnie? Nie, nie, to kaprys zachcianka... Zresztą, ojciec pani nigdyby na to nie pozwolił.

Był tak zaskoczony tem żądaniem, tak wobec niego bezbronny, że Celina poczuła pewną skruchę.

– Przecież sam pan utrzymuje, że podróż w łodzi podwodnej nie wymaga żadnych szczególnych wysiłków, że to zupełnie co innego, aniżeli mozolne posuwanie się po sfałdowanych, pełnych przeszkód polach lodowych, na nartach, albo na saniach. Ot, poniesiemy wspólne ryzyko, podzielimy niebezpieczeństwa, które pan nieraz lekceważył. Dobrze?

— Tak, ale musimy przecież być przygotowani na niepowodzenie. Kto wie, czy „Neptun" nie zawiedzie pokładanych w nim nadziei, czy nie ujrzymy się zniewoleni opuścić go i odbyć większą część drogi po lodach? A wówczas obecność pani będzie ciągłem źródłem troski dla mnie, a dla moich towarzyszy piętą achillesową... Czy pani nie pojmuje, że kobieta wpośród lodów polarnych, to kwiat wystawiony na mróz?

Piętrzył swoje argumenty, ale ona obróciła je wniwecz jednem: — Obiecał pan, a to mój warunek „sine qua non".

– Dobrze więc, ale niech pan Moriot wyrazi swoje przyzwolenie — rzekł.

Łudził się nadzieją, że uczony podzieli jego zdanie. Ale panna Moriot okazała tutaj energję, której niktby nie podejrzewał. Oświadczyła ojcu, że bez względu na to, co się stać może, będzie towarzyszyła panu de Convielle, o ile ten podejmie wyprawę podmorską na „Neptunie".

Profesor z początku myślał, że młoda panna ma jeden

z tych kaprysów, jakie nawiedzają osoby w jej wieku. Nie opierał się zatem zbytecznie. Odsłaniał przed córką ponure obrazy trudności, z jakiemi trzeba walczyć w podbiegunowych okolicach; ale jego argumenty nie odniosły żadnego skutku.

Podczas tego zmagania się dwóch woli, parowiec minął ujście Jeniseju i zygzakowato płynął dalej na wschód, trzymając się sąsiedztwa lądu stałego.

W dwadzieścia dni po opuszczeniu Havru, opłynięto szczęśliwie najbardziej wysunięty ku północy kraniec Azji. Fakt ten przyjęto radośnie, zbliżała się bowiem chwila, kiedy miano zapuścić się na daleką Północ.

W ciągu tej całej podróży nie napotkano przeszkód na serjo. Morze ciągle było, jeżeli nie wolne od lodów, to przynajmniej „Celina“ zawsze sobie między niemi znajdowała przejście. W dniu piątym lipca nareszcie de Convielle dał rozkaz: — Prosto na północ. „Celina“, której „Neptun“ towarzyszył nieodłącznie, posłuszna sterowi, zmieniła kierunek. Wyprawa podbiegunowa dopiero teraz stawała się czynem, wyszła ze sfery przygotowawczej. Wszystkie serca żywiej zabiły, wzrok zapuszczał się wdal, jakby w oczekiwaniu przeszkód. Ale te przez cały dzień nie zjawiały się. Manewrowano szczęśliwie pomiędzy pływającemi lodowemi polami niewielkich rozmiarów.

Kiedy po upływie dwudziestu czterech godzin wykreślono na mapie drogę okrętu, przekonano się, że bardzo mało zrobiono zygzaków.

Ten pomyślny stan rzeczy nie trwał atoli długo, albowiem już nazajutrz, t. j. 6 lipca, na widnokręgu ukazał się złowróżbny perłowy odblask, dowód obecności znacznych obszarów lodowych.

Kiedy zaś po śniadaniu dnia 8 lipca członkowie wy-

prawy wylegli na pokład, zdziwieni nieruchomością okrętu, przekonali się, że parowiec spoczywa wobec spiętrzonych ze wszech stron przeszkód. Ku północy rozłożyły się grube na dwa metry ławice, które musiały się rozciągać bardzo daleko na północ. Ku wschodowi można było jeszcze posuwać się, ale wolno, wymijając mniejsze kry, które pędzone wiatrem północno-wschodnim, zamykały coraz szczelniej „Celinę".

Zbadawszy położenie gruntownie, postanowiono szukać przejścia nieco ku wschodowi. Rozpoczęła się bardzo mozolna żegluga pomiędzy lodami, cofanie się, to znów posuwanie naprzód lub zatrzymywanie się, ażeby znów przy nadarzonej sposobności całą siłą pary przepłynąć parę mil morskich.

To lawirowanie, niezmiernie męczące dla wszystkich, trwało do wieczora. Przez cały dzień zrobiono nie więcej jak trzydzieści mil, w czem jedenaście w kierunku północnym.

W ciągu nocy wiatr nietylko iż nie ucichł ale jeszcze nabrał gwałtowności. Morze rzucało się gniewnie. Kra napierała coraz bardziej. Przez cały następny dzień walczono daremnie, ażeby wydostać sie na wolniejszą przestrzeń. Olbrzymie ławice, gnane wichurą, otaczały zewsząd „Celinę".

Pan de Convielle zwołał naradę.

Rozważono sytuację.

Parowiec lada chwila mógł być otoczony zewsząd i pozbawiony swobody ruchów. Łodzi podwodnej także było coraz ciaśniej.

— Chwila stanowcza nadeszła — rzekł Kornel. — Teraz rozpocznie się dla naszego okrętu dłuższy okres przymusowego spoczynku, który może potrwać dwa ty-

godnie, albo nawet przeciągnąć się do wiosny roku przyszłego. Poco tracić czas dłużej? Mojem zdaniem należy niezwłocznie uciec się do usług „Neptuna“, który rwie się, jak chart trzymany na smyczy... Jutro wyruszamy, inżynierze, dobrze?

— Doskonale! — zawołał Plot. — Teraz „Neptun“ pokaże, do czego jest zdolny!

X. Podmorska podróż zaczyna się.

„Neptun" w ciągu parotygodniowej żeglugi pośród lodów okazał się doskonale przygotowanym do podróży. Wszystko działało na nim z zadziwiającą sprawnością. Plot utrzymywał, że grozi mu daleko większe niebezpieczeństwo na powierzchni, pokrytej krami, aniżeli w głębi morza. „Neptun" był stworzony nie na wodnego ptaka, ale na rybę, i należało go jak najprędzej wprowadzić do jego naturalnego żywiołu.

Inżynier zaczął się więc energicznie krzątać. Uzupełnił zapas paliwa, opatrzył pompy i zbiorniki, zbadał drobiazgowo motory i baterję akumulatorów, zanurzył się parokrotnie na znaczną głębokość i po tych próbach doszedł do wniosku, że jego łódź mogła popłynąć w każdej chwili.

Podczas kiedy Raul Plot gotował się tak do rozpoczęcia podróży podmorskiej, w kajutach parowca rozgrywała się niemal dramatyczna scena między profesorem a jego córką. Stary geograf, który łudził się z początku nadzieją, że Celina zaniecha swego zuchwałego projektu, widział ze zmartwieniem, że się pomylił. Panna Moriot z całą powagą i szacunkiem, należnym ojcu, zapewniła go, że trwa niezłomnie w zamiarze towarzyszenia Kornelowi i że poczytuje to sobie poniekąd za obowiązek, odkąd jest z nim „po słowie".

Uczony, znając stanowczość córki, nie opierał się już dłużej.

— Jedziemy razem. Nie mogę przecież pozostawić cię samą między obcymi. No, awantura zaczyna się. Oby skończyła się dobrze, chociaż, co do mnie, powątpiewam o tem. Moje stare kości niewiele są zresztą warte, można je zaryzykować dla dobra nauki, choćby nawet dla kaprysu. Ale ty, moje dziecko!...

— Jeżeli stanie się nieszczęście, umrzemy wszyscy razem, kochany ojcze — odparła Celina.

— Niech się dzieje, co chce. Najbardziej mię tylko gryzie myśl, że nie zdążę na rozpoczęcie wykładów w Sorbonie. Będę musiał prosić o przedłużenie urlopu zapomocą naszego telegrafu bez drutu. Oby tylko moja depesza została przyjęta i odesłana według adresu przez naszą stację na wieży Eiffla.

— Ależ, kochany ojcze, udział w tak oryginalnej i, kto wie, sławnej wyprawie podniesie twoją powagę w świecie naukowym!

— To prawda, moje dziecko. Ale złodziej może się zakraść do mojej bibljoteki i pokraść starożytne mapy.

— Zadepeszujesz, ojcze, do którego z przyjaciół, ażeby roztoczył należytą opiekę nad twoim zbiorem kartograficznym.

— Ale co powie rektor, że tak bez uprzedzenia puszczam się w podróż, z której mogę nie wrócić?... Nie będę także uczestniczył w wyborach do Akademji. Jak ci bowiem wiadomo, jeden z foteli w naszem gronie wakuje, i...

— Teraz niema już o czem mówić. Skoro bowiem ja jadę, słuszną jest rzeczą, że i ty będziesz mi towarzyszył.

Wobec takiego argumentu, dalszy opór byłby całkiem zbyteczny. Celina jechała, więc profesor Moriot musiał

jechać także. To jasne jak słońce. Uczony geograf ustąpił więc kochającemu ojcu. Panna Celina złożyła pocałunek na czole swego „staruszka“, i kwestja udziału profesora w podmorskiej wyprawie do bieguna była załatwiona.

— Oj, moje dziecko, co też ty ze mną wyrabiasz!

To był ostatni protest, po którym profesor poddał się zupełnie pod rozkazy córki. Kornel, dowiedziawszy się o zapadłem postanowieniu, uczynił jeszcze ostatnią próbę złamania uporu narzeczonej; ale kiedy panna przypomniała mu, że to jest warunek „sine qua non“, pod którym dała mu słowo, musiał dać także za wygraną.

Miała więc stać się rzecz niezwykła: młoda dziewczyna będzie uczestniczyła w wyprawie podbiegunowej! Byłoby to niepodobieństwem w warunkach normalnych, żadna bowiem, najdzielniejsza nawet kobieta nie zdołałaby znieść trudów podróży saniami wpośród lodów. Ale tutaj, o ileby wszystko odbyło się pomyślnie, wysiłki fizyczne okazałyby się zbyteczne. Trzeba się było przygotować jedynie na niebezpieczeństwa, a tych panna Moriot nie lękała się bynajmniej.

Raul Plot z początku wahał się. Skoro jednak poznał okoliczności, machnął ręką.

— Nie takie rzeczy kobiety przeprowadzają, jeśli naprawdę zechcą — rzekł filozoficznie. - Pamiętaj pan jednak, że nie biorę na siebie odpowiedzialności.

Teraz musiano rozważyć, kto prócz profesora i jego córki miał jeszcze wziąć udział w podróży.

Geolog i zoolog stanowczo nie mogli pokonać swego wstrętu do nowego rodzaju lokomocji; zresztą bez nich można było się obejść, zwłaszcza, że „Neptuna“ nie przygotowano do badań nad fauną głębinową. Co zaś do geologa, to wobec braku styczności z lądem, obecność jego byłaby także zbyteczna.

Ostatecznie wyprawę skompletowano, jak następuje:

Inżynier, Raul Plot, twórca i kierownik główny wyprawy podmorskiej.

De Convielle, dowódca wyprawy do bieguna północnego.

Kapitan Dubois, marynarz podmorski, który miał prowadzić „Neptuna".

Profesor geografji na Sorbonie, K. Moriot.

Jego córka, Celina, która wzięła na siebie rolę infirmerki w razie nieszczęśliwego przypadku.

Pan Lequetre, fizyk.

Meteorolog i mareograf, Bertheau.

Ośmiu ludzi załogi, pomiędzy którymi czterech majtków, dwóch mechaników, kucharz i gospodarz okrętowy.

„Neptun" zatem zabierał do swego wnętrza, bo nie można było wyrazić się o nim, że przyjmuje „na pokład", szesnaście osób.

Pozostający na „Celinie" członkowie wyprawy doznawali głębokiego wzruszenia na widok tych przygotowań. Nie mogło im się w głowach pomieścić, żeby ludzie, pozostający przy zdrowych zmysłach, narażać się zechcieli na podobną imprezę, która, według zdania panów: Carré zoologa i Briot geologa, równała się samobójstwu.

Założyli oni uroczysty protest i zażądali nawet spisania protokółu, ale kapitan, jedyna osoba, która mogła w tym względzie decydować, jedyny przedstawiciel władzy na „Celinie", nie przychylił się niestety do tego wniosku.

Zawarto natomiast układ, że parowiec w miarę możności będzie się posuwał na północ, walcząc z otaczającemi go lodami, i że pomiędzy nim a „Neptunem" będzie ciągła wymiana depesz przy pomocy radio, gdyż w potrzebne urządzenia łódź podmorska była zaopatrzona. Gdyby skutkiem jakiego wypadku podróżnicy ujrzeli się

w konieczności opuszczenia „Neptuna“, załoga „Celiny“ miała przyjść im z pomocą.

O dziesiątej wieczorem dnia 8 lipca inżynier Plot, który prowadził narady na pokładzie parowca z pozostającymi tam członkami wyprawy, oznajmił, że zamierza rozpocząć podróż.

Nastąpiły pożegnania. Głębokie wzruszenie malowało się na twarzach wszystkich, kiedy do „Celiny“ podpłynęła mała łódeczka z „Neptuna“.

Tworzyła ona jakby jedną całość z kadłubem — tak, iż nie wystawała z niego ani na centymetr. Z wnętrza łodzi podwodnej można było do niej się dostać, potem odczepiono ją, i ci, co w niej siedzieli, wypływali na powierzchnię. Jeżeli zaś „Neptun“ znajdował się na morzu, łódkę tę spuszczano zwyczajnie. Mogła ona pomieścić tylko cztery osoby naraz. Pierwsze dwie pary stanowili: kapitan Dubois, profesor Moriot, jego córka i Kornel de Convielle.

Niebawem zniknęli oni we wnętrzu stalowego wieloryba, żegnani gromkiemi okrzykami towarzyszy. Drugą partję „samobójców“, jak się wyrażał zacny zoolog, składali: inżynier, Raul Plot, fizyk, Lequetre i oceanoznawca, Bertheau. Wszyscy pokolei znikali w kołpaku. Kiedy wejście miało się już zatrzasnąć, ukazała się w nim jeszcze głowa i ręka Kornela, wywijającego na pożegnanie małą trójbarwną flagą. Potem rozległ się chrzęst i zgrzyt zasuwanego żelastwa, jakiś głuchy szum doleciał do uszu zebranym na pokładzie parowca, i „Neptun“ powoli zaczął się zanurzać w otchłań. Przez kilka sekund sterczała jeszcze rurka od peryskopu, potem na sinozielonem tle rozkołysanej powierzchni morza zamajaczył jakby cień, aż wkońcu wszelki ślad „Neptuna“ zniknął. Fale przelewały się ponad nim, jakby pochłonęły go już niepowrotnie. Głęboka cisza za-

legała na „Celinie“, gotującej się ze swej strony do walki z otaczającemi ją lodami.

Podmorska wyprawa do bieguna, jedno z najbardziej ryzykownych, fantastycznych, rzec możnaby, przedsięwzięć, rozpoczęła się.

. . . . . .

. . . . . .

Panna Celina, zstępując przez otwór kołpaka do wnętrza stalowego potwora, który miał ją zanieść przez otchłanie oceanu do upragnionego celu, poczuła nerwowe drżenie w całej swej istocie. Czy to był przestrach, czy niewytłumaczony lęk przed tem, co ją czekało?

Kornel, widząc lekką bladość na jej twarzy, ujął ją za rękę:

— Śmiało! Niech pani pamięta, że tutaj, pod powierzchnią morza, gdzie niema lodów, nie grozi pani, w tej chwili przynajmniej, żadne niebezpieczeństwo. Żegluga podmorska będzie zczasem najwygodniejszym, najpraktyczniejszym środkiem lokomocji. Kto wie, czy z pojawieniem się „Neptuna“ nie można już mówić o tem w czasie teraźniejszym... Niech pani spojrzy na te potężne motory rozwijające siłę kilku tysięcy koni parowych. Niech pani śledzi równy, niemal cichy ruch ich stalowych członków. Co za pewność siebie, co za moc niespożyta. Unosi nas w otchłani elektryczność, ta wieszczka-cudotwórczyni, która pozwala nam się porozumiewać ustnie na setki i tysiące mil, która nas oświetla, ogrzewa, która nas wozi po lądzie. „Neptun“, należy pani wiedzieć, jest zbudowany ze stalowej blachy pięcio- i siedmiocentymetrowej grubości. Pudło wzmocnione wewnątrz kolistemi żebrami, które mają po kilkanaście szprych, podobnie jak koła zwyczajne, może znieść w razie potrzeby ciśnienie dwustu atmosfer, to znaczy, że „Neptun“ jest w stanie

zanurzyć się do głębokości 1900 metrów! Proszę pani za mną. Profesorze, gdzie jesteś? Aha! Oto i salon główny. Niech pani siada. Wygodnie, nieprawdaż?

Panna Celina, chwiejąc się na nogach ze wzruszenia, zajęła miejsce w głębokim, obitym ładną skórą fotelu. Na drugim, takim samym, siedział profesor, rozglądając się ciekawie dokoła.

Główny salon miał ze sześć metrów długości i zajmował niemal sam środek łodzi podwodnej. Zboku tylko prowadził do dalszych komór kurytarz niewidzialny. W pośrodku ściany znajdowały się ciężkie, grube szkła, czworokątne i owalne. Były to okna, przez które można było z łatwością widzieć wszystko, co się dzieje nazewnątrz. Profesor, fizyk i oceanograf zajęli podobne fotele, nie mogąc ukryć swego wzruszenia.

— No, zdaje mi się, że się pogrążamy — mówił Kornel, który zachował zimną krew. — Niech pani patrzy na manometr, który oto tutaj stoi, przy samym oknie. Strzałka jego znajduje się w ciągłym ruchu. Wskazuje ona, że w chwili obecnej znajdujemy się w głębokości pięćdziesięciu metrów.

— Jakto, już się zanurzyliśmy? — krzyknęła panna z przestrachem. — Tak prędko? anim się spostrzegła!

Manometr zatrzymuje się, to znaczy, że inżynier Plot, który osobiście kieruje „Neptunem", nie zamierza opuścić się głębiej. To zupełnie wystarcza. W tej chwili znajdujemy się pod dnem lodowców, które tak strasznie wyglądały, kiedyśmy na nie patrzyli z pokładu parowca. A teraz naprzód!

Nagle cały kadłub statku podmorskiego zadrżał konwulsyjnie. To motory elektryczne poczęły działać z całą sprawnością.

— Płyniemy? — zagadnęła panna Moriot.

Mimowoli ogarnął ją lęk na myśl, że znajduje się już pod powierzchnią morza. Ale prędko przyszła do równowagi duchowej, zwłaszcza, że oczy Kornela patrzyły na nią uśmiechnięte, pogodne, pełne spokoju.

— Płyniemy prosto na północ. Oto kompas, który umieszczono obok manometru. Można śledzić, nie wstając z krzesła zarówno głębokość, jak i kierunek, w jakim porusza się „Neptun".

— A jak prędko płyniemy?

— I to można łatwo rozpoznać. Na przodzie naszego statku znajduje się manometr, wskazujący ciśnienie wody, rozpieranej przez kadłub. Z siły wibracji wnoszę jednak „a priori", że poruszamy się normalnie, to znaczy robimy szesnaście węzłów.

Panna Celina, wtulona głęboko w fotel, patrzyła przez szyby, któremi filtrowało się z zewnątrz bladoniebieskie światło, przechodzące chwilami w seledyn. Raz robiło się w salonie jasno, to znów zapadał zmrok gruby, szarozielony.

— Skąd pochodzą te zmiany w natężeniu światła? — pytała panna Celina, przysuwając się bliżej do towarzysza.

— Chociaż nie podróżowałem nigdy w łodzi podwodnej, podejmuję się jednak dać pożądane wyjaśnienie — odezwał się Lequetre, który zajął sąsiedni fotel. - Oto w tej chwili, naprzykład, rozjaśnia się, przyczem światło z szarego, staje się niebieskawem. Podług mnie dowodzi to, że przepływamy pod wodą wolną od kry, i niebo rzuca swój błękit w otchłań. Światło dochodzi wyraźnie aż do tej głębokości; o sto metrów niżej panowałby już gruby zmrok, a o trzysta metrów dalej zaczyna się w otchłani panowanie wiecznej nocy. Oto odblask nabiera odcienia szarozielonego, przyczem robi się ciemniej. Za-

łożyłbym się, że nad nami w tej chwili znajdują się lody, i to dość grube.

— Tłumaczenie pańskie ma wszelkie cechy prawdopodobieństwa — odparł de Convielle. — Te zmiany w natężeniu oświetlenia stanowią dla nas cenną wskazówkę, nie potrzebujemy bowiem zbliżać się za bardzo do spodu lodów, żeby skonstatować ich obecność, i odwrotnie: jasność pozwala nam domyślać się, że, wynurzywszy się, natrafimy na otwartą przestrzeń.

— Brak nam jakiegoś stałego punktu nazewnątrz, i stąd trudno uwierzyć, że płyniemy.

— Tak, statek podwodny jest podobny do balonu, unoszącego się w obłokach, które przed oczyma żeglarzy zasłaniają ziemię. „Neptun“ jednak — to sterowiec, posiadający własną prędkość, nie zdany na łaskę prądów, które i tutaj dają się odczuwać.

— Na jakiej szerokości znajdujemy się obecnie? — zagadnął Lequetre, który najmniej może poddawał się wrażeniu.

— Mniej więcej pod 75 stopniem. To znaczy, że od bieguna dzieli nas po linji południka przestrzeń około 225 mil geograficznych.

— Więc kiedy dotrzemy do bieguna? — zagadnęła Celina.

— Jeżeliby przypuścić, iż żadne przeszkody nie zmuszą nas zboczyć z obranego kierunku, że nie zdarzy się nam żadna przygoda, że „Neptun“ wszędzie znajdzie przychylne dla siebie warunki, to wyprawa nie zużyje więcej nad dwie i pół doby, żeby się dostać pod 90 stopień szerokości.

— Dwie i pół doby?! — zawołał profesor Moriot, zrywając się z siedzenia. — Ależ to chyba pomyłka!

— Istotnie, żartuje pan z nas — dodał Lequetre.

— Bynajmniej. Prędkość szesnastu węzłów odpowiada mniej więcej 30 km. na godzinę, czyli, że płynąc bez przerwy, możemy w ciągu 24 godzin zrobić 720 kilometrów. Z drugiej zaś strony dzieli nas od bieguna odległość 225 mil geograficznych, to jest, licząc okrągło po 7 kilom. na milę — 1675 kilometrów.

— Wypada nieco więcej jak dwie doby! — krzyknął oceanograf, szybko dokonawszy obliczenia. — To zaiste ładna perspektywa! Naturalnie jednak, że nie można tutaj stosować teoretycznych obliczeń, gdyż rzeczywistość może sobie okropnie zadrwić z takich rachmistrzów. Biorąc jednak pod uwagę różne przeszkody...

— Poco mamy przewidywać zło? — zawołał, uśmiechając się, Kornel. — Według mnie, powinniśmy dotrzeć do bieguna w ciągu trzech, a najwyżej czterech dni!

— I w dodatku siedząc sobie tak jak teraz wygodnie, w głębokim fotelu, albo też śpiąc smacznie w łóżkach, które, w dodatku, nie kołyszą się wcale — rzekł fizyk.

— Świat oniemiałby z podziwu, gdyby się coś podobnego udało, — mruknął oceanograf.

— Tem lepiej dla nas — odezwała się panna Celina.

Pasażerowie „Neptuna“, jak widzimy, szybko oswoili się ze swojem położeniem.

— Widzę, że dzięki temu poczciwemu Plotowi, największy nawet niedołęga mógłby śmiało odbywać taką podróż — żartował sobie profesor Moriot. — Niczem salonowy wagon na kolejach amerykańskich!

— A może pan profesor zechce poczytać dla spędzenia czasu? — Oto opis podróży Nansena.

— No, zczasem wezmę się do książki — rzekł geograf. — Teraz jednak odczuwam jeszcze tremę czy coś podobnego. Ciągle mi się zdaje, że uderzymy o jaką podwodną skałę, albo o górę lodową, i pójdziemy na dno.

— Jutro przestanie pan już myśleć o takich rzeczach, zaręczam — mówił Kornel. — Ażeby uspokoić w tym względzie szanownych moich towarzyszy, przypomnę im, że poruszamy się w okolicach oceanu, gdzie niejeden podróżnik dokonał sondowań, nie mówiąc już o Nansenie, któremu najwięcej zawdzięczamy. Najechanie na skałę jest zatem, narazie przynajmniej, wykluczone. Co do gór lodowych, których szanowny nasz profesor ciągle się obawia, to u wybrzeży Azji niemasz ich wcale. A ponieważ w tych okolicach panuje słaby prąd w kierunku północno-wschodnim, przeto nie mogą one do nas zawitać. Zresztą, pogrążając się na tysiąc — dajmy na to — metrów, moglibyśmy sobie żartować z ich obecności.

Pod wpływem tych słów i jeszcze bardziej swobodnego i spokojnego tonu, jakim były one nacechowane, towarzystwo wkrótce odzyskało dobry humor. Celina podeszła do małej fisharmonji, stojącej w głębi salonu, i zagrała z właściwą sobie muzykalnością „Ave Maria" Gounoda. Głębokie tony instrumentu zatuszowały głuchy szum motorów elektrycznych, znajdujących się w ruchu, i szmer wody, rozpieranej żelaznemi bokami „Neptuna". Poważny utwór wielkiego kompozytora wlał jakiś dziwny spokój i rezygnację w serca podróżników.

Ten wieczorek muzyczny, zaimprowizowany w otchłani oceanu, trwałby może długo, gdyby nie to, że we drzwiach salonu ukazał się monsieur Zollet, gospodarz, czyli, mówiąc z angielska, steward, i pewnym głosem oznajmił, że w sąsiedniej jadalni podano do stołu.

Na miejscu głównem posadzono, naturalnie, jedyną przedstawicielkę płci pięknej, Celinę. Obok zajął miejsce jej ojciec, po lewej ręce Kornel, obok niego Raul, dalej kapitan i dwaj uczeni. Ryby morskie, doskonałe konserwy

mięsne z puszek, doborowe wina francuskie i hiszpańskie, szparagi i owoce suszone złożyły się na obfitą wieczerzę, którą pochłaniano z wielkim apetytem. Przy końcu Raul wniósł toast za zdrowie pięknej uczestniczki wyprawy, pierwszej od początku świata kobiety, która przekroczyła 78 stopień szerokości północnej, nie licząc, rzecz prosta, Eskimek.

Po deserze, o północy, Raul zaprowadził swoich gości do małej, ale bardzo wygodnie urządzonej kajuty. Sąsiednią zajął Kornel i Plot, dalej obrali sobie rezydencję dwaj uczeni. Celina, leżąc pod ciepłą, lekką kołderką, w łóżku nieruchomem, jak na lądzie, przez długi czas nie mogła usnąć. Co chwila uprzytomniała sobie, że się znajduje nie na zwyczajnym okręcie, ale o kilkadziesiąt metrów pod powierzchnię morza, a co gorsza, może pod warstwą grubego lodu. Ogarniał ją ciągle lęk. Ale monotonny odgłos pracujących niezmordowanie motorów elektrycznych i szum przelewającej się wody zrobiły swoje. Panna Moriot pogrążyła się we śnie głębokim.

Co do profesora, ten usnął zaraz, znużony przebytemi świeżo wrażeniami.

IX. Niespodziewany gość.

Kiedy profesor i jego córka zbudzili się ze snu, zauważyli, iż kadłub „Neptuna“ nie drży tak silnie, jak wczoraj. Dowodziło to, że motory nie pracują z całą sprawnością, i że szybkość statku zmniejszyła się.

Celina, nie mogąc wytrzymać dłużej w kajucie, gdzie się czuła jakby w zamkniętej trumnie, ubrała się szybko. Korzystała przytem ze wszelkich udogodnień, jakie można mieć w nowożytnym hotelu. W ścianie miała kran do zimnej i ciepłej wody, ogrzewanej naturalnie elektrycznością. Ta sama elektryczność zagrzała jej szczypczyki do fryzowania włosów. Nad łóżkiem wisiał mały telefon z napisami: „służba, kapitan, steward“.

Profesor podniósł się jeszcze wcześniej, aniżeli jego córka; pilno mu było zamienić parę słów z istotą żyjącą.

— No, i jakże się czujesz, moje dziecko? — zagadnął, otwierając drzwi od kajuty Celiny. Co do mnie, budziłem się z dziesięć razy. Śniło mi się, żeśmy zatonęli, że leżymy na samym dnie morza, i ty mi robiłaś wyrzuty za to, iż zgodziłem się na tę warjacką podróż.

— Wie ojczulek, miałam podobne marzenie. Nie mogę jakoś oswoić się z myślą, że płyniemy pod morzem, chociaż w gruncie rzeczy to wszystko jedno, nieprawdaż?

Chodźmy dowiedzieć się od Kornela, dlaczego motory tak cicho się sprawują.

— Jak to dobrze — zawołał pan de Convielle, ujrzawszy narzeczoną — że pani już wstała! Będzie pani zaraz po śniadaniu świadkiem ciekawych usiłowań wydostania się „Neptuna“ na powierzchnię morza.

— Usiłowań? — powtórzył zaniepokojony profesor.

— Och, niech pan nie przykłada szczególnej wagi do wyrażeń — rzekł Kornel, uśmiechając się. — Powiedziałem usiłowań, bo na morzu polarnem, pokrytem lodami, nie jest to wogóle sprawą łatwą. Chodźmy jednak na śniadanie. Trzeba pokrzepić ciało, to i duch będzie silny.

Ale podróżni nie mieli jakoś apetytu. Pannie Celinie było bardzo pilno odetchnąć świeżem powietrzem.

— Jest cokolwiek duszno — rzekła.

— W istocie. Kadłub naszej łodzi zawiera ilość tlenu wystarczającą dla piętnastu osób na dwie doby, oprócz tego mamy pewien zapas ścieśnionego powietrza w zbiornikach stalowych. Ale postanowiliśmy odnawiać atmosferę przynajmniej raz w ciągu doby. W tym celu właśnie wypływamy teraz na powierzchnię. Proszę za sobą do saloniku.

Na fotelach skórzanych siedziało już dwóch uczonych, którzy powitali wesoło geografa i jego córkę.

— Czy pani nie życzyłaby sobie obejrzeć węża morskiego, który od pewnego czasu towarzyszy naszej łodzi? — zagadnął fizyk.

— Wąż morski? — krzyknęła z niedowierzaniem panna. — A mnie się zdawało, że to potwór bajeczny, który nie istnieje w rzeczywistości.

— Niechże więc pani przekona się o swojej pomyłce na własne oczy! — zawołał oceanograf, śmiejąc się.

Celina, przysunąwszy się do samej szyby, ujrzała jakiś długi, cylindrycznej formy przedmiot, falujący łagodnie,

jakby pływający wąż. Już miała krzyknąć z przerażenia, gdy Kornel wziął ją za rękę.

— Ten mniemany wąż morski jest poprostu sondą lodową — rzekł.

— Cóż to za narzędzie? — zagadnął profesor.

— Służy nam ono do przekonania się, czy płyniemy pod lodem, czy też pod otwartem morzem.

Rura kauczukowa, wzmocniona drutem stalowym, ma na końcu pływak z kontaktem elektrycznym. Jeżeli pływak dotknie lodu, ten naciska kontakt, i dzwonek elektryczny oznajmia obecność ławicy nad naszemi głowami. Jeżeli zaś trafimy na swobodną powierzchnię wody, to ma się rozumieć, dzwonek nie działa. Wówczas można bez obawy uszkodzenia „Neptuna“ wypłynąć na powierzchnię.

— Od godziny sonda wskazuje obecność lodu nad nami. Dowód to, że znajdujemy się pod dość rozległem polem lodowem.

— Więc nie będziemy mogli nabrać powietrza? — zawołała zaniepokojona Celina.

— Pole lodowe nie ciągnie się do samego bieguna. Oto, jak pani widzi, w naszych oknach robi się cokolwiek jaśniej. Przebijać zaczyna najwyraźniej błękit nieba.

Celina nadstawiła ucha.

— Tak, tak, nie słyszę już dzwonka.

— I motory przestają działać! — dodał fizyk.

— Istotnie, znaleźliśmy wakę, to jest przestrzeń wolną między lodami.

Szum motorów elektrycznych ustał zupełnie, manometr wskazywał z początku czterdzieści metrów, potem dwadzieścia, wkońcu tylko pięć. W saloniku zrobiło się zupełnie widno.

— Chodźmy teraz do wieżyczki kapitańskiej — rzekł Kornel, pociągając za sobą Celinę.

— Dwie osoby więcej zmieszczą się tam i nie będą przeszkadzały Plotowi.

Po chwili oboje znaleźli się w wyższym kołpaku, gdzie stał przy kole sterowem Raul. Ujrzawszy pannę Moriot, powitał ją uprzejmem skinieniem głowy. Potem znów przywarł twarzą do szkła, jakby pragnąc wypatrzeć coś poprzez niebieskawozieloną mgłę.

— Wynurzymy się? — zagadnął Kornel.

Kierownik łodzi znowu skinął głową.

„Neptun“ wolniutko podnosił się. Nagle do kołpaka wdarło się pełne światło słoneczne. Plot patrzył uważnie i długo. Poprzez szybki widać było wyraźnie przelewające się ponad kołpakiem fale morskie i słychać było ich monotonny szum. Inżynier rozkazał pompom opróżnić zupełnie zbiorniki.

— Teraz popatrzymy przez peryskop.

Przytknął oko do wylotu rury zgiętej pod kątem prostym i wychodzącej przez górne sklepienie sterowej wieżyczki.

— No, i cóż? — pytał Kornel, zaciekawiony wynikiem obserwacji.

— Znajdujemy się na znacznych rozmiarów jeziorze, po którem pływają drobne kry. Morze jest dość spokojne. Można wyjść na pokład.

— I ja wyjdę! — zawołała Celina.

— W takim razie, raczy się pani przebrać w kostjum marynarski nieprzemakalny, który pani znajdzie w swojej kajucie.

— A bez niego nie można?

— Pokład „Neptuna“, jak pani wiadomo, wystaje bardzo mało z pod powierzchni wody, więc fale mogłyby łatwo panią zmoczyć.

Kiedy Celina wróciło w malowniczym kostjumie ma-

rynarskim, inżynier Plot już się znajdował na pokładzie łodzi, podniósł małą galeryjkę, która podczas ruchu statku składała się, i bacznie rozglądał się wokoło.

— Nie potrzebujemy się śpieszyć, bo jezioro słonej wody jest dość obszerne. Przedewszystkiem trzeba zdjąć położenie geograficzne. Niezmiernie ciekaw, ile drogi zrobił „Neptun“ w kierunku północnym podczas nocy.

Przyniesiono instrumenty, i inżynier przy pomocy kapitana Dubois zaczął robić pomiary wysokości słońca, które zalewało oślepiającem światłem cały ten drzemiący w ciszy pustynnej świat polarny.

Okazało się atoli, że kołysanie łodzi przeszkadza nieco w obserwacjach.

— Trudno, należy się przenieść na pole lodowe — rzekł zniecierpliwiony kapitan Dubois — jeżeli pragniemy mieć dokładne dane. Hola, tam! spuścić szalupę — krzyknął, nachylając się nad wyjściem kołpaka.

W jednej chwili na pomoście zjawiło się dwóch marynarzy, którzy wprawnie odczepili łódź, tak dobrze ukrytą przy boku „Neptuna“, że na pierwszy rzut oka niktby się nie domyślił jej obecności.

Do łodzi tej wsiedli Dubois i Raul z instrumentami i popłynęli szybkiemi uderzeniami wioseł w kierunku najbliższej ławicy.

Celina i Kornel pozostali na pokładzie i przypatrywali się, jak łódka przemykała się zręcznie pomiędzy kawałami pływającej kry.

Nareszcie wylądowano szczęśliwie. Podczas gdy Dubois nastawiał sekstans, Plot rozkładał na śniegu dużą wełnianą kołdrę.

Kapitan położył się na niej jak długi, ażeby uzyskać pewne oparcie dla ręki, trzymającej sekstans. Plot zaś po-

magał mu, przygotowując sztuczny widnokrąg z rtęci, nalewanej na miseczkę.

Widocznie kapitan przykładał wielką wagę do swoich spostrzeżeń, gdyż pogrążył się w nich całkowicie. Raul, podniecony ciekawością, śledził także z całem natężeniem każdy ruch towarzysza. Obaj znajdowali się na brzegu rozległej ławicy, pokrytej lodowatemi pagórkami.

Nagle na tle jednego z takich pagórków ukazała się szara plama, której narazie nikt nie zauważył. Plama ta poruszała się powoli, zatrzymując się co chwila i znikając poza wypukłościami pola lodowego. Celina przypatrywała się jej z zaciekawieniem, chociaż, jako mieszkanka wielkiego miasta, nie posiadała dostatecznie bystrego wzroku, żeby rozpoznać jej naturę.

Ale ruchy szarego przedmiotu wydały się jej wkońcu podejrzanemi.

— Patrz pan — rzekła, trącając Kornela, który spoglądał w przeciwną stronę. — Co to takiego tam, poza tym pagórkiem? Nie mogę rozpoznać; zdaje mi się jednak, że to jakieś zwierzę.

— Gdzie? — zagadnął de Convielle, odwracając się szybko.

Celina wskazała palcem.

— Niedźwiedź! — krzyknął Kornel, przerażony do najwyższego stopnia.

— To ma być niedźwiedź? — powtórzyła zadziwiona panna.

Młodzieniec pobladł, spostrzegł bowiem, że potężny zwierz, skradając się chyłkiem poza kawałami kry, znajdował się już o kilkanaście zaledwie kroków od obserwatorów.

Kapitan i Raul byli tak dalece zajęci swemi astronomicznemi pomiarami, że nie przeczuwali nawet grożącego im niebezpieczeństwa.

— Hola, tam, Raul — baczność!!! — krzyknął z całych piersi Kornel, złożywszy dłonie w tubę.

Ale głos jego, stłumiony szumem fal, nie doleciał znać do uszu obserwatorów, gdyż ci najspokojniej w świecie prowadzili dalej swoje spostrzeżenia.

Niedźwiedź, skradając się ostrożnie, gotował się znać do napadu. Przystawał jednak co chwila, przyglądając się bacznie istotom, które widział zapewne po raz pierwszy w życiu.

— Nieszczęsni! Ależ oni nie wzięli z sobą żadnej broni! — zawołała Celina.

Kornel wrzasnął powtórnie z całej siły; ale i teraz nie zdołał zwrócić uwagi towarzyszy. Położenie stawało się poważne.

Panna Moriot załamała bezradnie dłonie i śledziła wzrokiem każdy ruch bestji, która znać wahała się.

— Poczekaj pani! — rzekł de Convielle. — Krzyczeć, krzyczeć ciągle! — dodał, znikając w otworze kołpaka.

Celina wydobywała z siebie wrzaskliwe tony, które zaniepokoiły cokolwiek niedźwiedzia. Ale ludzie nie słyszeli ich. Dubois leżał nieruchomie, Raul, pochylony nad nim, stał jak skała.

Wtem zwierz, jakby powziąwszy postanowienie, wysunął się z za pagórka całą postacią i szybkim ruchem rzucił się na naszych astronomów.

Panna Moriot, wydawszy ostatni, przenikliwy okrzyk rozpaczy i przerażenia, zasłoniła oczy. Nie miała odwagi spojrzeć, była bowiem przekonana, że w jej obecności rozegra się krwawy dramat.

Drżała całem ciałem, słaniając się. Musiała się chwycić oburącz za galeryjkę, żeby nie upaść.

Nagle wstrząsnęła się, tuż bowiem ponad jej uchem rozległ się wystrzał karabinowy.

To Kornel zjawiał się w najwyższą porę.

Przez tych parę sekund, kiedy Celina miała zasłonięte oczy, niedźwiedź istotnie musiał się rzucić na Raula, gdyż ten leżał na ławicy lodowej, pod napastnikiem, nieruchomy. Dubois natomiast zerwał się i trzymanym w ręku instrumentem uderzył z rozmachem niedźwiedzia między oczy.

Cios ten, lubo stosunkowo słaby, zdetonował bestję, która, zamiast ugryźć powaloną ofiarę, postąpiła krok naprzód i stanęła na chwilę między inżynierem a panem Dubois.

Kornel, który od kilku sekund miał był na celu niedźwiedzia, ale bał się dać ognia, ażeby przypadkiem nie zranić inżyniera, skorzystał z tej sposobności i posłał celny pocisk.

Zaledwie bowiem przebrzmiało echo wystrzału, gdy niedźwiedź dał gwałtownego susa wbok, padł na przednie kolana, nachylił łeb i klęczał tak, nie ruszając się z miejsca. Wnet śnieg pod nim zaczął znaczyć się czerwoną plamą.

— Trafiony, trafiony! — zawołała radośnie Celina, klaszcząc w dłonie.

Kornel, nie czekając ostatecznego skutku, dał ognia powtórnie. Teraz niedźwiedź przewrócił się na grzbiet i zaczął wykonywać wszystkiemi czterema łapami konwulsyjne ruchy w powietrzu.

— No, ma dosyć! — rzekł z zadowoleniem de Convielle, podając towarzyszce karabin. Sam zaś podbiegł do kołpaka.

— Maszyna wolno naprzód! — zakomenderował.

Marynarze nie widzieli całej tej sceny, gdyż spory pagórek ze szczątków połamanej kry zakrywał przed ich wzrokiem obu przełożonych. Dopiero na huk wystrzału wyskoczyli z łódki i pobiegli pędem do towarzyszy.

Jeden z nich pomógł wstać leżącemu wciąż na śniegu Raulowi.

Ten dźwignął się stosunkowo łatwo, potem, ujrzawszy sekstans, porzucony na lodzie, schylił się, żeby go podnieść.

— No, chwała Bogu, widocznie nic mu się nie stało! — odetchnął Kornel.

„Neptun“, płynąc wolniutko, zbliżył się na kilkadziesiąt metrów do ławicy, poczem na nowy rozkaz zatrzymał się.

Z tej odległości można było porozumieć się ustnie.

— Raulu, Raulu! — wołał zaniepokojony jeszcze Kornel. — Czy jesteś ranny?

W odpowiedzi inżynier zrobił energiczny gest obiema rękoma.

— Jeszcze się trochę ruszam! — krzyknął.

— Wracajcie!

— Kiedyśmy jeszcze nie zdążyli dokonać naszych spostrzeżeń — odparł, śmiejąc się, inżynier. — Niedźwiedź przeszkodził nam, i musimy zaczynać na nowo. Strzeliłeś pan w samą porę. Dziękuję panu!

De Convielle również zaczął się śmiać, uszczęśliwiony z takiego przebiegu rzeczy. Nie mogąc jednak wytrzymać, skinął na marynarzy, ażeby przybili z łódką do „Neptuna“, Celinę poprosił, żeby zeszła na dół, sam zaś pośpieszył do towarzyszy, ażeby ich uściskać.

— Jakże jestem szczęśliwy! — rzekł. — Czy niedźwiedź nie ugryzł pana?

— Byłby to uczynił niezawodnie, gdyby nie dostał od pana Dubois sekstansem; wobec takiego zastosowania naszego instrumentu, nie mogę dowierzać obserwacjom i proszę o przywiezienie nam innego.

— Więc nic panu nie zrobiła bestja?

— Ot, silne uderzenie łapą, od którego boli mię

ramię. Żadna jednak kość nie uszkodzona. Bagatelka! Niema o czem mówić. Ale nieźle pan strzelasz. Pierwsza kula trafiła w sam łeb! — dodał inżynier, nachylając się nad bestją, która już nie żyła.

Przerwane w tak nieoczekiwany sposób obserwacje podjęto na nowo. Okazało się niebawem, że „Neptun“ znajdował się pod 79 stopn. 23 min. północnej szerokości a 122° 15′ długości wschodniej od Greenwich. Znaczyło to, że w ciągu kilkunastu godzin przepłynął pod wodą 4 stopnie geograficzne z okładem.

Wynik ten przyjęto radośnie.

— Jeżeli równie szybko będziemy się poruszali w dalszym ciągu, to za parę dni zatkniemy flagę francuską na samym biegunie północnym! — zawołał Raul. — „Neptun“ spisuje się dzielnie. No, teraz zabierzemy zapas świeżego powietrza i dalej w drogę. Nie należy tracić drogiego czasu, niewiadomo bowiem, co jutro przyniesie.

Pośpieszono podzielić się dobrą wiadomością z towarzyszami.

Motory Diesela pracowały energicznie, obracając dynamomaszynę, która nabijała akumulatory. Nie wyczerpano wprawdzie całego zapasu energji elektrycznej, ale wobec tego, iż morze było pokryte gęsto lodami, nie można było marzyć nawet o żegludze na powierzchni. Operacja ładowania baterji Edisona miała zabrać kilkanaście godzin czasu, który zamierzono poświęcić na badania naukowe.

Lequetre i Bertheau, mareograf, przenieśli się na ławicę ze swemi instrumentami i założyli naprędce małą dostrzegalnię. Zmierzono nachylenie magnetyczne, temperaturę powietrza, która wynosiła ośm stopni poniżej zera, temperaturę wyższych warstw wody morskiej, powtórzono raz jeszcze spostrzeżenia astronomiczne i t. d., słowem

oddano się z zapałem pracy naukowej. Oprócz niezbędnej załogi na „Neptunie“, wszyscy przenieśli się na ławicę, ażeby zażyć cokolwiek ruchu, niezbędnego dla zdrowia.

— Na przebycie czterech stopni geograficznych na północ, „Fram“ Nansena zużył, jeżeli mię pamięć nie zawodzi, kilkanaście miesięcy czasu — rzekł profesor Moriot, rozglądając się po nowem dla niego otoczeniu. — Doprawdy, wierzyć się nie chce, żeśmy w ciągu tak krótkiego czasu zrobili taki kawał drogi. Jeżeli sobie przypomnieć krwawe, męczeńskie — że się tak wyrażę — podróże Rossa, Kanego i innych naszych poprzedników, którzy po całodziennych wysiłkach posuwali się zaledwie o parę mil morskich, to się dopiero ocenia twój wynalazek, kochany panie Plot. Powiem nawet, że jeśli się nam koniec końców uda dotrzeć do bieguna, to nie będzie to naszą, ale wyłącznie niemal pańską zasługą, inżynierze. Niech żyje „Neptun“ i jego twórca!

— Niech żyje inżynier Plot! — krzyknął z zapałem Kornel.

Okrzyk ten powtórzyli wszyscy, nie wyłączając kucharza, który z powagą zdzierał skórę z grubej zwierzyny, zamierzając uraczyć świeżem mięsem swoich stołowników.

O jedenastej przed północą mechanik zawiadomił, że baterja akumulatorów nabita dostatecznie, powietrze w całym kadłubie odświeżone, rezerwoary zapasowe napełnione, słowem „Neptun“ jest gotów do dalszej podróży.

Przed odjazdem rozejrzano się z najwyższego wzgórka po okolicy i zbadano barwę widnokręgu we wszystkich kierunkach. Niebo wskazywało obecność lodów na znacznych przestrzeniach. Wobec tego nie pozostawało nic innego, jak pogrążyć się znowu w otchłań. Tak też uczyniono. O północy „Neptun“ powoli zniknął pod powierzchnią morza, motory elektryczne znów zadudniły monotonnie i popędziły łódź podwodną z prędkością 16 węzłów prosto na północ.

XII. Uwięzieni pod lodami.

Doskonałe rezultaty pierwszego dnia wlały otuchę w serca uczestników tej oryginalnej i, jak się zdawało na pierwszy rzut oka, wielce niebezpiecznej wyprawy. Nawet profesor, który nie ufał do ostatniej chwili „Neptunowi“, czuł się nastrojony optymistycznie. Raul zaś był wprost upojony odniesionym triumfem.

Nalegał on, ażeby łódź podwodna płynęła z najwyższą prędkością, lecz kapitan Dubois, z natury ostrożny, zaoponował przeciwko temu stanowczo.

— Poco mamy się tak dalece śpieszyć? — mówił.— Jeżeli przybędziemy do celu nie w trzy doby, lecz w tydzień, albo nawet we dwa tygodnie, to nic a nic na tem nie stracimy. Jadąc zaś prędko, ryzykujemy wiele.

— Nic nie ryzykujemy, powiadam panu! — wołał inżynier. — Przecież nie potrzebujemy się obawiać kolizji z jakim statkiem, a lody leżą ponad nami, to znaczy, że nie istnieją one dla nas, praktycznie rzeczy biorąc. Cóż więc nam grozi?

— Niech pan nie zapomina, że opuszczamy znane okolice oceanu Lodowatego. Kto panu zaręczy, że dalej na północ nie leży jaka drobna wysepka, albo nawet archipelag, na który można się natknąć?

— Cóż znowu! Nowa Syberja daleko poza nami,

a Ziemia Franciszka Józefa jest od nas o kilkaset mil odległa w kierunku północno-zachodnim.

— Tak — potwierdził Kornel — część oceanu Arktycznego, gdzie się znajdujemy właśnie, jest zupełnie pusta. Tak przynajmniej można wnioskować na zasadzie dotychczasowych badań geograficznych.

Ale te argumenty nie przekonały bynajmniej pana Dubois, który, jako odpowiedzialny komendant „Neptuna“, zredukował jego prędkość niemal do połowy. W ten sposób oszczędzano także paliwa, którego nigdy nie mogło być za wiele.

Profesor Moriot przyznał słuszność kapitanowi. Według niego, istnienie wysp w tych okolicach nie było wykluczone.

Podróż odbywała się zatem w tempie wolniejszem.

W kilkanaście godzin po owej przygodzie z niedźwiedziem, która nauczyła naszych podróżników, że bez broni nie należy wychodzić na ławicę, postanowiono znów zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie stanowiło to nieodzownej potrzeby, lecz kapitan pragnął skontrolować położenie geograficzne „Neptuna“. Wprawdzie w tej szerokości prądy morskie nie dawały się bardzo odczuwać, ale bądź co bądź istniały one i wywierały niezawodnie wpływ na bieg statku. Na dany rozkaz, łódź podwodna zaczęła wyrzucać ze swych zbiorników część zawartej w nich wody i wznosić się coraz wyżej. Zaledwie jednak osiągnięto głębokość trzydziestu metrów, kiedy podróżnicy nasi spostrzegli, że „Neptun“ podlega podłużnemu i poprzecznemu kołysaniu. Nie było ono mocne, ale zupełnie wyraźne.

— Co to znaczy? — zagadnęła Celina, zaniepokojona tym objawem — czyżbyśmy już znajdowali się na powierzchni morza?

Kornel, do którego było zwrócone to pytanie, potrząsnął głową przecząco.

— Jesteśmy o trzydzieści metrów pod powierzchnią, proszę pani — odrzekł. — Widocznie jednak tam, na górze, nie panuje spokój.

— Czyżby falowanie aż tutaj dawało się odczuwać?

— Niezawodnie. Podczas silnej burzy ocean ulega wstrząśnieniom na znacznej głębokości. Chodźmy zapytać Raula. Ten nam powie, jaka przyczyna wywołuje te ruchy, które panią tak przerażają.

Inżynier wraz z kapitanem Dubois znajdowali się na swoich stanowiskach w sterowej wieżyczce, zaopatrzonej z czterech stron w grube okna.

— Cóż to, burza? — zagadnął de Convielle, powitawszy towarzyszy.

— Tak przypuszczam! — odparł kapitan, nie odejmując ręki od koła sterowego. — W dodatku ponad naszemi głowami musi leżeć wolna od lodów przestrzeń morza, inaczej bowiem nie mogłyby się wytwarzać fale tak silne, że je aż tutaj odczuwamy.

— Wypuściłeś pan sondę?

— W tej chwili kazałem to uczynić.

Kapitan miał słuszność. Ponad „Neptunem“ szalała burza. Słychać było głuche uderzenia olbrzymich złomów lodu jeden o drugi i szum bałwanów, przelewających się między niemi.

W tych warunkach uznano za stosowne nie zbliżać się do powierzchi morza, a nawet przeciwnie, opuścić się jeszcze głębiej do warstw, gdzie panował niczem niezmącony spokój.

— Powietrza mamy jeszcze na dwadzieścia cztery godziny przynajmniej — rzekł inżynier. — Możemy zatem poczekać, aż się nawałnica uspokoi.

Nikt nie miał nic do nadmienienia przeciwko temu. Woda znów zaczęła napełniać opróżnione częściowo zbiorniki, i „Neptun“ powoli się pogrążał.

Ponieważ w głębokości 40 metrów kołysanie jeszcze dawało się odczuwać, więc zatrzymano się na 55 metrach. Tutaj wody oceanu drzemały cicho, jak gdyby tam, o kilkadziesiąt metrów wyżej, nie hulał orkan podbiegunowy.

Panna Celina doznała ulgi.

— Jak to dobrze móc uciec przed burzą! — zawołała, wyciągając się na otomance w saloniku. — Nasi towarzysze muszą bardzo cierpieć skutkiem takiej fatalnej pogody. Kto wie, czy nie zagraża im nawet rozbicie. Wyobrażam sobie ich położenie. Parowiec jest naciskany zewsząd przez krę, pędzoną wichrem, albo też ławica uchwyciła go w swoje objęcia i dławi, dławi strasznie. Biedna moja imienniczka jęczy w tych zimnych uściskach. Brr! Widzę teraz, że tutaj lepiej i bezpieczniej. Czyby kto przypuszczał, że tam dzieją się takie straszne rzeczy? O, znowu głuchy łoskot się rozlega; słyszysz, ojcze — dodała, podnosząc się.

— Słyszę. Niema wreszcie w tem nic dziwnego, woda bowiem stanowi doskonały przewodnik dla dźwięków. Przykładając ucho do ściany „Neptuna“, można nawet odróżnić wyraźnie szum bałwanów od łoskotu ścierających się odłamów kry.

Pan Lequetre i mareograf poszli za radą profesora.

— Istotnie, tam nad naszemi głowami gotuje się jak w kotle — potwierdził fizyk. — Jest to jedna z tych burz śnieżnych, przy północnym wietrze, jaka nieraz trwa i parę dni.

— To nie byłoby pożądane — mruknął profesor.

— No, burza, chociażby najgwałtowniejsza, nie może nam nic zaszkodzić! — powiedział Kornel. — Oto znów

motory poszły w ruch, i płyniemy w kierunku północnym. Robimy bez względu na to, co się tam dzieje, swoje ośm czy dziewięć węzłów. „Neptun“ żartuje sobie z najgwałtowniejszego nawet orkanu. Niechby wszystkie boreasze dały sobie rendez-vous nad naszemi głowami, wszystko nam jedno ostatecznie.

— Ot, dla zagłuszenia tych szumów, które oddziaływają na nerwy, niech nam panna Celina znowu co zagra na fisharmonji.

Potoki elektrycznego światła zalewały salonik i mieszały się ze słabym odblaskiem dnia, dochodzącym przez szyby z przezroczej toni.

Kiedy zabrzmiały uroczyste tony Beethovena, zapomniano o burzy, o „Neptunie“. Wszyscy mieli wrażenie, że się znajdują gdzieś w małej kapliczce, albo w zacisznym pokoiku artysty, obcującego boskiemi melodjami ze światem nadzmysłowym.

O godzinie 2-ej zjawił się z najlepszą miną inżynier, którego w budce sterowej zastąpił kapitan Dubois, i zaprosił całe towarzystwo do stołu.

— Czy burza nie zmniejszyła się czasem? — pytała Celina.

— Co nas burza obchodzi?! — zawołał, śmiejąc się, Raul. — Najważniejsza, że mamy dziś na stole świeżą pieczeń z białego niedźwiedzia. Kucharz wybrał najsmaczniejsze kąski z zuchwałej besji, która tak niegrzecznie przeszkodziła nam w określeniu położenia geograficznego. Ciekawym, jak państwo znajdą tę potrawę?

Istotnie służący wniósł olbrzymi półmisek z łapami niedźwiedzia i szynką. Podróżni z ciekawością kosztowali nieznanego sobie dania i musieli przyznać, że niedźwiedź polarny nie jest na stole do pogardzenia.

Świeże mięso oddziałało doskonale na apetyty. Uczta

przeciągnęła się długo. Przy pachnącej filiżance mokki zapomniano niebawem o burzy, huczącej o kilkadziesiąt metrów ponad „Neptunem“. Popołudnie zeszło także na muzyce i deklamacjach, w których wziął udział Kornel i inżynier. Bawiono się doskonale. Celina i profesor udali się wieczorem na spoczynek w wybornym stanie ducha.

Uczestnicy wyprawy byli już pogrążeni w śnie głębokim, a Raul i kapitan Dubois nie opuszczali swoich stanowisk.

Inżynier co chwila przykładał ucho do ściany wieży żelaznej, jakby pragnąc zbadać, co się dzieje tam, na górze.

— Nawałnica trwa już trzydzieści godzin — rzekł poważnie. — Jak pan sądzisz, czy da się zaczerpnąć powietrza?

— Hm, wątpię. Ale należy spróbować.

— Niech pan zatem każe wypuścić smoka.

Marynarze uczynili zadość poleceniu. Rura, zakończona pływakiem, w którym mieścił się smok, wypłynęła na powierzchnię. Gwałtowne ruchy węża gumowego świadczyły, że pływak jest silnie miotany falą. Pomimo to Raul kazał puścić w ruch pompę.

Przez parę minut powietrze wchodziło normalnie, ale potem chlusnęła woda, zalewając komorę maszyn.

Był to znak, że bałwany piętrzyły się nad wylotem smoka.

— Ocean musi być bardzo rozkołysany — mruknął niezadowolony z wyniku tej próby inżynier. — Wielokrotnie czerpałem powietrze nawet przy dość silnej fali, ale nic podobnego nie zdarzyło się.

— Ha, mamy jeszcze dwadzieścia cztery godziny czasu — rzekł kapitan.

— Zapewne. Płyńmy więc w głębokości ośmdziesięciu

metrów, gdzie panuje już niezmącona cisza — mówił inżynier. — Tak będzie najlepiej. Poco nasi towarzysze mają się niepotrzebnie denerwować temi echami burzy, która nic złego nie może nam wyrządzić.

Otwarto krany i śledzono na manometrze ciśnienie wody nazewnątrz. Kiedy strzałka zatrzymała się na liczbie 80, zamknięto dopływ wody do zbiorników, obciążających, i „Neptun“ znów zaczął się posuwać w kierunku północnym z umiarkowaną prędkością.

Tak minęła noc. Co kilka godzin Dubois albo Raul, którzy zmieniali się kolejno, badali stan rzeczy na powierzchni morza. Okazywało się jednak, że burza, zamiast uciszyć się, powiększała ciągle swą gwałtowność.

Nazajutrz, 13 lipca, o dziesiątej całe towarzystwo zgromadziło się znowu przy stole. Celina i profesor Moriot użalali się na ból głowy i ciężkie powietrze w kajutach. Raul kazał więc wpuścić strumień świeżego tlenu ze zbiorników.

— No, i cóż burza? — pytała Celina ciekawie.

— Nic, jeszcze hula — odparł Kornel, uśmiechając się.

— I nie wypłyniemy na powierzchnię?

— Byłoby to niebezpiecznie — na pokładzie „Neptuna“ niktby się nie utrzymał.

— Więc nie wiemy, gdzie się znajdujemy?

— Dowiemy się o tem jutro albo pojutrze, proszę pani.

De Convielle unikał widocznie rozmowy na temat burzy, która w głębi duszy zaczynała i jego niepokoić. Spoglądał z wyrazem zapytania na Raula, ale ten udawał, że tego nie dostrzega. Dzień upłynął posępnie. Wszyscy stracili dobry humor, który nie opuszczał nikogo od samego początku podróży. Panna Celina grała, ale niedługo. Atmosfera wydawała się jej ciężką. Istotnie było duszno

wewnątrz „Neptuna“; zapas powietrza, mogący starczyć na dwie doby, wyczerpał się. Nagromadziły się znaczne ilości dwutlenku węgla, co działało na nerwy deprymująco. Elektryczność paliła się wprawdzie jasno, jak zwykle, ale Raul był pewien, że zwyczajna świeca w takiej atmosferze jużby przybladła. Kazał więc znów wpuścić z zapasowych zbiorników pewną część powietrza.

— Nie jest dobrze — rzekł, kiedy się znaleźli sami z Kornelem. — Naruszyliśmy już nasze rezerwy. Trzeba koniecznie wydostać się znów na powierzchnię. Może ocean nie rzuca się już tak gwałtownie.

Próbowano parokrotnie, i za każdym razem pływak napotykał otwartą wodę. Pompowano, lecz wkrótce pompy zatkały się wodą tak dalece, że trzeba było zaprzestać tej czynności. W każdym razie zbogacono atmosferę „Neptuna“ kilkudziesięcioma metrami świeżego tlenu.

— Dobre i to — rzekł inżynier. — Uduszenie nie grozi nam narazie.

Co trzy godziny mniej więcej Raul kazał zapuszczać sondę. Wkońcu okazało się, że nad „Neptunem“ leży obszerna ławica.

— Nareszcie! — zawołał inżynier, śmiejąc się.

— Z czego się pan cieszy? — zagadnął Dubois, który uważał położenie za bardzo poważne.

— To rzecz prosta — odparł Plot. — Ocean pod lodami nie kołysze się tak, jak na otwartej przestrzeni. Spróbujemy więc przewiercić ławicę.

Niebawem „Neptun“ dotknął niemal spodu pola lodowego. Kołysanie dawało się odczuwać, ale stosunkowo bardzo łagodnie. Z kadłuba „Neptuna“ wynurzył się wydrążony wewnątrz świder, który zaczął się obracać z nadzwyczajną szybkością.

— Ależ lód jest w tem miejscu bajecznie gruby! —

zawołał Raul, sprawdziwszy po godzinie wyniki — Znać natrafiliśmy na jakiś pagórek. Trzeba jeszcze wiercić.

Inżynier nadstawił ucha. Szm fali ustał, ale wyraźnie dochodziło wycie huraganu i odległy trzask rzucanych jeden o drugi odłamów kry.

— Już trzy doby upływają, jak się ten djabelski taniec rozpoczął.

— Bywa gorzej — odparł Dubois. — Raz, pamiętam, nawałnica trzymała nas przez cały tydzień bez najmniejszej przerwy.

— No, no, nie należy przewidywać rzeczy najgorszych! — uśmiechał się Raul.— Co to, świder nie obraca się?

— Pewnie motor się popsuł. Zobaczę — zawołał Dubois.

Ale motor znajdował się w porządku. Pomimo to, ostrze nie chciało się wcale kręcić.

— Cofnąć! — zawołał inżynier.

Motor puszczono w kierunku odwrotnym, ażeby świder wydobyć z lodu, ale i teraz mechanizm nie obracał się.

— Ostrze skrzywiło się — rzekł po niejakim czasie inżynier zafrasowany. — Widocznie pole lodowe porusza się. Tego nie przewidywałem — dodał ledwie dosłyszalnym głosem twórca „Neptuna".

— Tak, nie można wszystkiego przewidzieć — rzekł poważnie Kornel, którego uwagi nie uszły te słowa. — Człowiek nie jest Bogiem. No, a co teraz uczynimy?

Wszelkie usiłowania nie doprowadziły do celu. Świder, pogrążony na cztery i pół metra w lodzie, trzeba było uważać za stracony.

— Czy mamy inny? — zagadnął Kornel, mocno zaniepokojony.

— Mamy jeszcze dwa. Ale w tych warunkach nie zamierzam ich ryzykować.

— Jakże więc odnowimy zapas powietrza?

Inżynier wzruszył ramionami.

— Musimy najprzód przymocować „Neptuna“ do lodów tak, żeby stanowił z niemi jedną nierozłączną całość; wówczas nie będzie zmieniał miejsca w stosunku do kry, i świder nie ulegnie złamaniu czy zgięciu.

— Czemże przymocujemy okręt?

— Zaraz pan zobaczy.

Raul udał się do izby majtków i niebawem przyprowadził dwóch marynarzy, odzianych w skafandry, z kilofami, ręcznemi świdrami i łańcuchami w rękach.

— Nie wiem, czy pod lodem panuje dostateczny spokój na to, ażeby pracować. Trzebaby zobaczyć.

Zkolei sam Raul zjawił się w ubraniu nurka. Pierwszy wszedł do kołpaka, zamknął za sobą szczelnie klapę, wpuścił kranami wodę, a potem otworzył klapę wejściową i wysunął ostrożnie głowę.

Burza jeszcze się nie uciszyła, gdyż wody oceanu, nawet pod grubą warstwą lodów, znajdowały się w ruchu. Pomimo to inżynier wyszedł na pokład „Neptuna“, który leżał o jakie trzy metry pod spodem kry, opierając się niemal o nią szczytem wieżyczki kapitańskiej.

Morze było silnie rozkołysane, ale praca nurków nie nastręczała wyjątkowych trudności. Inżynier zapukał w ścianę żelazną; nie upłynęło dziesięciu minut, kiedy drzwiczki się otworzyły, i wyjrzała z nich metalowa głowa. Obaj marynarze ostrożnie wyszli na pokład i porozumiewali się na migi z inżynierem.

Wkręcono w czterech miejscach w krę świdry z kółkami, do których potem przyczepiono mocno łańcuchy. Drugie końce tychże przywiązano do pierścieni

w pudle „Neptuna“ Teraz łódź podwodna, jak powiedział inżynier, stanowiła jedną całość z ławicą i brała udział w jej ruchach. O to właśnie chodziło. Należało przedewszystkiem przewiercić krę, która w tem miejscu była nadspodziewanie gruba.

Kiedy się inżynier dobrze upewnił, że ława leżąca ponad jego głową nie porusza się, dał znak, żeby puszczono w ruch drugi świder, w punkcie odległym o kilkanaście metrów od pierwszego, i sam śledził z najwyższą uwagą, jak stalowe ostrze zagłębiało się w lód. Całkowita długość świdra wynosiła sześć metrów, gdyż według obserwacyj licznych podróżników, grubość kry nigdy nie przenosiła tych wymiarów.

Kiedy podstawa świdra zniknęła w lodzie, Raul kazał puścić w ruch pompy i przysłuchiwał się, czy usłyszy szmer strumienia powietrza, wdzierającego się przez rurę.

Niestety, ławica nie była jeszcze przebita nawylot. Kazało to przypuszczać, że na dolnej warstwie leżała druga, rzucona na nią przez rozszalałe morze. Cofnięto czem prędzej świder, w obawie, żeby go nie spotkał los poprzedniego. Teraz inżynier zrozumiał przyczynę niepowodzenia: górna kra musiała się poruszać, podczas gdy dolna pozostawała w spoczynku, i to wywołało skrzywienie się świdra. Nurkowie pracowali przez trzy godziny bez przerwy, ażeby wydobyć ostrze zgięte z lodu. Udało im się to wkońcu: musieli jednak powrócić do wnętrza łodzi dla nabrania świeżego zapasu powietrza. Raul udał się z nimi.

— No, i cóż? — zapytał niespokojny Kornel, nie czekając, aż się Plot rozbierze ze skafandra.

Inżynier potrząsnął głową.

— Trafiliśmy na złe miejsce. Trzeba płynąć dalej. Lód nagromadził się tutaj w kilku warstwach, jedna na drugiej.

— A na jak długo wystarczy nam jeszcze zapasu powietrza w zbiornikach?

— Najwyżej na dwadzieścia cztery godziny.

De Convielle westchnął.

— Nie trzeba o tem nikomu mówić — szepnął inżynier, wytykając głowę z pod kasku.

Młodzieniec zrobił gest przytakujący.

„Neptun“ popłynął dalej, trzymając się o kilkanaście metrów od dna lodu.

Atmosfera zrobiła się tak ciężka, że Plot znów kazał wpuścić ze zbiorników paręset metrów świeżego powietrza na miejsce zużytego, które wytłoczono nazewnątrz.

Pozostawiono niewielki zapas „na czarną godzinę“— jak się wyraził inżynier.

Zrobiwszy kilkanaście mil morskich, łódź znów się zatrzymała. Ponowiono próbę, ale i tym razem bezskutecznie.

— Fatalnie trafiamy! — klął inżynier. — Skoro tak, dowód to, że się znajdujemy pod wyjątkowo grubą ławicą, prawdopodobnie pod starem polem lodowem, usianem pagórkami i barjerami, które pozostały po licznych „ciśnieniach lodów“. Kapitanie — rzekł, zwracając się do pana Dubois — trzeba płynąć dalej, choćby ze sto mil, byle się wydostać pod lód cieńszy.

Marynarz potrząsnął głową.

— Mamy już niewielką ilość energji elektrycznej w naszej baterji akumulatorów — rzekł.

Inżynier spojrzał z przerażeniem na tablicę rozdzielczą. Voltmetr wskazywał 450 woltów.

Plot zrobił gest rozpaczliwy.

— Nie starczy nam tego zapasu więcej niż na kilkadziesiąt mil — rzekł. Cóż jednak robić, trzeba jechać.

„Neptun“ posuwał się wolno, robiąc zaledwie po

trzy węzły. Po dwóch godzinach takiej żeglugi, Raul zmienił polecenie.

— Kapitanie, płyń z szybkością normalną — rzekł.— Oszczędzamy na elektryczności, to prawda, ale zużywamy powietrze, które nam jest niezbędne do życia. Im prędzej wydostaniemy się z pod tej przeklętej ławicy, tem lepiej.

Motory zadudniły znowu. Pokazało się jednak niebawem, że baterja odmawiała posłuszeństwa. Napięcie szybko spadało, i po trzech godzinach, nie chcąc rozbroić się zupełnie, musiano zatrzymać motory.

— No, jeżeli teraz nie chwycimy powietrza, będzie z nami źle — mruknął inżynier. Sam kierował świdrowaniem. Odziany w swój skafander, wyszedł na pokład i śledził stąd, jak świder zagłębia się w lodzie.

— Jeden metr... cztery metry...

Ale ostrze nie przechodziło nawylot. Położenie stawało się krytycznem. Ocean szalał, wibracje dochodziły aż pod lód. „Neptun“ chwiał się; łańcuchy, któremi był przymocowany, naprężały się i jęczały. Żywioły zmagały się z sobą w jakiejś zaciekłej walce. Zdawałoby się, że się sprzysięgły na zgubę zuchwalców, którzy nie chcieli liczyć się z ich potęgą.

Po upływie godziny świdry zanurzyły się na całą długość w lodzie, a pomimo to puszczone w ruch pompy nie wyssały ani odrobiny powietrza.

Raul zaczynał wpadać w zwątpienie. Jego pewność siebie znikła; patrzał niemal z trwogą na sklepienie lodowe, które leżało nad nimi jak wieko trumny. Obliczenia zawiodły go. Wytężał myśl, szukając środków ratunku.

— Prześwidrować ręcznie to przeklęte pole lodowe!

Projekt ten wydał mu się doskonałym i żałował, że nie wpadł nań wcześniej.

W zbiornikach znajdowało się jeszcze kilkadziesiąt

metrów powietrza, akurat tyle, ile było potrzeba na kilkanaście godzin dla czterech ludzi, pracujących w skafandrach.

— Tak, to się da zrobić, niewątpliwie, chociaż pociągnie za sobą poważną zwłokę.

Niebawem ręczny świder zanurzył się w otwór, mający już pięć metrów głębokości. Robota posuwała się jednak bardzo wolno naprzód. Majtkowie, potrącani przez rozkołysane wody, musieli co chwila przerywać swoją czynność, nie chcąc być zepchniętymi w otchłań.

Bądź co bądź jednak, ostrze wgryzało się coraz głębiej w stary lód. Zajaśniała zorza wybawienia.

XIII. Powietrza!...

Podczas gdy inżynier robił rozpaczliwe wysiłki, ażeby odnowić zapas powietrza w „Neptunie“, członkowie wyprawy odczuwali coraz silniej i boleśniej brak tlenu w atmosferze ich otaczającej.

Wszyscy oddychali prędko i ciężko. Marynarze, niezdolni do żadnej pracy, leżeli nieruchomie w hamakach. Panna Celina i jej ojciec cierpieli silny ból głowy. Kornel który nie czuł się lepiej aniżeli inni, siedział przy narzeczonej, która nie zdawała sobie sprawy, podobnie jak i jej towarzysze, z całego ogromu niebezpieczeństwa. Wyszukiwał on pudełek, flaszek, kuferków i podnosił je do ust młodej osoby.

— Niech pani wdycha stąd mocno, mocno — mówił.

Była posłuszna i doznawała ulgi, która jednak mijała szybko. Głowa coraz bardziej jej ciążyła, twarz miała bladą. Wyciągnięta na szezlongu w saloniku, patrzyła bezmyślnie przez szyby.

— Mój Boże, dlaczego ten inżynier nie wpuści ze zbiorników zapasu powietrza? — wzdychała.

— Potrzeba go dla nurków, którzy pracują tam nad nami i lada chwila przewiercą lód.

— Mój Boże, jak to długo trwa.

— Natrafiono, jak mi się zdaje, na podwójną warstwę

lodu. Burza rzuca kry jedną na drugą. Ocean kipi. Słyszy pani ten głuchy łoskot, od którego aż drży cały nasz statek? To pole lodowe kruszy się pod uderzeniami rozwścieczonej fali.

— Udusimy się w tej żelaznej trumnie — jęczał Lequetre, pracując płucami jak miechem.

— Niezawodnie. Jesteśmy w pułapce, z której nie potrafą nas wyprowadzić — biadał mareograf. — To nikczemność!

Zerwał się nagle z fotela i wybiegł przeze drzwi.

Kornel spoglądał niespokojnie. Po chwili podniósł się i poszedł za nim.

Bertheau skradał się do komory, gdzie się znajdowały zbiorniki ze zgęszczonem powietrzem. Obejrzawszy się, czy nikt nie widzi, odkręcił kurek i przytknął z rozkoszą usta do wylotu.

Nie zdążył jednak wchłonąć w płuca więcej nad kilka łyków orzeźwiającego gazu, kiedy de Convielle zakręcił mu kran przed nosem.

— To jest ostatnia rezerwa — rzekł surowo.

— Ależ panie, ja się duszę! — zawołał mareograf wściekły.

— I ja także!

— To dobrze! Sam pan tego chciałeś. Ale ja... ja jestem ofiarą, niewinną ofiarą. Ja chcę żyć, panie de Convielle.

Kornel potrząsnął głową.

— Pozwól pan trochę jeszcze – zaczął błagać Bertheau.

— Nie pozwolę. Nurkowie nie będą mogli skończyć swej pracy, a wtedy zginiemy naprawdę...

Uczony zerwał się.

— Chcę przywdziać skafander — zawołał z determinacją. — Wolę pracować, niż konać tu bezczynnie.

— Dobrze, powiem to inżynierowi.

— Zaraz?

— Jak tylko nurkowie będą się zmieniali.

— Tymczasem odetchnę choćby parę razy.

Przypadł do kranu odkręcił go znowu.

— Precz! krzyknął Kornel.

— Sam precz!

Stali naprzeciw siebie, mierząc się zaszłemi krwią oczyma. Mareograf nie mógł wytrzymać dłużej. Nie bacząc na nic, rwał się do kranu. De Convielle odpychał go. Zawrzała walka — walka egoizmu zwierzęcego z chłodnym rozumem, z poświęceniem.

Bertheau ryczał jak zarzynany byk. Na odgłos bójki nadbiegli marynarze z sąsiedniej komory.

— Co? — zawołał mechanik. Tu ludzie mało duszy nie wysapią, a wy powietrze sami na stronie zużywacie? Hola! tacy my dobrzy jak każdy.

Jednem uderzeniem pięści powalił na ziemię mareografa i przykucnął przy kranie.

— Dobrze! każdy będzie oddychał przez pięć minut — przytakiwał jeden z marynarzy.

— Ciągnąć losy, na kogo kolej!

— Ależ ludzie, zastanówcie się! — wołał doprowadzony do rozpaczy Kornel. — Pozostało zaledwie kilkadziesiąt metrów powietrza, które jest koniecznie potrzebne dla tamtych! — Wskazał ręką w górę.

Ale nikt nie zwracał uwagi na jego protesty. Odezwały się grube egoizmy. Żądza życia zagłuszała zdrowy rozsądek.

Kornel błagał, a potem siłą starał się odepchnąć tych ludzi. Daremnie! Wszyscy stanęli przeciw niemu.

Wrócił do saloniku zgnębiony.

— Ostatnia rezerwa! — jęczał.

Serce pękało mu na widok słaniającej się, niemal

bezprzytomnej Celiny. Nagle zbudziła się w nim przygasła energja. Pobiegł do swojej kajuty i wrócił z mauzerem w dłoni.

— Kapitanie! — zawołał, wtykając broń w rękę panu Dubois — twoja władza! Ci ludzie zgubią nas wszystkich.

Ale kapitan nie miał już ani siły, ani woli. Patrzył nieruchomie na Kornela, niezdolny ruszyć się z miejsca.

Lequetre podniósł się.

— Chodźmy! — rzekł.

Kiedy weszli do komory, trzeci zkolei marynarz z rozkoszą niewysłowioną wdychał powietrze, przywarty konwulsyjnie wargami do kranu. Lequetre pochwycił go za kark. Kornel wycelował rewolwer do mechanika, ale ten spokojnie patrzał w lufę.

— Ha, ha, ha! zabij pan, i owszem! dlaczego nie?! Prędzej się to skończy. No, dlaczego pan nie strzela?

Rzucił się na młodzieńca, ażeby mu wyrwać broń z ręki.

Kornel mimowoli dał ognia. Odgłos wystrzału trochę oprzytomnił pozostałych.

Wyprostowani, spoglądali zpodełba na kierownika wyprawy.

— Chcecie oddychać? — Ja wam dam powietrza! zgęszczonego powietrza! – rzekł po chwili milczenia Lequetre.— Chodźmy, tam!

— Co pan zamierzasz uczynić? — pytał Kornel.

— Dam wam tlenu, dużo tlenu! — powtarzał fizyk, wymachując rękoma.

De Convielle myślał, że uczony stracił zmysły. Obojętnie przypatrywał się, jak zniknął we drzwiach, prowadzących do baterji akumulatorów. Sam zaś wrócił do Celiny

— Pani! — zawołał. — Ci niegodziwcy rabują resztki

powietrza! Nie pozwolę im na to. To dla pani! pani przed wszystkimi!

Podźwignął ją i zaniósł jak dziecko do komory.

Nikogo tam już nie było. Kornel posadził narzeczoną przy kranie i puścił na jej twarz ożywczy strumień powietrza. Patrzył rozjaśniony, jak Celina przychodziła do siebie, jak jej przygasłe już źrenice nabierały blasku.

— Oddychaj pani, śmiało, śmiało! Niech się co chce dzieje!

Wypróżnił jeden zbiornik — przy pozostałym pozostawił uzbrojonego kapitana, z poleceniem pilnowania tego skarbu.

— Strzelisz pan w łeb każdemu, kto się zbliży! — zalecił lakonicznie.

Wentylatory rozniosły tlen po całem wnętrzu, zrobiło się mniej duszno. Ale nie mogło tego starczyć na długo. Za godzinę, za dwie, znowu okropna zmora siądzie na piersi śmiałkom.

A tam na górze pracowano zapalczywie, bez przerwy. Słychać było stąpania ciężkich trzewików z ołowianemi podeszwami, zgrzyt tańcuchów i chrzęst lodu, dziurawionego świdrami.

Kornel spoglądał co chwila na zegarek, licząc niemal minuty.

Nurkowie nie mogą pozostawać tam dłużej nad cztery godziny. Upłynęło już trzy z okładem — lada chwila zjawią się tutaj i zabiorą do skafandrów resztki powietrza. A potem co? Piękne, głębokie oczy Celiny, te cudne oczy, w których on czytał cały bezmiar swojego szczęścia, zagasną na zawsze. Nie, nie!

Porwał skafander, napełnił jego rozerwoar ścieśnionem powietrzem i ukrył u siebie w kajucie, pod łóżkiem.

To starczy na kilka godzin. Na kilka ostatnich go-

dzin! — myślał. — Jeżeli umrze to przed nią. Ostatnia będzie ona, Celina. Nie miałby siły patrzeć na jej konanie w męce!

Panna Moriot pokrzepiona, wróciła do saloniku, gdzie pozostał sam profesor.

— Idź, ojcze, tam! — mówiła głaszcząc jego siwe włosy. — Odetchniesz. Tam dobrze!

Podniosła go i zaprowadziła do komory.

— Gdzież są marynarze? — zagadnął Dubois, który pełnił straż przy kranie.

Kornel wzruszył ramionami.

— W komorze akumulatorów, razem z Lequetrem.

— Lada chwila wrócą tutaj! Krew się poleje, krew! — Słyszysz pan?! Zabiję wszystkich, zostaniemy tylko my troje, nie! czworo! Dla nas wystarczy powietrza, nieprawdaż?

De Convielle spoglądał z przerażeniem na starego marynarza, którego oczy paliły się dzikim ogniem.

— Ja pana zastąpię. Niech pan poszuka tamtych — rzekł, chcąc wyjąć mauzer z ręki kapitana.

Ale ten nie oddał broni.

— Niech przyjdą! dlaczego nie? Niech się rzucą na mnie! Tem lepiej. Trupy nie potrzebują powietrza, trupy nie oddychają!

Podniósł broń i trzymał ją wpogotowiu do strzału, celując we drzwi.

Kornela ogarnął przestrach. Zrozumiał on nagle myśli, nurtujące w rozgorączkowanym mózgu kapitana: „Zabić wszystkich, pozostać w kilku, i w ten sposób... przez krew, przez zbrodnię...“

Młodzieniec schwycił się za głowę.

— Święty Boże — jęknął.

Chciał iść także po rewolwer, ale nagle usłyszał poza

rzwiami wycie radosne. Był to głos, przypominający chrypły śpiew pijaka, odurzonego trunkiem. Nadstawił szu. Tak, to mechanik śpiewa. Poznaje jego organ krzywy. Ktoś mu wtóruje. Tak, to są wrzaski pijanej tłuczy. Aha!

Kornelowi zdawało się, że zrozumiał.

Pragną umrzeć nieprzytomni. Nie mają odwagi spojeć śmierci w oczy na trzeźwo. Piją!

Machnął ręką pogardliwie.

Ale głosy pijackie, zamiast milknąć, rozlegały się raz donośniej, i coraz silniej brzmiała w nich nuta umfu.

— Wiwat Lequetre, wiwat! — ryczano ochrypłemi osami.

Przypomniał sobie słowa fizyka. Jednym susem przyoczył do drzwi i odemknął je. Otwór w podłodze, prosadzący do niższego piętra, gdzie się mieściła baterja umulatorów, był otwarty naścieżaj. Przy świetle latarek elektrycznych widniała tam grupa ludzi, pochylonych d jakiemś naczyniem. Wszyscy wdychali chciwie jakieś ary.

— Eter! — pomyślał młodzieniec.

Podszedł na palcach i zdumiony wpatrywał się w rozmione twarze marynarzy. W samym środku między nimi ł fizyk, z brodą opartą o krawędź szklanego naczynia, którem się coś burzyło silnie.

Na odgłos kroków Lequetre odwrócił się i, spostrzegłszy de Conviella, skinął nań, żeby się zbliżył.

— Chodź pan, chodź! starczy dla wszystkich, starczy! — dodawał uspokajająco. No, nabok!

Odtrącił brutalnie najbliższych i przyciągnął za rękaw Kornela.

— Masz pan tlen, dużo tlenu! czystego tlenu! No, śmiało! O, tak!

Dla przykładu otworzył szeroko usta i wciągnął pełną piersią gaz, unoszący się licznemi pęcherzykami ze szklanego naczynia.

De Convielle usłuchał rozkazu, rozszerzył płuca i nagle poczuł rozkoszną błogość, rozlewającą się po całym jego organizmie. Oddychał łatwo i przyjemnie, serce zaczynało bić szybko, na twarz wystąpiły rumieńce.

— A co, jak panu smakuje elektrolityczny tlen? — pytał fizyk, uśmiechając się. — Nie potrzebujemy już powietrza! Niech sobie niem oddychają tamci! — dodał, wskazując na sufit. — Przyprowadź pan tu wszystkich, pannę Celinę najprzód, profesora także, i kapitana. Niech tu przyjdą, mam dość elektryczności w baterji, żeby was choćby przez 24 godziny utrzymać przy życiu. Nie obawiajcie się niczego. Jam teraz pan, rozdaję życie i rozkosz!..

Szanowny uczony był także chorobliwie podniecony wdychaniem czystego tlenu.

— Cuda pan czynisz! — zawołał Kornel.

Wielkie naczynie napełniono wodą zakwaszoną i pogrążono w niej dwa węglowe elektrody. Zbierający się na dodatnim tlen ulatywał swobodnie w atmosferę, ujemny zaś był połączony zapomocą rury gumowej ze zbiornikiem, skąd niedawno wytłoczono resztki powietrza.

Wodór nie mieszał się więc z atmosferą, lecz nagromadzał się powoli w zbiorniku, skąd go można było usunąć przy pomocy pomp nazewnątrz.

— Ależ to jest genjalny pomysł! — zawołał Kornel, zachwycony. — Nie pojmuję, dlaczego inżynier nie wpadł na to!

Odetchnąwszy jeszcze kilka razy, wybiegł z komory i powrócił za chwilę z towarzyszami i Celiną.

— Jesteśmy ocaleni, nie obawiamy się już braku powietrza! Oddychaj pani swobodnie — wołał, całując ją po rękach.

Czuł, że sam był jakby pijany. Pulsy biły mu szybko, w głowie paliło się jak w piecu.

Wszyscy zresztą byli zupełnie jak pijani. Czysty tlen podniecał energję życiową do najwyższego napięcia.

Niebawem atmosfera w komorze tak dalece nasyciła się tlenem, że nie potrzeba było trzymać ust nad naczyniem, żeby oddychać zupełnie normalnie.

Pan Lequetre triumfował.

— Mamy przecież do rozporządzenia wspaniałe źródło elektryczności, które daje kilkaset amperów — mówił. — Pozwólcie mi operować w ciągu kilku godzin takim prądem, a nasycę atmosferę tlenem do normalnej zawartości.

— A co zrobimy z dwutlenkiem węgla? — pytał Bertheau.

— Dwutlenek węgla jest sam w sobie obojętny dla zdrowia — odparł fizyk. — Możnaby go zresztą pochłaniać przy pomocy sody gryzącej.

— Tak, ale skąd wziąć sody w takiej ilości?

— Na razie dwutlenek węgla pozostanie. Odegra on rolę azotu, to jest ciała rozcieńczającego tlen, który w stanie czystym, jak pan widzi, działa niby gaz rozweselający.

Rozmowę tę przerwało zjawienie się nurków.

Pracownicy znużeni wracali, ażeby odnowić zapas powietrza w skafandrach.

Inżynier, zbliżywszy się do zbiornika, rzucił okiem na manometr i zaklął.

— Dlaczego wypuszczono powietrze?! — zawołał, bledniąc z gniewu. — Pozostało nam jeszcze kilkanaście centymetrów lodu do przewiercenia. Bez powietrza niepo-

dobna przecież pracować. Związaliście nam ręce. Teraz wszystko przepadło!

— Uspokój się pan — zaczął Dubois. Obejdziemy się doskonale bez powietrza, dzięki wynalazkowi pana Lequetra. Nurkowie dostaną tlenu, ile im się podoba. Proszę! Oto fabryka powietrza skoncentrowanego.

— Rzeczywiście prosty a bardzo dowcipny pomysł! — przyznał inżynier, który po obejrzeniu przyrządu udobruchał się.

— Ba, potrzeba jest matką wynalazków, jak mówi przysłowie! — zawołał kapitan.

— Tak, ale co się stanie z naszą baterją, która jest prawie zupełnie wyładowana? „Neptun“ nie będzie w stanie ruszyć się z miejsca.

— Ba, dostań się pan tylko do powietrza, do prawdziwego powietrza, tam — zawołał Lequetre, — a wówczas...

— Wówczas będziemy mieli czem oddychać; lecz baterja...

No, to puścimy w ruch motor i naładujemy akumulatory na nowo.

— Ależ panie, zapominasz pan, że pod wodą nasz spalinowy silnik nie może funkcjonować.

— Fizyk zastanowił się.

— Niechno pan przebije lód, a jakoś się to załatwi — rzekł.

Inżynier wzruszył ramionami.

— Ciekawym, jak? — mruknął.

— No, już ja to biorę na siebie...

Fizyk powiedział to z taką pewnością siebie, że Plot zamilkł.

XIV. Walka z morsami.

W parę godzin po dokonaniu „genjalnego wynalazku“ przez Lequetra“, jeden ze świdrów przebił nareszcie lodowe sklepienie. Okazało się, że natrafiono na barjerę lodową, jakich wiele spotyka się na starych ławicach, i to była przyczyna, że tak długo borykano się z trudnościami. Otwór miał aż siedm metrów długości, licząc od dolnej powierzchni.

Założenie rur gumowych nie zajęło dużo czasu. Nagle załoga „Neptuna“ poczuła dopływ świeżego, zimnego powietrza z zewnątrz.

Rozchodziło się ono szybko, i w kilkanaście minut zaledwie potem wszyscy mogli całą piersią oddychać.

Przygnębienie w jednej chwili pierzchnęło. Energja zbudziła się na nowo w sercach.

Kiedy już nasycono płuca dostatecznie, inżynier zwrócił się do fizyka.

— No, wyczerpał pan resztę energji elektrycznej na uraczenie czystym tlenem zbuntowanej załogi, teraz niech pan pokaże lepszą sztukę i niech pan puści w ruch motor Diesela, nie wypływając na powierzchnię.

— A czy nie możnaby poczekać, aż burza się uciszy?

— Poco? Może ona trwać jeszcze przez parę dni, które zmarnowalibyśmy, pozostając pod lodami bez ruchu.

— No, postaram się. Ale, ma się rozumieć, pan mi nie odmówi swojej pomocy. Dobrze?

Fizyk poszedł razem z inżynierem obejrzeć motory.

Znajdowały się one w komorze głównej. Obok nich, między podwójnemi ścianami pudła, mieściły się zbiorniki z ropą naftową, której był wielki zapas. Gazy z cylindrów uchodziły normalnie przez rodzaj komina w jednej z dwóch wieżyczek, sterczących nad pokładem. Kiedy „Neptun“ znajdował się na powierzchni, wówczas motory mogły pracować bez żadnej przeszkody. Ale w tej chwili tą drogą nie można było wypuszczać produktów spalenia.

Pan Lequetre, bacznie rozejrzawszy się w sytuacji, wpadł szybko na doskonały koncept.

— Wie pan — rzekł do inżyniera — jak jest urządzony samochód? Szofer nie ma prawa podczas jazdy po mieście wypuszczać gazów.

W tym celu znajduje się rodzaj rezerwoaru, gdzie produkty gorenia nagromadzają się pod pewnem ciśnieniem i od czasu do czasu są uwalniane. Otóż i my tak samo musimy postąpić. Będziemy wpuszczali je do jednego ze zbiorników ciężarowych, które obecnie są puste, gdyż „Neptun“ nie potrzebuje zanurzać się głęboko.

Kiedy jeden zbiornik napełni się gazem pod ciśnieniem kilku atmosfer, można bezpiecznie otworzyć krany. Gaz uleci sobie do morza, a kiedy ciśnienie znowu spadnie do jednej atmosfery, zamkniemy kran — i tak dalej.

— Tak, to byłoby całkiem możliwe, ale nie posiadamy połączenia komory maszynowej ze zbiornikami wody — zarzucił inżynier.

— Taką komunikację łatwo da się uskutecznić, mając do rozporządzenia narzędzia i mechaników. Od biedy możemy także wpuszczać gazy spalinowe do zbiorników z powietrzem.

— Widzę, że pan ma zdolności na inżyniera — rzekł, uśmiechając się, Raul. — Będzie to znaczne ulepszenie w konstrukcji naszego „Neptuna“. Zachowamy je na stałe, gdyż może nam oddać duże usługi w analogicznych wypadkach.

— A widzi pan, że i fizycy mają głowę na karku!

Pomysł Lequetra był znakomity. Po dwunastu godzinach pracy zaprowadzono połączenie cylindrów motoru ze zbiornikami od wody i przedsięwzięto próbę, która udała się znakomicie.

Jeden z motorów parzystych pracował bez zarzutu, obracając motor elektryczny, który powoli nabijał baterje akumulatorów.

Trwało to 36 godzin bez przerwy.

Przez ten czas burza, szalejąca niezmordowanie od kilku dni z rzędu, ucichła prawie zupełnie, chociaż morze przez dłuższy jeszcze czas było bardzo rozkołysane,

Przez otwór, zrobiony w lodzie, pompy czerpały obficie powietrze wraz z krzyształkami śniegu, co pozwalało się domyślać o stanie pogody, panującej tam, na górze.

Nareszcie w dniu 10 lipca, po całym tygodniu przymusowego wypoczynku w salonie, ukazał się rozpromieniony inżynier.

— Płyniemy w kierunku północnym z prędkością 15 węzłów! — zawołał, witając się z towarzyszami. — No, panie Bertheau, mam nadzieję, że się już nie pobijemy o powietrze! — dodał, zwracając się do oceanografa, który siedział pogrążony w czytaniu jakiejś podróży.

— Winienem przeprosić szanownego pana za cokolwiek gwałtowną z mej strony interwencję — rzekł Kornel.

Uczony podniósł się z wyciągniętą dłonią.

— To ja powinienem prosić o przebaczenie! — rzekł zarumieniony. — Teraz wstyd mi doprawdy mego zacho-

wania się. W człowieku budzi się bestja, której cywilizacja nie zdążyła zetrzeć głowy. Wie pan, w owej fatalnej chwili byłem gotów cały swój majątek, wszystko, co posiadam, oddać za kilka łyków świeżego powietrza.

— Którego, znajdując się na otwartej przestrzeni, nie umiemy ocenić należycie — dodał, uśmiechając się, Kornel. — Teraz dopiero uczymy się rozpoznawać zapach i smak tego specjału!

Ma się rozumieć, że Kornel chętnie zapomniał nietylko uczonemu, ale i marynarzom owego „buntu". Miał tylko do załogi „Neptuna" krótką przemowę na temat panowania nad sobą, i na tem się skończyła wewnętrzna wojna domowa, wywołana chwilowem niebezpieczeństwem zaduszenia się. Majtkowie i mechanik dali słowo marynarskie, że na przyszłość nic podobnego się nie powtórzy.

Po chwilowej burzy zapanowała więc zarówno na powierzchni morza, jak w łonie „Neptuna", najpiękniejsza pogoda. Łódź podmorska sunęła szybko do celu.

W dwadzieścia cztery godziny po puszczeniu w ruch maszyn wypłynięto na otwartą wodę bez najmniejszej trudności.

„Neptun" znowu znalazł się na wielkiem jeziorze słonej wody, otoczonem ze wszystkich stron pokruszonemi przez niedawną burzę ławicami. W naturze panował idealny spokój. Niebo było czyste, bez chmurki, indygowy ocean falował lekko. Bałwany, rzucające się z rykiem na pola lodowe i kruszące najgrubsze ławy, ustąpiły miejsc małym wełniastym barankom, które pędziły stadami, liżąc łagodnie boki wynurzonego zpośród nich potwora żelaznego.

W powietrzu rozbrzmiewały chrapliwe głosy wielkich mew polarnych i petrel, polujących na zdobycz i wydzierających ją sobie pośród ogłuszającej wrzawy.

Kiedy kapitan i inżynier Plot oceniali położenie geograficzne, Kornel, panna Moriot i pan Lequetre zabawiali się strzelaniem z fuzji do tej skrzydlatej czeredy, która krążyła nad ich głowami.

Poczciwe mewy brały znać „Neptuna“ za wielkiego wieloryba, który padł pod harpunem, gdyż często siadały na jego stalowym grzbiecie i dzióbały stalową skórę.

Poznawały wnet pomyłkę i odlatywały, o ile celny strzał którego z myśliwych nie stanął temu na przeszkodzie. Panna Moriot została niespodzianie królową polowania, gdyż udało się jej zastrzelić niezmiernie rzadki okaz, mewę różową.

Ptak ten zamieszkuje najbardziej wysunięte ku północy okolice oceanu Lodowatego, a nawet w swej ojczyźnie nie jest bynajmniej codziennem zjawiskiem.

Bertheau wyłowił zdobycz i z triumfem wręczył ją Celinie.

— Będzie to ozdobą naszych zbiorów z tej „wycieczki“ — zawołał. — Wnoszę z obecności tego ptaka, że biegun znajduje się niedaleko!

— Zaraz się to pokaże — odrzekł Kornel. — Niechno tylko nasi astronomowie ukończą swoje spostrzeżenia.

Tym razem wszyscy z nabitemi fuzjami dawali baczenie na obserwatorów, w obawie, żeby ci nie stali się przedmiotem pożądliwości jakiego niedźwiedzia, albo morsa, których stadka wygrzewały się na słońcu.

Olbrzymie zwierzęta były zdaleka podobne do wielkich, okrągłych odłamów skał, leżących nieruchomie na lodach. Od czasu do naszych żeglarzy dochodziło ich rżenie.

Profesor Moriot, który miał doskonały wzrok, spostrzegł na niewielkiej krze kilka fok.

— Zapolujcie panowie lepiej na psy morskie! — rzekł. — Szkoda nabojów na ptactwo, którego nasz ku-

charz nie dopuści do swej rezydencji. Foka natomiast — to podobno przysmak. Od owej pieczeni niedźwiedziej nie kosztowaliśmy świeżego mięsa.

— Co do mnie zaś, proponuję łowy na morsy — rzekł Kornel. — Gruba to zwierzyna. Bardzo pragnąłbym posiąść parę wspaniałych kłów, które współzawodniczą białością i twardością ze słoniowemi.

— Wielka sztuka zabić takiego potwora, co sobie siedzi jak martwy! Jedna albo dwie kule z winczestra — i koniec! — zawołała panna Celina z grymasem lekceważenia.

— No, no, nie taka to bagatelka — zaprotestował Lequetre. — No, ale można spróbować.

— Czy strzelamy z pokładu? — pytał Kornel, przyniósłszy swój celny sztucer.

— Statek pod uderzeniami fal chwieje się i kołysze, więc strzał nie będzie pewny — zauważył Bertheau, który także chciał wziąć udział w tej imprezie — Według mnie lepiej będzie wylądować, a raczej wysiąść na ławicę w pewnej odległości od morsów, podkraść się do nich poza wzgórkami lodowemi i strzelać na pewno z bliskiego dystansu; z łódki bowiem także trudno będzie trafić.

— Łódka znajduje się przy inżynierze, który jeszcze nie skończył swoich spostrzeżeń — zauważył Kornel. — Zresztą jest ona bardzo ciasna i wywrotna. Lepiej będzie strzelać wprost stąd, bo w takim razie panna Celina także znajdzie sposobność pokazania pewności swego oka i ręki. Każemy zbliżyć się maszyniście na paręset metrów, a z takiej odległości strzał ze sztucera jest niezawodny.

Po niejakiem wahaniu przyjęto ten plan działań wojennych przeciwko stadu morsów, które nie spodziewały się, że z tego potwora, leżącego niby wielki potfisz na fali, posypią się wnet na nie śmiercionośne pociski.

Przyniesiono dla wszystkich sztucery. Kornel dał przez tubę rozkaz maszyniście, ażeby puścił w ruch motory — i łódź podwodna zaczęła wolno płynąć w kierunku stada.

Kornel widział przez lunetę, jak morsy przypatrywały się z pewnem zaniepokojeniem zbliżającemu się potworowi. Stary samiec, stojący znać na straży, wydał przeciągłe, chrapliwe rżenie, kiedy „Neptun“, burząc wodę swym stalowym ogonem, zatrzymał się w odległości dwustu zaledwie metrów od stada. Olbrzymie zwierzęta nie uciekały, lecz siedziały, nie zmieniając wcale pozycji.

— Stop! — zakomenderował Kornel, który pod nieobecność pana Dubois zastępował go. „Neptun“ zatrzymał się posłusznie.

W sąsiedztwie ławicy falowanie było tak słabe, że ledwie dawało się odczuwać.

— Ja sądzę, że stąd można zacząć — rzekł Lequetre, nabijając sztucer kulą dum-dum.

— I mnie się zdaje! — potwierdził de Convielle.

— Czy strzelamy wszyscy razem, czy też osobno? — zapytał Bertheau.

— Kolejno. Pierwszą kule pośle przewodnikowi panna Celina. Potem my trzej damy ognia równocześnie — mówił Kornel. — Dla mnie ten z prawej strony, który właśnie odwrócił głowę od nas. Pan weźmie na cel samca, leżącego bokiem na skraju ławicy. Co do pana zaś, panie Lequetre...

— Ja mam chętkę na grubasa z lewej strony stadka.

— Doskonale! Proszę tylko nie marnować nabojów. Celować starannie, bo za pierwszym strzałem zwierzyna może pierzchnąć. Baczność! Panno Celino, niech pani oprze sztucer o wieżyczkę kapitańską.

Z temi słowy młodzieniec podprowadził narzeczoną

do kołpaka, którego klapa wejściowa była odemknięta, i pokazał jej, jak ma spożytkować tę podporę.

Lequetre i Bertheau uczynili to samo na drugiej wieżyczce, również otwartej. Oczekiwali oni pierwszego strzału panny Moriot, ażeby niezwłocznie pociągnąć za cyngle.

Co się tyczy profesora Moriot, ten odmówił podanej sobie broni i ograniczył się do roli obserwatora,

Jak powiedzieliśmy, od stadka dzieliła łódź podwodną przestrzeń co najwyżej dwustu metrów w prostej linji na północ. Ku wschodowi zaś, o trzysta metrów na śniegu, zakryci szeregiem barjer lodowych, leżeli inżynier i kapitan Dubois, którzy właśnie, skończywszy swe spostrzeżenia, przypatrywali się biernie rozpoczynającym się łowom. Dwaj majtkowie, pilnujący łódki, siedzieli w niej, oczekując na swych pasażerów, którzy już zabierali się do powrotu na „Neptuna".

Tak miały się sprawy w chwili, kiedy panna Moriot, idąc za wskazówkami Kornela, dała ognia do przewodnika stada.

Kula widocznie trafiła, bo olbrzym Północy wydał przeciągły, bolesny ryk i jął bić wściekle kłami w lód, na którym spoczywał.

— Jeszcze! Nie ma dosyć jednej kuli! — zawołał de Convielle.

W tej chwili rozległy się wystrzały panów Bertheau i Lequetre'a.

Ale ich pociski także nie zabiły na miejscu upatrzonej zwierzyny.

Potwory nie mogły się narazie zorjentować, co się dzieje. Ryczały z bólu, nie zamierzając jednak ratować się ucieczką. Nie wiedziały znać, skąd pochodzą rażące je pociski.

Sztucery odezwały się po raz drugi. Kule wprawdzie trafiały, ale potężne bestje nie padały bynajmniej. Okropny ryk napełnił powietrze, szerząc popłoch w stadach ptactwa, unoszącego się ponad głowami naszych myśliwych.

— Naprzód! — zakomenderował raz jeszcze Kornel, zbliżywszy się do wylotu kołpaka.

Rezultat danych strzałów był istotnie tak niezadowalający, że młodzieniec uznał za rzecz stosowną zbliżyć się bardziej do stada.

Maszynista usłuchał rozkazu. Kornel był tak zajęty polowaniem, że nie widział ostrzegawczych gestów, jakie robił mu kapitan Dubois, i nie słyszał wołania inżyniera.

„Neptun“ podjechał o kilkadziesiąt metrów bliżej do ławicy. Z tej odległości zamierzano dokończyć rzezi olbrzymów.

Znów huknęły strzały sztucerowe i znów odpowiedziały im, jak potężne echo, dyszące wściekłością ryki potworów.

Teraz jednak konie morskie spostrzegły nieprzyjaciela i znać zrozumiały, że rany są im zadawane przez niepozorne istotki, poruszające się na grzbiecie sunącego w ich stronę wieloryba.

I nagle stała się rzecz zgoła nieprzewidywana przez myśliwych. Potwory, zamiast uciekać, na dane przez swego przewodnika hasło, rzuciły się w fale i pozostawiając poza sobą w przezroczystej wodzie krwawe smugi, płynęły, niby zwarta kohorta szturmujących rycerzy, prosto do „Neptuna“.

Pierwszy w grożącem niebezpieczeństwie zorjentował się de Convielle.

Pochwycił za rękę pannę Celinę i zmusił ją niemal, ażeby weszła przez rozwartą klapę do środka. Kiedy znikła, zmierzył do najbliższego morsa.

Stado płynęło z zadziwiającą szybkością. Po kilku minutach znajdowało się już zaledwie o kilkanaście metrów od „Neptuna“. Położenie naszych myśliwych, znajdujących się na pokładzie, zaledwie wystającym z wody, stawało się krytycznem.

Bertheau, straciwszy znać odwagę, pośpiesznie zrejterował przez drugą wieżyczkę. Lequetre z początku chciał go naśladować, ale zawahał się.

Odwróciwszy się do nadpływającej kohorty nieprzyjaciela, zaczął strzelać ze swego winczestra raz po raz, mierząc w okrągłe łby, błyskające wpośród fal białemi kłami.

Kornel wycelował także do jednego z morsów, który już prawie docierał do „Neptuna“. Ale kula widocznie ześlizgnęła się po twardej czaszce, dość, że potwór w najbliższych kilku sekundach dotarł do łodzi. Zgrzytnęły kły po stalowej blasze.

Potwór, pomagając sobie niemi, usiłował wgramolić się na pokład.

Równocześnie niemal kilka innych morsów dopadło także „Neptuna“.

Pod ciężarem potężnych cielsk, z których każde ważyło z tysiąc kilogramów, łódź podmorska, posłuszna znanym prawom fizyki, zaczęła się zanurzać. Woda, która przed chwilą znajdowała się o kilkanaście centymetrów poniżej galeryjki pokładu, wdzierała się coraz wyżej, fale zaczęły opłukiwać nogi naszych myśliwców.

De Convielle przycisnął raz jeszcze cyngiel, mierząc w oko potwora, który godził w niego błyszczącemi kłami; ale sztucer nie wypalił już. Magazyn pięciostrzałowy był pusty. Nabić zaś broni nie było już czasu, „Neptun“ przechylił się tak silnie, że de Convielle z trudnością zdołał utrzymać równowagę. Siła ciężkości ciągnęła go nieubła-

Stado płynęło z zadziwiającą szybkością.

ganie w kierunku okrągłego łba i długich, białych kłów, wynurzających się z fali tuż przed nim.

Młodzieniec zamierzył się i z całych sił zadał cios między krwawe, błyskające wściekłością, okrągłe ślepia. Ale uderzenie to, od którego sztucer złamał się na dwoje, nie zmusiło bynajmniej potwora do ucieczki, przeciwnie, powiększyło jeszcze jego wściekłość.

Profesor Moriot, bezbronny, ze zręcznością, którejby się po nim nikt nie spodziewał, wskoczył do kołpaka. Kornel słyszał szczęk otwieranej klapy. Odwrócił się więc, pragnąc naśladować geografa. Ale poślizgnął się na pochyłym, zlanym wodą pokładzie i wpadł do morza, tuż niemal pod same kły swego przeciwnika.

Byłaby to niezawodnie ostatnia chwila krótkiego życia pana de Convielle i kres wyprawy podmorskiej do bieguna, gdyby nie Lequetre.

Dzielny fizyk z zimną krwią, której mógłby mu pozazdrościć najwytrawniejszy myśliwy, wziął na cel napastnika. Huknął suchy strzał z winczesterki.

De Convielle spostrzegł z zadowoleniem, że z ucha potwora bryznął mózg, zmieszany z krwią. Kolosalna bryła mięsa usunęła się bezwładna w morze.

Kierownik wyprawy podmorskiej był ocalony.

Jedną ręką uchwycił się za galeryjkę pokładową, drugą za przyjazną dłoń, którą wyciągnął ku niemu wybawca, i paroma energicznemi ruchami znalazł się na pokładzie.

Nie było ani sekundy do stracenia. Morsy, rozdrażnione do najwyższego stopnia otrzymanemi ranami i zapachem krwi, cisnęły się na „Neptuna“, waląc w jego grzbiet olbrzymiemi kłami. Ale wszystkie te ciosy odbijały się bez śladu o stalowy grzbiet domniemanego wieloryba.

Położenie jednak było wielce groźne. Statek pod-

morski niemal zupełnie pogrążył się w fale. Jeszcze kilka tych potężnych cielsk, a zanurzy się. Wówczas woda wedrze się gwałtownie przez pozostawioną otworem klapę do wnętrza statku. Kornel zrozumiał zaraz grożące niebezpieczeństwo. Jednym susem dopadł wylotu kołpaka, podał zkolei dłoń fizykowi, i za chwilę obaj znikli w wieżyczce.

Zamknąć klapę wejściową było dziełem paru sekund.

— Dziękuję panu! — rzekł, ściskając dłoń Lequetre'a.

— No, no, niema za co! — odparł fizyk, odwzajemniając się. — Cieszy mnie, że tak dobrze trafiłem. Ktoby to pomyślał, że wyniknie taka awantura! Ależ morsy, to dzielne zwierzęta. Podobają mi się. Nabrałem dla nich szacunku!

Uczony stanął na palcach, otworzył do połowy wieko i wyjrzał nazewnątrz.

— Tam do licha! — zawołał. Woda o mało nie wlewa się do kołpaka. Słyszy pan?

Rozlegały się silne uderzenia w kadłub statku. To konie morskie w bezsilnej wściekłości waliły kłami o blachę, dziwiąc się zapewne, dlaczego wieloryb, któremu wydały walkę na śmierć i życie, ma tak twardą skórę.

Kornel wybuchnął śmiechem.

— Mnie się zdaje, że będzie najlepiej zanurzyć się zupełnie. Nieprzyjaciel przestanie nas atakować.

— A inżynier? a kapitan Dubois?

— Mają fuzje. Zresztą morsy nie napadną ich na lodzie.

Kornel wydał odpowiednie polecenia i wrócił cały ociekający wodą do saloniku, gdzie zastał płaczącą ze wzruszenia Celinę i pocieszającego ją profesora.

Panna Moriot, ujrzawszy wchodzącego młodzieńca, rzuciła się ku niemu z otwartemi ramionami.

— Mój Boże! — zawołała, uśmiechając się przez łzy — a my tu już myśleliśmy, że te potwory zabiły pana!

— Miały coprawda wielką po temu ochotę. Jeżeli żyję, zawdzięczam to panu Lequetre'owi, który, jak się przekonałem, interwenjuje zawsze w samą porę — rzekł Kornel. — Skończyło się na zimnej kąpieli.

Lequetre nie słuchał jednak pochwał pod swoim adresem; pilno mu było pobiec do wieżyczki kapitańskiej, stąd przez szyby śledził nieprzyjaciela.

Ale morsów nie było już widać; „Neptun", zanurzywszy się na sześć metrów, płynął wolno wzdłuż brzegu ławicy. Na chwilę tylko dostrzegł fizyk olbrzymią czarną masę, parę okrągłych ślepiów i białe kły, przemykające się wpobliżu szyb.

To jeden z morsów, dawszy nurka, towarzyszył przez jakiś czas łodzi podmorskiej, nie mogąc jednak płynąć równie prędko jak ona, pozostał wtyle i zniknął we mgle. Posunięto się jeszcze na kilkaset metrów dalej, poczem Kornel dał sygnał do opróżnienia zbiorników, i „Neptun" znów wynurzył się na powierzchnię.

Obserwowano przez peryskop morze i ujrzano w znacznej odległości kilka trupów, unoszonych przez fale.

— Ależ bestje twarde mają życie! — mówił Bertheau, który teraz odzyskał zimną krew.

Zbadawszy sytuację bliżej, przekonano się, że niedobitki stada powróciły na lodowe pole. Ranne sztuki dogorywały, daremnie starając się wygramolić na krę z wody. „Neptun" znajdował się teraz o sto metrów zaledwie od inżyniera i kapitana, którzy z najwyższą trwogą śledzili z ławicy przebieg walki.

Wkrótce wsiedli do oczekującej na nich łódki i znaleźli się na pokładzie.

— No, no, nawet nie wiecie, w jakie opały wpadliście

przez własną nieostrożność! — zawołał Dubois, witając serdecznie towarzyszy. — Mors, to zuchwalec, z którym lepiej nie zadzierać bez istotnej potrzeby. Była chwila, żeśmy uważali statek za stracony.

— Istotnie, niewiele brakowało, żeby woda wdarła się do kołpaka, a w takim razie „Neptun“ zatonąłby w ciągu kilku minut bez żadnego ratunku! — dodał inżynier.

— No, ale chwalić Boga, wszystko minęło — zawołał Lequetre. — Wzbogaciliśmy się o jedno doświadczenie więcej! A teraz, panowie, pomyślmy, co zrobić z naszą zwierzyną.

— Mnie najpilniej dowiedzieć się, jak wypadły spostrzeżenia! — przerwał Kornel.

— Znajdujemy się pod ośmdziesiątym czwartym stopniem pięćdziesiątą minutą szerokości — rzekł Dubois.

— Ależ to wspaniale! — zawołał Kornel. — Jeżeli tak dalej pójdzie, to za dwa albo trzy dni dotrzemy do celu!

Powoli, powoli! — mitygował inżynier. — Jeszcze jedno polowanie, a dotrzemy do samego dna oceanu Lodowatego!

XV. W lodowej pustyni.

Uszczęśliwieni tak dobrym wynikiem spostrzeżeń nasi podróżni postanowili spędzić jedną dobę na wypoczynku.

Majtkowie, uzbrojeni w długie noże, ściągali skóry z morsów, których koniec końców trzy padły od kul sztucerowych, i odrąbywali wspaniałe kły, które zawieszono jako trofea myśliwskie na ścianach w saloniku. Tłuszcz zaś przetopiono w kotle na tran, który, według zapewnień pana Dubois, posiadał własności lecznicze.

Ponieważ operacja ta czyniła pobyt w sąsiedztwie kotła niezbyt przyjemnym, więc Kornel zaproponował profesorowi Moriotowi i jego córce wycieczkę na pole lodowe. Do towarzystwa przyłączyli się panowie Lequetre i Bertheau. Zabrano z sobą narty, ażeby przy sposobności ćwiczyć się w tym pięknym sporcie, który w razie rozbicia się „Neptuna“, albo jakiego innego poważnego wypadku, mógłby oddać naszym podróżnikom ważne usługi.

Panna Moriot, jak się wnet pokazało, miała duże zdolności w tym kierunku i po upływie kilku godzin nauczyła się posuwać wcale zręcznie po gładkim lodzie, pokrytym śniegiem.

Znajdowano się pośród lata polarnego. Na powierzchni pól lodowych potworzyły się płytkie jeziora, które

jednak należało bacznie wymijać. Barjery lodowe, produkt tajemniczego zjawiska, zwanego „ciśnieniem lodów“, topniały w słońcu, przybierając okrągłe formy. Termometr wskazywał tylko 3 stopnie niżej zera, co w tych okolicach można było uważać za coś w rodzaju „upału“.

Podczas wycieczki zapoznawano się z tym światem, który skutkiem wyjątkowych warunków podróży był dotąd obcy dla członków wyprawy.

— Jak się pani tutaj podoba? — pytał Kornel narzeczonej.

Panna Moriot oglądała się wokoło uważnie i znalazła, że okolice podbiegunowe mają także swoje powaby. Według niej, morze miało bardzo przyjemną ciemnoindygową barwę, lodowce były podobne do wielkich brył szmaragdu, wykładanych na górnej powierzchni czystym kryształem i perłami. Kiedy słońce zniżało się, pływające bryły paliły się fioletowemi odcieniami. Paleta przyrody nawet tutaj, pod 85 stopniem szerokości, była, jak się pokazało, niezmiernie bogata.

W powietrzu unosił się subtelny woal, który zakrywał przedmioty, znajdujące się w znaczniejszych odległościach. Były to, jak objaśniał oceanograf, pary wodne, unoszące się z nagrzewanych przez słońce płacht wody, stojącej na powierzchni ławicy. W przerwach między polami lodowemi kołysała się, słodko szemrząc, toń oceanu, daremnie starającego się pozbyć kryształowych oków, choćby na krótki przeciąg czasu.

W pustyni lodowej życie organiczne formalnie wrzało. W powietrzu, w morzu na ławicach, wszędy miało ono swoich przedstawicieli. Co chwila akaś mewa dawała nurka, ażeby wnet wypłynąć z rybą w dziobie, poczem ścigana przez zazdrosne współtowarzyszki, znikała w dali. Ocean kipiał od potężnych ciał fok, słoni morskich i mor-

sów, których postanowiono po otrzymanej nauczce nie zaczepiać bez istotnej przyczyny. Gdyby jaki wielorybnik zjawił się tutaj, mógłby w ciągu tygodnia obładować się tranem i fiszbinem, bo wytryski pary wodnej, dostrzegane między krami na bardziej otwartych wodach, oznajmiały obecność potężnych wali [1]).

Z obojętności, z jaką wszystkie stworzenia przypatrywały się człowiekowi, znać było, że od początku świata nie zapędził się on w te odległe okolice.

Podróżni nasi zbliżyli się na nartach tak blisko do dużego stadka fok, że te ociężałe stworzenia łatwo dałyby się zabijać zwyczajną pałką.

Słonie morskie nie ruszały się z miejsca na widok dwunożnych istot. Samce wydawały tylko przeciągły ryk, podnosząc w górę niezgrabną głowę.

— Wyobrażam sobie, że tak przedstawiał się cały świat w bardzo odległych epokach, kiedy człowieka nie było jeszcze na powierzchni ziemi — mówiła panna Moriot, którą bardzo interesowała ta idylla. — Biedne stworzenia nie wiedzą jeszcze, kto jest ich najstraszniejszym wrogiem, wobec którego niedźwiedź to niewiniątko.

— Niech pani będzie pewna, że mieszkańcy dalekiej Północy nieprędko jeszcze pozbędą się swych złudzeń! zawołał Bertheau. — Założyłbym się, że prócz Nansena i księcia Abruzzów, a właściwie kapitana Cagni, nikt tu nie postawił nogi przed nami.

Wielorybnicy trzymają się najchętniej sąsiedztwa lądu, gdyż tam fauna jest najliczniej reprezentowana. Ale jak pani widzi, i tutaj, zdala od jakiejkolwiek wyspy, w ciągu lata panuje duże ożywienie. Dobrze, że niema między

[1]) Wale — ogólna nazwa wielorybowatych.

nami pana Carré, bo ten nie omieszkałby urządzić rzezi tych poczciwych zwierząt, „dla dobra nauki“ naturalnie.

Wycieczka, dzięki której nasi podróżni poglądowo zapoznali się ze światem podbiegunowym i jego życiem, trwała kilka godzin. Wkońcu jednak musiano wracać do miejsca, gdzie drzemał na morzu stalowy wieloryb, gdyż głód porządnie zaczął wszystkim dokuczać.

Z odległości mili morskiej dawał się już uczuwać wstrętny zapach topionego tranu.

Ale do tej nieprzyjemnej woni domieszała się inna, daleko subtelniejsza i mile łechcząca powonienie, mianowicie zapach świeżej pieczeni.

— Oho, czuję już, że nasz kucharz musiał się obłowić! — zawołał Bertheau, wciągając powietrze z lubością.

Uczony nie omylił się. Podczas nieobecności naszych wycieczkowiczów zabili marynarze wiosłami młodą, tłustą fokę, którą pieczono w jej własnym tłuszczu przy ognisku, roznieconym z ropy tak sztucznie, żeby odór nafty nie nasycił mięsiwa. Udało się to w zupełności, i kiedy profesor Moriot i jego towarzysze ukazali się, powitano ich dzwonkiem, wzywającym do stołu.

Obiad, dla odmiany, zastawiono na ławicy w pełnem słońcu.

Na główne danie była wzmiankowana pieczeń z młodej foki, poza tem konserwy z jarzyn, owoce, oraz wino z biszkoptami.

Ten obiad pod gołem niebem, pośród tak oryginalnego otoczenia, upłynął wszystkim bardzo wesoło. Apetyty były doskonałe.

Kiedy już miano wstawać, inżynier rzucił projekt:

— Przez tych kilka dni, które upłynęły od chwili rozstania się z naszymi towarzyszami, zdarzyło się to i owo — rzekł. — Podzielmy się wrażeniami z tymi, co

pozostali na „Celinie“. Proponuję więc wysłać depeszę iskrową pod adresem naszego poczciwego Dumerque.

— Powinnibyśmy byli dawno o tem pomyśleć! — zawołała panna Celina. — A czy aparat gotów?

— W każdej chwili, szanowna pani.

W samej rzeczy, na pokładzie Neptuna sterczał anten [1]), ze stożkowato rozchodzącemi się z jego szczytu drutami.

Kornel w porozumieniu z kapitanem ułożył depeszę następującej treści:

—„Ośmdziesiąty czwarty stopień, pięćdziesiąta min. szerokości północnej, 112 st. 30 min. długości wschodniej. Na pokładzie „Neptuna“.

„Tygodniowa walka z burzą. Brak powietrza pod lodami. Napad niedźwiedzia. Walka z morsami. Wszyscy zdrowi. Statek w porządku. Obozowisko na ławicy. Dziś w dalszą drogę do upragnionego celu.

Kornel de Convielle, kapitan Dubois, prof. Moriot“.

Ta lakoniczna wiadomość, streszczająca w sobie wypadki dni ubiegłych, nie czekała długo na odpowiedź.

W kwadrans po wysłaniu jej aparaty iskrowe na „Neptunie“ zaczęły działać, i wysłuchano następujące słowa:

„Pokład „Celiny“, 76 st. szer. półn., 110 dług. wschodniej. Wielka burza. Ciśnienie lodów. Nieznaczne uszkodzenia.

Wszyscy zdrowi. Morze otwarte. Żegluga na północ. Życzenia dla śmiałych żeglarzy podmorskich.

Dumerque, Carré, Briot“.

— Co za cudowny wynalazek! — wołała panna Celina, klaszcząc w dłonie z radości. — W każdej chwili możemy sobie wzajemnie udzielać szczegółowych wiado-

[1]) Maszt żelazny, skąd rozchodzą się w przestrzeni fale elektryczne Hertza.

mości o wszystkiem, utrzymać kontakt i w razie niepowodzenia liczyć na pomoc. Mając aparaty Marconiego na pokładzie, nie czujemy się tak osamotnieni w tej pustyni.

— Jeżeli pani sobie życzy, możemy spróbować, czy się nam nie uda nawiązać komunikacji z Paryżem — rzekł inżynier. — Wprawdzie nasz aparat nie może przesyłać na wielkie odległości depesz iskrowych, lecz używając naszego parostatku za pośrednika, kto wie, czyby się nam nie powiodło zadepeszować do wieży Eiffla.

— Muszę prosić rektora o przedłużenie urlopu — rzekł profesor Moriot, którego perspektywa dłuższej nieobecności w Paryżu mocno trapiła.

— Poprosi pan o to z samego bieguna północnego! — rzekł inżynier. — Zrobi to lepszy efekt!

— I wtedy rektor przedłuży panu urlop nie na parę miesięcy, ale nawet na rok! — dodał Kornel, śmiejąc się.

— W takim razie wyślijmy jeszcze jedną depeszę do naszego okrętu — prosiła panna Moriot.

Na życzenie młodej osoby kapitan zawiązał dłuższą korespondencję z pozostałą na parowcu częścią ekspedycji. Udzielono sobie wiele szczegółów, z których wynikało, że „Celina“ po długiej burzy zdołała uwolnić się z pośród otaczających ją zewsząd lodów, naprawiła swoje uszkodzenia i śmiało żegluje na północ, ażeby znajdować się ciągle jak najbliżej „Neptuna“, który miał stale pozostawać z nią w komunikacji telegraficznej. Parowiec wytrzymywał doskonale ciśnienie lodów i uderzenia kry, miotanej przez wzburzone morze. Wszyscy członkowie wyprawy znajdowali się w doskonałym stanie zdrowia i posyłali słowa zachęty swym towarzyszom na „Neptunie“.

Kornel czekał tylko, aż baterja akumulatorów będzie dobrze nabita, żeby puścić się w dalszą drogę.

Nastąpiło to niebawem. Voltmetry wskazywały, że

napięcie baterji doszło do normy; miano teraz zapas elektryczności, któryby pozwolił dotrzeć „jednym susem“, jak się wyrażał inżynier, do samego bieguna, o ileby naturalnie nie stanęły mu jakie ważne wypadki na przeszkodzie.

Ławice tworzyły w tych okolicach jakby wyspy lodowe, między któremi można było jako tako przemykać się. Więc „Neptun“ zamiast się zanurzyć, posuwał się naprzód jak zwykły okręt. Po kilku godzinach takiej żeglugi na spokojnem morzu, ujrzano wielką ławicę, ale ponieważ poza nią niebo było niebieskawe, więc zanurzono się na parę godzin, poczem znów wypłynięto na powierzchnię prawie zupełnie wolnego morza. Gdyby wiatr się nie zerwał, taka żegluga byłaby nietylko przyjemniejsza ale bezpieczniejsza, i co najważniejsza, byłaby szybsza niż podmorska. Nikt się więc nie zdziwił zbytnio, kiedy dokonane po upływie dwunastu godzin spostrzeżenia wskazały, że „Neptun“ znajdował się już pod 87 stopniem i 22 min. szerokości północnej. Wynik ten przyjęto gromkiem „hurra“ i wywieszeniem na głównym a jedynym maszcie, a raczej na antenie telegraficznym, flagi narodowej.

No, możemy się już gotować do tej uroczystej chwili, która nas oczekuje! — zawołał Kornel, upojony tym wynikiem. — Tak daleko, jak my, nie dotarł żaden jeszcze statek: „Neptun“ pobił wszystkie rekordy dotychczasowe w wyścigu do bieguna północnego drogą wodną.

- To prawda, gdyż Peary na statku „Roosevelt“ dotarł tylko do 87 stopnia i 6 minuty szerokości północnej — przyświadczył profesor. — Wprawdzie w roku 1909 zdołał ten podróżnik dostać się podobno do samego bieguna, ale już nie na okręcie, lecz pieszo, w towarzystwie swoich Eskimów. Uczony ten zabrał w pustynię

lodową swoją żonę, która mu tam powiła córeczkę. Widzisz więc, kochana Celino dodał, zwracając się do córki — że nie jesteś, ściśle rzeczy biorąc, pierwszą kobietą europejską, która ośmieliła się zapuścić w te niegościnne okolice. Miałaś w pani Peary dzielną poprzedniczkę.

— Jeżeli dalsza nasza podróż będzie się odbywała z takim małym trudem, jak dotąd, to pani Peary będzie miała daleko większą zasługę ode mnie — rzekła skromnie Celina.

— Na to się nie zanosi, a raczej tak się stać nie powinno! — zawołał Kornel. — Odebrałoby to naszej wyprawie charakter ryzykownego i trudnego przedsięwzięcia, a nasze laury zmalałyby w oczach świata. Nie prawdaż, inżynierze?

— Mnie się zdaje, że nie! Przeciwnie. Dokonać łatwo, jakby żartem, tego, o co daremnie kusiło się tylu ludzi pierwszorzędnych przed nami, zdobyć jednym śmiałym atakiem fortecę, o której mury lodowe tylu sobie głowy porozbijało — taki czyn, mnie przynajmniej, bardziejby zaimponował, aniżeli niepomyślny atak, połączony z najsmutniejszemi ofiarami. Weźmy Amundsena za przykład.

— Zupełnie słusznie! — przyświadczył profesor. — Nie wyszukujmy więc trudności, których zdołaliśmy uniknąć dzięki pańskiemu genjalnemu statkowi, i dążmy czem prędzej do celu!

— A więc zanurzyć się do głębokości stu metrów, albo nawet dwustu, i całą siłą motorów płynąć na północ; czy tak? — zagadnął Kornel.

— Bezwarunkowo!

— No, a jeżeli, broń Boże, spotkamy na drodze naszej jaką wysepkę, o którą „Neptun“ się rozbije?

— Mówiłem już panu, jaki jest mój pogląd. Zresztą

przypomnę panu wyniki, do jakich doszedł po swojej podróży Fridtjof Nansen, i które potwierdził niejako Peary. Otóż morze, pośród którego leży biegun północny, jest, według wszelkiego prawdopodobieństwa, głębokie, a nie, jak przypuszczano dawniej, płytkie i usiane wyspami. Zdaje się, że ten zbiornik stanowi niejako przedłużenie głębokiej rynny środkowo-atlantyckiej, która rozciąga się na północ między Szpicbergiem a Grenlandją. Jaki jest obszar tych wód, na to pytanie trudniej nieco odpowiedzieć, ale ma ono dla nas znaczenie drugorzędne. Wiemy jednak, że rozciągają się one daleko na północ od Ziemi Franciszka Józefa i na wschód od Nowej Syberji. Im dalej posuwała się na północ nieszczęśliwa wyprawa z „Jeanetty“ pod De Longiem, tem głębsze znajdowała pod sobą otchłanie. Zauważono też na „Framie“, że lody płynęły bez żadnej przeszkody w stronę bieguna, i że powolny prąd, który unosił ten statek, trwale zachowywał swój kierunek, tak iż długotrwały wiatr północny, albo północno-wschodni, z trudnością zwracał go na południowy wschód, i to nie na długo. Gdyby w sąsiedztwie bieguna leżał jaki znaczniejszy ląd, albo chociażby wielowysep, to przeszkadzałby on niezawodnie swobodnemu ruchowi pól lodowych na północ. Dowodzą tego kry, pędzone poprzez domniemany ocean podbiegunowy aż do wschodnich wybrzeży Grenlandji, do przylądka Farwell. Olbrzymie ławice, jakie tam dają się widzieć, musiały się utworzyć na rozległych morzach. Gdyby „Fram“ nie był się uwolnił od lodów na północ od Szpicberga, lecz pozwolił im się unosić dalej, to niezawodnie dostałby się wkońcu poprzez morze środkowo-biegunowe na wschodnie brzegi Grenlandji.

Wiemy także, dzięki Cagniemu i Nansenowi, że biegun nie leży pod wiekową, nieruchomą powłoką, jakby

pod jakim pancerzem; od cieśniny Berynga płynie poprzez biegun do Atlantyku północnego lód wędrowny, tworzący mniejsze lub większe kry. Jakżeby inaczej wytłumaczyć sobie stwierdzone wielokrotnie fakty znajdowania syberyjskich gatunków drzew i szlamu, pochodzącego z rzek syberyjskich, na lodowcach, które docierają aż do Grenlandji? Taką samą podróż odbyły przecie różne przedmioty, pochodzące z rozbitej „Jeanetty". Zdaje się, że siły, pędzącej lody w tym kierunku, dostarcza przeważnie wiatr, który na północ od Syberji ma przeważnie kierunek południowy i południowo-wschodni, a na północ od Szpicberga północno-wschodni.

Sondowania, przedsiębrane przez Nansena, dowiodły także, że zapadlina podbiegunowa jest napełniona wodą bardziej słoną niż warstwa górna, ale zato cieplejszą, która może pochodzi od prądu Zatokowego, który dociera aż pod te wysokie szerokości. Co zaś do głębokości oceanu, na którym się w tej chwili znajdujemy, to Nansen zanotował w kilku punktach 4000 metrów i więcej. „Neptun" ma więc dość przestrzeni pod sobą i może mknąć prosto do celu. Nie chcę jednak powiedzieć przez to, że istnienie jakiej wyspy jest w tych stronach wyłączone. Wszak i na powierzchni ziemi można spotkać znaczne góry, wznoszące się na równinach. Ale ryzyko jest tu stosunkowo małe.

— A więc naprzód, profesorze? naprzód, nie oglądając się na nic?

— Wypowiadam się tutaj, jak człowiek nauki, reszta do was należy.

— A pan, panie Bertheau? — zagadnął inżynier, zwracając się do oceanografa.

— Podzielam w zupełności zdanie szanownego profesora. Dokoła nas leży głębokie i otwarte morze.

Jak widzimy, zapał udzielał się wszystkim, nawet rozważnemu profesorowi Moriotowi i do przesady ostrożnemu panu Bertheau. Nie potrzebujemy chyba dodawać, że Kornel i inżynier także drżeli z niecierpliwości. Jeden tylko Dubois potrząsał głową i czynił różne zarzuty. Ale wkońcu musiał ustąpić.

— Prosto na północ, całą siłą motorów! — zakomenderował de Convielle, rzucając porozumiewawcze spojrzenia na Raula.

— Tak, wprost na północ, w głębokości stu metrów! — powtórzył Plot.

„Neptun“, posłuszny woli, natężonej do najwyższego napięcia, pomknął w kierunku bieguna, odległego zaledwie dziesięć godzin podmorskiej żeglugi.

XVI. Starcie z ruchomą skałą.

Niewielką przestrzeń trzystu kilometrów, czyli około trzech stopni geograficznych, inżynier pragnął przepłynąć — jak się wyrażał — „jednym susem“, niby finiszujący koń wyścigowy przed samą metą.

Stojąc w wieżyczce obok kapitana Dubois, sam prowadził swego „Neptuna“, który, jak bożek mityczny, panował nad przepaściami oceanu.

Pogrążono się do 80 metrów, ażeby żeglować w wodach zupełnie spokojnych; reflektory elektryczne paliły się, rzucając przed łódź podwodną snopy jaskrawego światła, które zwabiały jakieś wielkie ryby, snujące się niby niewyraźne cienie, przed oknami saloniku, gdzie siedzieli uczeni.

Wszyscy znajdowali się w stanie niezwykłego podniecenia. Za kilkanaście godzin spodziewali się bowiem dotrzeć do celu, osiągnąć to, o co od wieków kusiło się daremnie tylu dzielnych ludzi.

Lequetre, którego czekało ważne zadanie dokonania ścisłych pomiarów astronomicznych i magnetycznych, przygotowywał się do tego z namaszczeniem, oglądał instrumenty, doprowadzając je do pedantycznego porządku.

Mareograf był zatopiony w mapie oceanu Arktycznego, która leżała przed nim na stole; profesor, otulony

v burkę — gdyż narzekał ciągle na zimno, siedział w za-umie, zamieniając od czasu do czasu kilka słów z córką.

Na pierwszy rzut oka zdawaćby się mogło, że wy-rawa podmorska do bieguna — to jakaś wycieczka dla rzyjemności, nie wymagająca żadnego trudu, dająca gwa-ancję wszelkiego bezpieczeństwa.

Wszystko odbywało się idealnie. Motory dudniły, ruba miarowo rozbijała spokojne wody swemi bronzo-vemi skrzydłami, popychając „Neptuna“ z prędkością zesnastu węzłów ku biegunowi, który z każdą godziną bliżał się o tyleż mil morskich.

Profesor nie mógł się powstrzymać, żeby nie spo-lądać często na zegarek. Liczył widocznie nietylko go-ziny, ale nawet kwadranse, dzielące go od tej uroczy-tości, w której tak niespodziewanie miał wziąć udział.

Najbardziej jednak wzruszony był Kornel. Stał przy ażynierze w wieżyczce kapitańskiej i śledził oczyma ażdy jego ruch.

Łódź posuwała się z najwyższą prędkością, do jakiej yła zdolna. Inżyniera i jego towarzysza opanowała żądza otarcia jak najprędzej do punktu, w którym przecinały ę południki. Raulowi wystąpiły na twarz gorączkowe ru-ieńce, drżącemi rękoma trzymał za koło sterowe, wpa-zony w przestrzeń, rozjaśnianą strumieniem światła ektrycznego, wyrzucanego przez oba reflektory.

Nagle inżynier drgnął.

— Co to? — zagadnął niespokojnie Kornel, przy-ierając oczyma do szyby.

Przebiwszy wzrokiem szaroniebieską mgłę, która asłaniała głębię, spostrzegł z przerażeniem, że naprze-wko „Neptuna“ majaczy jakaś olbrzymia, czarna masa.

Inżynier poruszył sterem, chcąc wyminąć przeszkodę, e przekonał się, że mu się to nie udaje. Owo tajemnicze

ciało posiadało także swój ruch, i zdawało się, jakby samo szukało spotkania z „Neptunem“.

Dwie masy dzieliła przestrzeń zaledwie pięćdziesięciu metrów.

Inżynier widział, że w tych warunkach starcie staje się nieuchronnem.

Zakomenderował energicznie: stop! maszniście, ale było już za późno. Łódź podmorska starła się z poruszającem się naprzeciw niej ciałem. Kornel, skutkiem gwałtownego wstrząśnienia, uderzył głową o żelazną ścianę wieżyczki, tłukąc się boleśnie w czoło. Inżynier zdołał utrzymać równowagę, ale wypuścił koło sternicze z ręki. Latarnie elektryczne w wieży pogasły nagle, i dokoła „Neptuna“ zapanował gęsty mrok, w którym nic już nie było widać.

Kornel, wydawszy okropny okrzyk trwogi, wybiegł z wieżyczki kapitańskiej i, chwiejąc się na nogach, pobiegł do saloniku, gdzie znajdowała się Celina.

Tutaj starcie z tajemniczą przeszkodą wywołało jeszcze większy popłoch, niż w wieży kapitańskiej. Wszyscy leżeli na podłodze. Pan Bertheau jęczał, trzymając się za kolano. Profesor, rzucony olbrzymią siłą w sam kąt pokoju, poniósł także jakiś poważniejszy szwank, nie mógł bowiem powstać o własnych siłach. Lequetre omal nie rozbił głową szyby; krew ciekła mu z nosa i uszu. Jedna tylko Celina, siedząca w fotelu, utrzymała się na swojem miejscu.

Była jednak śmiertelnie blada i patrzała na wbiegającego Kornela oczyma, w których malował się najżywszy niepokój.

— Co się stało? — pytała, wyciągając doń ręce.

— „Neptun“ uderzył o skałę podwodną, czy o jakąś inną przeszkodę, której niepodobna było uniknąć w porę — odparł de Convielle, siląc się na spokój.

— Toniemy! — wrzasnął oceanograf, zrywając się na równe nogi.

— Jeszcze nie, ale zdaje się, że trzeba przenieść się czem prędzej do łodzi ratunkowej. Proszę za mną! Ale, na Boga, panowie, nie traćmy zimnej krwi, jeżeli nie chcemy powiększyć grożącego nam niebezpieczeństwa.

Wysunąwszy się z saloniku do sąsiedniej komory, nasi podróżnicy spotkali się tam oko w oko z towarzyszami, równie jak oni wystraszonymi.

Wszyscy śpieszyli do łodzi ratunkowej, prowadzeni przez kapitana Dubois, który z rewolwerem w ręku starał się utrzymywać porządek.

— Pani naprzód! Profesorze, proszę za mną! — krzyczał, odpychając tłoczących się marynarzy i mechaników. — Miejsca starczy dla wszystkich.

Sam odmykał żelazne drzwi, prowadzące do górnej części pudła, gdzie panowały grube ciemności.

Kornel pomagał narzeczonej dostać się do wnętrza. Niebawem wszyscy znaleźli się w łodzi ratunkowej.

— Nie ruszać zasuw, póki nie wydam rozkazu! — upominał kapitan.

— Gdzie Raul? Panie Plot! krzyczał Kornel. — Zaczekajmy na inżyniera.

— Ja pójdę po niego — rzekł fizyk śmiało. — Proszę tylko nie umknąć na powierzchnię beze mnie! — upominał.

Światło elektryczne udało się znów zapalić. Maszyny zatrzymano, ale, rzecz dziwna, „Neptun“ chwiał się silnie wpoprzek i wykonywał gwałtowne oscylacje w kierunku osi podłużnej. Jednocześnie słychać było gwałtowne uderzenia o wodę, niby skrzydeł śruby.

— Co to jest? przecież maszyna stoi! — zauważył Kornel.

Wydobył z kieszeni małą elektryczną latarkę, przysunął ją do tarczy manometru i odczytał głębokość.

— Dziesięć metrów! — zawołał radośnie.

— A więc nie toniemy? — zagadnął Bertheau, przestając na chwilę jęczeć.

— Nie toniemy, przeciwnie znajdujemy się niemal pod samą powierzchnią morza — odparł Kornel.

— Skąd jednak pochodzą te konwulsyjne ruchy? — pytał profesor, który ledwie się ruszał skutkiem potłuczeń.

— Tego właśnie nie pojmuję wcale. Poczekajmy, aż inżynier nam to objaśni.

Cała załoga „Neptuna“, skupiona w łodzi ratunkowej, którą w każdej chwili dałoby się odłączyć od kadłuba, z największą niecierpliwością oczekiwała powrotu Lequetra. Uczony zjawił się niebawem, ale sam.

— Gdzież Raul? — pytał de Convielle, zaniepokojony.

— Pozostał w kapitańskiej wieżyczce.

— Co się stało? — mów pan! — nalegał Bertheau. — Czy trafiliśmy na skałę?

— Tak, na skałę, ale żywą!

— Jak to mamy rozumieć? — pytał profesor.

— „Neptun“ zetknął się z olbrzymim wielorybem.

— Nie może być! Żartujesz pan w takiej chwili! — zawołał z wyrzutem oceanograf.

— Nie żartuję bynajmniej. Bestja nadziała się na naszą ostrogę i rzuca się jak wściekła. To jest właśnie powodem tych ruchów, które wykonywa „Neptun“.

Wieści tej nie dawano jednak wiary.

— Pragnie pan ukryć przed nami niebezpieczeństwo, ale zupełnie niepotrzebnie; jesteśmy przygotowani na najgorsze — rzekła Celina. — Uderzenie było tak straszne, jakby nasz statek rozpadał się na części.

— Nie rozpadł się bynajmniej, a nawet, jak się zdaje,

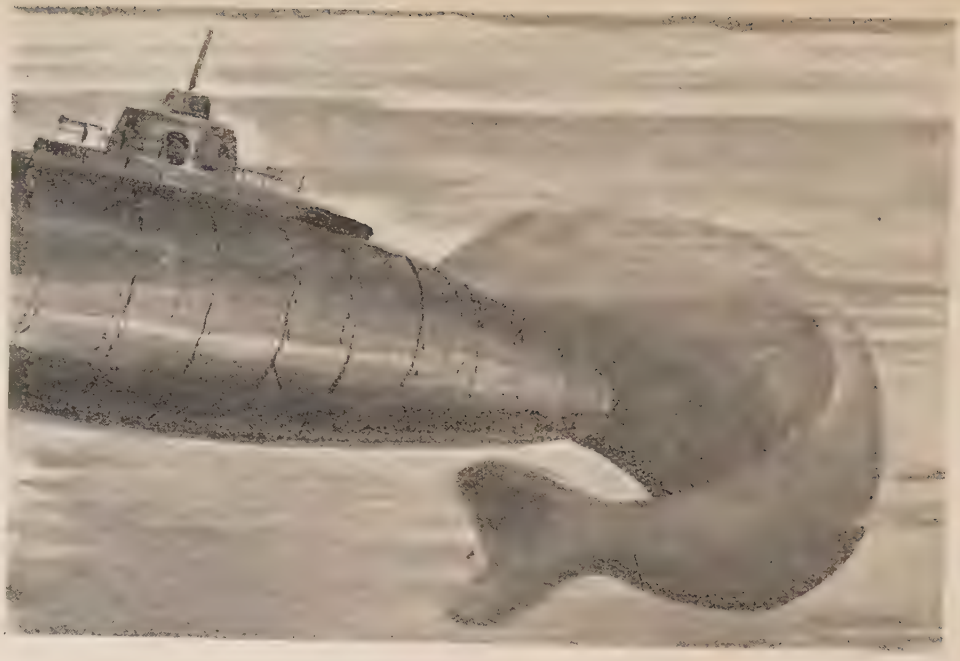

„Neptun“ zetknął się z olbrzymim wielorybem.

nie poniósł poważnych uszkodzeń; ani kropli wody nie dostało się do wnętrza, jak to każdy może się przekonać.

— No, kiedy tak, to wychodzę! — zawołał Kornel.

— I ja! dodał kapitan.

Zimna krew fizyka uspokoiła cokolwiek podróżników. Marynarze jednak, nieufni, pozostali dalej w łodzi ratunkowej, gotowi odczepić ją od „Neptuna". W kwadrans potem wrócił Dubois.

— Wychodzić! — zakomenderował — „Neptunowi" nic nie grozi. Wieloryb wydaje ostatnie tchnienie. Nurkowie naprzód!

Łódź podwodna istotnie nie ulegała już tym zagadkowym wstrząśnieniom, które rzuciły taką panikę. Zapanował spokój.

Dwaj marynarze opuścili łódź ratunkową i w skafandrach udali się do kapitańskiej wieżyczki.

— Najechaliśmy na jakiegoś biednego wala, który nie zdążył w porę ustąpić nam z drogi — rzekł inżynier, który nie opuszczał swego stanowiska. Musimy uwolnić się od martwego cielska. Wziąć topory i marsz na pomost przez frontowy kołpak!

— Obejrzał pan dobrze „Neptuna"? — zagadnął Bertheau.

— Właśnie mam zamiar to uczynić, gdyż udaję się z nurkami na pokład.

— Biedny wieloryb! — westchnęła Celina, która miała, jak każda kobieta, miękkie serce.

— Co, biedny?! — ryknął oceanograf z gniewem. — A któż mu kazał zastąpić nam drogę? Dobrze tak zuchwałej bestji!

— Chciałbym go zobaczyć — rzekł Kornel.

— Nic łatwiejszego. Niech pan obserwuje przez okna wieżyczki kapitańskiej.

Kiedy inżynier w towarzystwie dwóch nurków wydostawał się nazewnątrz statku, Celina, de Convielle i Lequetre ciekawie przyglądali się niewyraźnej masie, tkwiącej na ostrodze „Neptuna“.

Wieloryb musiał wylać dużo krwi, która zmieszana z wodą tworzyła czerwoną mgłę dokoła łodzi podmorskiej.

Niebawem można było dokładnie widzieć olbrzyma. W ostatniej chwili chciał on znać uniknąć kolizji i zawrócił, gdyż taran wbił się w jego pierś cokolwiek z boku i uwiązł bardzo głęboko.

Inżynier zbadał położenie trupa i doszedł do wniosku, że nie przyjdzie tak łatwo uwolnić ostrogi, która trzymała się mocno pomiędzy żebrami.

Zbadawszy sytuację, przekonał się, że ponad statkiem znajduje się morze wolne od lodów. Nic więc nie stało na przeszkodzie, ażeby tej operacji dokonać na powierzchni. Wkrótce też „Neptun“ wypłynął na rozległą przestrzeń wód, i majtkowie, uzbrojeni w długie noże oraz topory, zabrali się do pracy.

Wszyscy podróżni udali się na pokład, ażeby przyglądać się tej operacji.

— Potężna sztuka! — podziwiał Lequetre, który okładał sobie twarz lodem, ale mimo to nie tracił humoru. — Jakim sposobem, u licha, znalazł się ten nieborak na naszej drodze?

— Zdaje mi się, że zwierzę spało na wodzie, a zbudzone łoskotem śruby, uderzającej w wodę, chciało ratować się ucieczką i w tym celu dało nurka. To właśnie okazało się dla niego fatalne. Wieloryb nie ma dobrego wzroku; dostrzegł więc „Neptuna“ dopiero zbliska, kiedy już nie mógł usunąć mu się z drogi. Oto jak sobie wyobrażam okoliczności, towarzyszące starciu, które, chwała Bogu, nie pociągnęło dla nas poważniejszych następstw.

Marynarze ćwiartowali olbrzyma, niby jacy rzeźnicy, i po godzinnej pracy zaledwie uwolnili ostrogę łodzi podmorskiej od wielkiego cielska.

— Nareszcie! — zawołał Kornel, którego ta robota denerwowała. — Czy będziemy zdejmowali położenie geograficzne?

— Dlaczegóżby nie? Słońce jest wprawdzie nisko, jak zawsze w tych okolicach, ale widnokrąg czysty nie przeszkadza obserwacjom — rzekł Lequetre.

Fizyk, korzystając z całkiem spokojnego morza, sam dokonał zdjęcia, które wykazało 87 stopni 52 minuty szerokości.

— No, teraz możemy śmiało powiedzieć, że mamy jeden krok do bieguna! — rzekł Kornel, zadowolony z tego rezultatu. — Dwa i pół stopnia „Neptun“ przepłynie w kilkanaście godzin. Kapitanie, teraz, kiedyśmy się już uwolnili, każ puścić maszyny z maksymalną prędkością.

Dubois kiwnął głową. Nasi podróżni wrócili do wnętrza łodzi podmorskiej. De Convielle pośpieszył podzielić się dobrą nowiną z profesorem i panną Celiną, która właśnie skończyła opatrywanie poszwankowanych podczas starcia. Okazało się, że kilku ludzi z załogi odniosło obrażenia, ale wszyscy w gruncie rzeczy byli zadowoleni, że na tem się skończyło.

Całe towarzystwo zgromadziło się znowu w saloniku.

— Trzeba powiedzieć stewardowi, żeby przygotował kosz szampana, którym, według mnie, należy oblać biegun północny — rzekł Bertheau.

Towarzystwo wybuchnęło śmiechem.

Jeszcze nie przebrzmiała wesołość, wywołana tym projektem, kiedy w saloniku ukazał się kapitan. Jego

twarz, w przeciwieństwie do panującego nastroju, była poważna, niemal surowa.

— Co nam powiesz, kapitanie? — zagadnął Kornel, przeczuwając coś złego. — Dlaczego nie płyniemy?

Dubois zrobił rozpaczliwy gest.

— Nie popłyniemy ani jednej mili dalej! — rzekł ponuro. — Pękł główny wał od śruby!

XVII. Unieruchomieni.

Oświadczenie kapitana padło jak piorun z jasnego nieba.

Nie wszyscy jednak zrozumieli odrazu doniosłość wydarzenia.

— Tam do licha! — zawołał Bertheau, którego dobry humor nie opuszczał. Nowa zwłoka!

— Przystanek tuż przed samą metą! dodał Lequetre.

— Mamy przecież mechaników na pokładzie — wybełkotał Kornel, który poczuł nagłe ściśnięcie w gardle.

Co do inżyniera, ten pobladł i, nic nie mówiąc, wybiegł do komory maszyn.

Podwójne motory Diesela nic nie ucierpiały, jak się okazało, skutkiem starcia; podobnież motor elektryczny. Stało się jednak to, czego twórca łodzi podwodnej najmniej się spodziewał: pękła najsolidniejsza napozór część mechanizmu, wał z kutej stali, mający trzydzieści cm. średnicy, zrobiony, według zapewnienia fabryki, z najlepszego materjału!

Plot nie wierzył własnym oczom, oglądając belkę.

Tak, nie ulegało najmniejszej wątpliwości: wał, czy to skutkiem jakiej ukrytej wady odlewu, czy skutkiem dziwnego przeniesienia się punktów przyczepienia sił w chwili starcia, pękł tuż niemal przy transmisji do motoru elektrycznego.

— Proszę puścić prąd w maszynę — rzekł Raul zmienionym głosem.

Spełniono rozkaz, i zbroja motoru zaczęła się obracać z zawrotną szybkością, nie udzielając jednak ruchu wałowi.

Inżynier pokiwał głową beznadziejnie.

— Nie rozumiem — szeptał sam do siebie: stal, najlepsza stal!

— No, i cóż? — pytał de Convielle, wpatrując się w bladą twarz towarzysza.

Inżynier rozłożył bezradnie ręce.

— Da się zreparować?

Wzruszenie ramionami.

— Nałożymy mufę, którą się wzmocni śrubami?

— Przygotowanie takiej mufy przechodzi środki, jakiemi rozporządzamy — wyszeptał Raul. — Trzebaby zdjąć wał, czego w żaden sposób nie dokonamy na morzu.

— W takim razie przygotujemy dwa półcylindry, które dadzą się nałożyć na wał, bez zdejmowania go — radził Kornel, który w ciągu długich konferencyj z inżynierem zaznajomił się był cokolwiek z mechaniką praktyczną.

— Zastanów się pan, z czego zrobimy te półcylindry? Przecież nie mamy z sobą pieców, w których dałoby się stopić kilkadziesiąt kilogramów stali!

— Tak, rzeczywiście. A czy mamy części zapasowe?

— Nigdy nie przypuszczałem, żeby wał, główny wał!... skąd znowu... jąkał inżynier jak uczeń, złapany na nieznajomości tabliczki mnożenia. Obliczyłem go o sto procent wyżej, niż było potrzeba...

Komitet uczony zgromadził się w całym składzie przy uszkodzonem miejscu, niby grono lekarzy przy łożu chorego.

Nie potrzeba było mieć dyplomu inżynierskiego w kie-

szeni, żeby odrazu poznać wagę tego uszkodzenia. Najważniejszy organ, przenoszący ruch potężnych motorów na śrubę, odmówił posłuszeństwa. Pękł, niby ścięgno achillesowe jedynej nogi „Neptuna“, który został niejako sparaliżowany, pozbawiony możności wykonania najmniejszego ruchu.

- Gdybyśmy mieli dwie śruby... - zaczął Lequetre.

- Statki tej pojemności obywają się jedną odparł inżynier, jakby tłumacząc się. Zresztą inne względy konstrukcyjne zmusiły mnie ograniczyć się do jednej śruby, rozumie pan: tak mi wypadło!

Inżynier, czując może na dnie tego zarzutu pewną drobną dozę słuszności, wpadł niemal w gniew; rzucał na fizyka spojrzenia piorunujące. Niewiele brakowało, żeby mu powiedział impertynencję.

- Jest jednak pojedyńcza śruba, zatem niema o czem mówić! przerwał Kornel, występując w roli rozjemcy.

Więc nie znajdzie się żadnej rady? zagadnęła nieśmiało Celina.

Raul Plot milczał posępnie.

Ha, będziemy próbowali odezwał się główny mechanik chociaż sprawa djabelnie źle się przedstawia.

Taka ilość śrub, jaka okaże się tu potrzebna, osłabi znów wał, który może wnet pęknąć w innem miejscu, i to jeszcze gorzej, niż teraz.

Przygnębienie, niby ciężka zmora, siadło na piersiach wszystkich.

Bertheau przestał żartować; Lequetre, urażony nieco, wymknął się do saloniku; Celina i profesor naśladowali go. Przy wale pozostali: inżynier, Kornel i mechanicy okrętowi.

Odbywano walną naradę. Każdy podawał swój projekt, wszystkie atoli upadły po bliższej rozwadze.

Położenie było rozpaczliwe. „Neptun“ skutkiem doznanego szwanku zamienił się na bezwładną bryłę.

— Być przygwożdżonym tak o krok od celu! — desperował Kornel. — To zaiste przekleństwo! Musimy jednak bronić się, musimy próbować. Przecież nie opuścimy rąk! Nieprawdaż, inżynierze?

Utopił błagalne spojrzenie w nachmurzonej twarzy Plota.

— Tak, zapewne, będziemy próbowali — powtórzył bezmyślnie inżynier, przykładając dłoń do czoła. Ale wypowiadał te słowa machinalnie, jak echo, bez najmniejszego przekonania.

Obmyśli pan co przecie? nalegał Kornel. Taki z pana znakomity inżynier...

Raul uśmiechnął się gorzko.

— Zrobimy wszystko, na co pozwalają nasze środki rzekł. — Panie Rameau! dodał, zwracając się do mechanika: czy mamy stal w blokach?

— Nie zbraknie, panie inżynierze.

A grube bory do wiercenia otworów na śruby?

— Znajdą się także.

— A więc żwawo do roboty!

Wydawszy mechanikom polecenia i wskazówki, inżynier poszedł na chwilę z Kornelem do saloniku, gdzie już było zgromadzone całe towarzystwo.

Panie Dubois, odezwał się do kapitana. — Poinformuj pan z łaski swojej parowiec o naszej przygodzie.

— Już to uczyniłem. Oto depesza, którą właśnie otrzymaliśmy.

Ach! żałują nas. Nie na wiele się nam to przyda. Potrzebujemy pomocy, której nam towarzysze dać nie mogą. Widzę bowiem, że znajdują się o sześćset mil morskich od nas w linji powietrznej. Trudno!

Inżynier wyszedł i przez sześć godzin nie opuszczał kamery, w której dokonywano żmudnej pracy łatania potężnego wału stalowego małemi blokami stali, przykręcanemi przy pomocy śrub.

Po ukończeniu reparacji puszczono w ruch motor elektryczny, dostarczywszy mu o połowę słabszego, niż normalnie prądu.

Śruba obracała się, i „Neptun“ płynął z prędkością zredukowaną do sześciu węzłów.

Idzie jakoś! — cieszył się profesor Moriot.

— Tak, posuwamy się naprzód. Biegun nie ucieknie nam przecież! — dodał Bertheau.

Radość ta nie trwała długo. W godzinę niespełna rozległ się złowrogi chrzęst. Puściło naraz kilka bloków; po chwili odpadła reszta, jak niepotrzebne wiórki. Wał od śruby przepołowił się na nowo.

Inżynier przyjął tę wiadomość niemal z przestrachem.

— No, teraz już wszystko przepadło! — zawołał, rozkładając bezradnie ręce.

Towarzysze jego patrzyli na złamany trzon śruby, jak na bolesną ranę, która krwawiła ich własne ciało sprawiała ból nieznośny.

Zgromadzono się w salonie.

— Położenie jest bez wyjścia — rzekł cichym głosem Plot. — Jedyny organ ruchu „Neptuna“ popsuty nieodwołalnie. Jesteśmy unieruchomieni, przykuci do miejsca, o sto kilkadziesiąt zaledwie mil od celu naszej podróży.

— Więc już nic pan nie może uczynić? — zagadnął ponuro Kornel.

— Nic, gdyż nie posiadam niezbędnych po temu środków.

A jednak trzeba dotrzeć do bieguna! zawołał de Convielle z energicznym gestem. Inżynierze, radźmy

przedewszystkiem nad tem, jak osiągnąć nasz cel. Potem niech się dzieje, co chce!

Młodzieniec, nie upadający na duchu, zebrał wszystkich w jadalni.

Przewodniczył profesor Moriot.

Inżynier Plot oświadcza stanowczo, że nie potrafi zreparować wału, i że „Neptun“ niezdolny jest płynąć dalej — zaczął geograf.

— Ani jednej mili, profesorze.

Wobec tego musimy zastanowić się poważnie, moi panowie, nad tem, co przedsięwziąć, ażeby powrócić do ojczyzny.

— Raczej, żeby dotrzeć do bieguna! przerwał Kornel, powstając.

Dobrze więc, zastanówmy się i nad tem. Kapitanie, daję panu głos, jako najbardziej doświadczonemu z pośród nas wszystkich.

Dubois podniósł się, ale w jego całem zachowaniu się przebijał sceptycyzm.

O tem, żeby przedsięwziąć podróż saniami do bieguna, albo z powrotem, niema co nawet marzyć! rzekł twardo. Według mnie, należy naśladować „Frama“, to znaczy zdać się na łaskę prądów i wiatrów, które, być może, wyniosą nas na północny Atlantyk, ku wschodnim wybrzeżom Grenlandji, jak owe przedmioty z rozbitej „Jeanetty“. Podróż ta trwa rok, dwa, wreszcie trzy lata, ale koniec końców nie mamy nic innego do wyboru. Chyba towarzysze dotrą do nas na parostatku, co uważam za złudę.

Z temi słowy marynarz usiadł i, podparłszy dłonią czoło, pogrążył się w bolesnej zadumie.

— Ja ośmielę się zaproponować inne wyjście odezwał się inżynier. Jak panom wiadomo, górna połowa

naszego „Neptuna“ daje się w razie potrzeby odłączyć od całości. W takim razie mielibyśmy do rozporządzenia pewien rodzaj łodzi, w której, przy pomocy żagli i wioseł, możnaby odbyć kawał drogi, póki jaki napotkany wielorybnik nie zabrałby nas na swój pokład.

– A czy w tej łodzi dałoby się dotrzeć do bieguna? rzucił Kornel, który ciągle myślał o jednem.

— Jak pan sądzi, panie Dubois? zagadnął profesor.

Marynarz potrząsnął głową.

– Ja sądzę, że w naszych warunkach byłoby największą nieroztropnością przedłużać podróż na statku tak źle przystosowanym do żeglugi, jak nasza łódź ratunkowa. W najlepszym razie można jej użyć do powrotu, a i to przedsięwzięcie ma niezbyt wielkie szanse powodzenia.

– Jest kilka saneczek grenlandzkich – zauważył Kornel.

— Ale nie posiadamy psów, któreby je ciągnęły. Zresztą na saneczkach nie dostalibyśmy się do bieguna. Trzebaby mieć jeszcze lekkie kajaki, jakiemi rozporządzał Nansen i jego towarzysz.

– Tak, tak przyświadczał Bertheau – stanowczo trzeba dać za wygraną i pożegnać się z marzeniami dotarcia do samego bieguna. I tak możemy się pochwalić, żeśmy dosięgli 88 stopnia szerokości, czego przed nami nie dokonał żaden statek, pływający po morzu. Łodzi ratunkowej użyjmy potem, żeby jak najbardziej zbliżyć się do naszych towarzyszy, pozostałych na „Celinie“, którą uważam za jedyną naszą deskę ocalenia. Uwiadomimy przy pomocy telegrafu bez drutu wyprawę o naszem postanowieniu połączenia się z nimi. Wówczas oni postarają się zbliżyć do nas, ile możności. Od parowca dzieli nas znaczna przestrzeń, to prawda; ale jeżeli będziemy się posuwali jedni naprzeciw drugim, to odległość ta zmniej-

szy się, i kto wie, czy nie potrafimy jej przebyć szczęśliwie.

Plan oceanografa wydał się wszystkim najpraktyczniejszym. Większość przechylała się stanowczo na jego stronę. Kornel jednak energicznie nalegał na to, żeby jeszcze nie porzucać myśli dotarcia do samego bieguna.

— Panowie, dwieście kilometrów zaledwie dzieli nas od celu, dla którego poświęciliśmy już tyle. Byłoby, według mnie, brakiem energji, ślamazarnością nie do darowania — cofnąć się w takiej chwili. Dwieście kilometrów! Czy panowie słyszycie? To znaczy piętnaście dni drogi po lodach. Weźmiemy saneczki, jedną z naszych małych łódek, i kto wie, czy nie zdobędziemy tej fortecy, pod której murami zatrzymał nas fatalny przypadek! Co do mnie, jestem gotów! Kto idzie ze mną, panowie?

Ale przemowa ta, choć tryskająca zapałem, pozostała bez echa.

— Poszedłbym z tobą, mój kochany chłopcze — rzekł smutnie profesor — cóż jednak! duch ochotny, ale ciało mdłe.

— I ja może towarzyszyłbym panu, ale gdybyśmy posiadali kajaki i psy — dodał Bertheau.

— Więc nikt?...

Milczenie, które nastało po tem rozpacznem pytaniu, było, niestety, aż nadto wymowne.

XVIII. Zuchwała wyprawa.

Myliłby się kto, sądząc, że de Convielle pogodził się z orzeczeniem areopagu, który wydał na jego plany nieodwołalny wyrok śmierci. W duszy młodzieńca wrzał bunt.

— Cofnąć się niemal od progu? Pożegnać się z marzeniami, pieszczonemi od tak dawna, uważanemi już za coś realnego, coś, co niebawem miało przyoblec się w świetlaną rzeczywistość? Uznać się za pobitego, w obliczu swojej damy?

Nie, po stokroć nie! Duma nie pozwoliła Kornelowi na takie zakończenie przedsięwzięcia, w które włożył całą swoją duszę.

Bijąc się z myślami, stał na pomoście „Neptuna“ i utkwił tęskny wzrok w widnokręgu.

Świeżo dokonane zdjęcia szerokości przekonały go, że do bieguna ma zaledwie sto dziewięćdziesiąt kilometrów drogi poprzez lody. Sto dziewięćdziesiąt kilometrów! Tylko sto dziewięćdziesiąt kilometrów! — powtarzał sobie z goryczą.

Nagle czyjaś dłoń spoczęła na jego ramieniu. Obejrzał się. Była to Celina.

— Więc znajdujemy się o niecałe dwa stopnie od bieguna? — rzekła smutnie.

— O piętnaście dni drogi, co najwyżej, to znaczy jesteśmy prawie u samego celu! — zawołał, czując nowy dopływ goryczy do zranionego serca. — Czy to nie tchórzostwo cofać się stąd?

— A jednak... mówią, że trzeba...

Młodzieniec potrząsnął głową.

— Gdybym miał choćby jednego towarzysza, spróbowałbym! — zawołał z zapałem.

— Jakto! nie znalazł się nikt?

— Nikt. O ojcu pani niema co mówić. Ale ani Lequetre, ani Bertheau, ani Dubois! Mają zanadto rozwagi, rozsądku! A to przeszkadza w takich razach — dodał z ironją.

— A inni?

— Kto?

— Ci prości ludzie, tam z dołu, marynarze, mechanicy?

Kornel wzruszył ramionami.

— Wątpię bardzo. Zresztą nie posiadają oni przygotowania.

— Ja wiem o jednym, któryby się zgodził towarzyszyć panu... — szepnęła panna Moriot.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Któż to?

— Przyprowadzę go, chce pan?

Skinął głową machinalnie, bez wiary.

W kilka minut potem Celina powróciła w towarzystwie zasmolonej, wysokiej postaci.

Kornel nie mógł powstrzymać okrzyku zdumienia. Przed nim stał ów mechanik, nazwiskiem Legrand, do którego parę dni temu strzelał z rewolweru.

— Pan... panbyś się zgodził? — bełkotał Kornel.

— Panienka wspominała mi. Słyszałem, co uradzono, i wiem, że pan się nie chce cofać. I ja nie chcę!

— Odważyłby się pan?

— Dlaczego nie? Z takim, jak pan, pójdę wszędzie. Oto moja ręka! Niech pan wali, ale mocno.

Wyciągnął sczerniałą od smaru łapę, w którą Kornel, śmiejąc się, uderzył swoją dłonią.

— Nie ma pan do mnie urazy?

— Za ten strzał niby? Gdzie tam! Właśnie podobał mi się pan. Lubię energicznych ludzi. Jak trzeba pokazać pazury, to się ich nie chowa! Idę z panem, choćby na koniec świata.

— A tak, wybieramy się na sam koniec świata, choć stąd to już wcale niedaleko! Dwieście kilometrów po lodach.

— Pii! Bagatelka. Więcej się chodziło.

Ale będziemy musieli sami ciągnąć sanki.

— Siły mi nie brak! — odparł mechanik, wskazując na swoje muskularne ramiona. — Co tu wiele gadać! Jutro ruszamy. Niech tylko pan wszystko dobrze przygotuje. Pańska głowa, moja ręka! jakoś to będzie. Dobierzemy się do tego bieguna, kiedy panu zależy tak bardzo, żeby tam być. Słyszałem, że takiego, co postawi na nim nogę, to złotem obsypią, i sławny będzie. Mnie tam o pieniądze nie idzie, ale żeby panu dopomóc...

De Convielle uściskał serdecznie mechanika.

— Za parę dni będziemy gotowi — rzekł.

Młodzieniec nie posiadał się z radości, którą dzieliła z nim Celina.

Wieść o zuchwałym planie de Conviella rozeszła się lotem błyskawicy.

Starano się wyperswadować „szalony krok“ — jak się wyrażał Bertheau — młodzieńcowi, ale daremnie. Trwał

on niezłomnie przy swojem postanowieniu i z zapałem wziął się do niezbędnych przygotowań.

Wydobyto ze składu parę doskonałych saneczek grenlandzkich, dwie pary nart. Zamiast jednej ciężkiej łódki z blachy stalowej, którą rozporządzał „Neptun“, postanowiono zrobić kajak. Marynarze, pod kierunkiem Kornela, wzięli się energicznie do pracy. Szkielety zrobiono z rurek stalowych i pokryto je skórami z morsów. W ten sposób powstały dwa małe lekkie i bardzo trwałe stateczki, nie ustępujące bynajmniej kajakom grenlandzkim.

Wzięto zapasów żywności na trzy miesiące. Składały się one z pemmikanu, którego zalety odżywcze są powszechnie uznane, z masła, czekolady, sucharów, mleka w proszku, cukru. Uszyto obszerny worek futrzany do spania. Co zaś do odzieży, to „Neptun“ był zaopatrzony na wszelki przypadek w kilkanaście kostjumów, specjalnie sporządzonych do podróży po lodach.

Ułożono się, że „Neptun“ będzie oczekiwał przez cały miesiąc na powrót de Conviella i jego towarzysza i codziennie, przy pomocy telegrafu bez drutu, będzie komunikował podróżnikom, gdzie się znajduje. Ma się rozumieć, że Kornel zabrał z sobą mały aparat przyjmujący depesze, który ważył zaledwie kilka kilo i niewiele zajmował miejsca.

W cztery dni po zepsuciu się wału nasza dwójka była gotowa wyruszyć w drogę.

Kornel, mając zamiar naśladować we wszystkiem Nansena i Johansena, był jak najlepszej myśli. Spodziewał się w przeciągu piętnastu dni, przy sprzyjających warunkach, dostać się pod sam biegun, a potem, dokonawszy niezbędnych obserwacyj, wracać swemi własnemi śladami.

Celina w głębi serca drżała o życie swego narzeczo-

nego, ale nie okazywała bynajmniej zaniepokojenia nazewnątrz; przeciwnie, żegnała Kornela z uśmiechem na ustach, dodawała mu na wszelkie sposoby odwagi, czego jednak młodzieniec, zdecydowany na wszystko, bynajmniej nie potrzebował.

Ostatni dzień przed odjazdem przeznaczył na naukę jazdy na nartach dla Legranda, któremu ten srodek przenoszenia się z miejsca na miejsce był zupełnie obcy.

Okazało się, że mechanik posiadał wrodzone zdolności w tym kierunku i już po kilkunastu godzinach praktyki potrafił nieźle się ślizgać po równej powierzchni lodu.

Zbliżała się stanowcza chwila. Wyładowano sanki i kajaki na ławicę lodową, upakowano najstaranniej zapasy, broń, amunicję i odzież. Cała załoga „Neptuna“ wyległa na pokład, ażeby pożegnać swego kierownika. Legrand zamieniał potężne uściśnienia dłoni z kolegami.

— Wie pan, — rzekł na stronie do Kornela — jestem pewien, że teraz mi zazdroszczą. Niejeden chętnieby mnie zastąpił. Ale nic z tego! nie głupim wyrzekać się nagrody, która nas czeka. Prawda, proszę pana?

De Convielle nie mógł powstrzymać uśmiechu, słysząc te słowa dzielnego mechanika.

I on ze swej strony żegnał się z towarzyszami. Profesor Moriot, jako patrjarcha wyprawy, pobłogosławił młodzieńca na drogę; panna Celina wręczyła mu to, o czem oddawna marzył w skrytości ducha — mały, ale bezcenny dlań pierścionek zaręczynowy.

— Teraz — albo zginę, albo odkryję biegun północny! — postanowił sobie uszczęśliwiony młodzieniec.

Na ławicy brakowało ednego Lequetra. De Convielle zbiegł do jego kajuty.

— No, jeszcze z panem! — zawołał, rzucając się na

szyję fizykowi, który leżał na swej kanapce, pogrążony w głębokich rozmyślaniach. — Do widzenia!

— Poczekaj pan — rzekł fizyk, nie ruszając się z miejsca — przychodzi mi do głowy pomysł!

— Ależ a odjeżdżam za chwilę! Czy zechce mnie pan wraz ze wszystkimi odprowadzić kawałek?

— Co? Jedziesz pan? Ależ to szaleństwo! — zawołał Lequetre, zrywając się. — Zatrzymaj się pan przez kilka dni chociaż! Proszę pana o to najusilniej!

— Ani jednej godziny, proszę pana!

— Powtarzam panu, że wpadł mi do głowy pewien koncept, jak sądzę, wcale niezły.

— Nie pojmuję, co to ma do rzeczy, proszę pana! — rzekł podrażniony nieco zachowaniem się uczonego de Convielle. — Postanowiłem wyruszyć do bieguna i wyruszam natychmiast! Nie należę do ludzi, którzy się cofają w ostatniej chwili!

— No, tak, tak... wypada mi podziwiać pańską stanowczość; ale gdyby pomysł mój okazał się praktycznym, wówczas...

— Cóż wówczas? przerwał zniecierpliwiony tą zwłoką Kornel.

— Wówczas może podróż pańska okazałaby się zbytecznym wysiłkiem.

— Powiedz pan nareszcie, jaki związek istnieje między pańskim pomysłem a moim wyjazdem? Tam wszyscy czekają na mnie!

— Znalazłem sposób zreparowania wału!

De Convielle potrząsnął głową z niedowierzaniem i spojrzał na uczonego wzrokiem, który wydał się temuż obrażającym.

— No, no, nie zwarjowałem jeszcze, chwała Bogu,

chociaż zaczynasz pan uważać mnie za bzika! — zawołał.

Kornel nie chciał jednak odkładać podróży; pożegnał więc raz jeszcze Lequetra.

Fizyk przebiegł po kładce, łączącej „Neptuna“ z ławicą, na której byli już zgromadzeni wszyscy, pragnący odprowadzić wyprawę, i zatrzymał się przed inżynierem.

— Stójcie! — zawołał z gestem rozkazującym. — Zanim wyruszycie, muszę zadać panu, panie inżynierze, jedno pytanie, od którego zależy los nas wszystkich.

Obecni, słysząc to wezwanie, utkwili pełen zaciekawienia wzrok w rozognionem obliczu fizyka.

— Słucham pana, — rzekł Plot.

— Otóż chciałem pana zapytać, czy mamy aluminjum! Potrzebuję aluminjum, dużo aluminjum! Dajcie mi kilkanaście funtów aluminjum a przywrócę wam swobodę ruchów!

Wszyscy obecni wybuchnęli głośnym śmiechem.

— Ha, ha, ha! — ryczał mareograf, zataczając się. — Trudno zaiste dociec, jaki związek ma aluminjum z wyprawą do bieguna!

— Ma, i to bardzo ścisły.

— Ależ to absurd!

Lequetre zrobił rozpaczliwy gest.

Kornel słuchał czas jakiś tej rozmowy, wreszcie zniecierpliwiony, ponownie wyciągnął dłoń do Lequetra.

— No, nie mam czasu do stracenia! — rzekł. — Żegnam pana.

— Jedziemy, jedziemy! — nalegał Legrand, zaprzęgnięty już do swoich saneczek.

— Więc? — nalegał zaczerwieniony po same uszy fizyk. — Nie poczeka pan?

W odpowiedzi de Convielle potrząsnął go za rękę.

— Do widzenia z kochanym panem. Skoro tylko się dowiem, że „Neptun“ jest zdolny do żeglugi, przerywam podróż, i płyniemy razem! Teraz jednak... w drogę!

Z temi słowy Kornel ruszył na czele wyprawy, ciągnąc za sobą naładowane saneczki. Za nim podążył cały sztab wyprawy podbiegunowej wśród śmiechów i żartów. Lequetre pozostał sam.

XIX. Pomysł Lequetra.

Fizyk stał nieruchomie na niskim pokładzie „Neptuna“ i patrzał z ironicznym uśmiechem na znikającą poza wzgórkami lodowemi wyprawę. Potraktowano go z lekceważeniem, niemal pogardliwie, nie uwierzono w jego pomysły. Czuł głęboką urazę za to do Conviella i do inżyniera Bertheau, który wydał mu się wprost niegodziwcem.

Pomścić się! Pomścić na nich wszystkich! Uzależnić ich od siebie, zrobić im przysługę tak wielką, która byłaby niemal dobrodziejstwem z jego strony! zmusić ich, żeby mu byli wdzięczni, żeby upokorzyli się przed jego czynem, jego rozumem. Tak, to będzie zemsta największa, jaką człowiek honoru spełnia na swoich przeciwnikach.

Niema ich, odeszli. Oto posuwają się z trudnością, bez nart, po chropowatej powierzchni ławicy; starają się nadążyć za Legrandem, który sunie żwawo na czele. Ciężkie sanki wydają mu się piórkiem. Z początku zawsze tak bywa. Zwolni kochaneczek kroku, kiedy przejdzie dziesięć mil! Nie tak to łatwo odbywać podróż po krach, mijać przerwy, słone jeziorka, rozlewające się po ławicy, przenosić sanki przez barjery, powstałe skutkiem ciśnienia lodów. Zakosztujecie tych przyjemności, a potem, kiedy już będziecie zniechęceni, kiedy dacie za wygraną, przyjdzie on, Lequetre, i żartując, zrobi to, co się wam wyda

już niewykonalnem! Ha, ha, ha! Ale musicie poczekać na ten „cud“. Tak, na cud! Będziecie się wprzód trapili, stracicie nadzieję, przestaniecie się śmiać głupio i lekkomyślnie.

W pół godziny potem wyprawa i odprowadzający ją zniknęli na widnokręgu, przysłoniętym subtelną niebieskawą mgłą. Fizyk zapalił papierosa. Teraz na otwartem powietrzu mógł sobie na to pozwolić.

Puszczając kłęby dymu, wrócił do wnętrza „Neptuna“. Ale zamiast się położyć na swojej kanapce, udał się do składu materjałów.

Aluminjum, aluminjum! W tej chwili umysł fizyka był pochłonięty żądzą znalezienia potrzebnej ilości tego miękkiego, lekkiego metalu, który dzięki elektrolizie stał się w ostatnich czasach dość pospolitym.

Niestety, nie było w magazynach „Neptuna“ większych ilości aluminjum. Zawiedziony Lequetre poszedł do kuchni i tam, ku wielkiej swojej radości, znalazł kilkanaście kubków i talerzy, zrobionych z tego metalu. Pomiędzy przedmiotami, pozostawionemi przez Kornela jako zbyteczne, znajdowały się także naczynia glinowe.

Fizyk zważył wszystko razem. Okazało się, że zgromadził zaledwie dwa kilogramy glinu.

Zmartwiony, zaczął robić uważny przegląd przedmiotów, znajdujących się naokoło niego.

Bacznie śledząc wszystko, odkrywał od czasu do czasu coś zrobionego z tego metalu. Bez wahania popsuł niepotrzebny już teodolit, którego podstawa była sporządzona z glinu, i kilka innych instrumentów mniej ważnych. Nie zawahał się nawet dokonać pobieżnego przeglądu rzeczy, należących do współtowarzyszów podróży.

Oprawy nożyków, flakonów od perfum w buduarze Celiny, noże do przecinania kartek, słowem wszystko, co tylko było zrobione z glinu, stawało się jego zdobyczą.

Znosił tak żądany materjał do swej kajuty, z lubością spoglądając na rosnący w jego oczach stos białego kruszcu. Stawał się podobnym do kruka, kradnącego wszędzie, gdzie się da, błyszczące przedmioty i gromadzącego je.

Nareszcie, zrządziwszy istne spustoszenie, odetchnął.

Zapas aluminjum ważył niemal 5 kilogramów. Miał nadzieję, że mu to wystarczy

Ale nie zabrał się zaraz do pracy. Siadł w swojej kajucie i, dokonawszy jakichś tajemniczych obliczeń z formułkami chemicznemi, wślizgnął się do kamery, gdzie stały akumulatory.

Podumał tutaj jakiś czas, potem powlókł się do kajuty mechaników.

Na „Neptunie“ pozostali marynarze i kilku rzemieślników; między nimi monter-elektrotechnik.

— Czy mamy na pokładzie tygle do topienia metalów? — zagadnął go fizyk.

— Trzeba będzie poszukać — odparł monter, skrobiąc się w głowę.

— Poszukaj więc. Jeżeli znajdziesz, otrzymasz dwadzieścia franków w nagrodę.

W parę godzin potem fizyk znalazł się w posiadaniu kilku tygielków z gliny ogniotrwałej. Był znać zadowolony, bo zacierał ręce.

A może jest i glina surowa? — pytał.

Z tym materjałem była trudniejsza sprawa. Po długich myszkowaniach Lequetre wyszperał kilkaset sztuk białych rurek z kaolinu wypalonego, które służyły do izolowania przewodników elektrycznych.

Skonfiskował je i zazdrośnie schował w szufladzie swego stołu.

Teraz posiadł już wszystko, miał różdżkę czarno-

księską, które edno skinienie wystarczało, żeby dokonać cudu wskrzeszenia „Neptuna“ do nowego życia.

Ale nie śpieszył się bynajmniej. Poco? Miał czas. Nic nie groziło statkowi, który leżał wpośród wielkiego jeziora, między obszernemi krami.

Uczony przerobił raz jeszcze swoje obliczenia. Wypadły mu dobrze. Nie mylił się. Mógł działać w każdej chwili. To przeświadczenie wystarczało mu. Miał w sobie zaklętą siłę.

Nastawił aparat do telegrafji bez drutu i zawiązał komunikację z „Celiną“.

Na parowcu wszystko odbywało się w porządku. Walczono z silnem ciśnieniem lodów, ale parowiec wyszedł z niego bez szwanku. Obecnie znajdował się o pół stopnia bardziej na północ. Geolog, pan Carré, przyrodnik, kapitan, radzili, żeby towarzysze starali się do nich zbliżyć na łodzi ratunkowej. Wyrazili swój podziw dla szalonej odwagi Kornela, który niemal sam jeden nie wahał się zapuścić w pustynię lodową dla osiągnięcia celu. Przesyłali życzenia, żałowali, że nie są w możności przyjść kolegom z pomocą.

— Tak, niema co na nich liczyć! — powtarzał sobie fizyk.

Ale w gruncie rzeczy niewiele go to obchodziło.

Był pewny swego.

Zjadł obiad sam jeden, potem najspokojniej wziął fuzję i poszedł na ławicę strzelać mewy. Nad wieczorem powrócił z obfitą zdobyczą i w doskonałem usposobieniu ducha położył się spać.

Kiedy nazajutrz obudził się z głębokiego snu, wszyscy znajdowali się już na pokładzie. Nie starał się jednak zobaczyć z nikim. Przy stole zachowywał pełne godności milczenie.

Niebawem, ku wielkiemu swemu zadowoleniu, zauważył pewne objawy zniecierpliwienia u inżyniera.

Plot miał widoczną ochotę zapytać go o treść pomysłu, ale wahał się onieśmielony. Postanowiono oczekiwać, jak się umówiono, przez 30 dni na powrót Kornela. Fizyk nie oponował ani słowem, jak gdyby zapomniał zupełnie o swych planach, zajął się gorliwie spostrzeżeniami nad magnetyzmem ziemskim i cały zatonął w swych pracach naukowych. Rozmawiał z kolegami bardzo mało. Wolne chwile spędzał na polowaniu, albo zamykał się w swojej kajucie z książką w ręku.

W ten sposób minęło parę dni.

Nareszcie inżynier, nie mogąc dłużej wytrzymać, zbliżył się pewnego dnia do Lequetra, kiedy ten kończył swoje spostrzeżenia w małem laboratorjum, urządzonem na ławicy.

— Obiecywał pan nam zreparować wał od śruby — zaczął. — Czy mogę wiedzieć, w jaki sposób zamierza się pan wziąć do tego? — zagadnął, zamieniwszy kilka obojętnych frazesów.

— Przecież mamy czekać na powrót pana de Convielle — odparł fizyk.

— No, tak, ale to nie zmienia stanu rzeczy. „Neptun“ jest niezdolny do dalszej żeglugi, a przyznam się panu, że projekt podróży w łodzi ratunkowej wydaje mi się nader ryzykowny.

— Nic pilnego—rzekł Lequetre po chwili milczenia.

— Ja zaś sądzę, że lepiej spożytkować czas, którym teraz rozporządzamy.

— Hm, któż mi zaręczy, inżynierze, że pan de Convielle nie przekłada dotrzeć do celu naszej wyprawy na saniach? To kwestja gustu. Zbyt gładka droga nie każdego nęci. Pokonawszy wielkie trudności, osiąga się pewien

triumf, większy może, niż dopłynięcie do bieguna na łodzi, choćby tak genjalnie zbudowanej, jak pańska.

Lequetre czuł, że w swej złośliwości przeholował nieco. Zamilkł więc i skierował rozmowę na inny temat.

Kiedy nie będzie innego wyjścia, chętnie będę do pańskich usług — rzekł, rozstając się z inżynierem.

Fizyk czuł, że w stosunku do Plota wymierzył już sobie satysfakcję. Z Kornelem miały go obrachować okoliczności.

Nie pozwoliły one długo na siebie czekać. Żywioły trzymały znać stronę mściwego fizyka.

W tydzień bowiem po opuszczeniu przez śmiałych podróżników „Neptuna“, zerwała się znów jedna z tych nawałnic polarnych, które mogą doprowadzić do rozpaczy najbardziej wytrwałego i energicznego człowieka.

Pierwszym zwiastunem nadciągającej walki żywiołów był niezmiernie silny i nagły spadek barometru; niezwłocznie potem niebo, dotąd czyste, zaciągnęło się ciemnemi, ciemnobrunatnemi chmurami, które biegły nisko nad ziemią. Zaczął padać gęsty śnieg, którego płatki były podobne do kwiatków ostu. Wiatr zmienił kierunek z północnego na południowo-zachodni i w przeciągu kilku godzin doszedł do siły orkanu.

Niebo, lodowce, morze, wszystko to utonęło we mgle wirującego śniegu. Na kilka kroków niepodobna było odróżnić najwydatniejszych przedmiotów. Jezioro, wpośród którego spoczywał „Neptun“, niedawno spokojne, gotowało się jak jeden wielki kocieł. Inżynier niespokojnie przypatrywał się temu nowemu wybuchowi w łonie atmosfery; rozumiał, że niepodobna oczekiwać na powierzchni końca tych walk, jakie sobie wydały ciemne duchy dalekiej północy. Należało szukać schronienia w łonie wód, co było połączone z wielkiem niebezpieczeństwem. „Neptun“

obecnie był pozbawiony możności przenoszenia się z miejsca na miejsce. Jeżeli więc kry zamkną się ponad nim, jak odszukać potem miejsce wolne od lodów? Otwierała się znów smutna perspektywa wiercenia kry, braku powietrza, słowem, mogły się powtórzyć wszystkie okropności, niedawno przeżywane i tkwiące bolesnemi kolcami w pamięci wszystkich uczestników wyprawy.

Jeżeli Raul Plot myślał o bezpieczeństwie swego statku, to Celina Moriot ze swej strony drżała o los wyprawy, złożonej z dwóch tylko ludzi, bez pomocy psów, a nie znających pułapek, zastawionych przez polarną przyrodę na każdym kroku wśród zdradzieckich lodów. Wyobrażała sobie sceny, które nie pozwalały jej ani na jedną godzinę zmrużyć oka.

Tylko ojciec podzielał jej trwogę, rozumiejąc, co się dzieje w duszy córki.

— Niewątpliwie będą mieli ciężkie chwile — rzekł, uspokajając ją. Ale są silni, dzielni, mają z sobą wszystko, co najniezbędniejsze. Może więc wyjdą cało.

Zbudują sobie domek z lodu i śniegu na wzór Eskimów i przeczekają w nim burzę.

— A czy potrafią? — pytała panna, ocierając łzy.

— Nie jest to tak dalece trudno. Zresztą posiadają namiot, pod którym burza nie wyrządzi im nic złego. Żywności im nie brak, nie potrzebujesz się o nich lękać, moje dziecko.

Pod wpływem tych słów, podyktowanych gruntowną znajomością rzeczy, młoda panna uspokoiła się nieco.

Kiedy jednak burza rozszalała się na dobre, kapitan Dubois kazał napełnić zbiorniki powietrza pod największem dopuszczalnem ciśnieniem, i „Neptun“ dał nurka na sześćdziesiąt metrów pod powierzchnię morza, dokąd dochodziły tylko słabo echa burzy, jako głuche odgłosy

pękających ławic. Morze w tej warstwie było zupełnie spokojne, i łódź drzemała sobie w otchłani niby wielka ryba.

Atmosfera i ocean zmagały się z sobą w ciągu sześciu dni i nocy, poczem zapanował znów błogosławiony spokój.

Kiedy inżynier przekonał się, że między żywiołami nastąpiło zawieszenie kroków nieprzyjacielskich, kazał opróżnić zbiorniki, i „Neptun“ wynurzył się na powierzchnię.

Po dawnemu jednak nie mógł poruszyć się ani na jeden metr w kierunku poziomym.

Kapitan i Bertheau czuli, że będą musieli „iść do Kanossy“.

— A jednak należałoby przebłagać tego Lequetra, i niechby spróbował zreparować wał — rzekł Dubois.

— Wątpię, czy zechce. Obraził się na mnie — odparł melancholijnie oceanograf.

— Cóż u licha, przecież tu idzie także i o jego własne bezpieczeństwo! — zaklął marynarz.

— Oh, Lequetre niewiele sobie robi z tego wszystkiego. Ma do nas urazę i pragnie nas upokorzyć. Czuję to doskonale.

— Więc może profesor, który, jak mi się zdaje, nie naraził się w niczem naszemu magikowi... — zaproponował kapitan.

— Mam myśl! — zawołał nagle inżynier. — Panna Celina!

— Tak, ona nie była wcale obecna podczas owej sceny; Lequetre nie zdoła jej się oprzeć.

Panna Moriot, wtajemniczona w sytuację, zgodziła się wziąć na siebie przebłaganie fizyka.

— Mój Boże, mówiła z nieudanemi łzami w niebieskich oczach. Wkrótce mija już termin, oznaczony przez Kornela na jego powrót. Kto wie, czy nie dokonawszy tego, co sobie zamierzył, nie znajduje się wpobliżu

„Neptuna“. Jeżeli pan nie dokona tego cudu, który pan nam obiecał, i nie przywróci życia naszej martwej łodzi podwodnej, to zginiemy wszyscy, a najpierw on, Kornel, i ten poczciwy Legrand. Niema, według mnie, ani godziny do stracenia, kochany panie Lequetre. Niech pan to zrobi dla mnie, błagam pana na wszystko!

Łzy, złożone jak do modlitwy dłonie, niepokój śmiertelny, brzmiący w każdem słowie Celiny, zmiękczyłyby nawet skałę. To też fizyk poczuł, że upór jego i mściwość topnieją, jak śnieg pod palącemi promieniami słońca.

— Nie sądź, pani, że mam środek bezwzględnie pewny — rzekł. — Przyszedł mi jedynie do głowy pomysł, który może jeszcze okazać się niewykonalnym. Idzie mi głównie o panią — tak! i słusznie pani przypuszcza, że de Convielle może się znaleźć w niebezpieczeństwie. Spróbuję zatem!

— Dzięki, dzięki! — rzekła Celina.

Chciała uścisnąć dłonie fizykowi, ale ten wyrwał je z rumieńcem na twarzy.

— Nie, nie, zawcześnie. Muszę wprzód dowieść, że zasłużyłem na to. A więc zaczynamy. Niech pani jednak nie sądzi, że to pójdzie szybko. Mam do zwalczenia wielkie trudności.

Fizyk dotrzymał słowa. Oświadczywszy inżynierowi, że bierze do swego rozporządzenia wszystko, co tylko będzie uważał za potrzebne, założył w kamerze maszynistne laboratorjum chemiczne i elektryczne. Kazał nastrugać mechanikom wiórów żelaznych, sam zaś wziął się do budowania pieca elektrycznego.

Kiedy dostarczono mu kilkanaście kilogramów opiłków, zaczął je ogrzewać przy silnym dostępie powietrza.

Pierwsza część zadania polegała na przygotowaniu dostatecznej ilości tlenku żelaza, co zresztą dzięki pie-

cykowi elektrycznemu, sporządzonemu naprędce z ogniotrwałych materjałów i z koksowych elektrodów, nie nastręczało wielkich trudności.

Strugowiny żelazne, prażone do białości, w dostępie powietrza pokrywały się ciemną warstwą tlenku, aż wreszcie, po kilkunastu godzinach, zamieniły się w całości na bogaty w tlen związek chemiczny. Lequetre kazał utłuc go miałko, potem przy pomocy mechaników zbudował mały młynek, przeznaczony do sproszkowania zgromadzonych z takiemi przeszkodami przedmiotów aluminjowych. Pochłonęło to całą dobę, drugie tyle czasu zajęło zmielenie glinu. Po uciążliwej pracy Lequetre wreszcie ujrzał się w posiadaniu kilkunastu kilogramów sproszkowanego aluminjum, które w starannie przez siebie obliczonej proporcji zmieszał z tlenkiem żelaza.

— No, i cóż pan z tem będzie robił? — pytał profesor Moriot, który razem z inżynierem śledził z wielkiem zainteresowaniem te wszystkie tajemnicze przygotowania,

— Proszek, który pan widzi — odparł po pewnem wahaniu fizyk — jest źródłem ciepła, którego potrzebuję do zlutowania pękniętego wału od śruby.

— Ciepła? A czyż piec elektryczny nie da panu wyższej temperatury?

— Lutowanie przy pomocy łuku Volty nie dałoby wyników pożądanych, profesorze. Muszę mieć temperaturę bardzo wysoką, a więc należy skoncentrować w pewnej ograniczonej przestrzeni wielkie ilości cieplika, wystarczającego do zlutowania części zgruchotanego wału. Wiecie panowie — dodał — że niektóre metale, mające silne powinowactwo do tlenu, ogrzane w powietrzu, palą się, przyczem wytwarza się bardzo wysoka temperatura. Należy do nich powszechnie znane magnezjum, które

płonie bądź w formie proszku, bądź wstążki czy drutu. Aluminjum posiada podobną własność. Zmieszawszy ten metal z jakiem bogatem w tlen ciałem, np. z kali chloricum lub kali hypermanganicum, otrzymujemy proszki szybkopalne. Temperatura, jaka się wytwarza przy spalaniu glinu lub magnezjum, dochodzi do pięciu tysięcy stopni. Otóż ja muszę właśnie otrzymać ze trzy tysiące stopni ciepła. Trzeba dodać, że nie mogę spalić glinu odrazu, w formie wybuchu, gdyż tą drogą nie doszedłbym do celu. Przeciwnie, należy ile możności zwolnić przebieg gorzenia proszku aluminjowego. Zamiast więc kali chloricum albo nadmanganianu potasu użyję tlenku żelaza. Reakcja odbędzie się nie tak szybko, ale wytworzona temperatura będzie niemal równie wysoka.

Inżynier zaczynał pojmować.

— Więc ma pan zamiar stopić wał? zagadnął.

— Tak jest, stopić, inżynierze, ale nie w całości, lecz jedynie w miejscu złamania.

— Jakże pan tego dokaże, nie ruszając wału z miejsca? — pytał profesor z niedowierzaniem.

— Nie potrzebuję go wcale zdemontować, profesorze. Na szczęście dla nas, część uszkodzona jest łatwo dostępna z każdej strony, i to mi znakomicie ułatwia zadanie.

— Istotnie, wpadł pan na bardzo oryginalny pomysł — bełkotał inżynier. — Nic podobnego nie przyszłoby mi do głowy; przyznaję to otwarcie.

— Kiedy przystąpi pan do lutowania? — pytał Moriot, widząc na sobie niecierpliwe spojrzenia Celiny.

— Jutro, proszę pana.

Nie potrzeba chyba mówić, z jaką natężoną uwagą oczekiwano stanowczej chwili.

Otoczono kołem fizyka, który pracował, jakby nikogo przy nim nie było.

Przygotowania, bardzo proste, posuwały się szybko naprzód.

Lequetre kazał zrobić z grubej blachy żelaznej rodzaj pudła, które ujmowało uszkodzoną część wału, tak jednak, że między jego ścianami a belką stalową znajdowało się miejsce dostateczne do pomieszczenia kilkunastu litrów mieszaniny.

Uprzednio jednak pokryto wnętrze pudła grubą na kilka centymetrów warstwą ogniotrwałego materjału, mającego zapobiec przepaleniu i stopieniu blachy żelaznej.

Trzeciego dnia pod wieczór fizyk wsypał do wysuszonego starannie pudła swój proszek, ubił go mocno i oznajmił, że wszystko gotowe.

— Czy możemy być obecni? — pytał Bertheau, który, niezdolny pokonać swej ciekawości, znajdował się także w komorze. — A może nastąpi wybuch?

— Jest pan zupełnie bezpieczny — odparł z lekkim uśmiechem fizyk. — Reakcja powinna zachodzić spokojnie; chyba, że w glinie, zabezpieczającej pudło, znajduje się nieco wilgoci, w takim razie bowiem metal rozpalony wyprysnąłby, i nie obeszłoby się bez boles ch poparzeń.

— Ale jest sucha?

— Przypuszczam, że tak.

Mareograf uznał jednak za rzecz stosowną trzymać się zdaleka. Inżynier zaś, profesor, a nawet panna Celina stanęli przy samem pudle.

Lequetre, przy pomocy płonącej wstążki magnezjowej, podpalił w kilkunastu naraz punktach proszek. Ku wielkiemu zdziwieniu obecnych, zajmował się on niechętnie, jakby z trudnością i stopniowo, poczynając od górnej warstwy. Punkty jasno czerwone rozszerzały się

i pogłębiały równocześnie, powoli cała masa zaczęła się żarzyć ze wzrastającą energją. Od jasnej czerwoności przechodziła do białości. Po kilku minutach zaczęła wydawać tak silne światło, że raziło wzrok. Glin płonął kosztem tlenu, zawartego w tlenku żelaza. Odbywało się to, co w języku chemicznym nazywa się redukcją. Aluminjum, łącząc się z tlenem, zapożyczonym od sąsiada, zmieniało się w czystą glinkę, która w postaci półpłynnego szlaku wydobywała się na powierzchnię. Żelazo zaś czyste, ciekłe w tej niezmiernie wysokiej temperaturze, opadało na dół, podpalając coraz to głębsze warstwy proszku. Niebawem cała masa żarzyła się oślepiającym blaskiem, który był tak silny, że wszyscy musieli zasłaniać oczy.

— Jesteś pan istnym alchemikiem! — zawołała Celina.

— Nie mogę patrzeć dłużej! — rzekł Moriot, wycofując się.

— Tak jest, panowie — objaśniał fizyk. — W pudle panuje w tej chwili gorąco, które w przybliżeniu można określić na trzy tysiące stopni. Nic więc dziwnego, że w takie temperaturze topnieje nietylko żelazo pochodzące z redukcji tlenku, ale i stal, z której zrobiony jest wał naszej śruby.

— Wspaniałe! — zawołał zachwycony inżynier.

W dwadzieścia minut po podpaleniu cała masa zawarta w pudle zamieniła się w rozżarzoną do jasnej białości, wrzącą ciecz, pokrytą warstwą kożucha. Powoli jednak stygła, przechodziła przez wszystkie odcienie od fioletowej białości do niebieskiej, potem czysto białej, jasnopomarańczowej, żółtej. Wrzenie wkońcu ustało.

— No, cieszę się, że powłoka wytrzymała — rzekł Lequetre, uśmiechając się. — Inaczej bowiem żelazo pomieszane ze stalą wyciekłoby na podłogę, i musielibyśmy

wyrzec się wszelkiej nadziei. Niebawem metal ostygnie, i wówczas będziemy mogli sprawdzić, czy pożądany rezultat nastąpił.

Cierpliwość zgromadzonych była narażona na ciężką próbę. Okazało się bowiem, że metal zawarty w pudle stygł przez dwie godziny blisko, chociaż polewano go wodą.

Po upływie tego czasu Lequetre dał znak mechanikowi. Zdjęto ostrożnie biachę znajdującą się pod nią skorupę glinianą, do połowy zeszkloną. Koniec końców ukazał się blok metalu, pokryty z wierzchu kilkunastocentymetrową warstwą białego żuzla. Kiedy nareszcie usunięto młotkiem żuzel, ukazał się zgrubiały wał śruby. Miejsce zepsute było jakby ujęte w żelazny pierścień, który po zaatakowaniu go pilnikami okazał się niemal jednolitą, miękką stalą.

Lequetre uderzył weń młotkiem, badając naturę dźwięku przyłożonem do bloku uchem. Na twarzy jego zajaśniał nagle odblask triumfu.

— Zdaje mi się, że jest dobrze — rzekł.

Inżynier sprawdził ze swojej strony i skinął głową.

— Tak, metal jest jednolity — rzekł.

— No, można puścić prąd, inżynierze. Tylko ostrożnie.

Plot wydał polecenie. Po chwili motor elektryczny zaczął się obracać, a z nim wał śruby. Wszyscy śledzili z biciem serca tę decydującą próbę.

Słychać było wyraźnie uderzenia skrzydeł śruby. Inżynier stopniowo przyśpieszał liczbę obrotów. „Neptun“ zaczął płynąć ze wzrastającą prędkością. Czuć było wyraźnie wibrowanie całego kadłuba statku. Trzon nie ustępował, przeciwnie, wydało się, że jest teraz mocniejszy, niż dawniej.

Wszystkie oczy były utkwione w uśmiechniętej łagodnie twarzy Lequetra, z wyrazem niekłamanego uwiel-

bienia. Inżynier przybiegł, ażeby uścisnąć fizyka z całego serca.

— Przebacz pan! gdybym był wiedział!...

— I ja chętnie przyznaję, że mam żelazne trociny w głowie — zawołał Bertheau. — Nie poznać się na takim genjalnym pomyśle, to wstyd doprawdy.

Kiedy jeszcze panna Celina położyła swoją drżącą ze wzruszenia dłoń na gorącej ręce fizyka i wyszeptała ciche, ale pełne wymowy słówko: „Dzięki!“, Lequetre musiał przyznać, że uzyskał najzupełniejszą satysfakcję.

Był dobroczyńcą, był zbawcą.

Przywrócił życie martwej bryle, jaką był doniedawna „Neptun“.

XX. Zbłąkani wśród lodów.

Lequetre święcił triumf. Wszyscy byli jakby upojeni z powodu odzyskania wolności ruchów.

Panował nastrój radosny: od wieżyczki kapitańskiej aż do pomieszczeń dla załogi i palaczy wszyscy spoglądali na fizyka jak na cudotwórcę. Niepokojono się tylko o losy de Conviella i jego towarzysza.

Termin, wyznaczony przez odważnego podróżnika, mijał, a nic nie zwiastowało bliskości nieobecnych.

Podano przy pomocy telegrafu iskrowego miejsce, w którem znajdował się obecnie „Neptun“, ażeby Kornel znalazł bez trudności swój statek. Czekano niecierpliwie, powtarzając codziennie sygnały i wysyłając dłuższe depesze. Kiedy na takich daremnych wyczekiwaniach upłynął cały tydzień, postanowiono jednogłośnie, pod naciskiem profesora, wysłać ekspedycję ratunkową.

Po walnej naradzie ułożono, żeby pozostawić na „Neptunie“ kilku marynarzy z p. Bertheau i pierwszym porucznikiem, reszta zaś załogi miała udać się na poszukiwanie zaginionych. Jeżeli de Convielle nie doznał żadnej złej przygody, to zapewne powróci do wyznaczonego sobie punktu, gdzie znajdzie pomoc. Gdyby zaś obawy były uzasadnione, to jak najśpieszniejsze przetrząśnięcie okolic, sąsiadujących z biegunem, stawało się kwestją nie cierpiącą zwłoki.

„Neptun“ mógł wprawdzie, odzyskawszy dzięki genjalnemu pomysłowi Lequetra swobodę ruchów, dotrzeć w przeciągu jednej doby do celu wyprawy, ale ani inżynier, ani kapitan nie chcieliby tego dokonać podczas nieobecności swego głównego wodza i inicjatora podróży. Tak postąpić nakazywały proste względy delikatności. Podzielono dziewięciu ludzi na trzy oddziały, z których każdy udał się w innym kierunku. W promieniu kilkunastu mil morskich przetrząsano każdą barjerę, każdy pagórek lodowy, zaglądano do każdej niemal szczeliny. Nareszcie po dwóch dniach takich skrupulatnych zabiegów, między dwoma wałami, w odmiecionem ze śniegu miejscu, spostrzeżono żółty kawał tkaniny.

Była to, niestety, powłoka z namiotu pochodowego, który zabrali z sobą w drogę podróżnicy.

Zbadawszy dokładnie ten ważny dowód obecności zuchwalców, kapitan, dowodzący szczęśliwym oddziałkiem, pokiwał smutnie głową.

Namiot okazał się silnie uszkodzony. Sznurki, przymocowane do otworów w dolnej części namiotu, były porwane jakby skutkiem silnego parcia, sam materjał rozdarty w kilku miejscach. Nie ulegało wątpliwości, że podróżnicy nie pozbyli się dobrowolnie swego przenośnego schroniska, bez którego trudno im byłoby się obchodzić, lecz utracili je skutkiem jakichś nieprzyjaznych okoliczności. Kapitan nie potrzebował długo się zastanawiać, ażeby odgadnąć prawdziwą przyczynę. Przypomniał sobie o strasznym huraganie, który trwał kilka dni i zniewolił „Neptuna“ szukać schronienia w otchłani morskiej.

Orkan ten musiał zerwać namiot w chwili, kiedy obaj podróżnicy spoczywali pod nim.

Doświadczony marynarz, który w swej młodości brał udział w podróży polarnej, wiedział, co to znaczy utracić

pod biegunem dach nad głową, jeżeli się nie jest urodzonym Eskimem. Serce jego ogarniał coraz silniejszy niepokój.

Lękał się, że dwaj ludzie, nieobyci z warunkami, panującemi na dalekiej Północy, zginą, zanim przybędzie im pomoc.

W ciągu miesiąca nieobecności de Conviella zanotowano spadek temperatury, dochodzący 35 stopni niżej zera.

Ale raz natrafiwszy na ślad wyprawy, kapitan dążył wytrwale naprzód.

Mając za towarzyszy dwóch dzielnych majtków, starał się wyczytać na lodowcach dalsze dzieje podróżników.

Niestety, niebawem musiał się zatrzymać, natrafiwszy na nieprzewidzianą przeszkodę w postaci wielkiej, szerokiej na paręset metrów rynny, biegnącej niemal prosto z zachodu ku wschodowi.

Ta wielka przerwa w lodach kładła stanowczo tamę dalszym poszukiwaniom.

Kapitan niecierpliwił się, szedł przez całe dwie godziny wzdłuż brzegów kanału lodowego w nadziei, że znajdzie miejsce, nadające się na przeprawę, ale daremnie. Zniechęcony, postanowił posłać jednego z marynarzy do „Neptuna“.

Człowiek ten, umiejący jeździć na nartach, przebył z listem w ciągu jednej doby przestrzeń, dzielącą go od łodzi podwodnej. Kapitan w liście donosił o znalezieniu śladów wyprawy i prosił o przysłanie łódki.

Nie czekał długo. Nazajutrz zjawił się Lequetre wraz z kilku marynarzami. Ciągnęli oni na saniach łódź blaszaną „Neptuna“.

Od niego dowiedział się marynarz, że jeden z oddziałów wrócił, nic nie odkrywszy. W sześciu tedy prze-

prawiono się przez kanał w zamiarze prowadzenia dalej tak szczęśliwie rozpoczętych poszukiwań.

Znalazłszy się na przeciwległym brzegu, ratownicy śledzili bacznie powierzchnię ławicy. Lequetre poszedł w prawo, Dubois w lewo. Kapitan znowu miał szczęście. Po dwu niespełna godzinach natrafił na wzgórek, usypany sztucznie z odłamków lodu. Na szczycie tego wzniesienia tkwiła złamana narta. Prawdopodobnie na końcu drzewca powiewała pierwotnie choragiewka, którą wiatr zerwał i uniósł precz. Kapitan własnoręcznie rozrzucił kopiec.

Przeczucie nie omyliło go. Na samem dnie znalazł puszkę od konserw, szczelnie zamkniętą i zawiniętą w woskowany papier, a w niej zapisany ołówkiem zeszyt, składający się z kilkunastu kartek.

— Otóż mamy i dokument! — zawołał z triumfem, podając zwitek Lequetrowi.

Fizyk wziął w rękę papier i patrzył nań z zabobonną trwogą.

— Dziennik podróży... — rzekł. — Początek nosi datę dnia wyruszenia w drogę, koniec o miesiąc późniejszą. Hm, zatem na przebycie tych kilkunastu mil de Convielle zużytkował aż tyle czasu! Teraz rozumiem, dlaczego dotąd nie wrócił.

— Czytajmy, czytajmy! — zawołał niecierpliwie Dubois.

Siedząc na saniach, w otoczeniu marynarzy, kapitan zaczął czytać dziennik, pisany dość obszernie, jak na dokument tego rodzaju.

Oto, z małemi skróceniami, brzmienie dziennika, znalezionego w kopcu po drugiej stronie wielkiej przerwy między lodowcami:

„D. 26 lipca 192... r. Wczoraj zaledwie pożegnaliśmy się z naszymi towarzyszami, którzy nas odprowadzili

o kilka mil. Jestem najlepszej myśli. Energja rozpiera mi piersi; chciałbym lotem ptaka przebyć przestrzeń, dzielącą mnie od bieguna, i zatknąć na nim flagę naszej kochanej Francji. Podróż odbywa się dość gładko.

Lód równy; ciągniemy sanie z niewielkim wysiłkiem, starając się wymijać barjery, zagradzające nam drogę w kierunku północnym. Nie zawsze nam to się udaje. Często, dla uniknięcia zbyt wielkich zboczeń, musimy przenosić nasze sanie na rękach poprzez dość wysokie zwały lodowe, co nas kosztuje dużo trudu. Mam jednak siły; Legrand jest poprostu atletą, i pomagamy sobie dzielnie. Najprzód przeprawiamy moje sanie, jako ważniejsze, gdyż zawierają przybory naukowe, potem dopiero sanie mojego towarzysza, które są nieco cięższe. Tak każe sprawiedliwość.

Przyznaję, że jest to najuciążliwsza praca, jaką kiedykolwiek spełniałem.

Dziś od rana do chwili. kiedy piszę te słowa, przebyliśmy zaledwie dziesięć mil morskich, chociaż nie mieliśmy najgorszych warunków.

W namiocie jest miło; primus szumi wesoło, mleko gotuje się, pemikan ogrzany bardzo nam smakował.

27 lipca. Lód dziś gorszy. Zliczyłem, że w ciągu jedenastu godzin marszu przenosiliśmy dwadzieścia razy sanie. Znać w tych okolicach panowało niedawno wielkie ciśnienie lodów, które potworzyły istny labirynt zwałów, gdzie z trudnością odnajdujemy drogę. Czujemy się obaj niezmiernie znużeni; jadamy dwa razy dziennie: rano więcej, wieczorem mniej, dla zaoszczędzenia czasu. Dziś dla odmiany zupa grochowa z pekeflejszem herbata z sucharami wojskowemi, które są upieczone z bardzo pożywnej mieszaniny. Rozmawiamy, nawpół śpiąc. Prze-

byliśmy dziś niecałe dziewięć kilometrów. Gdyby nie te ciężkie sanie, posuwalibyśmy się trzy razy prędzej.

28 lipca. Dziś mamy jeszcze gorszy lód, niż wczoraj. Zdawaćby się mogło, że to jakieś złośliwe olbrzymy zabawiały się, rzucając na stosy kanciaste, ostre płyty lodowe; jedna przerwa zabrała nam godzinę czasu. Musieliśmy przerąbywać toporami przejście dla sanek. Jestem dziś znużony i z rozkoszą myślę o spaniu w worku. Jest nam tam ciepło, pomimo, że temperatura spadła w nocy do 23 stopni.

29-go. Mieliśmy mały przypadek, który jednak mógł się źle skończyć. Poślizgnąłem się na chropowatym lodzie, upadłem i boleśnie stłukłem nogę w kolanie.

Szedłem jednak dalej; ale wieczorem, kładąc się na spoczynek, musiałem nogę obłożyć lodem, bo spuchła. Przebyliśmy ośm kilometrów. Posuwamy się znacznie wolniej niż przypuszczałem, z powodu tego nieszczęsnego lodu, który ciągle jest nierówny. Za to apetyty mamy doskonałe. Na pokładzie „Celiny“ wszystko w porządku. Co wieczór otrzymujemy wiadomości przy pomocy naszej przenośnej stacji. Szkoda, że nie możemy wysyłać wiadomości. No, dobre i to.

30-go. Zerwał się dotkliwy wicher, który przenika nas do kości, pomimo zwierzchniej odzieży płóciennej. Ciągniemy sanie z wysiłkiem. Noga mi bardzo jeszcze dokucza, ale niema czasu do stracenia. Legrand — to nieoceniony towarzysz. Po zupełnie gładkim lodzie, co się rzadko trafia, ciągnie oboje sanie i mnie każe siadać na jedne z nich. Jest silny, i nie sprawia mu to znać żadnej różnicy. Ale takie gładkie miejsca zdarzają się bardzo rzadko, niestety.

1-go sierpia. Dziś znów lody zadały nam wiele kłopotów. Upadamy ze znużenia od dźwigania sanek. Prze-

sadziliśmy je przynajmniej przez szesnaście barjer w ciągu dnia. Wszystkie mięśnie mnie bolą — zato z kolanem jest znacznie lepiej. Rezultat dzienny znikomy.

2-go. Wicher pogarsza się, a na dobitkę barometr gwałtownie spada. Na niebie gromadzą się ciemne, gęste, złowrogo wyglądające chmurzyska. Pewnie zbliża się nawałnica.

3-go. Przewidywania sprawdzają się. Koło południa zaczął padać śnieg wielkiemi płatami; temperatura podniosła się znacznie, ale wiatr jest chwilami tak silny, że posuwamy się z trudnością naprzód. Jeżeli tak dłużej potrwa, trzeba będzie się zatrzymać.

4-go. Dziś wcale nie mogliśmy wyruszyć w drogę. Podczas nocnego spoczynku zagrzebało nas prawie w śniegu. Mimo to próbowaliśmy iść. Przebywszy jednak kilometr z najwyższym wysiłkiem, znów się zatrzymaliśmy, i pod największą barjerą, która nas cokolwiek osłania od wiatru, rozbijamy nasz namiot, starannie umocowujemy kołki w lodzie i oblewamy je wodą, żeby się lepiej trzymały. Nie możemy jednak zasnąć ani na chwilę, gdyż huragan ciągle zwiększa swą siłę i szarpie namiotem.

5-go. Był to jeden z najgorszych dni. Czuwamy, lękając się, żeby gwałtowność wichru nie porwała namiotu. Trzymamy za maszt kolejno, a niezależnie od tego wzmocniliśmy kołki. Śnieg pada ciągle. Zdawało mi się nawet, że słyszałem grzmoty; ale pod tą szerokością to chyba niemożliwe. Mnie już bolą ręce od szarpania się z płótnem namiotu, który jęczy i robi wrażenie, że lada chwila uleci w przestrzeń. Nie miałem pojęcia o gwałtowności burzy podbiegunowej. Istny tajfun. Gdyby nie nagromadzony śnieg dokoła i nie barjera, dawno już znajdowalibyśmy się pod gołem niebem.

6-go. Katastrofa! Stało się to tak nagle, że nawet

nie zdołaliśmy się spostrzec. Huragan wył, jak sfora szatanów. Namiot uginał się, to znów wydymał jak balon od podmuchów, które dostawały się do wnętrza. Pasowaliśmy się z nim, jak z szaleńcem. Z całych sił czepialiśmy się sznurów. W nocy puściły dwa kołki; starałem się je umocować lepiej, ale daremnie. Zaraz puszczały znowu. Położenie stawało się coraz gorszem, aż nagle namiot, porwany nieprzepartą siłą orkanu, zerwał się i zniknął w tumanach śniegu, zanim zdołaliśmy temu przeszkodzić. Sznury porwane pozostały nam w zakrwawionych rękach. Jesteśmy więc pod gołem niebem. Leżymy bez ruchu w worku do spania i dajemy się przysypywać śniegowi. Od czasu do czasu tylko odgrzebujemy nartą dla oddychania dziurę nad głowami. Burza nie ma zamiaru ucichnąć, przeciwnie, nabiera jakby coraz większej gwałtowności. Strata namiotu bardzo nas niepokoi. Co będzie dalej?

7-go. Jak wczoraj. Leżymy pod dwumetrową warstwą śniegu, który dość dobrze chroni nas od zimna i wichru, ale zato siecze niemiłosiernie, jeżeli wiatr uderzy nas po twarzy. Chwilami zaspa porwana wirem unosi się z ponad naszych ciał, i musimy, dygocząc od lodowatych podmuchów, czekać na nowe przykrycie zadymką. Jemy tylko suche pożywienie, które nas nie może rozgrzać. Legrand próbował zbudować, za przykładem Eskimów, domek z brył lodowych, ale burza nie pozwoliła nam na to. Czekamy z utęsknieniem końca tej orgji żywiołów. Lód pod nami trzeszczy. O kilkanaście metrów utworzyła się szczelina, na parę kroków szeroka, ale na szczęście zamknęła się sama. Przez chwilę myślałem, że nas morze pochłonie. Ten niepokój i huk przeraźliwy pól lodowych, rzucanych burzą jedno na drugie, jest zdolny rozstroić najsilniejsze nerwy.

12-go sierpnia. Przez parę dni nie mogłem utrzymać

ołówka w zmarzniętych palcach. Zresztą pisanie pod gołem niebem podczas nawałnicy przechodzi moje uzdolnienie. Leżymy w śniegu, jak białe niedźwiedzie, prosząc Boga o skrócenie męczarni. To okropne! Już tydzień trwa ta burza; takiej nie widziałem nigdy w życiu! Co się dzieje z „Neptunem“, z moją narzeczoną i parowcem? gdzie pozostali nasi towarzysze? Jesteśmy przemarzli i głodni. Łakniemy gorącej strawy. Dla zaspokojenia pragnienia łykamy ogrzany cokolwiek śnieg. Gdyby nie ta miękka, puszysta warstwa, w której jesteśmy zagrzebani, tak że nas wcale nie widać, zginęlibyśmy oddawna. Niedźwiedzie polarne muszą w podobny sposób zimować pod temi szerokościami. Od czasu do czasu wychylamy głowę z pod naszego przykrycia i badamy stan atmosfery. Zdaje się, że wichura się zmniejsza.

14-go. Burza widocznie mija. Ale pola lodowe huczą w dalszym ciągu. Musiało się potworzyć wiele nowych zwałów lodowych, które nam będą utrudniały podróż.

Rozmawiamy o tem, co począć dalej. Energja, która przez czas jakiś zgasła, zaczyna się w nas ożywiać na nowo. Postanawiamy, cokolwiek bądź się stanie, iść dalej.

Legrand utrzymuje, że już najgorsze przeminęło; dzielny chłopiec! Obiecuje budować domki z lodu. Mamy topory, któremi torujemy sobie drogę. One ułatwią nam zadanie. Kiedy wiatr stał się znośnym, Legrand spełnia swoje przyrzeczenie. Przy wspólnej, kilkugodzinnej pracy, staje niski, okrągły kopiec, wewnątrz którego jest dość miejsca, ażeby siedzieć. Rozpalamy primusa i gotujemy gorący obiad. Powetowaliśmy sobie za wszystkie czasy. Mam odmrożone ucho i jeden palec u nogi; ale to bagatela!

15-go sierpnia. Opuszczamy punkt, do którego byliśmy przez tydzień zgórą przykuci, i śpieszymy na pół-

noc z nowym zapasem zapału. Powierzchnia lodu jest jednak niegodziwa.

Co za labirynt odłamów! Czasami przez godzinę obracamy się wkółko, szukając wyjścia jakby z sieci. Potworzyło się, jak trafnie przewidywałem, mnóstwo szczelin, jeszcze niezamarzniętych; stajemy przed jedną z nich, mającą paręset metrów szerokości.

Szliśmy wzdłuż południowego jej brzegu przez dwie godziny i nie znaleźliśmy punktu, zdatnego do przeprawy. Lód jest za cienki, żeby po nim przejść, a za gruby, żeby pływać na kajakach. Musimy czekać, aż stanie się zdolnym unieść nasze sanie ładowne.

Temperatura dziesięć stopni niżej zera. To całe nasze szczęście. Zbudowaliśmy domek z lodu i ze śniegu, w którym jest nam dość wygodnie. Czekamy, uzbroiwszy się w cierpliwość.

16-go sierpnia. Nareszcie powłoka lodowa jest tyle mocną, że zdecydujemy się przejść na drugą stronę kanału. Pogoda prześliczna. Słońce świeci, blask jest tak silny, że musimy włożyć nasze przydymione okulary. Lód ma już trzy cale grubości.

18-sierpnia. Katastrofa! Nieszczęście poprostu! O mało co obaj nie zginęliśmy pod lodem. Ja poszedłem pierwszy, ufając, że powłoka lodowa jest dość mocna. Zaledwie uszedłem kilkadziesiąt kroków, kiedy zaczęło złowrogo trzeszczeć. Zanim zdecydowałem się, co czynić, lód się załamał pod saniami. Miałem zaledwie tyle czasu, żeby porzucić szelki, inaczej byłbym wciągnięty w głębinę. Sanie zniknęły w mgnieniu oka z całym ładunkiem. Byłbym utonął także, lecz miałem jeszcze tyle przytomności umysłu, że położyłem się na lodzie i, pełzając, dostałem się szczęśliwie na brzeg przeciwny. Legrand doznał śmiertelnego przestrachu; widząc, co się dzieje, zawrócił ze

swemi saniami i wahał się przez kilka godzin, co czynić. Nabrałem odwagi i wróciłem do niego. Ponieśliśmy okropną, niepowetowaną stratę. Połowa zapasów żywności, najważniejsze instrumenty naukowe, primus z zapasem nafty, kajak — wszystko to leży na dnie oceanu! Co czynić? Składamy walną naradę. Odeszliśmy od „Neptuna“ nie dalej jak o czterdzieści mil. Od bieguna dzieli nas przestrzeń niewielka, ale w jaki sposób dokonamy tam obserwacyj naukowych? Opału nam zabraknie. Pozostała bowiem tylko maszynka spirytusowa i ze dwadzieścia litrów wyskoku. To stanowczo za mało, żeby się puszczać do samego bieguna. Jestem w rozpaczy!

Rozważywszy dokładnie i bezstronnie nasze położenie, postanowiliśmy jednak spróbować szczęścia, choć zdajemy sobie dokładnie sprawę z tego, jak wielkie ryzyko ponosimy obaj. Ale wszystko zależy od gatunku lodu, jaki spotkamy. Jeżeli natrafimy na równe pole lodowe, możemy się posuwać szybko naprzód.

19-go. Lód jest dobry. Zrobiliśmy dziś ze dwadzieścia pięć kilometrów. Nadzieja w nas wstępuje. Żywności nam wystarczy. Zastrzeliłem dwie mewy, które zjemy, pomimo, że mają niesmaczne mięso. Opału będziemy oszczędzali. Może starczy.

Znajdujemy się już o 115 kilom. od bieguna. Nikt jeszcze nie posunął się tak daleko na północ. Powodzenie upaja nas, każda mila dalej wydaje się nam zwycięstwem. Ciągniemy obaj sanie bardzo lekko. Jak to dobrze, że rozłożyliśmy wszystkie zapasy równomiernie. Mamy mniej więcej wszystko, co nam jest niezbędne, chociaż w bardzo ograniczonej ilości. Idziemy śmiało naprzód. Triumf jest możliwy.

20-go. Lód stał się znów gorszy. Trzeba co pół godziny niemal przenosić sanie przez wysokie barjery. Po-

suwamy się wolno. Natrafiliśmy na dużą przerwę i jesteśmy w kłopocie, jak się przez nią przeprawić. Kajak może bowiem unieść tylko jedne sanie z ładunkiem i jednego człowieka. Drugi już się nie zmieści. Wzięliśmy się jednak na sposób. Najprzód przeprawia się z połową ładunku Legrand, potem przeprawiam się z nim razem, wreszcie wraca Legrand sam i zabiera resztę ładunku. Trzeba przebywać kanał trzykrotnie, ale zawsze znajdujemy się na drugiej stronie z naszemi zapasami. Pogoda nam sprzyja. Jest niemal ciepło. Termometr wskazuje zaledwie ośm stopni niżej zera. W kanale igrają foki, słychać sapanie morsów. Strzelam, i udaje się mi zabić wspaniałą sztukę. Zamieniamy się na rzeźników. Mamy dużo tłuszczu i doskonałego mięsa. Robimy sobie wspaniałe befsztyki, objadamy się dosyta. Tłuszcz przetapiamy i wlewamy do pustej blaszanki od spirytusu, jako rezerwę. Tran ten jest bardzo smaczny, zwłaszcza ciepły i trochę posolony. Pijemy go z przyjemnością. Żywności więc posiadamy dość na cały miesiąc. Gorzej jest z paliwem. Dziennie wychodzi niemal pół litra spirytusu, bo musimy topić lód, zanim się weźmiemy do gotowania. Gasimy także wodą stąd otrzymaną pragnienie, szczęście, że lodu słodkiego i śniegu nie brak.

21. Trzy tygodnie minęło od chwili, kiedy opuściliśmy „Neptuna“. Od bieguna dzieli nas już niewielka przestrzeń. Robię starannie pomiary astronomiczne, i otucha we mnie wstępuje.

22. Obliczyliśmy, że spirytusu nie starczy nam na powrót, zwłaszcza, że temperatura znów spadła do 24 stopni przy wschodnim wietrze. Legrand zaczyna się wahać. Idziemy mimo to naprzód!

23. Przełom w naszej podróży. Chmury znów pokrywają niebo. Niepodobna już oznaczyć szerokości geo-

graficznej, gdyż tarcza słoneczna jest niewidzialna. Przebyliśmy dziś nie więcej, jak trzy mile. Straszny lód. Zdawałoby się, że jakiś zły duch narzucał bezładnie złomów lodowych na naszej drodze. Biegun jest ufortyfikowany!

24. Znowu nawałnica zatrzymała nas. Siedzimy w domku z lodu i czekamy, co Bóg da. Zapas spirytusu szybko się zmniejsza, bo temperatura jest niska. Musimy i tak spędzać cały niemal czas, leżąc w worku do spania, przytuleni do siebie, żeby się ogrzać jako tako. Pomimo to szczękamy zębami. Odmrożenie nogi powiększyło się.

25. Siedzimy w dalszym ciągu, nie mogąc posuwać się naprzód, i zużytkowujemy nadaremnie resztki spirytusu, choć staramy się go oszczędzać do ostatecznych granic.

26. Możnaby iść naprzód, ale słońce ciągle ukryte. Nie sposób określić, gdzie się znajdujemy. Trzeba chyba wracać. Każdy dzień zwłoki grozi nam wielkiem niebezpieczeństwem. Gdyby nie myśl o Celinie, jeszcze usiłowałbym tam się dostać! Trzeba zrezygnować, nie chcąc ponieść pewnej śmierci w tej pustyni lodowej. Skoro tylko wypogodzi się, wracamy.

27. Cofać się o pięćdziesiąt zaledwie kilometrów od celu podróży — to okropne! Zdjąłem dziś położenie: 89 stopni szer. półn. Biegun znajduje się tak blisko! Jeszcze tylko dziesięć dni drogi, a jednak nie można ani kroku dalej iść na północ. Spirytusu mamy tylko na kilka dni. Kosztuje mnie wiele to postanowienie, ale głową muru nie przebijesz. Wracamy.

28. Posuwamy się wolno naprzód. Jesień zaczyna się zbliżać. Temperatura dziś opadła do 30 stopni".

W tem miejscu kapitan przerwał czytanie pamiętnika,

— Zdumiewające! — zawołał. — Przekonany byłem, że natrafiliśmy na ślady naszych towarzyszy, dążących ku biegunowi. Pokazuje się zaś, że jest całkiem prze-

ciwnie: pamiętnik dowodzi, że w tem miejscu znajdowali się oni w drodze powrotnej.

— Jest to całkiem jasne! — przyświadczył fizyk. — Muszą oni być stąd niedaleko. Niepokoi mię jednak, dlaczego dotąd nie powrócili, kiedy dzieliła ich tak mała przestrzeń od „Neptuna“. Obawiam się, że stało się nieszczęście. Brak paliwa, to klęska w tych szerokościach. Proszę, czytaj pan dalej, kapitanie.

Dubois pochylił się znów nad dziennikiem.

„29. Upłynął miesiąc z górą, jak opuściliśmy nasz statek. Odmroziłem sobie z powodu panującego w naszem schronisku zimna drugą nogę; przez to posuwamy się bardzo wolno naprzód. Legrand jest jednak zdrów i ciągnie mnie na saniach, jeżeli lód na to pozwala. Nie mamy już spirytusu wcale palimy lampkę z tranu. Od „Neptuna“ dzieli nas zaledwie 20 mil. Jak przebędziemy tę przestrzeń?

Natężam resztki sił. Byłoby wszystko dobrze, ale brak spirytusu psuje wszystko!

30. Może to nasz ostatni biwak. Nawet tranu niema. Położenie okropne!

1 września. Pozostawiam tutaj dziennik. Może go znajdą, jeżeli nie dotrzemy do „Neptuna“. Nie mogę już iść dalej, i Legrand wyczerpał się. Mróz coraz gorszy. Może wyruszą naprzeciwko nas. Ostatnia to nadzieja. Zginąć tak blisko towarzyszy — byłoby to okropne! Biedna Celina! Pożegnanie dla wszystkich, jeżeli nam się nie uda. Spełniliśmy doostatka wszystko, co było w naszej mocy. Nie nasza wina. Trzeba się pogodzić ze smutną koniecznością. Zostawiamy tutaj wszystko, co już jest zbyteczne!“

. . . . . .

. . . . . .

— Który dziś mamy? — zagadnął trwożnie kapitan, skończywszy odczytywanie ostatniej kartki dziennika.

— Dziś jest 4 września, kapitanie — odparł fizyk, marszcząc brwi.

— Naprzód, naprzód! może jeszcze nie będzie za późno! — krzyknął Dubois. — Oni nie mogą znajdować się daleko. Czy są ślady?

— O ile mi się zdaje, de Convielle musiał udać się prosto w kierunku „Neptuna". Tak dyktuje logika.

— Nie może być inaczej. Należy zatem wracać. Jak pan sądzisz? czy zdołali się przeprawić przez ten kanał?

— Sądzę, że tak. Przepłynęli na kajaku, który im pozostał. To jasne.

— Tak, o ile mieli siły po temu — rzekł chmurnie marynarz. — Idźmy zatem wzdłuż północnego brzegu; jeżeli nie zdołamy nic odkryć, powrócimy na południowy.

Upłynęło jednak kilka godzin, a po tamtej stronie kanału nie natrafiono na żadne ślady; wobec tego przeprawiono się znów na przeciwny brzeg rynny i przetrząsano starannie każdą barjerę, szukano wyniosłości, pozwalającej domyślać się domku z odłamków lodu. Poszukiwania te, prowadzone z całą sumiennością w ciągu kilkunastu godzin, dały wynik dodatni. Kapitan zatrzymał się nagle i wydał okrzyk triumfu.

Tam, tam! — zawołał, wskazując ręką.

Istotnie, w odległości kilkudziesięciu metrów, poza osłoną barjery, spostrzeżono półkuliste wzniesienie. Był to ostatni domek śnieżny, zbudowany resztkami sił podróżników. Niemniej przeto starali się oni najwidoczniej uczynić go jak najobszerniejszym i najprzytulniejszym. Na wzniesienie go zużyli prawie ostatnie siły.

Na szczycie budki sterczała narta z trójbarwną flagą

republikańską, która powiewała z szelestem na silnym północnym wietrze.

— To tutaj! — zawołał Dubois.

Dał znak towarzyszom, żeby się zatrzymali, sam zaś z sercem, bijącem mu w tej chwili jak młot kowalski, ukląkł przed wnijściem, zasłoniętem szczelnie wełnianą kołdrą i do połowy przysypanem niedawno spadłym śniegiem.

— Panie de Convielle! — zawołał marynarz, wsuwając głowę do wnętrza, gdzie panowały głębokie ciemności.

Nie było żadnej odpowiedzi.

— Panie Kornelu! — powtórzył kapitan głosem, w którym zabrzmiała nuta rozpaczy.

I tym razem nikt mu nie odpowiedział.

— Legrand! — ryknął wreszcie Dubois.

Kapitanowi teraz wydawało się, że słyszy w odpowiedzi słaby jęk.

Zelektryzowany, zaczął się wczołgiwać przez nikłe przejście. Dostawszy się do wnętrza, gdzie panował gruby półmrok, zaczął macać dokoła siebie.

Natrafił wnet na jakieś futro. Nie było to jednak zwierzę, ale worek do spania, służący podróżnikom zamiast łóżka. Dubois potrząsnął tą przenośną sypialnią z całych sił.

— Legrand! Czy jesteś, panie de Convielle? panie Kornelu!

Nadstawił ucha: w worku coś się poruszyło. Kapitan wsunął rękę do wnętrza i natrafił na jakiś zimny przedmiot. Była to głowa ludzka.

Stary marynarz nie mógł powstrzymać okrzyku trwogi. Wycofał się tyłem z domku i, blady, przyzwał gestem oczekujących nań towarzyszy.

— Są tu — wołał ściśniętym głosem. Prędzej, rozebrać to!

Nie potrzebował powtarzać rozkazu. Pięć par silnych rąk zabrało się do dzieła.

W przeciągu kilku minut rozszerzono otwór tak, iż na światło dzienne wyjrzał obszerny worek futrzany, wypełniony dwoma nieruchomemi ciałami ludzkiemi.

Tak, byli to Legrand i Kornel, złączeni we wspólnym uścisku; leżeli bladzi, zimni, z przymkniętemi oczyma.

Kapitan ściągnął szybko zwierzchnią odzież z Kornela i przyłożył ucho do piersi, wysłuchując z natężeniem najwyższem ruchów serca.

Przez długą chwilę nie mógł ich wyczuć. Ale wnet jego marsowata twarz rozjasniła się błyskiem nadziei.

— Śniegu i szczotek! — zakomenderował tubalnym głosem.

Termometr wskazywał dwadzieścia stopni niżej zera; ale słońce rozlewało potoki światła na ten obumarły, piękny świat. Dwie pary rąk kosmatych, uzbrojonych w szczotki, jęło energicznie nacierać nawpół obnażone ciała.

Po kilku minutach Legrand pierwszy otworzył oczy. Zawinięto go niezwłocznie w potrójną kołdrę wełnianą i wlano w usta parę łyków gorącego mleka.

— Ten jest już pewny! — rzekł Dubois, zacierając dłonie.

Skierowano teraz całą energję ku ocaleniu de Conviella.

Kapitan dokonywał osobiście wszystkich zabiegów, które po godzinnych usiłowaniach doprowadziły wreszcie do upragnionego skutku. Kornel otworzył oczy, na jego bladej twarzy wykwitł lekki rumieniec; usta poruszyły się, choć jeszcze nie były zdolne wymówić ani jednego zrozumiałego słowa.

— Żyje, żyje! — powtórzył upojony Dubois.

Stary marynarz machał rękoma, biegał wkółko pod wpływem rozpierającej go radości. Ten, którego przez

chwilę uważał za zgubionego nieodwołalnie, uśmiechał się do niego. Pół szklanki gorącego mleka z konjakiem zrobiły swoje.

Rozpięto podwójny namiot i przeniesiono do niego obu ocalonych. Wnet zaszumiał primus, rozsiewając dokoła przyjemne ciepło. Zmarznięci przychodzili zwolna do siebie. De Convielle chciał coś mówić, ale kapitan nie pozwolił na to.

Wlawszy mu do ust jeszcze jedną porcję mleka, wsunął go do nowego, puszystego worka futrzanego, i niebawem młodzieniec zapadł w błogosławiony, naturalny, głęboki sen, z którego po kilkunastu godzinach podniósł się, niemal równie rześki jak zawsze.

Szaleńców uratowano niemal w ostatniej chwili. Parę godzin później, a w budce śnieżnej znalezionoby już tylko dwa skostniałe trupy.

XXI. Na biegunie północnym.

Lequetre i Dubois w triumfie wracali do „Naptuna“, wioząc na saniach, pod grubą warstwą ciepłych futer, tak niespodziewanie ocalonych dwóch dzielnych podróżników

De Convielle szybko powracał do siebie, dzięki młodym siłom. Gdyby nie odmrożone palce, nie pozostawałby dłużej w tej biernej pozycji.

Jego zachowanie się jednak świadczyło o głębokiem przygnębieniu.

— Być tak blisko upragnionego celu i musieć się cofnąć! — Ta myśl drążyła mu mózg i pogrążała go w apatję.

Lequetre dostrzegł ten stan ducha Kornela i odgadł odrazu jego przyczynę.

— Nasza wyprawa nie jest jeszcze stracona! — rzekł, uśmiechając się tajemniczo. – Jeżeli dobrze pójdzie, za dwa dni najdalej będziemy się znajdowali u celu podróży.

De Convielle uśmiechnął się blado.

— Chce mię pan pocieszyć... — rzekł. — Ale nie mam już żadnej nadziei. „Neptun“ bezwładny mógłby długo czekać, zanimby go prądy i wiatry zaniosły do bieguna.

— Muszę więc panu powiedzieć już teraz to, z czego chciałem zrobić panu niespodziankę po przybyciu na

pokład. „Neptun“ nie jest bezwładny, odzyskał pełną swą sprawność.

De Convielle zerwał się z posłania i zatopił przenikliwy wzrok w fizyku.

— Odzyskał zupełną sprawność? — powtórzył wzburzony. — Naprawiono go?

— Udało mi się to uczynić — odparł skromnie Lequetre.

— Śruba działa?

— Doskonale.

— A wał?

— Zlutowany przy pomocy aluminjum, o którem nie chciał pan słuchać przed wyruszeniem w drogę.

De Convielle wyobrażał sobie narazie, że kolega żartuje sobie z niego, albo chce go pokrzepić moralnie złudnemi obietnicami.

— Czy mówisz pan na serjo? — zawołał, wzruszony do głębi.

— Przekonasz się pan o tem niebawem!

— Ależ panie, to można zwarjować, doprawdy! Więc nie jest jeszcze wszystko stracone?!

— Moglibyśmy oddawna znajdować się na samym biegunie, gdyby nie to, że oczekiwaliśmy na pana. Podczas pańskiej nieobecności nie poważylibyśmy się dokonać wielkiego dzieła. Jutro jednak wyruszamy. Przepłynięcie tych kilkudziesięciu mil, dzielących nas od bieguna, będzie dla „Neptuna“ igraszką.

— Wlewa pan we mnie nowe życie, panie Lequetre! — szeptał młodzieniec, rozkosznie przymykając oczy, jakby już widzia ten cel upragniony. — Jakże dokonał pan tego cudu? nie mogę bowiem inaczej nazwać pańskiego czynu.

Fizyk objaśnił w krótkich słowach sposób zreparo-

wania wału od śruby. Musiał gwałtem powstrzymywać młodzieńca, który chciał wyskoczyć z sanek i rzucić się mu na szyję.

— Ależ to genjalne, doprawdy! Co za dowcipny pomysł! Napewno nie przyszedłby nikomu innemu do głowy! — powtarzał Kornel w zachwycie.

Był upojony tą radosną wieścią, która otwierała przed nim utracone już perspektywy. Z głębin rozpaczy dusza jego wydostała się nagle na szczyty marzeń.

Ten niespodziewany zwrot oddziałał jak różdżka czarnoksięska na psychologję młodzieńca. Duch zaś, zkolei, wywarł zbawczy wpływ na ciało. Siły wracały z godziny na godzinę. Kiedy w 48 godzin potem de Conviellе znalazł się znów na pokładzie „Neptuna“, witany radośnie przez wszystkich towarzyszy, na jego czole jaśniała nadzieja.

Uścisnąwszy w radosnem uniesieniu narzeczoną i poczciwego profesora Moriota, który nie mógł powstrzymać łez wzruszenia, Kornel pobiegł na dół, aby własnemi oczyma sprawdzić fakt.

Tak, nie ulegało już wątpliwości. Wał był zreparowany, „Neptun“ odzyskał możność poruszania się.

— Naprzód więc! panowie, prawda? — zawołał wracając do saloniku, gdzie przy stole zebrała się już cała załoga łodzi podwodnej.

— Teraz nic nie stoi na przeszkodzie uszczknąć ostatni liść z naszego wieńca laurowego! — odparł Bertheau, który był przynajmniej równie dumny z siebie jak Lequetre i Dubois. — Jutro będziemy na biegunie. Kapitanie, proszę przygotować instrumenty.

Kapitan nie potrzebował tej zachęty. Kazał puścić w ruch motory, i „Neptun“, zanurzywszy się pod lodowe pola, na których dzielni podróżnicy omal nie zginęli,

szturmując tajemniczy zakątek kuli ziemskiej, sunął szybko do pożądanego przez wszystkich celu.

Liczono każdą milę. Loch podmorski, wskazujący prędkość „Neptuna“, pracował bez przerwy, chciano bowiem wypłynąć na powierzchnię tuż pod samym biegunem.

Pomimo znużenia i cierpień, jakie sprawiały mu odmrożone nogi, de Convielle nie chciał położyć się do łóżka. W takiej chwili uroczystego oczekiwania uważałby to sobie niemal za hańbę.

Siedział wyciągnięty na fotelu w salonie jadalnym i wespół z profesorem i panną Celiną śledził ruch „Neptuna“ na mapie, zaznaczając co godzinę, na podstawie wskazówek prędkości, przybliżone położenie.

Stawiane czerwonym ołówkiem krzyżyki zbliżały się coraz bardziej do punktu, gdzie zbiegają się wszystkie południki ziemskie.

— Już tylko 70 mil morskich dzieli nas od bieguna! — zawołał nagle młodzieniec, zrywając się z miejsca. — Za parę godzin powinniśmy tam dotrzeć.

Na ten radosny okrzyk serca wszystkich zabiły silniej, i na twarze wystąpiły rumieńce. Wsłuchiwano się z lubością w głuche uderzenia śruby, rozbijającej zimne fale oceanu Arktycznego; liczono niemal każdy jej krok,

Wreszcie Kornel, nie mogąc już dłużej wytrzymać, pobiegł do wieżyczki kapitańskiej i stanął obok pana Dubois, który trzymał rękę na sterze.

— Daleko jeszcze? — zagadnął niecierpliwie.

Kapitan wzruszył ramionami.

— To trudno wiedzieć. Kiedyśmy wyruszyli, dzieliła nas od bieguna przestrzeń około 106 mil morskich. Ponieważ zaś płyniemy z prędkością mniej więcej 12 węzłów, znaczyłoby to więc, że w ciągu tych 7 godzin przebyliśmy około 84 mil.

Kornel obliczył szybko na papierze ołówkiem.

— A zatem znajdujemy się o dwadzieścia mil zaledwie od celu! — zawołał radośnie młodzieniec. — Proszę pana, kapitanie, zbliż się cokolwiek do powierzchni; kto wie, czy nie natrafimy na wolne morze.

Dubois spełnił prośbę, ale mrok, panujący w łonie wód, dowodził, że nadzieje te były płonne.

Zmniejszono prędkość do dziesięciu węzłów. Kornel pobiegł do saloniku.

— Za dwie godziny najdalej staniemy u celu, panowie! — zawołał. — Proszę się godnie przygotować na tę uroczystą chwilę. Poruczniku, zamawiam wielką ucztę. Musimy wypić specjalnie zabranym w tym celu szampanem zdrowie staruszka bieguna północnego, który niebawem przyjmie nas w swej fortecy lodowej, gdzie się tak długo bronił przeciw atakom natrętów. Zdobyliśmy jego okropną fortecę walnym podstępem.

— Podkopem pod lodami! — zawołał Bertheau!

— No, o ile można mówić o podkopach w żywiole tak mało podobnym do ziemi! — zauważył złośliwie, Lequetre.

— W każdym razie dostajemy się w mury fortecy w sposób, którego pan tych zakątków najmniej się spodziewał. Daremnie spiętrzył stosy kry w nieprzebytą sieć wałów, za któremi czuł się bezpiecznym! — mówił promieniejący Kornel. - Potrafiliśmy pokonać wszelkie przeszkody! Tobie to zawdzięczamy, kochany Raulu!

— Oj, oj! czy nie za wcześnie! — krzywił się Bertheau. — Jeszcze nie przeskoczyliśmy, a już krzyczymy hop. A jeżeli w ostatniej chwili zdarzy się jeszcze jakie nowe pęknięcie, jeżeli nie wału, to zbiornika? Ten król biegunowy to bardzo złośliwy władca i będzie się bronił

do ostatniej chwili. Nie wyczerpał zaś, jak sądzę, swoich środków.

Nikt jednak nie chciał słuchać pesymistycznych przewidywań mareografa. Oddawano się całem sercem radości. Wszyscy spoglądali na zegarki. Kwadranse mijały, „Neptun“, niemal dotykając szczytem wieżyczki obserwacyjnej dolnej powierzchni lodowców, mknął dalej i dalej. Kapitan, jak się zdaje, także ulegał gorączce, która opanowała wszystkich, bo śruba obracała się prędzej, niż może nakazywała roztropność.

Wyglądano z utęsknieniem wolnego morza. Nic jednak nie zwiastowało obecności otwartej przestrzeni. Powierzchnia dolna lodów była jednostajnie szarozielona, przedostawało się przez nią bardzo mało dziennego światła. Dowodziło to, że ławice w tych okolicach miały niezwykłą grubość.

Steward, posłuszny rozkazowi Kornela, szykował sute nakrycie do stołu, ustawiał butelki ze starem winem; wniesiono kosz szampana, suszone owoce, cukry; Celina ubierała obrus sztucznemi kwiatami.

Lequetre opatrywał swoje instrumenty, Bertheau doprowadzał do porządku sondy, termometry, mikroskop, profesor Moriot rozłożył mapy, słowem każdy przygotowywał się do najgodniejszego uczczenia Jego Lodowatej Wysokości, Władcy Bieguna Północnego.

Nareszcie wybiła wielka godzina. Motory zatrzymały się, drżenie kadłuba ustało; do saloniku wszedł kapitan Dubois, zbliżył się do stołu, zdjął swoją marynarską czapkę, podniósł ją z triumfem w górę i zawołał zdławionym od wzruszenia głosem: — Panowie, jesteśmy wpobliżu bieguna północnego! Niech żyje Francja!

Te słowa zelektryzowały wszystkich. Powtórzono wielkim chórem patrjotyczny okrzyk kapitana i zaczęto

ściskać sobie ręce w zachwycie. Profesor chwycił w objęcia de Conviella i złożył na jego czole, noszącem jeszcze ślady niedawno przebytych trudów, ojcowski pocałunek.

— Winszuję ci z całego serca, mój chłopcze, i jestem niezmiernie szczęśliwy, że u schyłku życia Bóg dał mi zakosztować najwyższej rozkoszy, jakiej może doznać taki człowiek, jak ja. I panu, panie Plot, należy się połowa zasługi.

— Niech żyje Kornel de Convielle, panowie! — zawołał skromny wynalazca. — Niech żyje inicjator i mecenas wyprawy.

Obaj ucałowali się serdecznie. Celina stała na boku, ale w jej niebieskich oczach także zaperliła się łza szczęścią. Spoglądała na narzeczonego z nietajoną dumą. On zbliżył się do niej i zamienili krótkie, ale wymowne spojrzenie.

— Zwyciężyłeś, Kornelu! — szepnęła, podsuwając mu zaróżowiony policzek.

— Wszystko to bardzo pięknie! — przerwał Bertheau — ale czy znajdujemy się już na powierzchni, i czy można będzie przy pomocy instrumentów stwierdzić zapewnienia kapitana, że dotarliśmy nareszcie pod sam biegun północny.

— Niestety, narazie nie znajdujemy się na powierzchni i prawdopodobnie od bieguna matematycznego dzieli nas pewna, niewielka przestrzeń, której nie mogę ocenić ściśle — rzekł Dubois. — Według jednak obliczeń, uwzględniających przestrzeń, jaką mieliśmy do przebycia, i prędkość, z jaką posuwaliśmy się, powinniśmy być tuż wpobliżu punktu, który stanowi cel naszej wyprawy. Szukam wolnej od lodów przestrzeni. Wówczas określenie położenia nie przedstawi żadnych trudności.

— Skoro tak, to należy wstrzymać się z ucztą do

tej chwili, kiedy instrumenty pokażą, że nie pomyliliśmy się — oświadczył mareograf.

— Niech i tak będzie. Uczyńmy zadość pedantycznym wymaganiom pana Bertheau! — zadecydował Kornel. — Nie potrzebujemy się śpieszyć.

Kapitan oddalił się, a za chwilę „Neptun“ znów zaczął wolno się posuwać. Nie płynął jednak w prostej linji, lecz zygzakowato. Dubois kierował się tam, gdzie mu się wydawało, że więcej światła przedostaje się przez lód. Ale mijały godziny, a nie natrafiono na otwartą wodę. Towarzystwo zaczynało się niecierpliwić.

— A co! — mówił z triumfem mareograf — widzicie panowie, że władca bieguna na sam koniec zgotował nam przykrą niespodziankę. Nie wypuści nas na powierzchnię, bo nie chce uznać się za zwyciężonego. Opancerzył biegun grubą i ciągnącą się na setki mil wzdłuż i wszerz warstwą starych lodów. Jakże więc będziemy mogli przekonać się, że naprawdę zdobyliśmy jego fortecę?

Istotnie na tę ewentualność nasi podróżnicy nie byli przygotowani.

Na daremnych poszukiwaniach upłynęły już trzy godziny.

— A gdyby tak przy pomocy wody gorącej, albo miny piroksylinowej, otworzyć sobie wyjście? — rzucił Lequetre zniecierpliwiony.

Uznano jednak ten sposób za zbyt ryzykowny.

— Nic pilnego — odparł kapitan. — Jest to środek ostateczny. Możemy przecież poczekać.

— Tak, ale niepodobieństwo oddalać się znacznie od bieguna, bo inaczej musielibyśmy znów przedsiębrać wycieczkę saniami — zauważył Kornel, któremu nowa antrepryza bynajmniej się nie uśmiechała.

Położenie w każdym razie było oryginalne. „Nep-

tun“ znajdował się w najbliższem sąsiedztwie bieguna geograficznego, który, jak się okazywało, był pokryty grubą warstwą lodów, i to na obszarze, wynoszącym dziesiątki mil morskich.

Należało za jaką bądź cenę wydostać się na powierzchnię dla dokonania niezbędnych spostrzeżeń astronomicznych, bez czego odkrycie nie miałoby żadnej wartości naukowej.

Kapitan, uważając naturalną drogę za najbardziej odpowiednią, skrzętnie poszukiwał jakiej luki w potężnych polach lodowych, żeby się przez nią wychylić ku słońcu. Krążył w różnych kierunkach, powracał do punktu wyjścia, ale nigdzie nie mógł dostrzec najmniejszej przerwy. Bertheau triumfował, jego pesymistyczne przewidywania sprawdzały się, niestety.

— Potrzeba nam tak małej przestrzeni, doprawdy, że nietrudno ją sobie wyłamać w tej przeklętej skorupie! — wołał zniecierpliwiony Kornel. — Inżynierze, czy mamy zapas materjału wybuchowego?

— Tak jest, posiadamy sporo melinitu, który, jak panu wiadomo, jest zupełnie bezpieczny do przechowania, wybucha bowiem dopiero po zastosowaniu dużego kapiszona z rtęcią piorunującą. Ale wstrząśnienie od miny łatwo może uszkodzić „Neptuna“, jeżeli nie będzie się znajdował w przyzwoitej odległości. Zresztą zakładanie miny w takich warunkach nie jest sprawą łatwą.

– Ale i niezbyt trudną, inżynierze. Nurkowie łatwo się z takiem zadaniem uporają.

Inżynier wahał się. Czekano jeszcze.

Na daremnych poszukiwaniach minęła jednak cała doba. Okazało się, że stare pole lodowe było zupełnie jednolite. Gdyby zerwała się jaka nawałnica, może potworzyłyby się pożądane luki, ale pogoda była, jak się zda-

wało, bez zarzutu. W takich okolicznościach można by łoby czekać jeszcze kilka dni. A czas drogi mijał, zbliżała się jesień szybkiemi krokami, co dla parowca, oczekującego na naszych podróżników, stanowiło okoliczność wielkiej doniosłości praktycznej.

Lodowce bowiem mogły zupełnie zamknąć „Celinie“ drogę do powrotu.

Wobec tego kapitan zezwolił wkońcu na otworzenie sobie okna do świata przy pomocy melinitu.

Spełnienie tej czynności powierzono inżynierowi.

Odmierzono ilość melinitu, niezbędną do wybicia dużego otworu w lodzie, który, jak dowiodły próbne wiercenia, miał nie mniej i nie więcej, jak pięć metrów grubości. Nic więc dziwnego, że naboje musiały być potężne i wyczerpały zupełnie zapas środków wybuchowych, jaki znajdował się na pokładzie „Neptuna“.

— Dla zgruchotania takiej potężnej warstwy niemało potrzeba energji. Przy pomocy zwykłego prochu nie podołalibyśmy zadaniu — mówił Raul, skończywszy obliczenia.

Zabrano się zaraz do pracy. Łódź podmorska zbliżyła się do samego dna lodowców; na pokład wysadzono przez dzwon trzech nurków, którzy wspólnemi usiłowaniami zaczęli wybijać otwory na minę. Miały one pięćdziesiąt cm. szerokości i metr głębokości, a raczej wysokości, pomieścić zaś mogły po sto kilogramów melinitu. Kiedy otwór był skończony, zakładano do niego nabój, zamknięty w szczelnie zalutowanej metalowej puszce.

Sto kilo melinitu nie mogłoby wyrwać otworu tej wielkości, aka była niezbędna dla przejścia „Neptuna“. Należało wiercić jeszcze trzy takie same otwory, w odstępach trzydziestu metrów jeden od drugiego. Dopiero

równoczesny wybuch takich czterech potężnych min mógł wywołać pożądany skutek.

Prace przygotowawcze trwały kilkanaście godzin. Nurkowie zmieniali się. Nad wieczorem dopiero miny były założone. Plot osobiście połączył je przewodnikiem, starannie izolowanym gutaperką, przez który w odpowiedniej chwili miano posłać silny prąd z akumulatorów.

Ponieważ „Neptun“ musiał znajdować się w odległości przynajmniej trzystu metrów od miejsca wybuchu, więc przygotowanie tak długiego druta zajęło całą dobę. A tylko elektryczność mogła zapewnić niezbędną równoczesność wybuchu czterech min. Zwyczajne sznury Bikworda, używane przez saperów do podpalania min podwodnych, nie dawały się tutaj zastosować, gdyż płonęły nierównomiernie.

Wszyscy podróżni śledzili z wielkiem napięciem postęp tych przygotowawczych prac, mających na celu zgruchotanie pancerza, poza którym, jak twierdził Bertheau, władca bieguna północnego czuł się zupełnie bezpiecznym.

Był to ostatni, decydujący szturm do tej lodowej fortecy, która nawet okrętowi podwodnemu stawiała nieprzewidzianą przeszkodę.

Nareszcie o samej północy dnia 26 września kapitan oświadczył, że za chwilę nastąpi wybuch min. „Neptun“ zaczął się powoli oddalać. Nurkowie znajdujący się na pokładzie, ostrożnie odwijali z kołowrotu przewodnik izolowany, przez który niebawem miał przepłynąć do melinitu prąd elektryczny. Przewodnik ten co pięćdziesiąt metrów był zaopatrzony w drewniane pływaki, ażeby się nie rozerwał pod własnym ciężarem.

Kiedy odległość między łodzią a minami wynosiła trzysta metrów, zatrzymano się.

Nurkowie powrócili do wnętrza. Raul stanął przy

baterji akumulatorów i gotował się do przyciśnięcia rączki od klucza elektrycznego. Dokoła niego zgromadzili się wszyscy uczestnicy wyprawy naukowej, z wyjątkiem załogi, która znajdowała się na swoich stanowiskach. Należało bowiem przygotować się na najgorsze następstwa wybuchu czterystu kilogramów jednej z najsilniejszych substancyj eksplodujących, jakie istnieją na świecie. Spodziewano się potężnego uderzenia wody, odpartej gazami, ale wierzono, że „Neptun“, zrobiony z grubej blachy, wytrzyma bez szwanku to powiększone nagle ciśnienie. Raul żywił tylko pewne obawy co do okien w saloniku i w wieżyczce, które kazał pozasłaniać okiennicami z blachy stalowej. Wiadomo mu było, że każdy materjał wybuchowy tego typu, co melinit, dynamit, piroksylina, spalający się w ciągu jakiejś miljonowej części sekundy, działa zawsze w kierunku największego oporu. Znaczy to, że gazy, zamiast odpierać na wszystkie strony wodę, powinny całą swą potęgę zwrócić przeciwko lodom i zgruchotać je, a tem samem znaleźć sobie ujście wygodne do atmosfery.

Odległość trzystu metrów wydawała mu się zupełnie dostateczną. Mimo to, kapitan przedsięwziął wszelkie środki ostrożności. Gdyby „Neptun“ doznał jakiego uszkodzenia, miano zamiar czem prędzej zbliżyć się do wyłomu i wydostać się przezeń w łodzi ratunkowej, którą też przygotowano. Na prośbę inżyniera, cała załoga zajęła w niej miejsce. Kapitan znajdował się przy sterze, motor mógł być puszczony w każdej chwili w ruch.

Przygotowania te były niezmiernie denerwujące. Celina i profesor Moriot nie mogli się oprzeć przykremu uczuciu. Co bowiem stałoby się z całą załogą „Neptuna“, gdyby wybuch, wbrew przewidywaniom Plota, miał uszkodzić statek i uczynić go niezdolnym do powrotnej żeglugi pod morzem? Równałoby się to zgubie pewnej.

Zdaje się, że podobne myśli krążyły po głowach innych uczestników wyprawy, w łodzi ratunkowej bowiem panowało głuche milczenie. Oczekiwano ze śmiertelną trwogą wybuchu, który miał albo pogrążyć „Neptuna“ na zawsze w otchłani, albo też otworzyć mu tak pożądane wyjście na świat boży.

Kapitan przyszedł przekonać się, czy wszyscy znajdują się na miejscach, poczem powrócił do wieżyczki. Raul stał przy komutatorze, gotów na dany znak przycisnąć jego rączkę.

— Puść pan prąd w pięć minut po mojem odejściu — rzekł doń Dubois. — Czy tylko dobrze obliczył pan odległość? — dodał. — Jeżeli potrzeba, można przedłużyć drut na jakie sto metrów.

— Sądzę, że to zbyteczne. „Neptun“ jest mocny i nie lęka się reakcji, jaką wywoła wybuch.

— W takim razie idę do wieżyczki i natychmiast po eksplozji kieruję się do wyłomu. Pan zaś niech także zajmie miejsce w łodzi ratunkowej.

Raul skinął głową i spoglądając na zegarek, czekał oznaczonej chwili.

Kiedy minęło sześć minut od odejścia kapitana, inżynier przeżegnał się i nacisnął rączkę.

Zamiast jednak spodziewanego huku, poczuł, że jakaś siła potężna rzuciła go na podłogę. Jednocześnie posłyszał głuchy szum wody, odpieranej przez masę gazów na wsze strony. „Neptun“ zadrżał cały, jakby sam otrzymał cios.

Mina była wysadzona! Plot, podniósłszy się na nogi, z lękiem wsłuchiwał się w różne odgłosy. Zdawało mu się przez chwilę, że woda wdziera się z pluskiem do wnętrza statku; ale było to złudzenie.

Wnet posłyszał uderzenia śruby. Motory, puszczone przez kapitana, zaczynały działać. „Neptun“ posuwał się

wolno w kierunku wyłomu. Upłynęło kilka minut trwożnego oczekiwania.

Nagle drzwi otworzyły się, i ukazał się w nich Dubois, rozpromieniony, triumfujący.

— Zwycięstwo, inżynierze! — zawołał, ściskając dłoń koledze. — Znajdujemy się o kilkanaście metrów od wyrwy, która, wnosząc z ilości wpadającego światła dziennego, jest kolosalna.

— A „Neptun“?

— Jak sądzę, nie doznał żadnej krzywdy. Trzeba zbadać przy pomocy nurków rozmiary otworu, zanim zdecydujemy się doń zbliżyć,

Inżynier nie miał nic pilniejszego, jak sprawdzić maszyny i rezerwoary. Obszedł całe wnętrze łodzi podmorskiej, a przekonawszy się naocznie, że nic się nie zepsuło, zapukał do łodzi ratunkowej, gdzie się znajdowała cała załoga.

— Można wyjść! — zawołał głośno.

Niebawem wszyscy byli już na swoich zwykłych miejscach.

Zarzucono inżyniera pytaniami, ale ten niewiele jeszcze mógł powiedzieć. Rzeczą najważniejszą było, że „Neptun“ wytrzymał uderzenie wody, odpartej gwałtownie przez wybuch. Wysłano dwóch nurków dla zbadania wyłomu.

Zmierzywszy wyrwę w lodzie, grubym w tem miejscu na pięć metrów, marynarze wrócili, oznajmiając, że jest ona zupełnie wystarczająca, ażeby „Neptun“ mógł się przez nią wynurzyć na powierzchnię.

— No, nareszcie! — rzekł Kornel, któremu jeszcze biło serce ze wzruszenia. — Panie Lequetre, możesz pan przygotować się do obserwacyj, które, mam nadzieję, wypadną pomyślnie.

„Neptun“, kierowany ostrożnie przez kapitana, zbli-

żył się do wyłomu, przez który wpadało jasne światło słoneczne. Kiedy już znajdował się pod samym otworem, kazał opróżnić zbiorniki balastowe, i łódź podmorska wynurzyła się wolno.

Odsunięto klapę, i pierwszy Kornel, a za nim inżynier i kapitan, wyjrzeli na świat. Okazało się, że wybuch potężnej miny, zawierającej aż czterysta kilogramów melinitu, sprawił kolosalny skutek. Ławica, złożona z kilku warstw lodu bardzo starego, została na znacznej przestrzeni rozbita w drobniutkie okruchy, które zniknęły bez śladu. Pozostał jedynie wyłom, mający ze sto metrów długości i ze dwadzieścia szerokości. Utworzyło się maleńkie jeziorko, w którem „Neptun“ wygodnie mógł się zmieścić.

Rzucono kilka desek z pokładu, i Kornel pierwszy, jak nakazywała sprawiedliwość, postawił nogę w punkcie, gdzie spodziewano się znaleźć biegun północny świata ziemskiego. W prawej ręce dzierżył on flagę trójbarwną republiki francuskiej, którą zatknął w najbliższej szczelinie lodowej.

Za nim kolejno wyszedł na pole lodowe cały sztab, nie wyłączając Celiny, która była podobna do wiosennego słońca. Cała jej postać tchnęła triumfem i radością. Oczy świeciły, na alabastrowych policzkach wykwitły, jak dwa maki, purpurowe rumieńce.

— Winszuję panu! — rzekła, podając dłoń narzeczonemu. — Jest pan u celu swych pragnień.

XXII. Jak wygląda kraniec świata.

Łatwo się domyślić, z jaką ciekawością żeglarze z łodzi podmorskiej rozglądali się dokoła siebie, kiedy znaleźli się na polu lodowem.

Przed oczami ich leżała tajemnicza okolica kuli ziemskiej — cel tylu ich poprzedników, teren, na którym stoczono tyle upartych, nieraz zakończonych tragicznie walk człowieka, pragnącego badać i odkrywać, z przyrodą pierwotną, zazdrośnie strzegącą swych tajemnic.

Kapitan Dubois, przymrużywszy oczy, rażone olśniewającem światłem dziennem, błądził wzrokiem po samotniach, uprzytomniając sobie nazwiska swych poprzedników. Ross, Franklin, Kane, Payer, Melville, Nordenskjöld, Koldewey, Hall, Jerzy Nares, De Long, Lockwood, w ostatnich czasach Nansen, Amundsen, Peary — oto cały szereg imion, które wsławiły się w dziejach wypraw do bieguna, opierającego się wytrwale wszelkim usiłowaniom człowieka aż do tej chwili.

Nareszcie forteca ta pod naporem genjuszu ludzkiego, nie cofającego się przed żadnemi trudnościami, obmyślającego coraz to nowsze i skuteczniejsze środki do walki, padła. Biegun północny stał się, tak jak wszystkie niemal zakątki kuli ziemskiej, dostępny. Wprawdzie droga prowadzi doń nie po labiryncie lodowców,

w przepaściach oceanu. Bądź co bądź jednak, triumf odniesiony nie jest mniejszy. Przeciwnie.

Pogrążony w tych myślach, które stawiały mu przed oczyma całe pasmo rozpaczliwych walk, długoletnich mąk, udręczeń licznego zastępu mniej szczęśliwych badaczów, kapitan czuł, że pierś jego rozpiera się dumą. Nie potrafił się powstrzymać.

Podbiegł do Raula Plota, twórcy cudownego narzędzia, dzięki któremu podbój bieguna północnego stał się z chimery niedościgłej faktem realnem, i w zapale ściskał go tak mocno, że inżynier aż się zaczerwienił.

— Dość, dość! kochany kapitanie — wołał, starając się daremnie uwolnić z niedźwiedzich objęć starego marynarza. — Ale kto to wie, czy już znajdujemy się u samego bieguna? Trzeba, żeby wprzód nasz przysięgły fizyk, pan Lequetre, dokonał jak najstaranniejszych pomiarów wysokości słońca. Wówczas dopiero, kiedy on nam orzeknie, że mamy prawo zupełne cieszyć się, krzykniemy: „Zwycięstwo“!

— Tak, tak! — potwierdził Kornel. — Umieram z niecierpliwości. Mości Lequetre, do dzieła!

Pole lodowe, pośród którego wynurzył się przez wyłom w krze odwiecznej „Neptun“, nie różniło się fizjognomją od wielu innych, które spotkano w drodze. Było to jakby płaskowzgórze, wznoszące się miejscami o kilka metrów nad poziom morza, usiane przytępionemi wzgórzami, których ostre niegdyś szczyty leżały pod kilkoma warstwami śniegu. Kapitan odrazu poznał po tych i wielu innych oznakach, że ma do czynienia z niezmiernie starą formacją świata podbiegunowego, gdzie lód stanowi główny materjał geologiczny. Potężna kra, przez którą zaledwie melinitem zdołano sobie utorować drogę na świat z głębi oceanu, opierała się wytrwale kilku zi-

mom i niezliczonym atakom rozhukanego morza. Świadczyły o tem brózdy i barjery, a także obecność w wyłomie kilkunastu warstw lodu różnej barwy i konsystencji.

— No, masz pan doskonałą podstawę do założenia obserwatorjum! — rzekł kapitan. — Na tem polu lodowem możnaby nawet wystawić cały dom, a w nim umontować wielki teodolit, dzięki czemu nasze obserwacje zyskałyby na dokładności. Ponieważ jednak nie posiadamy takich potężnych instrumentów, lecz małe podróżne, przeto nasze dostrzeżenia nie mogą być bardzo ścisłe.

— Wie pan co, odezwał się fizyk. — Posiada pan jako marynarz większe doświadczenie w manewrowaniu sekstansem. Niech więc pan dokona pierwszego zdjęcia tym instrumentem, ja zaś ze swej strony zrobię pomiary przy pomocy teodolitu; w ten sposób będziemy się wzajemnie kontrolowali.

— Zgoda.

— Panie Bertheau, czy ma pan swoje meteorologiczne narzędzia?

Mareograf nie czekał jednak na pytanie. Roztasował się już był na jakimś odłamie kry ze swemi termometrami, wilgociomierzami i barometrami.

— O co idzie?

— Pragnę wiedzieć, jaką mamy w tej chwili temperaturę, bo to jest dla nas ważne, gdyż musimy wprowadzić do naszych obliczeń ten czynnik.

— Ośm stopni poniżej zera — odparł mareograf.

— No, jest to dość wysoka, jak na tę porę i na tę szerokość, temperatura, dowodząca, nie wiem po raz który, że biegun zimna nie leży pod biegunem geograficznym, ale na stałym lądzie Syberji, gdzieś pod 70 stopniem szerokości zaledwie. Takie zimno nie przeszkodzi nam dokonać dokładnych spostrzeżeń.

Robiłem obserwacje przy daleko większym mrozie — potwierdził kapitan — i pochlebiam sobie, że były dokładne.

Wszyscy z zaciekawieniem uważali, jak kapitan i fizyk brali się do dzieła. Dubois postępował metodycznie. Ponieważ powiewał lekki wiatr, więc marynarz wyszukał sobie osłony w postaci wzgórka lodowego. Zakopał swoją skrzynkę od sekstansa w śniegu, żeby stała mocno; rozpostarł czarną skórę na lodzie, częścią żeby nie pozwolić śniegowi topnieć, głównie zaś, aby uchronić wzrok od silnego światła słonecznego, odbijanego przez bielutką powierzchnię kry. Postawił naczynie do rtęci na skrzynce i nalał w nie pełno ogrzanej uprzednio rtęci, która utworzyła błyszczącą, ściśle poziomą płaszczyznę, mającą zastąpić naturalny horyzont. Ażeby oddech obserwatora i drobne kryształki śniegu, spadające z powietrza, nie mąciły zwierciadła rtęciowego, kapitan nakrył je rodzajem daszka z dwóch dokładnie oszlifowanych szybek, złączonych pod kątem prostym. Kiedy insturment był przygotowany, kapitan położył na północ odeń drugą skórę i wyciągnął się na niej jak mógł najwygodniej.

Głowa jego była przytem zwrócona ku południowi. Oparł oba łokcie o lód i trzymał mocno w rękach sekstans tuż przy widnokręgu. Potem zaczął poruszać głową i instrumentem dopóty, dopóki nie ujrzał tarczy słonecznej, odbitej w zwierciadle rtęciowem. Prawo, na zasadzie którego marynarze obliczają szerokość geograficzną, jest bardzo proste; brzmi ono tak: „Szerokość geograficzna obserwatora równa się odległości środka tarczy słonecznej od zenitu, pomnożonej przez deklinację słońca dla danego dnia i godziny“. Ponieważ zaś deklinacja słońca jest zgóry i dokładnie podana w specjalnych tablicach, wydawanych przez londyńskie i paryskie biura astrono-

miczne, które posiadać powinien każdy żeglarz, przeto obliczenie szerokości nie nastręcza wielkich trudności, nawet pod biegunem, przy temperaturze wyżej zamarzania rtęci.

Kapitan miał więc zadanie względnie łatwe. Chodziło tu jednak o możliwie największą dokładność.

Trudniej dawał sobie radę z teodolitem Lequetre, gdyż słońce znajdowało się już dość nisko nad widnokręgiem.

Cały pozostały sztab naukowy śledził z biciem serca ruchy obu obserwatorów.

— Zdaje mi się — zauważył Kornel — że dokonywanie tej czynności należałoby odłożyć do samego południa, kiedy słońce znajduje się najwyżej nad widnokręgiem.

— Zaraz znać, że nie jesteś geografem, mój chłopcze — odparł profesor, uśmiechając się pobłażliwie. — Pamiętaj, że znajdujemy się podobno na samym biegunie.

— Więc cóż z tego?

— I że biegun jest to miejsce, w którem przecinają się wszystkie południki ziemskie, czyli, mówiąc inaczej, słońce przechodzi tu ciągle przez wszystkie południki, to znaczy, że na biegunie jest równocześnie godzina szósta rano, tak dobrze jak południe, albo dziesiąta wieczór. A wychodzi to na jedno, jakbym ci powiedział, że niema tu wogóle żadnej godziny, czyli, że jest zawsze południe, albo północ, jak ci się podoba.

— Rzeczywiście nie pomyślałem o tem! – nie urażony bynajmniej de Convielle.

— Niedość tego ciągnął dalej uczony. — Doba równa się na biegunie rokowi. Dzień trwa tutaj dokładnie sześć miesięcy i tyleż nocy. Niema też na biegunie żadnego kierunku określonego. Gdziekolwiek się obrócisz, na jakimkolwiek punkcie widnokręgu spocznie twój wzrok,

wszędzie jest południe. Każdy wiatr wieje od południa. Czy pójdziesz w tę czy w tamtą stronę, chociażby całkiem przeciwną, zawsze będziesz się posuwał na południe. Północny kierunek na samej północy nie istnieje już, pojęcie to nie obowiązuje nas tutaj!

— Co za paradoksy! — śmiał się dalej Kornel.

— Nie są to bynajmniej paradoksy, mój chłopcze, ale oczywistość, wynikająca ze względności wszelkich, a więc i geograficznych pojęć.

— Podróż naokoło świata można tu odbyć w ciągu paru minut — dodała Celina. Ot, obejdę dokoła obserwatorjum kapitana Dubois — i już!

— O ile kapitan znajduje się na samym biegunie! — poprawił profesor Moriot.

— No, jakże tam? — dodał, widząc, że marynarz podnosi się.

— Skończyłem! — zawołał kapitan. — Według moich spostrzeżeń, znajdujemy się pod 89 stopniem, 52 minutą i 32 sekundą szerokości północnej.

— A zatem jeszcze nie na samym biegunie! — zawołała tonem zawiedzionej nadziei panna Moriot.

— Zaraz obliczymy, jak daleko mamy jeszcze do samego końca osi ziemskiej — rzekł Moriot. — Otóż długość jednego stopnia łuku południkowego na równiku wynosi 110563 m. i rośnie stale w miarę tego, jak się zbliżać będziemy pod biegun. Pod 90 stopniem szerokości wynosi ona 111.707 metrów, przeciętnie zaś 111.133 metrów. Jednej minucie na biegunie odpowiada przeto przestrzeń 60 razy mniejsza, to znaczy 1861 i 7 dziesiątych metra, jednej sekundzie zaś — 31 metr. Biorąc pod uwagę, że według tylko co dokonanych przez kapitana obliczeń, znajdujemy się w odległości od bieguna 448 sek. łuku, a sekunda równa się w tym wypadku 31 metrom, więc od bieguna

matematycznego dzieli nas przestrzeń 13.284 metrów, czyli 13 kilometrów z czemś.

— Byłoby tak istotnie, gdyby moje obserwacje były wolne od zarzutu — odparł kapitan — pamiętajmy jednak, że sekstans, taki jak ten, nie jest ścisłym instrumentem, odczytywanie nonjusza mogło pociągnąć za sobą pewną pomyłkę, słońce, nisko położone skutkiem załamywania się promieni światła w atmosferze, wydaje się położonem w innym punkcie nieba, aniżeli w rzeczywistości. Biorąc pod uwagę wszelkie możliwe uchybienia, należy przyjąć możliwość pomyłki w granicach jakichś piętnastu kilometrów w tę albo w inną stronę. Kto wie zatem, czy nie znajdujemy się znacznie bliżej albo dalej od bieguna.

— No, a pan, panie Lequetre? — rzekł kapitan, zbliżając się do towarzysza.

— Według mnie, jesteśmy pod 89 stopn., 54 min. i 16 sekundą szerokości północnej! — zawołał fizyk. — Nie jestem jednak, tak jak i pan, pewny swego.

— No, to znacznie bliżej — zawołał profesor, śmiejąc się.

— A więc niepodobna dokładniej określić, gdzie się znajdujemy? — zagadnął de Convielle, nachmurzony.

— Będzie to bardzo trudno — rzekł Bertheau. — Musielibyśmy chyba założyć prawdziwe obserwatorjum na tem polu lodowem i prowadzić przez kilka miesięcy ścisłe obserwacje; potem, biorąc przeciętną z kilkuset pomiarów, wyprowadzić położenie bieguna z pożądaną dokładnością. Wówczas omyłka nie wynosiłaby prawdopodobnie więcej nad kilkadziesiąt metrów.

— Zapominasz pan jednak — odezwał się Moriot — że znajdujemy się nie na stałym lądzie, ale na olbrzymiem polu lodowem, które prawdopodobnie, jak każdy lód w tych okolicach, porusza się w pewnym kierunku z nieznaną

dla nas prędkością. A zatem, gdybyśmy nawet określili z pożądaną ścisłością miejsce, gdzie się znajduje koniec północny osi ziemskiej, i zatknęli na nim flagę, albo postawili kopiec z dokumentami, to po upływie kilku dni albo tygodni te dowody naszego tutaj pobytu przeniosłyby się o kilka czy kilkanaście mil dalej.

— To fatalna okoliczność! — zawołał zmartwiony nie na żarty Kornel. — A zatem musimy zrezygnować z przyjemności postawienia nogi na samym biegunie?

— Niestety — rzekł profesor, wzdychając.

— Przyznaję, że dla mnie to bardzo przykry zawód mówił młodzieniec, spoglądając melancholijnie na narzeczoną.

— No, jest na to rada! — zawołał kapitan. — Weźmiemy sanie, władujemy na nie nasze instrumenty, namiot, nieco zapasów żywności i odbędziemy wycieczkę, posuwając się o kilkanaście kilometrów w różnych kierunkach, wszędzie dokonywując pomiarów. Wówczas wyprowadzimy przeciętną z naszych spostrzeżeń, co nam pozwoli z maksymalną, dla nas dostępną dokładnością określić położenie bieguna. Potem zaś, jeżeli nawet brać pod uwagę nie dające się uniknąć błędy, każdy nam przyzna, że podczas tych naszych peregrynacyj, w jakiejś nieznanej nam chwili będziemy się znajdowali na samym biegunie. To nam pozwoli skutecznie odeprzeć zarzuty niedowiarków albo pedantów, którzy mogliby nam po powrocie uczynić zarzut, że w gruncie rzeczy nie deptaliśmy stopą końca osi ziemskiej.

— Doskonała myśl! — zawołał uradowany Kornel.— Kapitanie, racz dać niezbędne zlecenia. Będzie to bardzo zajmująca wycieczka. Weźmiemy wszyscy w niej udział.

Projekt wykonano niezwłocznie. Naładowano na sanki namioty, stół, mnóstwo wszelkiego rodzaju smakołyków,

gdyż zamierzano wydać na samym biegunie ucztę lukullusową, i wesoło, wśród śmiechów i żartów, puszczono się w drogę, kierując się ku miejscu, gdzie, według zgodnych zapewnień kapitana i fizyka, powinien był leżeć matematyczny koniec osi ziemskiej.

Powierzchnia lodu była dość równa; posuwano się po niej szybko. Kornel na nartach wyprzedzał pochód, pragnąc być pierwszym.

Kiedy w ten sposób przebyto kilkanaście kilometrów, zatrzymano się i znów dokonano obserwacyj jak najstaranniej.

— Znajdujemy się pod 89 stopn., 56 min. i 15 sek.! zawyrokował kapitan.

— Przebyliśmy z piętnaście kilometrów — odezwał się Bertheau, — a jednak zbliżyliśmy się bardzo mało do bieguna, bo tylko o 2 minuty!

Dowodzi to raz jeszcze, jak niedokładne są nasze spostrzeżenia — rzekł kapitan.

— Minęliśmy biegun — a zatem należy się znowu cofnąć!

Usłuchano tej rady i przebywszy z ośm kilometrów w ciągu kilku godzin, po raz trzeci zdjęto położenie geograficzne z pedantyczną dokładnością.

Ośmdziesiąt dziewięć stopni, pięćdziesiąt ośm minut, 32 sekundy! — zawyrokował Lequetre, który tym razem uciekł się do sekstansu.

Jest to całkiem zadowalająca odległość od bieguna! — rzekł profesor — nic można sobie nic lepszego życzyć.

Ażeby jednak uspokoić sumienie, wyprawa poruszała się jeszcze w północnym kierunku w ciągu dwóch godzin, potem znów określono położenie. Z tych kilku obserwacyj przekonano się dowodnie, że bardzo nieznaczna odległość dzieliła podróżników od matematycznego punktu przecięcia się wszystkich południków ziemskich na półkuli północnej.

— No, teraz nie można już wątpić! zawołał z triumfem Lequetre. Znajdujemy się u celu naszej niebezpiecznej, szalonej, powiem teraz pod adresem Plota, podróży.

Wszyscy musieli się zgodzić ze zdaniem fizyka. Profesor, który odznaczał się nadzwyczajną sumiennością w kwestjach naukowych, także przyznał, że odkrycie bieguna północnego należy do faktów nie dających się zaprzeczyć. W punkcie, który uważano za najbliższy bieguna matematycznego, w sąsiedztwie wzgórka, na kilka metrów wysokiego, zatknięto triumfalnie flagę republikańską i wzięto pustkowia w posiadanie Francji,

Niewiele się wzbogaci nasza ojczyzna! mówił z uśmiechem Kornel, rozglądając się po polu lodowem. Jeżeli się nie mylę, to prawo międzynarodowe nie pozwala przywłaszczać sobie przez jakiekolwiek bądź państwo obszarów, położonych śród morza otwartego; zwłaszcza, że ten obszar jest sobie poprostu krą pływającą. Ojczyzna nasza zyskała więc nabytek całkiem iluzoryczny. Czuję się jednak dumnym, że nazwiska francuskie związały się nieodłącznie z tem wiekopomnem odkryciem. Jest to całkiem słuszne, gdyż i żegluga podmorska, dzięki postępowi której zdobyliśmy pierwszeństwo w odkryciu bieguna północnego, jest także dziełem genjuszu francuskiego.

Z wyjątkiem paru marynarzy z porucznikiem na czele, którzy pozostali na łodzi podwodnej dla pilnowania jej, cała załoga znajdowała się tutaj. Flaga powiewała, muskana wesoło przez lekki wiatr południowy, bo innego, jak słusznie zauważył profesor Moriot, niemasz pod samym biegunem. Otoczono ją i, na wniosek kapitana, wydano na cześć dalekiej Francji trzykrotny gromki okrzyk, który odezwał się słabem echem wśród wzgórków lodowych i barjer otaczających widnokrąg.

Postanowiono spędzić na biegunie kilka dni czasu,

dla dokonania niezbędnych obserwacyj meteorologicznych, magnetycznych etc., etc. Tymczasem, kiedy uczeni zajęli się przygotowaniami do nich, wzniesiono obszerny namiot, otoczony wałem lodowym, i panna Celina w asystencji stewarda przygotowała w nim ucztę, jakiej jeszcze kraniec świata nigdy nie był świadkiem. Przy stole święcono w wesołym nastroju tę wielką dla wszystkich uroczystość. W przemowach — bo szampan porozwiązywał cudownie wszystkie, najbardziej powściągliwe języki — sławiono zasługi inicjatora wyprawy, pana Kornela de Convielle, który jest chlubą arystokratycznej młodzieży francuskiej, oraz znakomitego twórcy „Neptuna“, inżyniera Raula Plota, który umożliwił, przy tak małym stosunkowo nakładzie czasu i energji, dokonać tego, o co doniedawna kusili się daremnie najdzielniejsi podróżnicy. Każdemu oddano należne hołdy, nie zapominając naturalnie ani o profesorze Moriot, naukowym kierowniku wyprawy, ani o jego prześlicznej córce, pannie Celinie, pierwszej kobiecie, która postawiła małą stopkę na tajemniczym punkcie świata.

Uczta przeciągnęła się kilka godzin, poczem poświęcono drugie tyle na wypoczynek po utrudzającej wędrówce. Wyprawę czekały bowiem ważne prace naukowe, którym poświęcić zamierzono dni następne.

XXIII. Oryginalny pomnik.

Teraz nasi podróżni mogli dosyta przyglądać się okolicom, gdzie przyroda umieściła północny koniec osi ziemskiej.

Było to, jak się przekonano podczas wycieczek, olbrzymie, bo zawierające kilkadziesiąt mil we wszystkich kierunkach, stare pole lodowe, pokryte szczątkami barjer, które pod wieloma warstwami śniegu zamieniły się na łańcuchy zaokrąglonych pagórków.

Lód w tych szerokościach zastępuje skały, tworząc formacje, przypominające konfigurację powierzchni stałego lądu.

Bertheau z zamiłowaniem zabrał się do badań; mierzył, rysował, fotografował, i niebawem wyprawa ujrzała się w posiadaniu doskonałych zdjęć, upamiętniających zdobycie królestwa wiecznych lodów.

Ze swej strony Lequetre mierzył długość wahadła sekundowego, starając się oznaczyć siłę przyciągania ziemskiego na biegunie, a stąd spłaszczenie ziemi w tych okolicach. Potem oddał się pomiarom magnetyzmu. Oceanograf zabierał się do badania otchłani oceanu i w tym celu kazał wywiercić w sąsiedztwie „Neptuna“ otwór, w który zapuścił sondę.

Okazało się jednak, że lina, długa cztery tysiące

metrów, jest za krótka, ażeby dosięgnąć dna morskiego. Dowodziło to raz jeszcze, że istotnie kula ziemska przypomina nieco swoją postacią olbrzymi tetraedr, że na żebrach tego ciała geometrycznego leżą wypukłości lądów stałych, że biegun południowy znajduje się u jednego z wierzchołków kąta sferycznego, gdy biegun północny przypada na zagłębienie wpośrodku przeciwległego trójkąta; nic więc dziwnego, że w tym punkcie sonda nie zdołała zgłębić otchłani oceanu Lodowatego. Nie posiadano większej liny, musiano przeto zanotować lakonicznie, że pod biegunem północnym głębokość morza przekracza 4000 metrów.

Wzięto próbki wody z różnych głębokości, które, badane pod względem zoologicznym, wykazały, że ocean nawet pod grubą skorupą lodów roi się od różnych drobnych żyjątek, które zkolei dają możność istnienia rybom, walom, morsom, fokom, ptakom i całemu szeregowi istot wyższej organizacji.

Pole lodowe, tamujące dostęp tym istotom do otwartej wody, było pustynne. Tylko w powietrzu przesuwały się ptaki, szukające, dzięki swym lotnym skrzydłom, żeru w odległych jeziorach, pomiędzy krami.

— Obraz, jaki roztacza się przed naszemi oczyma — mówił profesor — niemal zupełnie zgadza się z naszemi wyobrażeniami. Ocean, oblewający biegun północny, jest pokryty wiecznie błąkającemi się pod działaniem prądów i wiatrów lodami. Ponieważ jednak pomiędzy niemi daremnie szukam gór lodowych, wnoszę stąd, że w najbliższem przynajmniej sąsiedztwie nie leży żaden ląd. Góry bowiem są utworami lądowemi i powstają z lodników, spływających do morza z wyniosłych wybrzeży. Znajdujemy się zatem wpośrodku rozległego obszaru wodnego, zrzadka usianego z tej strony bieguna archi-

pelagami, które przytem nie sięgają daleko poza 80 równoleżnik, jak np. Ziemia Franciszka Józefa. Jest to rodzaj olbrzymiego, głębokiego na pięć, a może nawet siedm tysięcy metrów basenu, i kto wie, czy tutaj nie odnaleźlibyśmy największej otchłani morskiej.

Kornel i Cecylja słuchali tych wywodów uczonego profesora z uwagą. Na twarzy młodzieńca malowało się jednak niezadowolenie, którego nie potrafił ukryć.

— Powiedz mi, profesorze, w jaki sposób zaznaczymy fakt, że dotarliśmy w te okolice? Jaki możemy pozostawić dowód dla potomności, że „Neptun", mający na swoim pokładzie cały sztab naukowy, pruł swoją stalową piersią te drzemiące pod powłoką starych lodów wody, wypełniające, jak pan mówi, zapadlinę kuli ziemskiej? Myśl ta nie opuszcza mię ani na chwilę. Przecież nie możemy odpłynąć stąd z garścią samych spostrzeżeń i obliczeń?

— Jak widzę, nie zaniechałeś jeszcze swego ambitnego zamiaru postawienia pomnika pod biegunem! — odparł profesor, uśmiechając się z lekkim odcieniem ironji. — Ale jest to tylko kwestja ambicji, upewniam pana — dodał. — Nasze dokładne, sumiennie dokonane obliczenia i obserwacje przekonają łatwo uczonych, a z nimi świat cały, że w samej rzeczy dotarliśmy tutaj. O cóż więc idzie?

— Pragnę pozostawić tutaj jakiś trwały ślad naszego pobytu, dowód materjalny! — zawołał de Convielle.

— Doskonale! zbudujmy zatem na polu lodowem wielki kopiec z odłamków ludu i pozostawmy w nim dokument, jak to uczynił Amundsen na biegunie południowym.

— Sam pan powiedziałeś, profesorze, że pole lodowe zmienia ciągle miejsce, i że w ciągu kilkunastu tygodni nasz kopiec może się znaleźć daleko od bieguna. Nie jest to zatem żaden dowód!

— Ha, mój chłopcze, niema na to żadnej rady. Gdy-

byśmy się znajdowali na stałym lądzie, tak jak ten szczęśliwy Norwegczyk, Amundsen, to zupełnie co innego. Ale tutaj, pośrod ruchomych lodów...

Zresztą, powiem ci na pociechę, że nawet położenie bieguna samego, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie jest stałe. W Grenlandji i w wielu innych punktach odkryto pokłady węgla i różne skamieniałości, które dowodzą, że w tych okolicach kuli ziemskiej niegdyś panował zupełnie inny klimat — ciepły.

Otóż może to być skutkiem dwóch przyczyn. Albo dawniej na powierzchni ziemi panowała bardzo wysoka temperatura, dzięki której aż pod same bieguny rozciągała się strefa gorąca, albo też oś ziemska w ciągu wielu setek tysięcy lat zmieniła swoje położenie, czyli, mówiąc inaczej, bieguny ziemskie wędrowały po powierzchni ziemi. Jeżeli idzie o bieguny magnetyczne, to nie podlega już żadnej wątpliwości, że zmieniały one w ciągu wieków swoje położenie na powierzchni ziemi.

Może ci nie wiadomo, że świeżo wypalona cegła, pod działaniem indukcyjnem magnetyzmu ziemskiego, staje się rodzajem magnesu, którego bieguny odpowiadają położeniu biegunów magnetycznych ziemskich. Otóż pomiary, dokonane na bardzo starych pomnikach architektury, przekonały nas, że przed kilku tysiącami lat bieguny magnetyczne znajdowały się w zupełnie innych okolicach ziemi.

— Tak, wszystko na świecie podlega zmianom; zgoda na to, kochany profesorze, ale niemniej przeto ludzie wznoszą pomniki, choć każdy wie, że nie będą wieczne. Ja także mam sobie za punkt honoru wystawić coś możliwie najtrwalszego w tym punkcie, dokąd udało nam się dotrzeć dzięki szczęśliwym okolicznościom.

Profesor Moriot musiał przyznać, że jego przyszły

zięć miał zupełną słuszność, nie licząc się z wiekowemi, niedowiedzionemi jeszcze zmianami w położeniu biegunów geograficznych. Stał on na praktycznym punkcie widzenia.

— Ha, a zatem obmyśl pan jaki sposób; co do mnie bowiem, nie widzę żadnego — zakończył Moriot. Te oto papiery — dodał, stukając końcem ołówka w notatki naukowe — będą trwalszym, aniżeli nawet granit, pomnikiem naszego tutaj pobytu. Nie pragnę innych.

Rozmowa ta odbywała się w obecności Lequetre'a, który jednak, zajęty swojemi obliczeniami, nie mieszał się do niej.

Kiedy de Convielle oddalił się, nasz fizyk przerwał swoją pracę i przez chwilę pogrążył się w głębokiej zadumie.

Kornel, któremu myśl wniesienia pomnika nie wychodziła z głowy, zaproponował narzeczonej wycieczkę na nartach.

— Musimy w czemkolwiek przyczynić się do uzupełnienia naszych badań — rzekł. — Otóż wziąłem na siebie obowiązek dostarczenia okazów fauny tej najbardziej ku północy wysuniętej strefy. Jeżeli pani nie ma nic przeciwko temu, to urządzimy sobie polowanie. Weźmiemy fuzje myśliwskie, i mam nadzieję, że niebawem wrócimy ze zdobyczą.

Panna Moriot nie kazała się długo prosić. Przybrana w ciepły kostjum z futra niebieskiego lisa, przewiesiła przez ramię lekką dubeltówkę oraz torbę, i tak wyekwipowana ukazała się we drzwiach namiotu.

Młoda para, zabrawszy ze sobą Legranda, który miał ewentualnie dźwigać zdobycz, puściła się w kierunku kilku pagórków, nad któremi unosiło się stado mew.

De Convielle wstydził się przyznać, że spodziewał

się gdzieś wpobliżu bieguna znaleźć chociażby nagą skałę, wystającą na kilkanaście metrów nad powierzchnię morza, i tam zatknąć flagę. Mieć jakiś stały, niezmienny punkt w tym labiryncie błędnych lodów — było jego najskrytszem pragnieniem.

Pamiętał on, że podczas swojej wycieczki, która omal nie skończyła się tragicznie, nie napotkał najmniejszego śladu lądu; ale pomimo to łudził się jeszcze.

Dlatego to owe cokolwiek wyższe pagórki znęciły jego uwagę.

Kiedy jednak, po całogodzinnej jeździe na nartach po nierównej krze, stanął w owym punkcie, przekonał się, że znajdował się tam rodzaj długiej na dwieście metrów, a szerokiej na sześć szczeliny, gdzie mewy oddawały się z namiętnością rybołówstwu.

Mieszkańcy otchłani morskich, szukając ożywczego tlenu, tłumnie nawiedzali jeziorko. Co chwila któraś z mew, spadając nagle jak piorun z wysokości, zanurzała się w zimnej wodzie, ażeby wnet ukazać się, trzymając w dziobie rybę. Głuche sapanie dowodziło, że i psy morskie, a może nawet morsy przypływały tutaj z nieznanych zakamarków między lodami, ażeby zaczerpnąć powietrza.

Kornel, zrobiwszy to odkrycie, niezmiernie się ucieszył.

— Oto miejsce, gdzie będziemy mogli zdobyć mnóstwo cennych okazów! — zawołał, zdejmując dubeltówkę.

Ledwo wymówił te słowa, gdy już padł strzał, i prawie u samych nóg Celiny zatrzepotał strącony ptak.

Była to różowa mewa, rzadka w niższych szerokościach, ale tutaj, pod samym biegunem, znać dość pospolita.

Rozpoczęło się polowanie. Mewy nie lękały się strzału, niebawem bowiem znów rozpoczęły przerwane na chwilę

łowy. Celina zkolei dała ognia — z powodzeniem; była to wielka drapieżna mewa, Stercorarius Buffonii, która w oczach naszych strzelców rzucała się na swoje mniejsze towarzyszki, ażeby im wydrzeć pochwyconą zdobycz.

Po upływie paru godzin torba napełniła się kilkunastoma okazami ptactwa podbiegunowego, które nigdy zapewne nie widziało człowieka, gdyż wcale od myśliwych nie uciekało. Stwierdzono także obecność foki brodatej i postanowiono wrócić tutaj nazajutrz z harpunami, ażeby zapolować na grubszą zwierzynę.

Kiedy już obładowani trofeami strzelcy mieli zamiar powracać, de Convielle wdarł się jeszcze na jeden z sąsiednich pagórków i stamtąd przy pomocy perspektywy rozglądał się po widnokręgu. Nie dostrzegł jednak nic takiego, coby pozwalało domyślać się bliskości lądu albo przynajmniej jakiej wysepki. Ocean pod samym biegunem był zupełnie pusty! Straciwszy nadzieję, młodzieniec podążył za swoją towarzyszką i za Legrandem, który uginał się pod ciężarem zdobyczy.

Kiedy wrócono do obozowiska, uczeni pokończyli już swoje prace dzienne. Zgromadzono się w namiocie, gdzie kucharz zastawił stół do wieczornego posiłku.

Zrobiono, jak się pokazało, bardzo wiele.

Kapitan zadecydował, że na badania naukowe nie można poświęcić więcej, jak cztery do pięciu dni czasu ze względu na spóźnioną porę roku. Należało liczyć się z najgorszemi ewentualnościami, aż do spędzenia przymusowego zimy w tych pustkowiach.

— No i cóż, nie znalazł pan jakiej skały? — zagadnął Lequetre, kiedy Kornel wstał od obiadu w zamiarze udania się do „Neptuna“.

— Niestety! — westchnął de Convielle. — Muszę chyba zrezygnować z tej ambicyjki, jak się wyraził profesor.

Fizyk zrobił tajemniczą minę.

— Wie pan co? Wystawimy pomnik na samym biegunie północnym i pochlebiam sobie, że trwały — rzekł, uśmiechając się.

Kornel spojrzał na uczonego z niedowierzaniem.

— Brak nam przecież stałego, niezmiennego punktu oparcia! — rzekł.

— Bynajmniej, mamy go!

— Gdzież to, jeżeli wolno zapytać?

Zamiast odpowiedzi, fizyk wskazał palcem na lód pod swojemi stopami.

— Ależ panie, nawet tak stare pole lodowe, jak to, po którem stąpamy obaj, nie przedstawia niezmiennego punktu pod fundament dla jakiegoś porządnego pomnika!

— Nie mam wcale na myśli lodu. Sięgam znacznie dalej, a raczej głębiej.

— Dokądże to?

— Aż na samo dno tego oceanu, wśród którego się znajdujemy! — odparł zuchwale Lequetre.

— Na dno oceanu? — powtórzył Kornel zdumiony. — Ależ sonda nam pokazała, że znajduje się tutaj otchłań niezgłębiona.

— Co to jest niezgłębiona? Ocean ma głębokości pięć — no, dajmy na to — sześć czy siedm tysięcy metrów. Zgoda na to. W każdym razie musi mieć dno. Otóż proponuję, ażeby postawić nasz pomnik na samem dnie morskiem!

— Co za pomysł! — zawołał de Convielle.

— Ha, pomnik będzie niedostępny dla oka ludzkiego. Ale czy nam idzie o to, żeby ktoś niebawem miał możność stwierdzić naszą tutaj obecność? Co do mnie, uważam, że sam fakt istnienia takiego niezniszczalnego dowodu

powinien zaspokoić nasze ambicje. Tam, w przepaściach oceanu będą się znajdowały dokumenty, przez nas spisane. Kto nie wierzy, niechaj wstąpi w otchłań, lub niech postara się wydobyć nasz pomnik przy pomocy sondy olbrzymiej.

— Nie znam materjału, któryby się okazał dostatecznie opornym na ciśnienie, panujące w głębinach morskich; zresztą metal pokryje się rdzą.

— Nie każdy. Sporządzimy nasz pomnik ze złota. Musisz mi pan dać do dyspozycji całą gotówkę, jaka znajduje się na „Neptunie".

— Posiadam w monecie brzęczącej coś około trzydziestu tysięcy franków.

— Zdaje mi się, że to powinno wystarczyć... — odparł fizyk.

De Convielle nie mógł jednak oswoić się z pomysłem Lequetre'a, który wydał mu się narazie niemal że niedorzecznym.

— Jakże będzie wyglądał ten nasz pomnik? — zagadnął.

— Zobaczy pan, skoro będzie gotów.

— Ha, nikomu nic podobnego nie przyszłoby do głowy. Wie pan co? jesteś pan oryginał, jakich mało. Zgoda! Ale trzymaj pan ten projekt w tajemnicy, nie lubię bowiem przedwczesnych krytyk.

Lequetre kiwnął głową. Kornel zaprowadził go do kasy i wręczył pełną skrzynkę złotych, nowiutkich monet. Fizyk zabrał pieniądze i zamknął się z niemi w kamerze machin, gdzie niedawno dokonał naprawy złamanego wału od śruby.

Przez następne dni daremnie koledzy dopytywali się o fizyka. Nie pokazywał się wcale, nawet przy wspól-

nym stole. Zatonął cały w tych tajemniczych przygotowaniach, czem wszyscy byli niezmiernie zaintrygowani.

Upływał termin ukończenia prac naukowych. „Neptun“ gotował się do powrotnej drogi, gdyż słońce szybko zniżało swój bieg, zataczając coraz bliższe horyzontu kręgi. Niebawem miało ono zniknąć zupełnie; noc półroczna stała u progu tego świata wiecznych lodów. Dzięki kilkudziesięciu sumiennym spostrzeżeniom, udało się dokładnie wyznaczyć położenie bieguna. W punkcie tym zatknięto flagę republikańską na szczycie wysokiego kopca, z odłamków kry złożonego. Na samym spodzie profesor Moriot w puszce od konserw umieścił dokument, stwierdzający fakt odkrycia bieguna północnego. Wszyscy członkowie ekspedycji położyli pod nim swoje podpisy, poczynając od Kornela i kapitana, a kończąc na ostatnim smarowniku.

Na tem chciano się ograniczyć.

Nazajutrz „Neptun“ miał się znów zanurzyć pod lodowce i opuścić biegun na zawsze. W wigilję odjazdu, w salonie, gdzie zgromadzili się członkowie uczonego komitetu, zjawił się Lequetre, niosąc jakiś okrągły, ciężki przedmiot, który w triumfie położył na stole, przed profesorem Moriotem.

Była to kula szczerozłota, wewnątrz pusta, ale o tak grubych ściankach, że z łatwością mogła wytrzymać ciśnienie, panujące w przepaściach morskich.

Wzmocniono ją krzyżującemi się w centrum poprzecznikami.

— Przedstawiam panom pomnik, jaki zamierzamy, w porozumieniu się z panem de Convielle, pozostawić na dnie morskiem, pod samym biegunem północnym. Wewnątrz kuli umieszczam ten oto dokument, spisany rylcem na płytce złotej. Mam nadzieję, że szlachetny materjał zapewni mu wieczną trwałość. Idzie teraz

o to, żeby szanowni koledzy raczyli dołączyć swoje podpisy.

Przemowa fizyka wzbudziła powszechną sensację. Odczytano ów dokument na złotej blasze. Treść jego była krótka:

„Działo się dnia 12 września 192... roku ery chrześcijańskiej.

Niżej podpisani, na łodzi podwodnej, której rysunek załącza się, dotarli pod lodami do miejsca przecięcia się południków na półkuli północnej, czyli do północnego bieguna ziemi, w celach naukowych. O spełnienie tego czynu do dnia dzisiejszego daremnie kusiło się wielu podróżników na zwykłych statkach, sankach lub pieszo. Lodowce stawiały nieprzezwyciężoną przeszkodę w dosięgnięciu tego punktu kuli ziemskiej. Nie znajdując żadnej skały, ani wyspy w tych okolicach oceanu Polarnego, zmuszeni jesteśmy rzucić na dno morskie tę kulę, dla stwierdzenia w oczach przyszłych pokoleń naszego odkrycia. Fotografje, które wkładamy wraz z monetami współczesnemi, dadzą pojęcie o epoce, w jakiej nastąpiło odkrycie bieguna północnego Ziemi.

Podpisy uczestników wyprawy — Francuzów: Kornel de Convielle. Raul Plot, inżynier. Moriot, profesor Sorbony w Paryżu z córką, Celiną. Kapitan Dubois, kierownik „Neptuna“. Bertheau, mareograf. Lequetre, fizyk“ etc.

Naturalnie, że uczyniono zadość życzeniom fizyka. Nawet profesor Moriot musiał przyznać, że pomysł to wielce oryginalny.

— No, ale jakże pan zabezpieczy swój pomnik od tego, żeby zaraz nie zagrzebał się w ile morskim? — zagadnął Bertheau.

— Kula będzie umieszczona w pływaku, lżejszym

od wody, tak iż nie zatonie, ale będzie się utrzymywała nad dnem.

— No, to prądy morskie uniosą ją niebawem daleko stąd! – zarzucił kapitan.

— W wielkich otchłaniach prądy morskie nie dają się już odczuwać; panuje tam martwy spokój. Nasza kula mogłaby więc bardzo długo pozostawać bez ruchu. Ale sprawiłem jej kotwicę. Oto ona!

Lequetre udał się do kamery maszyn i niebawem wrócił, niosąc kamień, do którego starannie przymocował złoty łańcuch.

— Kula wraz z pływakiem zostanie przyczepiona do łańcucha, a zatem wbrew przewidywaniom naszego szanownego mareografa, nie prędko zagrzebie się w mule morskim.

— Tak, dopóki jednak pływak nie zostanie zniszczony, wówczas bowiem...

— Oh, pływak, pochlebiam sobie, przetrwa niejeden wiek... — odparł fizyk. — Zrobiłem go z kawała drzewa, nasyconego parafiną i pokrytego blachą złotą, która nadto jest posmarowana smołą.

— Widzę, że pomyślałeś pan o wszystkiem — uśmiechnął się profesor. — Kiedy tak, to przystępujemy zaraz do ustawienia pomnika na miejscu przeznaczenia.

— Umieścimy w nim jeszcze kilka tych oto przedmiotów.

W obecności sztabu naukowego, Lequetre włożył do kuli parę monet, fotografje wszystkich uczestników podróży na papierze platynowym, plan łodzi podwodnej, mapę krain podbiegunowych i tabliczkę, zawierającą cyfry, odnoszące się do pomiarów kuli ziemskiej.

— Niech dalekie pokolenia dowiedzą się, jaki stopień dokładności zdołaliśmy osiągnąć w dobie dzisiejszej. Po-

zwoli im to wnioskować o stopniu naszej cywilizacji. Nie zapomniałem dołączyć wzorca metra, zrobionego z drutu platynowego; kto wie bowiem, czy ta jednostka długości nie zaginie z biegiem wieków.

Kiedy wszystkie te dokumenty włożono do kuli, Lequetre zalutował ją starannie przy pomocy łuku woltaicznego, sprawdził nieprzenikliwość, zamknął w pływaku, mającym postać cylindra, i przyczepił tenże do łańcucha z kamieniem.

— Pański pomnik przetrwa co najmniej tysiąc lat! — rzekł Bertheau.

— Gwarantuję, że dziesięć razy tyle! — odparł dumnie fizyk.

— Dajmy na to. Ale jaki będzie jego los po upływie tego ogromnego dla nas, ale krótkiego w dziejach Ziemi przeciągu czasu? rzucił kapitan.

— Ha, z biegiem wieków dno morskie będzie się pokrywało coraz to nowemi warstwami osadowemi, które koniec końców pogrzebią pomnik .. — objaśniał mareograf. — Stanie się to mniej więcej za ośm tysięcy lat, wnosząc z długości łańcucha. Kula znajdzie się ostatecznie pogrążona w tym mule, który znów po upływie niewiadomej liczby wieków zamieni się na twardą skałę osadową. W łonie takiej skały przetrwać może pomnik chociażby miljon lat. Kiedy nareszcie ocean ustąpi z tych okolic kuli ziemskiej i skała wyjrzy na światło dzienne, wtedy ktoś odnajdzie ciekawe wykopalisko, które wzbudzi sensację w ówczesnym świecie naukowym.

Imiona nasze odżyją. Będziemy figurowali in gremio w jakiemś muzeum nowej części świata, wyłonionej z wód. Wobec tego jestem skłonny przyznać, że pomnik pana Lequetre'a pod względem trwałości dorówna szkieletom

ichtjo- i dinozaurów, które nasi współcześni paleontologowie odnajdują w Ameryce.

Spuszczenie pomnika odbyło się solennie. Wybito w lodzie, tuż pod wzgórkiem, na którym powiewała flaga, a zatem pod samym biegunem, otwór, przez który, przy salwie danej ze wszystkich dubeltówek, spuszczono kulę z kamieniem. Powierzchnia wody chlupnęła cicho, i pomnik zniknął. Ocean pochwycił w swe objęcia oryginalny pomnik, który miał spocząć w niezgłębionej otchłani aż do owej odległej epoki, kiedy nowa ludzkość miała go znów ujrzeć w świetle dziennem.

W taki to sposób uczestnicy wyprawy zadokumentowali swoje wielkie odkrycie.

XXIV. Wulkan podmorski.

Wyprawa, osiągnąwszy cel zamierzony, zaczęła myśleć o opuszczeniu krańca świata.

Kapitan czynił gorączkowe przygotowania do odjazdu. Obejrzano „Neptuna“, doprowadzono do porządku różne drobne niedokładności i puszczono w ruch motory, ładujące baterje akumulatorów. Czynność ta, której należało koniecznie dokonać na otwartem powietrzu, trwała dwie doby; napełnienie zbiorników ścieśnionem powietrzem — jedną dobę.

Przez ten czas uczeni kompletowali swoje spostrzeżenia. Zebrano wcale pokaźny dorobek naukowy. Wszyscy byli więc zadowoleni.

Słońce zniknęło z widnokręgu, kiedy Raul Plot dał sygnał do odjazdu.

Żegnano nie bez żalu te samotnie, w których spędzono kilkanaście dni.

Przyroda podbiegunowa żegnała naszych podróżników tysiącznemi swemi powabami.

Słońce, którego tarcza nie była już widzialna, zapaliło na niebie przepiękną zorzę, która miała jeszcze potrwać przez kilkanaście dni. Różowe chmurki na tle seledynowego nieba wytwarzały czarujące efekty na szmaragdowych taflach lodowców, kąpiących się w ciemno-indygowych falach jezior pomiędzy krami.

Chwilami na niebie, naprzeciwko słońca, ukazywał się blady księżyc; wówczas jego srebrne promienie, walcząc z zorzą polarną, wytwarzały taką grę świateł i cieni, że największy artysta nie pokusiłby się o ich odtworzenie na płótnie.

Była to jakby zaczarowana kraina zimnego piękna. Przyroda uprawiała sztukę dla sztuki, w pustyniach tych bowiem nie było, prócz gartki znanych nam istot, nikogo, kto mógłby podziwiać te cudowności.

De Convielle, wrażliwy na piękno, wpatrywał się z zachwytem w różowe i fioletowe cienie, pełzające po polach lodowych, w falowanie wstającej często na zmierzchnem niebie zorzy biegunowej, która dołączała swoje skarby do przepychu barw, stwarzanych przez słońce i współzawodniczący z niem księżyc.

Półroczna noc biegunowa nadchodziła w tych najwyższych szerokościach. Dalej nieco, ku południowi, słońce jeszcze świeciło nad widnokręgiem, ale tutaj dzień skończył się już. Należało uciekać.

Napatrzywszy się dosyta wdziękom przyrody biegunowej, nasi podróżni zamknęli się znów w swojem pływającem pudle żelaznem. Kapitan puścił w ruch motory elektryczne, i „Neptun“ majestatycznie pogrążył się w otchłani.

Raul uznał za rzecz najwłaściwszą opuścić się do maksymalnej dozwolonej głębokości, ażeby płynąć w najspokojniejszych wodach i osiągnąć najwyższą prędkość. Przed samym odjazdem porozumiano się z „Celiną“, której załoga z najwyższą niecierpliwością oczekiwała powrotu śmiałków. Oznaczono sobie dokładnie jej położenie na mapie, ażeby nie tracić czasu na poszukiwania. Wszystko zapowiadało się jak najlepiej.

W kilka godzin po opuszczeniu bieguna, łódź pod-

wodna z chyżością kilkunastu węzłów pruła otchłanie, kierując się prosto do punktu, w którym miał znajdować się parowiec.

Trzymano się w głębokości około stu pięćdziesięciu metrów. W tych okolicach, gdzie ocean sięgał głębokości kilku kilometrów, nie należało się niczego lękać. To też starano się rozwijać największą prędkość.

Po szeregu silnych wrażeń nastąpił wypoczynek. Uczeni przy blasku lampek elektrycznych porządkowali swoje notatki, spisywali pamiętniki, robili obliczenia, sprawdzali dane. Salon zamienił się na pracownię, której ściany trzęsły się od wybuchów śmiechu. Powodzenie czyni ludzi przyjemnymi i daje dobry humor. Kornel w kajucie profesora oddawał się słodkim marzeniom o przyszłości.

Spełniło się zatem wszystko to, co do niedawna leżało, jak się zdawać mogło, w krainie niedościgłych mrzonek. Sława i miłość zdobyte za jednym zamachem! Czyż Kornel nie miał prawa czuć się wybrańcem losu?

Równie niemal szczęśliwym czuł się i stary geograf, któremu u schyłku dni, u kresu sił dozwolono stanąć tam, gdzie daremnie pragnęli postawić stopę młodzi, pełni energji, wyposażeni we wszelkie warunki ludzie; starzec oddawał się porządkowaniu w swej głowie doznanych wrażeń, które jeszcze tworzyły rodzaj chaosu, i od czasu do czasu spoglądał z rozczuleniem na młodą parę, snującą złotą nić szczęścia przy jego boku.

— Jeżeli w dalszym ciągu będziemy się posuwali tak szybko, jak teraz — odezwała się Celina — to za kilka dni dotrzemy do parowca, a za miesiąc albo za sześć tygodni tatuś będzie mógł rozpocząć na nowo przerwane wykłady na Sorbonie.

— Gdzie pan profesor znajdzie wyraz uznania u swoich słuchaczy za udział w tak wspaniałej podróży.

— Cóż ja przyłożyłem do tego? — bronił się skromnie profesor.

— Pan przecie podsunął mi tę myśl, nie kto inny! — zawołał Kornel, całując w ramię geografa. — No, proszę nie chować się tak poza moją mizerną osobę. Pan był sprężyną całej wyprawy, jej przewodnikiem duchowym.

— Przesadzasz, mój kochany. Twoja to wyłączna zasługa. Jesteś młody, miałeś wolę i wygrałeś los życia.

Po pracowicie spędzonym dniu wszyscy położyli się do snu, wsłuchani w dudnienie śruby, rozbijającej otchłań morską swemi potężnemi skrzydłami. Miejsce kapitana zajął w wieżyczce sternik. Na przedzie „Neptuna“ płonęła latarnia elektryczna z reflektorem, oświetlającym głębię na znacznej przestrzeni. Podróż odbywała się spokojnie, monotonnie. Maszyny pracowały doskonale, wał, zreparowany przez Lequetra, wykazywał zupełną odporność: słowem — wszystko odbywało się normalnie. „Neptun“ w ciągu 24 godzin posuwał się z jednakową prędkością dwunastu czy czternastu węzłów i w ciągu tego czasu przebył trzysta z górą mil morskich w kierunku południowym.

Nazajutrz, przy obiedzie, kapitan oświadczył, że zamierza wynurzyć się na powierzchnię.

Manewr ten odbył się tym razem zupełnie gładko. Natrafiono na wielką, wolną od lodów, przestrzeń wodną, gdzie wrzało życie. Upolowano w ciągu kilku godzin dwie foki, które dostarczyły świeżego a bardzo smacznego mięsa, i ubito kilkanaście ptaków do zbiorów naukowych. Odnowiono zapas powietrza w zbiornikach, naładowano akumulatory, poczem „Neptun“, gotów do dalszej podróży, znów opuścił się pod powierzchnię.

Kornel, pragnąc zaraz po powrocie do Europy podać do wiadomości publicznej nieoczekiwane wyniki swej podróży, zabrał się energicznie do pracy wespół z profesorem.

Trzeba było napisać dzieje wyprawy i streścić w tymczasowem sprawozdaniu najważniejsze zdobycze naukowe.

Ponieważ każdy z uczestników postawił sobie podobne zadanie, więc spotykano się tylko przy stole; cały dzień każdy spędzał w swojej kajucie.

W ten sposób minęły dwie doby, podczas których „Neptun“ bez najmniejszej przeszkody pruł tajemnicze łono oceanu Polarnego, zbliżając się szybko do okolic, gdzie czekała nań druga połowa ekspedycji, pozostająca na pokładzie „Celiny“.

Czwartego dnia po opuszczeniu bieguna Kornel położył się niezwykle późno do snu i spał bardzo źle. Około czwartej rano obudził się. Wydało mu się bowiem, że powietrze w kajucie stało się bardzo ciężkiem. Oddychał z trudnością.

— Co też to może być? — pytał sam siebie, podnosząc się z hamaka. — Temperatura podniosła się wyraźnie. Pewnie puszczono zbyt silny prąd do pieców elektrycznych. — Pragnąc sprawdzić, spojrzał na termometr, umieszczony przy łóżku.

— Dwadzieścia trzy stopnie Celsjusza! — zawołał z podziwieniem. — Nie żałują elektryczności! Ależ w takiem gorącu niepodobna spać!

Niezadowolony, ubrał się naprędce i poszedł zbudzić kapitana.

Dubois spał snem sprawiedliwego w swojej kajucie.

— Cóż u licha! — zawołał, kiedy mu Kornel powiedział, o co idzie. — Normalnie temperatura nie powinna przekraczać siedmnastu stopni; musiało się coś popsuć. Sprawdzimy zaraz.

Marynarz, odziawszy się, poszedł do kamery maszyn i na tablicy rozdzielczej sprawdził, że prąd, dochodzący do pieców elektrycznych, nie był silniejszy niż zwykle.

— To zabawne, doprawdy! Czyś pan nie puszczał więcej elektryczności przed chwilą? — dodał, zwracając się do dyżurnego elektrotechnika.

— Broń Boże! — bronił się tenże. — Przeciwnie nawet. Zauważywszy, że w kamerze jest za ciepło, powstrzymałem dopływ elektryczności, i to dopiero niedawno...

— Skądże więc to nagłe podwyższenie temperatury? — pytał Kornel. — Przyznam się, że mi to przeszkodziło doleżeć zwykłej pory.

Zaintrygowani tym faktem, obaj udali się do wieżyczki sterniczej.

Po drodze, w kurytarzu, kapitan dotknął niechcący ściany żelaznej i cofnął rękę z wykrzykiem zadziwienia.

– Ależ blacha jest ciepła! Przekonaj się pan!

De Convielle przyłożył dłoń do ściany.

— Pożar? — zagadnął, strwożony tem nieoczekiwanem zjawiskiem.

– Kto wie? Należy zbadać rzecz dokładnie.

Obaj wrócili. Kapitan z Kornelem spuścili się na samo dno statku, zwiedzili wszystkie zakamarki, ale daremnie szukali ognia. Na „Neptunie“ wszystko znajdowało się w porządku. Tylko ściany były najwyraźniej ciepłe.

W wieżyczce kapitańskiej znajdował się sternik, który jednak nie potrafił sobie zdać sprawy z przyczyn podwyższenia temperatury.

— No, nie umiem tego wytłumaczyć inaczej, chyba tem, że nagle ocean Lodowaty zamienił się na zatokę Meksykańską albo na morze Karaibskie, skąd wypływa gorący Golfsztrom!

— A może istotnie temperatura wody podniosła się? — zagadnął Kornel.

— Cuda nie dzieją się, kochany panie de Convielle! — odparł marynarz, który wpadał już w zły humor. — To

można zwarjować, doprawdy. Przekonaj się pan, że i wieżyczka jest ciepła, chociaż w niej niema ogrzewacza elektrycznego.

Młodzieniec łatwo stwierdził prawdziwość tej uwagi. Okazało się, że cały „Neptun“ ogrzał się, jak gdyby istotnie płynął w łonie ciepłego prądu morskiego.

Niebawem ukazali się Lequetre i Bertheau, także wypędzeni ze swych kajut przez gorąco, które stawało się nieznośnem. W pół godziny potem temperatura wewnątrz statku doszła do 27 stopni.

Podróżni byli do najwyższego stopnia zdumieni tym faktem.

— Nie ulega żadnej wątpliwości, płyniemy w wodzie ciepłej — mówił Bertheau. — Jest to fakt niezmiernie doniosły, odkrycie, nie mające sobie równego. Któżby się spodziewał, że w tych szerokościach istnieje tak gorący prąd?

Dubois spojrzał jednak na mareografa takim wzrokiem, że ten zmieszał się okropnie.

— Prąd gorący pod ośmdziesiątym czwartym stopniem szerokości? Cóż to za brednie! „Neptun“ nie natrafił na żaden Golfsztrom — upewniam pana.

— Ależ najwyraźniej płyniemy w wodzie ciepłej! — bronił się uczony.

Kapitan, zwolniwszy sternika, sam zajął jego miejsce. Przytknąwszy twarz do gorącej szyby, nacisnął klucz akumulatora, i nagle latarnia, znajdująca się na przedzie łodzi podmorskiej, zgasła.

Przez chwilę panowało milczenie.

— No i cóż? — pytał Kornel, który znajdował się obok kapitana.

Marynarz odchrząknął.

— Hm, nie wiem, tam do licha, złudzenie! Nie, to

być nie może! Zwarjować można, doprawdy. No, ale spojrz pan sam, tam, na prawo w dół!

Usunął się od okienka, ażeby de Convielle mógł swobodnie zapuścić wzrok w otchłań.

— Światło! krzyknął Kornel, cofając się.

A więc i pan dostrzegasz światło w głębi oceanu? A mnie się zdawało, że to jakaś chorobliwa halucynacja. Światło czerwone, jaskrawe! Rój jakichś istot podmorskich, obdarznych zdolnością fosforyzowania, czy co u licha? Ale nie. Twory morskie błyszczą niebieskawo, tamto zaś wygląda zupełnie tak, jakby jakiś olbrzymi pożar szalał na samem dnie oceanu!

— Wulkan wybuchający? — rzucił Kornel tknięty jasnowidzącem przeczuciem.

— Tam, do wszystkich djabłów! czyżby to było możliwe? Czy przyroda przewiduje takie kaprysy? Jakże wulkan może wybuchać w łonie lodowatych wód? Nie, to chyba co innego. Powiedziałbym raczej, że łono ziemi otworzyło się nagle pod nami, ażeby nas pochłonąć! Za wiele wiemy!

Zabobonny, jak każdy marynarz, Dubois przeżegnał się pobożnie.

— Może Bertheau i Lequetre rozstrzygną nam tę zagadkę.

De Convielle pobiegł po uczonych i przyprowadził ich do wieżyczki, gdzie się ledwo pomieścili we czterech.

Oceanograf przyglądał się ze zdumieniem. Gorejące ognisko zwiększało się w miarę tego, jak „Neptun“ zbliżał się do niego.

— Tak, to wybuch wulkanu podmorskiego — zawyrokował Lequetre. — Ostrożność nakazuje nie zbliżać się nadmiernie.

— Ależ w tych okolicach niemasz wulkanów — zaprotestował Bertheau.

— Tak, na wyspach ich niema. Ale kto panu zaręczy, że nie istnieją w dnie tej głębokiej zapadliny, gdzie leży biegun?

Niebawem „Neptun“ znalazł się tak blisko, że przez okienka wieżyczki kapitańskiej można było dostrzec wyraźnie krater, wylewający potoki ciekłej lawy. Góra wznosiła się z dna morskiego; stopy jej tonęły gdzieś w bezdennej otchłani, szczyt zaś sięgał na pięćset albo sześćset metrów pod powierzchnią wód oceanu. Z lejkowatego stożka wydobywały się dwa potężne strumienie ciekłej magmy i, stykając się z wodami, doprowadzały je do stanu wrzenia. Para, wywiązująca się wśród tej walki dwóch żywiołów, nagromadzała się pod ciśnieniem słupa wody, jakby w kotle, wybuchając od czasu do czasu!

Przyłożywszy ucho do ściany „Neptuna“, można było wyraźnie słyszeć coś jakby wrzenie płynu w kolosalnej kadzi, albo odgłosy dalekich strzałów działowych. Ściany wulkanu musiały doznawać silnych wstrząśnień, które dawały się odczuwać aż tutaj, poprzez wodę, na odległość kilku kilometrów.

Było coś imponującego, magnetycznie pociągającego w tem zmaganiu się wody z ogniem. Podróżnicy cisnęli się kolejno do okienek wieżyczki, żeby nasycić wzrok tym jedynym w swoim rodzaju widokiem.

— Wspaniałe! — wołał fizyk.

— Ale niebezpieczne — dodał mareograf. — Szyba w naszej wieżyczce pod wpływem podwyższonej temperatury może łatwo pęknąć, a wówczas...

— Ugotujesz się pan żywcem! — dokończył Lequetre, śmiejąc się.

— Ile wynosi temperatura wody otaczającej? — zagadnął Kornel.

— Dwadzieścia ośm stopni Celsjusza — odparł kapitan, spojrzawszy na termometr.

— No, to jeszcze można sobie pozwolić! — rzekł fizyk.

— Nie, nie! — odparł kapitan, kręcąc głową — byłoby to nieroztropnością z naszej strony zbliżać się bardziej do wulkanu. Niech pan nie zapomina, że drżenie skorupy ziemskiej rozchodzi się szybko na wszystkie strony i oddziaływa na nasz statek. Pod takiem uderzeniem szyba może ulec wgnieceniu, a wówczas przepowiednie pańskie mogłyby się ziścić naprawdę.

Wiadomość, że „Neptun“ znajduje się wpobliżu wulkanu podmorskiego, rozeszła się szybko wpośród załogi. Chciano otworzyć okiennice, któremi kapitan kazał pozasłaniać okna w salonie; ale marynarz nie pozwolił na to. Przyglądano się orgji żywiołów poprzez szybki wieżyczki kapitańskiej, które mogły, jako bardzo grube, bezkarnie znosić wstrząśnienia.

— Kto wie, czy niebawem w tych okolicach siły podziemne nie wydźwignąnowej wyspy mówił mareograf. — Mój Boże, dlaczegóż nie mogę zbadać zbliska zmian, jakie zachodzą w lawie skutkiem zetknięcia się jej z wodą! Powstają przy tem zapewne jakieś ciekawe formy mineralogiczne.

Patrz pan! zawołał nagle Lequetre. — Jakaś wielka, nieżywa ryba płynie koło nas.

Było to prawdą. Olbrzymie cielsko unosiło się tuż obok wieżyczki. Niepodobna jednak było odróżnić gatunku.

Wie pan co, wynurzmy się na powierzchnię morza — zaproponował Bertheau. — Chciałbym zobaczyć, jak się przedstawia wybuch w atmosferze.

— No, możemy sobie na to pozwolić odparł kapitan po chwilowym namyśle.

Na dany rozkaz zbiorniki się opróżniły, i „Neptun“ wyjrzał z wód oceanu.

Uczeni szybko się ubrali i wybiegli na pomost.

Zaledwie jednak stanęli tam, gdy wszyscy wydali okrzyk podziwu.

Cała powierzchnia morza była pokryta kamieniami. Jak okiem sięgnąć, wszędzie unosiły się bryły jakiegoś tajemniczego minerału, mającego ciężar właściwy mniejszy od wody.

Fizyk pochwycił jedną z nich i przyjrzał się jej uważnie.

— Pumeks! — zawyrokował.

Lawa, zetknięta nagle z wodą, dawała więc początek temu minerałowi gąbczastemu.

Pory, napełnione świeżemi gazami, pozwalały bryłom pumeksu unosić się na morzu, które przedstawiało się jak olbrzymia wybrukowana przestrzeń lądu.

Kamienie tak gęsto unosiły się jeden przy drugim, że „Neptun z największą trudnością torował sobie stalową ostrogą drogę pomiędzy niemi.

— Kamienista pustynia! — śmiała się Celina, która także zjawiła się na pomoście, pragnąc się przyjrzeć rzadkiemu i oryginalnemu zjawisku.

Pomiędzy kamieniami unosiły się także ciała ryb, które znać podusiły się od wyziewów siarkowodoru Atmosfera w tych okolicach była bardzo gęsta, i trudno w niej było oddychać. Czuć było wyraźnie zapach zgniłych jaj i ostrą woń kwasu siarkowego.

W odległości kilku mil w kierunku zachodnio-południowym, morze jakby wrzało.

W miejscu tem można było spostrzec przez lunetę,

jak z pod powierzchni wynurzały się nagle wielkie bryły świeżo uformowanego pumeksu, które, tłocząc się między staremi, powodowały silny ruch wody.

Lequetre, nie mogąc się oprzeć szlachetnej żądzy badań naukowych, poprosił kapitana, żeby pozwolił spuścić łódkę, i w towarzystwie Bertheau'a i Kornela podpłynęli we trzech jak tylko można było najbliżej.

Wnet jednak musieli się cofnąć, woń siarki bowiem stawała się wprost duszącą.

Zebrali na powierzchni morza pływające okazy fauny, pomiędzy któremi znajdowało się kilkanaście ryb, i z tą zdobyczą wrócili do „Neptuna".

Stało się to w samą porę, gdyż zaledwie łódka oddaliła się nieco, spadło z nieba na zajmowane przez nie miejsce kilkanaście kamieni z głośnym pluskiem.

Dowodziło to, że krater podmorski wypluwa z wielką siłą ciężkie odłamki skały, które przedostawały się przez warstwę wody, grubą na paręset metrów, i wznosiły się na znaczną wysokość w powietrze. Taka kanonada mogła uszkodzić „Neptuna", a nawet zadać mu cios śmiertelny. To też kapitan nie miał nic pilniejszego, jak napowrót zanurzyć się pod wodę.

Niepodobna było narażać się dłużej. „Neptun" pod działaniem steru i śruby zaczął się oddalać od podmorskiego krateru, i niebawem ogniste potoki lawy zniknęły poza niebieskawą mgłą. Temperatura wewnątrz łodzi zaczęła szybko spadać i wpół godziny potem wróciła do normalnego poziomu.

Podmorski wulkan znajdował się daleko.

XXV. Katastrofa.

„Neptun“ posuwał się z jednostajną prędkością, utrzymując się na głębokości kilkudziesięciu metrów pod powierzchnią lodów. We wnętrzu panował nastrój wyczekujący. Docierano bowiem do okolic, w których powinna się była znajdować „Celina“. Gotowano się do zakończenia tej jedynej w swoim rodzaju podróży; niektórzy członkowie wyprawy zaczynali się nawet pakować. Mówiono wesoło o wrażeniu, jakie wywoła pośród kolegów sprawozdanie z odkrycia bieguna północnego.

W saloniku zgromadziło się prawie całe towarzystwo. Bertheau układał fotografje, których nagromadził kilkadziesiąt. Fizyk przeglądał swój zeszyt z pomiarami magnetyzmu ziemskiego, profesor dyktował córce krótki opis okolic podbiegunowych, każdy był czemś zajęty, pragnąc skrócić sobie oczekiwanie.

Była może piąta po południu, i steward okrętowy, zjawiwszy się w jadalni, poprosił o zrobienie miejsca przy stole, chciał bowiem nakrywać do wieczornego posiłku, który podawano regularnie o szóstej.

Sztab naukowy, posłuszny temu wezwaniu, podniósł się z fotelów.

Profesor wziął za klamkę, chcąc się udać z córką do swojej kajuty, gdy wtem zupełnie niespodziewanie dało

się uczuć potężne wstrząśnienie, od którego wszyscy niemal runęli gwałtownie na podłogę.

Jeszcze nie zdołano przyjść do siebie po tym wypadku, gdy przeze drzwi rozległ się okrzyk trwogi.

Kapitan Dubois, który niedawno opuścił był swoją wieżyczkę, gdzie go zastąpił sternik, wpadł jak bomba do saloniku.

— Kto żyw, do łodzi ratunkowej! — krzyczał blady. — Woda w przedniej komorze.

— Co, co się stało? Mów pan, na Boga! — błagała Celina, podnosząc się z ziemi.

— Nie wiem, nie wiem. Niema czasu do stracenia! za mną!

To nagłe przejście od przyjemnej, spokojnej atmosfery przed oblicze tragedji, której przyczyny nikt sobie nie potrafił wyjaśnić, oszołomiło naszych podróżników. Nikt nie ruszał się z miejsca.

Jeden tylko Kornel nie stracił przytomności. Zbliżył się do narzeczonej, chwycił ją energicznie za rękę i pociągnął za sobą.

Wtedy fizyk, profesor i Bertheau instynktownie naśladowali młodą parę. Dążono za kapitanem, który, powtarzając swój alarmujący okrzyk, biegł z komory do komory... Stąpano po podłodze, która coraz silniej pochylała się. Widocznie „Neptun“, wytrącony z równowagi, pogrążał się przodem w otchłań.

Paniczny przestrach ogarnął wszystkich. Tłoczono się, popychano wzajemnie. De Convielle, znalazłszy się u otworu, prowadzącego do łodzi ratunkowej, zastał tam już kilku marynarzy. Jeden z nich, znajdujący się już w środku, miał już zatrzasnąć klapę wejściową, kiedy kapitan pochwycił go za rękę.

— Co czynisz! Jeszcze nie wszyscy.

Marynarz odpowiedział przekleństwem.

Grupa ciał skłębiła się u otworu, każdy pragnął dostać się pierwszy do wnętrza łodzi.

— Prędzej! Toniemy, toniemy! — odzywały się zdławione trwogą głosy.

Śruba nagle przestała się obracać; we wnętrzu kamery maszyn rozległ się łoskot, jakby coś ciężkiego oberwało się z fundamentów i runęło na jedną ze ścian „Neptuna“, który zadrżał pod tem uderzeniem. Spotęgowało to jeszcze popłoch.

Ażeby temu przeciwdziałać, kapitan, dawszy znak Kornelowi, stanął u wejścia do łodzi i grzmiącym głosem krzyknął: — Stop! — Kiedy marynarze, zamagnetyzowani rozkazem, popartym błyskiem lufy rewolwerowej, zatrzymali się jak wryci, stary marynarz zaczął wpychać w otwór kolejno wszystkich, poczynając od profesora i Celiny.

— Ilu jest w środku? — rzucił.

— Trzech! — odpowiedziano zboku.

— Dobrze! Jeden, dwa, pięć, ośm osób. Gdzie reszta?

Kapitan liczył, jakby się lękał, że ktoś może pozostać. Brakowało sternika!

Nie było jednak ani sekundy do stracenia. Kornel, który pomimo nalegań kapitana chciał wejść ostatni, rzucił się w stronę wieżyczki. Kapitan powstrzymał go energicznym gestem.

— Nie można otwierać hermetycznych przegród! woda wdziera się od przodu.

— Czy toniemy? — pytał młodzieniec, siląc się na spokój.

— Tak jest; idziemy na dno! Nie traćmy czasu, panie de Convielle. Jeszcze pół minuty, a żaden cud nie wyprowadzi nas na powierzchnię.

I nie bacząc na opór, siłą wtłoczył młodzieńca do otworu.

Szybko zasunięto wejście do łodzi ratunkowej. Kapitan, zaświeciwszy latarką, po raz ostatni przeliczył obecnych.

— Sternika niema. Ha, trudno! — mruknął. — Śruby!

Kilku marynarzy, pochwyciwszy klucze, zaczęło odkręcać śruby, przytrzymujące łódź ratunkową do „Neptuna“, który najwidoczniej pogrążał się w przepaściach morskich, mocno pochylony przednią połową kadłuba.

Panowało głuche milczenie, słychać było tylko płacz Celiny, którą Kornel trzymał w ramionach, pragnąc dodać jej odwagi.

Na jakiej głębokości znajdujemy się? — zagadnął fizyk, który także zachował zimną krew.

— Sprawdź pan na manometrze — odrzekł kapitan. — Oto latarka.

W ścianie łodzi podwodnej znajdowało się urządzenie, pozwalające ocenić ciśnienie wody zewnętrznej. Lequetre rzucił okiem na wskazówkę i zmarszczył brwi.

— Dziewięć atmosfer bez mała! — mruknął.

Nastało głuche milczenie.

— Czy jeszcze się pogrążamy? — spytał kapitan po chwili.

— Tak, chociaż bardzo wolno. Jest już dziewięć atmosfer, kapitanie. A ile może wytrzymać łódź ratunkowa?

— Co najwyżej piętnaście — odparł Plot z kąta.

— No, chłopcy, kręcić prędzej! nalegał Dubois.

Klucze zgrzytały na stalowych mutrach, ale zardzewiałe nieco żelazo z trudnością poddawało się wysiłkom.

— A jeżeli natrafimy na lód? — szepnął Bertheau, blady jak trup.

Nikt mu nie odpowiadał. Wszyscy rozumieli dosko-

nale, że w tej tragicznej chwili życie całej załogi „Neptuna“ wisi na cienkim włosku przypadku. Łódź ratunkowa mogła w samej rzeczy, wypływając, uderzyć o spód pola lodowego. W takim razie zguba byłaby nieuchronna.

Kapitan wzruszył ramionami. Trzeba było zdać się na los szczęścia.

Nagle kadłub łodzi podwodnej wstrząsnął się znowu. Najwyraźniej „Neptun“ uderzył spodem o dno morskie.

— No, chwała Bogu! — zawołał kapitan — osiedliśmy na gruncie! Nie potrzeba się już śpieszyć. Do licha, teraz rozumiem wszystko! Natrafiliśmy na ławicę, czy na jakąś skałę, o którą statek niespodzianie uderzył. Oto, jak się żegluje po nieznanych morzach!

— Dziesięć atmosfer! — odezwał się Lequetre, który nie spuszczał z oka wskazówki manometru.

— A zatem znajdujemy się na dnie morskiem, o sto metrów mniej więcej pod powierzchnią — obliczył kapitan. Inżynierze, czy niema jakiego sposobu ocalenia „Neptuna“? Zastanów się pan nad tem, póki czas.

— Można odczepić spodnią belkę, która waży kilka ton. Jeżeli jedna tylko komora jest napełniona wodą, to opróżniwszy wszystkie zbiorniki, możnaby wypłynąć na powierzchnię.

A więc?

— Spróbuję.

Już zapóźno! — zawołał jeden z marynarzy. — Śruby puściły.

Raul Plot zaczął świecić latarką. Przekonał się, że majtek miał słuszność. Łódź ratunkowa trzymała się na jednej tylko śrubie, która lada chwilę mogła odskoczyć. Chcąc ratować „Neptuna“, trzeba było narazić się na wielkie niebezpieczeństwo.

Ale inżynier nie dawał za wygraną.

— Sternik! Musimy ocalić sternika! — zawołał. — Mój biedny statek! Wstrzymajcie się.

Kornel położył mu dłoń na ramieniu,

— Odbudujemy go! — pocieszał go. — Nie narażaj pan życia!

Kapitan przyłożył ucho do ściany.

— Cicho! — zawołał.

Badał uważnie przez chwilę szmery. Zdawało mu się jednak, że słyszy szum wdzierającej się do wnętrza kadłuba wody. Potrząsnął głową.

— Jestem pewny, że więcej aniżeli dwie kamery są już zalane. Sternik zginął zapewne w wieżyczce. Jemu to, niestety, należy przypisać winę katastrofy. Nie dostrzegł w porę przeszkody, o którą uderzył „Neptun". Pada biedak ofiarą własnej nieostrożności.

— Kapitanie, pozwól! — błagał inżynier, któremu serce pękało na myśl rozstania się z dziełem swego genjuszu.

Zamiast odpowiedzi, marynarz wskazał mu rosę, która zaczęła się ukazywać na wewnętrznych ścianach łodzi.

— Lada chwila blachy mogą ustąpić pod ciśnieniem, a wówczas zginiemy wszyscy. Czy gotowe? — dodał, zwracając się do marynarzy.

Kilka ruchów klucza — i ostatnia śruba puściła. Łódź, uwolniona od związku z kadłubem „Neptuna", drgnęła. Wiązania jej jęknęły złowrogo. Rozległ się głuchy szum rozpieranej wody.

— Wypływamy! — zawołał kapitan.

Wsłuchiwano się pośród głębokiego milczenia w te odgłosy. Wskazówka manometru szybko posuwała się na tarczy. Ośm atmosfer, sześć, trzy! — liczył szeptem Lequetre.

Serca wszystkich biły jak młoty. Słychać było wy-

raźnie szybkie oddechy falujących w bezmiernem wzruszeniu piersi. Oczekiwano chwili stanowczej w największej niepewności.

Czy pokład łodzi uderzy o krę, czy też wypłynie na powierzchnię wolnych wód?

Była to kwestja życia i śmierci dla tej garstki ludzi, zamkniętych w żelaznem pudle. Nikt nie śmiał wyrzec ani słowa. Nawet fizyk przestał odczytywać na głos wskazania manometru.

Ale spodziewane uderzenie o pole lodowe nie następowało. Twarze, skurczone trwogą śmiertelną, rozjaśniały się. Nagle dało się uczuć silne kołysanie.

Kapitan wydał okrzyk triumfu.

Wszyscy poczuli, że łódź unosi się na fali.

— Otwieraj! — komenderował Dubois.

Wydawało mu się, że marynarze zbyt wolno biorą się do roboty; sam więc pochwycił zasuwy i ciągnął je z całej siły.

Ustąpiły; wieko odsunęło się, i potok oślepiającego światła dziennego poraził oczy rozbitków.

Kapitan pierwszy wytknął głowę przez klapę. Dokoła łodzi ratunkowej falowała cicho wielka, szmaragdowa tafla spokojnej wody, oprawna w ramki ciemnoindygowych lodowców, świecących jak olbrzymie szafiry w promieniach nisko stojącego słońca.

— Jesteśmy ocaleni! — szepnął Kornel, ściskając drżącą dłoń Celiny, która była bliska utraty przytomności.

— Można odsunąć pokład — rzekł Plot, zbadawszy sytuację.

W jednej chwili spełniono polecenie. Podróżni ujrzeli się nagle wpośrodku obszernej, szerokiej i wygodnej łodzi, łagodnie unoszącej się na powierzchni morza.

U ścian znajdowały się ławki drewniane, pod niemi

zapasy w szczelnie zamkniętych skrzyniach, przymocowanych klamrami.

Podróżni spoglądali, jakby odurzeni, na szemrzącą falę, na obrzeżone pianą stopy pól lodowych, na słońce, niemal muskające tarczą zamglony, fioletowy widnokrąg, na seledynowe niebo, okryte delikatnemi jak srebrna przędza obłoczkami.

Chłodny wiatr muskał ich twarze, na których jeszcze tkwił skurcz trwogi, trzeźwił wzburzone przygodą umysły.

Ocaleni! Radość rozpierała wszystkie piersi. Profesor patrzał ze łzami w oczach na usiłującą uśmiechać się do niego córkę. Lequetre szukał po kieszeniach swoich papierów.

— Czy nasze notatki naukowe nie pozostały tam? — pytał, wskazując palcem w morze.

— Ja mam swoje — odparł Moriot.

— I ja także! — potwierdził Bertheau. — Trzymałem je w ręku, kiedy kapitan wszedł do saloniku.

— To całe szczęście. Nikt nam nie zaprzeczy praw do naszego odkrycia! — zawołał radośnie Kornel. — O to najbardziej się lękałem.

— Jakim cudem natrafiliśmy na wolne morze! — mówiła Celina, odzyskując powoli panowanie nad sobą. — Kilkadziesiąt metrów w jedną albo drugą stronę, a łódź nasza zgruchotałaby się o jaką krę.

Istotnie, rozbitkowie mogli sobie powinszować. Łódź wynurzyła się pośród jeziora, mającego nie więcej jak kilometr szerokości. Gdyby katastrofa zdarzyła się cokolwiek dalej lub bliżej, nie zdołanoby się zapewne wydobyć z pod grubej skorupy lodowej. W dodatku po jeziorze pływały kry różnej wielkości.

— Bóg czuwał nad nami! — rzekł poważnie Dubois.

Stary marynarz, odkrywszy głowę, ukląkł na prze-

dzie łodzi i modlił się przez chwilę z oczyma utkwionemi w seledynowe sklepienie, rozpościerające się ponad miejscem, które omal nie stało się grobem dla całej załogi „Neptuna".

Wszyscy poszli za jego przykładem; jeden tylko inżynier nie poruszył się z miejsca. Siedział na ławce, z oczyma utkwionemi tępo w liżące boki łodzi fale, jakby w głębinie szmaragdowej chciał jeszcze dojrzeć swego „Neptuna".

Kornel podszedł ku niemu i potrząsnął mu rękę.

Plot nie podniósł jednak głowy. W jego niebieskich, łagodnych oczach perliły się bujne łzy; piersią wstrząsało łkanie.

Nieszczęśliwy wynalazca opłakiwał twór swego genjuszu, spoczywający na wieki w zdradzieckiej głębinie oceanu Polarnego.

XXVI. Robinsonowie podbiegunowi.

Katastrofa z „Neptunem“ spadła nagle, jak piorun z jasnego nieba, w chwili, kiedy wszyscy członkowie wyprawy wierzyli niezłomnie w jej pomyślne zakończenie.

Położenie rozbitków nie było do pozazdroszczenia.

Wprawdzie zdołali ocalić życie, dzięki pomysłowemu urządzeniu łodzi podwodnej, ale znaleźli się w warunkach, każących przygotować się na najgorszy koniec.

Górna część „Neptuna“ mogła unieść daleko większą liczbę podróżnych i znaczne zapasy, ale nie nadawała się bynajmniej do dłuższej żeglugi pośród lodów.

Statek, na którym znajdowali się rozbitkowie, zgruba tylko przypominał łódź. Był to rodzaj płytkiej i szerokiej skrzyni, o dnie płaskiem, głębokiej na dwa metry, szerokiej na sześć, a długiej na dwadzieścia. Wiadomo zaś każdemu, kto zna się choć cośkolwiek na warunkach, jakim powinien odpowiadać każdy statek, że ciało, mające takie formy, łatwo przewraca się pod uderzeniem silniejszej fali.

O tem więc, żeby płynąć po otwartem morzu, nie było co nawet marzyć.

Z drugiej zaś strony jezioro, w którem znalazła się górna połowa „Neptuna“, miało niezbyt dużą rozległość. Trzeba było zatem albo odnaleźć przejście pomiędzy krami

na otwartą wodę, po której żegluga nastręczała wielkie niebezpieczeństwo, albo też wyjść na pole lodowe i starać się po jego powierzchni dotrzeć w okolice, gdzie powinna znajdować się „Celina“.

Kapitan osobiście zrobił przegląd zapasów i przedmiotów, znajdujących się na łodzi ratunkowej, która, jak sobie przypominamy, stanowiła górną część pudła „Neptuna“.

Pod ławkami drewnianemi, pośrodku, umieszczono zawczasu szereg skrzyń, przymocowanych klamrami, ażeby ich fale nie unosiły. W skrzyniach tych był prowjant i zapas wody słodkiej do picia na sześć tygodni.

W żywność rozbitkowie byli więc jako tako zaopatrzeni, inaczej jednak miała się rzecz z przyborami żeglarskiemi i odzieżą.

Znaleziono w łodzi tylko cztery wiosła drewniane, jeden żagiel, jeden mały maszt, który zaraz ustawiono pośrodku, jedną parę sani, na których mogło się umieścić bardzo niewiele zasobów; cokolwiek ciepłej odzieży i najniezbędniejsze przybory żeglarskie, a zatem sekstans, mały teodolit, kompas, mapa morska i chronometr.

Wszystko to wystarczało do przeczekania kilku tygodni, ale żadną miarą nie pozwalało na dłuższą podróż po lodowcach.

Najpierwszą czynnością kapitana było wydobycie przyborów żeglarskich i oznaczenie jak najdokładniejsze położenia geograficznego.

Pomiarów stary marynarz dokonał osobiście, wyszedłszy na pole lodowe.

Łódź znajdowała się o półtora stopnia od punktu, gdzie, według ostatnich depesz iskrowych z przed kilku dni, miała leżeć zamknięta pomiędzy lodami „Celina“.

Aby zatem dotrzeć do parowca, należałoby przedsię-

wziąć dużą podróż po krach, nie mając namiotu, w porze spóźnionej. Jesień bowiem, a z nią noc podbiegunowa, zbliżała się szybko. Za kilka czy kilkanaście dni słońce miało i tutaj zajść na długie miesiące, termometr wskazywał już trzydzieści stopni niżej zera, i rozbitkowie, którzy wyszli z katastrofy w tem tylko, co mieli na sobie, trzęśli się od chłodu. Kapitan rozdzielił niezwłocznie pomiędzy towarzyszy wszystką odzież ciepłą, jaka znajdowała się na łodzi, ale nie wystarczyło tego dla zabezpieczenia się od mrozu.

Dubois kazał więc zaraz rozpiąć namiot i zapalić w nim lampkę naftową, ażeby się nieco ogrzać i napić gorącej herbaty.

Trzeba było dobrze zastanowić się nad każdym krokiem, ażeby nie popełnić jakiej omyłki, której potem nie możnaby już naprawić.

— No, panowie! — odezwał się kapitan — złóżmy naradę, co czynić. Za dwa tygodnie będziemy mieli noc ametystową, jednolitą; zaczną się siarczyste mrozy, znajdujemy się bowiem pod 83 stopniem szerokości w strefie, gdzie temperatura bywa znacznie niższą zimą, aniżeli pod samym biegunem. Poza tem jesteśmy pośród pól lodowych, zdala od lądu; mamy zapasy, które jednak w żadnym razie nie wystarczą do przezimowania; jeżeli więc zmuszeni będziemy pozostać tutaj na dłużej, czeka nas zguba pewna w pustyni lodowej. Na podróż po lodach dla dosięgnięcia „Celiny“ nie posiadamy ani środków, ani czasu. Żegluga po morzu lada moment stanie się niemożliwą z powodu młodego lodu, który zetnie wolne dotąd od niego powierzchnie. Ja osobiście nie taję przed wami naszego rozpaczliwego położenia. Radźmy, radźmy, bo warunki pogorszą się niebawem. Każdy dzień ma dla nas kolosalną wartość.

Po tej przemowie starego marynarza nastało głuche milczenie.

Nie kwapiono się z wypowiedzeniem zdania. Pojmowano bowiem doskonale, że obraz, roztoczony przez pana Dubois, był niezmiernie zgodny z prawdą.

— A gdyby zbudować, póki jeszcze pogoda na to pozwala, obszerny dom z odłamków lodu, urządzić się w nim jak najlepiej, upolować kilkadziesiąt fok i morsów, celem zdobycia zapasu mięsa, i czekać, aż towarzysze nasi z „Celiny“ odszukają nas? — rzucił Bertheau nieśmiało.

— Dom nasz ulegnie zniszczeniu podczas pierwszego lepszego ciśnienia lodów, to raz — odparł kapitan. — Powtóre, zapasów na przezimowanie nam nie starczy. Co zaś do fok i morsów, zdaje mi się, że pomimo, iż posiadamy dubeltówkę i zapas nabojów, nie zdołamy upolować więcej nad parę sztuk, i to w razie powodzenia. Jest rzeczą bardziej prawdopodobną, że o tej porze nie zastrzelimy już nic. Czeka nas więc śmierć głodowa. Zwracam nadto uwagę pańską, że paliwa mamy bardzo szczupły zapas, który nam starczy zaledwie na dwa tygodnie przy największej oszczędności.

— A więc starajmy się na naszej łodzi utorować sobie przejście pomiędzy krami i zbliżmy się jak najbardziej do parowca, poczem wysiądźmy na lód i usiłujmy połączyć się z towarzyszami — zaproponował Kornel.

— Jesteśmy w zamkniętej zewsząd przestrzeni, pośrodku jeziora. Możemy długo czekać, zanim wiatry albo burze rozluźnią dokoła nas te okowy. Łódź zaś jest zbyt ciężka, żebyśmy mogli wyciągnąć ją na lód, chociażby wspólnemi siłami.

— W takim razie nie pozostaje nam nic lepszego, jak czekać, póki towarzysze nie przybędą nam na pomoc — rzekł profesor.

— Nie, nie! — zaprotestował Kornel. — Byłoby to bierne zdanie się na los, który może stać się dla nas okrutnym. Otóż pozwolę sobie dać projekt — ale zgóry proszę o niestawianie mi przeszkód. Postaram się spełnić go w miarę sił, których nie mam zamiaru oszczędzać.

— Mów pan — rzekł kapitan poważnie.

— Otóż znajdujemy się w linji powietrznej o jakie sto pięćdziesiąt kilometrów od „Celiny"; wszak prawda?

— Tak jest — odparł kapitan, sprawdziwszy swoje spostrzeżenia.

— Według mnie, niema innego wyboru, jak podzielić się na dwie partje nierównej wielkości. Jedna pozostanie na łodzi, gdzie postara się urządzić jak najwygodniej i zabezpieczyć od zimna. Najsilniejsi zaś z pomiędzy nas puszczą się w kierunku parowca i sprowadzą pomoc, o ile potrafią przebyć tę przestrzeń. W ten sposób będziemy mieli choćby małe szanse na ocalenie, kiedy nie przedsiębiorąc nic, narażamy się wszyscy na śmierć niezawodną.

— Przypuśćmy — odparł Dubois. — Ale w takim razie trzeba podzielić się opałem, namiotem, jedną fuzją, jednym sekstansem i t. d., co jest rzeczą niemożliwą, pomijając już, że podróż taką w jesieni, bez niezbędnych zapasów odzieży i psów, kwalifikowałbym jako proste samobójstwo ze strony tych, coby się na nią zdecydowali.

Nastało milczenie. Rozbitkowie teraz dopiero zaczynali pojmować cały tragizm sytuacji.

— Co do mnie, jestem gotów podjąć się takiej podróży! — rzekł z determinacją Kornel.

Kapitan uśmiechnął się pobłażliwie.

— Niedawno omal nie przypłacił pan życiem wycieczki, która odbywała się w daleko lepszych warunkach — rzekł. — Nie odzyskał pan jeszcze sił po doznanych przejściach.

— Nie mamy jednak nic lepszego do wyboru, kapitanie! — odparł zimno Kornel.

— Zginiesz pan sam, a nas nie ocalisz.

— Być może; ale pozostawiając rzeczy swojemu biegowi, narażamy się wszyscy na najgorszy los.

Młodzieniec miał słuszność. Nikt więc nie śmiał mu zaprzeczać. Troska osiadła na wszystkich twarzach.

— Losujmy, kto ma wziąć udział w wyprawie celem odszukania parowca — rzekł Lequetre. — Płótno oddamy tym, co nas opuszczą, fuzję również, a także połowę nafty i maszynkę. Nie widzę innego wyjścia.

Kapitan machnął beznadziejnie ręką:

— Ha, losujmy...

— Nie, nie! ja w każdym razie będę należał do tych, co uczynią wszystko możliwe — upierał się de Convielle. — Zdobyłem doświadczenie, którego inni nie posiadają.

— Ja z panem — rzekł Legrand.

— I ja — dodał Lequetre.

— Mamy więc kandydatów poddostatkiem — odezwał się porucznik, prawie zawsze milczący. — Co do mnie, również przekładam podróż lodami, aniżeli bierne oczekiwanie.

Niektórzy marynarze także oświadczyli gotowość dzielenia trudów wycieczki.

Był więc kłopot z wyborem ochotników.

Nie można było długo się wahać. Kornel powiedział prawdę, że bierność przedstawiała największe niebezpieczeństwo.

Wzięto się więc do dzieła. Panna Moriot narazie chciała odwieść narzeczonego od tego zamiaru, ale zamknął jej usta kilkoma słowy:

— Pozostać — znaczyłoby oddać nas wszystkich na śmierć, która nie dałaby długo na siebie czekać — mó-

wił. — Trzeba być mężczyzną! Spełniam tylko to, co mi nakazuje zimny rozsądek. Niema wyboru!

Logika młodzieńca była żelazna. Młoda panna przyglądała się więc przygotowaniom, łykając łzy rozpaczy, któremi nie chciała obniżać energji narzeczonego.

Załoga łodzi ratunkowej, dla zapewnienia sobie możności oczekiwania, przeniosła się na pole lodowe, gdzie przy pomocy marynarzy w ciągu kilkunastu godzin zbudowano z kawałków kry wcale obszerny i dość wygodny domek, podzielony na trzy izby. Zniesiono tam połowę zapasów, drugą zaś pozostawiono na łodzi na wszelki wypadek, wydzieliwszy z niej uprzednio ilość niezbędną dla czterech członków wyprawy.

Należeli do niej ostatecznie: Kornel de Convielle, Lequetre, Legrand, który w żaden sposób nie chciał pozostać, i Moreau, jeden z marynarzy, młody, doskonale zbudowany człowiek, zdolny przenieść trudy. Taki skład ekspedycji zapewniał jej maksymum powodzenia.

Ta garstka śmiałków zabrała z sobą następujące przedmioty: namiot, uszyty przez Celinę z żagla, jedyny worek do spania, jedyną dubeltówkę z amunicją, połowę całego zapasu nafty, której mogło starczyć najwyżej na dwa tygodnie, jedyny sekstans, kompas i chronometr.

Pozostała część załogi „Neptuna“ nie mogła przeto opuścić raz obranego punktu. Ułożono się jednak, że w razie gdyby ocean oczyścił się wpobliżu, i żegluga okazała się łatwą, to łódź miała płynąć w kierunku parowca i utrzymywać, o ileby na to pozwalały warunki, styczność z oddziałem pieszym.

Ze swej strony wyprawa piesza miała przy sposobności polować na foki i niedźwiedzie, a zdobyte w ten sposób mięso przechowywać w kopcach, oznaczanych fla-

gami, zachowując część, głównie tłuszcz, dla swego użytku. W ten sposób miano wzajemnie się wspomagać.

Te przygotowania odbywały się w milczeniu. Wszyscy doskonale pojmowali powagę sytuacji. Wyprawa ratunkowa mogła liczyć jedynie na pomoc z „Celiny“: należało zatem, nie cofając się przed żadnemi ofiarami, dotrzeć do parowca, pod grozą śmierci z zimna lub głodu.

Nadchodziła chwila rozstania.

Naładowane sanie oczekiwały na polu lodowem, ciągnącem się w bezmierną dal. Nisko stojące słońce oświetlało jaskrawem, pomarańczowem światłem pustynię, w którą zapuszczała się garstka desperatów.

Przed namiotem zgromadzili się wszyscy rozbitkowie z profesorem Moriotem na czele.

Starzec drżącą dłonią błogosławił straceńców. Niewiele mówiono. Każdy czuł, że to jest może ostatnie pożegnanie.

Kapitan szeptem, jak na pogrzebie, dawał rady i wskazówki odchodzącym. Kornel, któremu serce się ściskało, miał jednak tyle siły woli, że zapanował nad swojem wzruszeniem. Świadomość, że poświęca się „dla niej“, dodawała mu siły.

Pocałował w ramię profesora, uścisnął mocno dłoń narzeczonej, zdobył się nawet na uśmiech. Jeden Lequetre zachowywał się jak człowiek, który się wybiera na przyjemną wycieczkę. Śmiał się zupełnie bez przymusu. Ani tu, ani tam, w dalekiej Francji, nie miał nikogo, ktoby w razie jego śmierci zapłakał. Dodawał więc swojem zachowaniem się odwagi towarzyszom.

— Lód jest doskonały — mówił, zaprzęgając się pierwszy do sanek. — Będziemy szli po dwadzieścia kilometrów dziennie i za dziesięć dni dotrzemy do „Celiny“. Gotów jestem założyć się. No, panie Kornelu, pan naprzód!

De Convielle, posłuszny wezwaniu, przypasał narty i, podpierając się laską zakończoną krążkiem, jak przystało na sportowca, ruszył na czele swojej trójki.

Lód był istotnie gładki, i niebawem odległość między domkiem lodowym a pieszym oddziałem stała się tak znaczną, że grupka pozostających rozpłynęła się we mgle subtelnej, okrywającej lody, niby kołdra z puchu. Wówczas długo otamowywane nerwy Kornela pękły nagle, jak przeciągnięta sprężyna. Młodzieniec zatrzymał się pod jednym z pagórków lodowych, który zakrywał go od wzroku towarzyszy, rzucił się na śnieg i wybuchnął łkaniem.

Był przekonany, że nie ujrzy już więcej nikogo, że idzie na straconą placówkę, jak żołnierz przeciwko przemożnemu wrogowi.

Sercem jego zatrzęsła dzika rozpacz. Gryzł palce przez grube rękawice, jęczał, jak rażony śmiertelnie w samo serce jadowitym grotem.

XXVII. Zadanie nad siły.

Ludzie, zmuszeni walczyć o życie, nieraz dokazują cudów energji. Jeżeli jeszcze do żądzy własnego ocalenia dołącze się pragnienie wydobycia z rozpaczliwego położenia najdroższych istot, wówczas dusza zamienia się w jedną, niczem nie dającą się zetrzeć bryłę stali. Ciało zaś, zależne od potęgi ducha, zarówno jak ona, staje się niespożytem.

Takie pragnienie właśnie miał w sobie Kornel. Szedł naprzód z dewizą: „Muszę za wszelką cenę“, i w tem haśle, jak w bajecznem źródle życia, czerpał siły w przeciwnościach, których mu przyroda nie szczędziła.

Pierwszych kilka dni podróży minęło bez żadnych szczególnych przygód.

Posuwano się nawet dość szybko po gładkim, młodym lodzie. Niebawem jednak sanie zaczęły się z trudnością ślizgać po nierównej płaszczyźnie, na której konające za czerwoną zasłoną słońce kładło długie, nikłe cienie. Pokrywał ją subtelny nalot biały, który po dokładniejszem zbadaniu odkrył swoją naturę.

Nie był to bynajmniej śnieg, ale wykwit soli morskiej, skrystalizowanej skutkiem zamarznięcia wolnej do niedawna powierzchni morza. Ta cienka warstwa soli stawiała wielki opór płozom sanek, a powtóre, przenikając

przez obuwie do skóry, nadżerała ją, przyprawiając naszych wędrowców o wielkie cierpienia.

Niebawem jednak natrafiono znów na lód stary, po którym sanie sunęły gładko, więc otucha wstąpiła w serca.

W trzy dni po opuszczeniu towarzyszy, nastąpił fakt, który zawsze napełnia smutkiem serce wędrowca w pustyniach polarnych.

Słońce, źródło życia i ciepła, dobroczynna gwiazda, która na biegunie już się była ukryła, i tutaj zaszła.

Nasi wędrowcy spoglądali z melancholją, jak wielka, czerwona tarcza, dotykająca już dolnym swym brzegiem od dwóch dni widnokręgu, znikała wolno. Wkrótce na jej miejcu ukazała się wspaniała zorza, która nęciła oczy swemi nie dającemi się opisać wdziękami; ale ten przepych barw nie zdołał wnieść wesela w dusze podróżników. Lękali się oni, wiedzeni instynktem każdej żywej istoty, tej okropnej kilkomiesięcznej nocy, która brała w swe posiadanie smutny świat odwiecznych lodów.

Nocowano w domkach, naprędce skleconych z lodu. Jeżeli zaś temperatura nie była zbyt niska, spędzano kilkanaście godzin w namiocie z żaglowego płótna, gdzie się ogrzewano, gotując na maszynce wieczerzę. Potem kładziono się w worku do spoczynku, zmieniając się w nim co kilka godzin; naraz bowiem mogło się tam pomieścić nie więcej jak dwie osoby.

Na piąty dzień, po przebyciu jakichś pięćdziesięciu kilometrów, znośne dotąd warunki zaczęły się szybko pogarszać. Lód sfałdował się, natrafiano coraz częściej na wały, przez które z trudnością przeprowadzano sanie, temperatura opadała; w nocy termometr nieraz wskazywał po trzydzieści Celsjusza, i znużeni całodziennym marszem ludzie musieli, znalazłszy się w namiocie, poruszać się ciągle, ażeby nie zmarznąć.

Szóstego dnia Legrand odmroził sobie nos, i trzeba było parę godzin nacierać mu go, żeby odzyskał normalną cyrkulację krwi.

Pole lodowe było pokryte śniegiem, miejscami tak grząskim, iż zapadano się weń po same kolana. Kiedy mróz zelżał cokolwiek, sytuacja jeszcze się pogorszyła: pod śniegiem bowiem ukazała się woda.

— Przecież podczas mrozu śnieg nie może odtajać — mruczał Moreau. — Cuda prawdziwe dzieją się tutaj.

Badano długo przyczynę tego zjawiska. Nareszcie okazało się, że lód jest spękany. Coraz to natrafiano na szczeliny. Jedne z nich miały co najwyżej kilkanaście centymetrów szerokości, inne metr i więcej. Musiano bardzo wolno posuwać się naprzód, żeby nie wpaść w którą z nich.

Przez te wąskie szpary woda morska wdzierała się na powierzchnię niezbyt grubej kry. Nieraz podróżni brodzili w niej po kostki. Obuwie przemokło, zimno nieznośne przenikało nogi, któreby niebawem zdrętwiały, gdyby nie wysilony duch.

Kornel na nartach, nie obawiając się szczelin, posuwał się przodem, badając lód długim kijem. Natrafiwszy na jaką szczelinę, ostrzegał towarzyszy, którzy wówczas zbaczali szukać pewnego przejścia. W ten sposób posuwano się bardzo wolno naprzód.

Kiedy, korzystając z ukazania się gwiazd na niebie, określono położenie geograficzne, okazało się, że przez kilkanaście godzin utrudzającego do najwyższego stopnia marszu przebyto zaledwie dziewięć kilometrów.

— Tam do licha! jeżeli będziemy się posuwali nadal podobnie żółwim krokiem, to napewno nie dojdziemy, zanim się nam nie wyczerpie nafta — narzekali marynarze.

Pojmując całą wagę pośpiechu, wytężali wszystkie

siły, żeby tylko ujść jak najwięcej drogi. Ale z powodu nierówności lodów i obfitości przeszkód w postaci wak i wałów, w żaden sposób nie zdołano ani razu przebyć większej przestrzeni, aniżeli dziesięć kilometrów.

Kornel czuł, że robak zwątpienia zaczyna mu drążyć duszę, która dotąd opierała się wszelkim słabościom. Najpospolitszy rachunek mógł go przekonać, że, podróżując tak wolno, mogli dopiero po upływie dwóch tygodni dotrzeć do okolic, gdzie znajdowała się „Celina".

Największą troską dla wszystkich była wyczerpująca się nafta. Bez niej w żaden sposób nie było można się obywać, choćby dlatego, że pożywienie zimne przyprawiłoby maszerujących o rychłą chorobę, o ileby wcześniej nie zginęli od zimna.

Nikt jednak nie odezwał się z temi smutnemi horoskopami, ażeby nie nadwerężać hartu ducha u towarzyszy.

Jak gdyby żywioły sprzysięgły się na garstkę zuchwalców, którzy pragnęli wydostać się z ich śmiertelnych uścisków, ósmego dnia po opuszczeniu miejsca katastrofy wybuchnęła jedna z tych nawałnic, których kilka przeniósł już Kornel podczas swej pierwszej wycieczki. Długo walczono z zadymką, która spowiła wszystko w jeden wir kłębiącego się śniegu. Nie widziano dalej jak o parę kroków przed sobą. Wicher zapierał oddech. Odzież, usta, nos, oczy, cała twarz pokryła się wkrótce grubą skorupą, która tamowała oddech.

Co kilkaset kroków trzeba było zatrzymać się, żeby zdjąć ten lodowaty pancerz, powyrywać z brwi, wąsów, z włosów sople lodu.

W takich warunkach podróż zamieniła się w istną męczarnię.

Pomimo to Kornel szedł naprzód, sondując śnieg.

Za nim, natężając wszystkie siły, ciągnęli jego towarzysze ciężkie sanie, głęboko wrzynające się płozami.

De Convielle, widząc, że upadają ze znużenia, wprzągł się na miejsce Lequetra, który go zastąpił w przewodnictwie.

Niebawem jednak lód stał się jeszcze gorszy. Szczeliny mnożyły się, woda sięgała miejscami po kolana, niepodobna było wyciągnąć sani z grząskiej brai. Wszyscy czuli się w najwyższem stopniu wyczerpani.

— Trudno, trzeba się zatrzymać — rzekł Legrand — i przeczekać zadymkę.

Zgodzono się w milczeniu na ten projekt. Pod osłoną wału wzniesiono namiot i ugotowano gorącej zupy.

Kornel zmierzył starannie ilość nafty i przekonał się, że starczy jej na sześć dni.

Burza przygwoździła do miejsca na trzy doby naszą czwórkę, co było niepowetowaną stratą czasu. Śmiałkowie przeszli istne piekło udręczeń. Ruch wzburzonych fal kruszył dokoła nich spękane pole lodowe. Niedalej, jak o sto kroków od obozowiska utworzyła się wielka „waka“, przez którą na powierzchnię wdarło się morze. Nagle wszyscy znaleźli się w wodzie. Musiano szukać schronienia na pobliskim wale. Z jego szczytu, kiedy śnieg przestał padać, ujrzano to, czego Kornel najbardziej się lękał.

W niepewnem świetle księżyca, który często znikał za pędzącemi szybko chmurami, w odległości najdalej dwóch kilometrów, świeciła olbrzymia płachta wolnej od lodów wody.

— Jesteśmy nad morzem! — zawołał Legrand, drapiąc się w głowę.

Kornel, nie wierząc własnym oczom, przypasał narty i pobiegł sprawdzić.

Jeszcze nie dojechał do krańca ławicy, kiedy łoskot

„Towarzysze, wytężając wszystkie siły, ciągnęli ciężkie sanie“.

fal, bijących o brzeg pola lodowego, przekonał go o smutnej rzeczywistości.

Wyprawa stanęła wobec nieprzełamanej przeszkody. Wolne morze kładło stanowczy kres dalszej podróży, nie posiadano bowiem łodzi.

Pocieszano się jeszcze myślą, że przestrzeń wody można będzie obejść.

Skoro tylko burza minęła, wprzęgnięto się znów do sanek i ruszono naprzód. Posuwano się wzdłuż skraju pola lodowego. Ale mijała godzina za godziną, a jezioro, zamiast zwężać się, rozszerzało się jeszcze bardziej.

Był to znany powszechnie skutek długiego dnia letniego, podczas którego promienie słoneczne pracują skutecznie nad stopieniem powłoki lodowej, skuwającej ocean Polarny. Jesień jest więc porą, w której można najłatwiej żeglować po tych dalekich morzach.

Kornel zwiesił głowę i bezmyślnie wpatrywał się w ciemnoindygową, osrebrzoną bladem światłem księżyca powierzchnię wolnej wody.

— Tu kres naszych usiłowań — powtarzał sobie, miotany bólem, gryzącym duszę jak trucizna. — Nie posuniemy się dalej ani na jeden krok! Nie pozostaje nam nic więcej, jak położyć się nad brzegiem tego przeklętego morza i czekać, dopóki dobra śmierć nie ukoi naszych cierpień.

— Staniemy tutaj obozem — mówił do Legranda, który spoglądał równie posępnym wzrokiem na taflę wód. — Ja na nartach pojadę szukać miejsca do przeprawy. Kto wie, może mi się uda je znaleźć.

Lequetre, który stał także obok, potrząsnął smutnie głową.

— Wątpię bardzo, ale spróbuj pan. Trzeba walczyć doostatka — rzekł.

Kornel, nie wahając się, pobiegł jak tylko mógł najprędzej. Leciał, nie zważając na szczeliny, pędziła go jakaś nieprzeparta siła rozpaczy.

Podczas jego nieobecności towarzysze, wybrawszy najwyższe miejsce na polu lodowem, zabrali się do wystawienia domku. Budowano ściany grube, spajano je wodą morską, która, zamarzając niebawem, zastępowała doskonale cement. Po ciężkiej, dziesięciogodzinnej pracy ujrzano się w posiadaniu doskonałego schroniska, które mogło, przy łagodnej aurze, zabezpieczyć mieszkańców.

Lequetre zdjął położenie geograficzne.

Wynikało z obserwacyj astronomicznych, że domek leży w linji powietrznej o siedmdziesiąt kilometrów od parowca.

Była to przestrzeń tak znaczna, że o przebyciu jej nawet po dobrym lodzie, przed wyczerpaniem się zapasu nafty, nie było co marzyć. Kornel wrócił po kilku godzinach wyczerpany do najwyższego stopnia z hiobową wieścią, że wolne morze ciągnie się w kierunku południowym jak okiem sięgnąć.

Należało pogodzić się z losem.

Ponieważ pożywienia było dość, przeto zgotowano obfitą ucztę, ażeby pokrzepić upadające siły. Jedzono chciwie. Nikt nie myślał; znużenie uczyniło wszystkich niezdolnymi do zastanowienia się nad sytuacją. Niebawem wśród rozkosznego ciepła, rozchodzącego się od szumiącego raźno primusa, nasza czwórka zasnęła głębokim, letargicznym snem.

Kiedy się przebudzono, burza ucichła zupełnie. Morze uspokoiło się. Zamiast potężnych bałwanów, rozbijających się z hukiem o potężne krawędzie pól lodowych, leżała przed ich oczyma ponura, tajemniczo gwarząca,

„Lequetre siadł na samym brzegu i w milczeniu głębokiem wodził oczyma po bezkreśnej dali".

mieniąca się pośród różnobarwnych odblasków zorzy biegunowej, tafla morza.

Lequetre siadł na samym brzegu i w milczeniu głębokiem wodził oczyma po bezkresnej dali.

— O czem pan myśli? — zagadnął go nagle głos Legranda.

Fizyk uśmiechnął się blado.

— Kiedy się to skończy?... Tak, mój kochany Legrand, nic już nie zdziałamy. To fakt, trzeba umrzeć z godnością. O to mi teraz idzie jedynie. Tamci czują się nielepiej.

— Nie mamy sobie nawzajem co zazdrościć — przytakiwał Legrand, kiwając głową. — Mój Boże, dlaczego to nie mamy z sobą łodzi, a chociażby tratwy. Wie pan co? Ażeby tak odłamać porządny kawał kry i na niej spróbować żeglugi. He? Nie mamy przecie nic do stracenia.

Fizyk machnął z lekceważeniem ręką:

— Czemże będziemy wiosłowali?

— Hm, wioseł niema, ale są narty, są płozy od sań, z namiotu zrobiłoby się żagiel.

— Czyż można mieć nadzieję, że taki statek będzie płynął, dokąd się nam podoba? Mrzonki, mrzonki, majaczenia gorączkowe!

Projekt marynarza wydał mu się tak niedorzecznym, że nawet nie chciał mówić na ten temat, i znów pogrążył się w milczącej zadumie.

Po chwili mechanik oddalił się, klnąc.

— Głupia sprawa siedzieć tak z założonemi rękoma i czekać, aż kostusia raczy nas zabrać do raju! — mruczał. — Najgorsza z tą naftą.

Poszedł do domku lodowego, gdzie zastał Kornela, piszącego dziennik.

Ma pan rację. Trzeba opisać nasz koniec. Niech pan nie zapomni dodać, że umieramy mężnie. Niech lu-

dzie przynajmniej o tem przeczytają, jak z nas będą już tylko cztery skostniałe trupy. Tak, trzeba zawsze mieć ładny gest, proszę pana. Nie prawdaż? Za trzy dni nafty już nie będzie ani kropli, i wtedy zacznie się odjazd.

Kornel zrozumiał, co znaczył wyraz „odjazd“. Nie lękał się śmierci, nie myślał nawet o sobie w tej chwili. Jego cała istota znajdowała się tam, daleko, w drugim takim samym domku lodowym, gdzie obok starego swego ojca Celina wyczekiwała pomocy. Pomocy od niego.

Gorzki śmiech porwał go za gardło.

Zawiedziono się na nim, tak jak on zawiódł się na sobie.

Nie potrafi nic, nie może nic poradzić.

Wyobrażał sobie, co się dzieje tam... Czekają. Jeszcze czekają, jeszcze się łudzą. Jeszcze mają opał. Lecz za parę dni ta sama śmierć i im zajrzy w oczy.

Ale szybko zapanował nad tym smutnym nastrojem. Był jeszcze zdrów i silny. Ha, może przyjdzie mróz, może zetnie fale, kłębiące się przed nim, zagradzajace mu drogę na południe.

Nadzieja ta jakby się sprawdzała. Po upływie dwunastu godzin temperatura zaczęła nagle spadać. Termometr wskazywał najprzód dwadzieścia stopni, poczem dwadzieścia pięć, wkońcu trzydzieści.

Powierzchnia morza mętniała. Fale pokryły się najprzód gęstym szronem, potem zaczęły toczyć krę. Wiatr zmienił się na północny i dął ze wzrastającą siłą.

— Jutro, jeżeli nic się nie zmieni, morze zamarznie — rzekł do Lequetra — będziemy mieli przed sobą taflę młodego, gładkiego jak stół lodu.

— I cóż?

— Wówczas zaczniemy iść, iść bez odpoczynku, dzień i noc. Wypoczęliśmy przecie, mamy sił dość. W dwa dni...

— A nafta?

— Tak, gdyby nie nafta!

Młodzieniec westchnął.

— Będziemy jej oszczędzali. Od dziś palimy primusa jedynie dla zgotowania wieczerzy.

Były to jednak marzenia człowieka, szukającego gwałtem promyka nadziei wśród ciemnej nocy życia.

Nazajutrz nafty zostało tylko na ugotowanie dwóch porcyj; tymczasem mróz stawał się przejmujący.

Nasza czwórka, zgnębiona tym faktem olbrzymiej dla niej doniosłości, zasnęła przytulona do siebie, daremnie starając się ogrzać kostniejące członki.

Fatalne zakończenie zbliżało się wolnym, ale pewnym krokiem.

XXVIII. Odwiedziny potwora.

Wśród głębokiej troski upływały długie chwile. Godziny zamieniały się na doby, doby na wieki. Nikt nie ruszał się z domku lodowego, który miał niebawem zamienić się na pomnik dla czwórki, oczekującej mężnie końca.

Wypalono resztkę nafty. Temperatura w schronisku spadała szybko.

Termometr, zawieszony na ścianie, wskazywał dziewiętnaście stopni niżej zera. W worku do spania skłębione ciała daremnie tuliły się jedno do drugiego. Szron osiadał na twarzach, sklejał przymknięte ciężkim, letargicznym snem oczy.

Sen ten miał niepostrzeżenie zamienić się w sen wieczny.

Nie poruszano się, nie rozmawiano, nie miano sobie nic do powiedzenia.

Lequetre, którego pomysły nie opuszczały do ostatniej chwili, spalił medykamenty na spirytusie i w ten sposób zdołał ugotować porcję gorącej herbaty.

Było to jednak ostatnie źródło cieplika. Pozostawały jedynie narty i płozy od sanek. Ale nikt nie chciał uciekać się do tego sposobu, który mógł tylko przedłużyć konanie.

— Prędzej się skończy! — myślał sobie fizyk. — Głupio jest upierać się wobec konieczności.

Uczony był trochę filozofem. Pogodził się już z myślą, że trzeba umrzeć.

Kornel do samego ostatka kreślił swoje wrażenia w pamiętniku. Napisał zgrabiałemi palcami, w których ledwie mógł utrzymać ołówek, pożegnalne listy najpierw do Celiny i do profesora, potem do rodzicow i do przyjaciół we Francji.

— Dojdą! — myślał, zalepiając kopertę.

W listach tych jaśniała pogoda. Nie było ani jednej wzmianki o końcu, który zbliżał się olbrzymiemi krokami. Młodzieniec był tego samego zdania, co jego kolega, że trzeba umieć żyć i umrzeć z uśmiechem na ustach. Gdyby nie myśl o Celinie, uśmiech ten byłby nawet szczery. Kto dokonał wielkiego odkrycia, ten może spokojnie przejść do historji — rzekł Lequetre, wysuwając zsiniałą od zimna twarz z worka. — Niebawem się to stanie. No, wejdź pan, panie de Convielle, na moje miejsce, należy się to panu — dodał, wypełzając ze swego ukrycia.

— Ale, ale! — dodał — niechże pan przynajmniej zanotuje, pod jakim stopniem szerokości i długości to się stanie! Wie pan co? Chętnie zrobię ostatnie zdjęcie położenia geograficzneego. Gwiazdy świecą pięknie, temperatura jest znośna, coś około dwudziestu stopni! Można sobie pozwolić.

Kornel, biorąc słowa fizyka za żart niewczesny, nie odrzekł nic.

Uczony jednak wyszedł ze skrzynką pod pachą, zabrawszy z sobą skórę, na której miał się położyć.

W sąsiedztwie, nad samem morzem, które jeszcze nie dawało mrozowi włożyć na siebie oków, fizyk zaczął ustawiać na równym lodzie swoje instrumenty. Nalewał rtęć na miseczkę, świecąc sobie latarką, i szukał oczyma gwiazdy biegunowej, świecącej wyraźnie w dyszlu Ma-

łego Wozu, który stał wysoko, niemal nad samą jego głową.

Już miał się zabrać do spostrzeżeń, gdy nagle rozległ się wpobliżu, wśród głuchej ciszy, mąconej tylko szmerem fali, głośny trzask. Fizyk obejrzał się za siebie i dostrzegł, że z pod wody wypłynęło z impetem jakieś czarne ciało, gruchocząc kilkocentymetrową powłokę lodu. W półmroku błysnęły dwa niebieskawe światełka i przerażony fizyk posłyszał sapanie, przypominające odgłos miecha kowalskiego.

Zaledwie jednak uczony przyszedł do siebie, kiedy zjawisko znikło równie szybko, jak się ukazało.

Kiedy nastała znów cisza, Lequetre, zdjęty ciekawością, ostrożnie stąpając, żeby się nie załamać na młodym lodzie, zbliżył się do otworu i zajrzał w głąb. Ale nie mógł dostrzec nic, prócz czarnej otchłani, w której wrzało, jakby w kotle.

— Niema wątpliwości; jakieś zwierzę morskie wynurzyło się na chwilę, ażeby nabrać powietrza. Ale jakie?

Postanowił czekać. Usiadł nieruchomie wpobliżu i patrzał w przerębel, zrobiony przez potwora.

Upłynęło z dziesięć minut, gdy woda zagotowała się znowu, i przy blasku gwiazd uczony ujrzał wyraźnie, jak z wody wynurzyła się duża okrągła głowa, z parą równie okrągłych, świecących fosforycznie oczu, które były utkwione, jakby ze zdziwieniem, w jego postaci.

Błysnęły dwa białe zęby, otwarła się szeroka paszcza, z której wydobyło się głuche sapanie.

Teraz już Lequetre nie mógł się pomylić. Był to król pustyń polarnych — potężny mors.

Zwierz i człowiek wpatrywali się wzajemnie w siebie, jeden bardziej zdumiony od drugiego.

Trwało to długą chwilę. Potwór, nabrawszy w ob-

szerne płuca zapas powietrza, wnet zniknął po raz wtóry, i fizyk pozostał znów sam.

Zamiast jednak wziąć się do przerwanej czynności, pędem pobiegł do lodowego domku.

— Gruba zwierzyna! Bardzo gruba! — krzyczał — dajcie mi fuzję!

Legrand, zelektryzowany, wychylił głowę z worka.

— Jest, tam! — odrzekł wskazując.

— Niedźwiedź? — zapytał Kornel obojętnie.

Ale fizyk nie odpowiedział już; pochwyciwszy broń, nabijał ją kulami i wybiegł.

Podkradał się do otworu ostrożnie, żeby nie spłoszyć zwierza.

Znał o tyle naturę morsów, że wiedział o ich sposobie oddychania.

Koń morski, przebiwszy sobie w młodym lodzie impetem swego potężnego cielska otwór, musi do niego powracać przynajmniej co dziesięć minut, dla nabrania świeżego zapasu powietrza. Te częste wizyty w jednem miejscu utrzymują na niem wodę w stanie ciekłym, nie pozwalając jej zamarznąć nawet podczas największych mrozów.

Przybywszy, uczony usadowił się w odległości kilkunastu kroków, z bronią gotową do strzału.

Miał w ręku zwyczajną myśliwską dubeltówkę, nabitą kulami ołowianemi, które mogły się łatwo ześlizgnąć po okrągłej i twardej czaszce zwierza. Postanowił więc celować w paszczę, czekając odpowiedniego momentu.

Nie upłynęło nawet pięciu minut, kiedy woda w otworze zaczęła się burzyć, i niebawem wychyliła się z niej głowa morsa. Okrągłe oczy były utkwione w małej postaci fizyka, który drżał z niecierpliwości.

Od celności strzału zależało w tej chwili wiele, bo życie czterech — nie! życie szesnastu ludzi. Potężna bryła

ciała i tłuszczu mogła dostarczyć pożywienia, a nadewszystko opału na parę tygodni. Lequetre przyzywał na pomoc całą swoją zimną krew. Z lufą wymierzoną, z palcem na cynglu, czekał...

Zwierz, trapiony znać ciekawością, odetchnął kilkakrotnie, wciągając głęboko powietrze w bezdenne płuca. Potem z jego gardzieli wydobyło się głuche szczekanie, pomieszane z mrukiem. Wielkie, białe kły uczepiły się o skraj kry, i król mórz polarnych ukazał się niemal do połowy.

Fizyk musiał przyznać, że w tej niezgrabnej bryle ciała otyłego, czarnego, w tej okrągłej głowie, takiego samego kształtu oczach, wielkich szczecinach, wystających po obu stronach paszczy, było coś zdolnego przerazić nieświadomego. Nic dziwnego, że morsy w dawnych czasach, kiedy świat marynarski roił się od różnych przesądów, mogły dać początek podaniom o istnieniu potworów bajecznych.

Olbrzymi zwierz przyglądał się przez kilka minut fizykowi, ale znać ta powierzchowna obserwacja nie zadowoliła go, gdyż dźwignął się jeszcze wyżej, aż prawą pletwą wsparł się o krę. Za chwilę wynurzyła się i lewa. Mors powoli, ciężko sapiąc, wgramolił się na młody lód, trzeszczący pod jego ciężarem.

Lequetre chciał już pociągnąć za cyngiel, ale uprzytomniwszy sobie, że zraniony zwierz mógł wpaść pod krę, czekał jeszcze cierpliwie.

— Niech sobie wyjdzie! — myślał — tem lepiej.

Poruszył się lekko, ażeby nie spłoszyć zwierzyny, ale pobudzić jej ciekawość.

Dopiął celu. Mors, oddychając jak wyczerpany pływak, wydostał się nareszcie na lód i niezgrabnie zaczął pełzać, podpierając się pletwami, do nieznanej sobie istoty.

„Olbrzymi zwierz przyglądał się przez kilka minut fizykowi".

Uczony, nie spuszczając broni, cofał się wolno, póki mors nie znalazł się w odległości kilkunastu kroków od otworu.

— Mam cię! — myślał, czując, jak mu serce bije z radości. — Teraz aby tylko nie chybić.

Ale potwór, jak gdyby chciał ułatwić cios śmiertelny swemu wrogowi, otworzył znów szeroko paszczę, z której wydobywało się przeciągłe szczekanie. Teraz rozległ się huk dwóch szybko po sobie następujących strzałów. Obie kule trafiły znać w paszczę, bo szczekanie przeszło w chrapliwy jęk. Potwór zaczął bić wściekle kłami w lód, który pękał pod temi ciosami.

Nabić szybko dubeltówkę zawczasu przygotowanemi ładunkami i dać drugi raz ognia z obu luf w błyszczące ślepie — było dziełem jednej chwili.

Tym razem skutek był piorunujący. Olbrzymie cielsko runęło bezwładnie na lód. Kilkanaście sekund drgało jeszcze konwulsyjnie, drżało w męce konania i wnet znieruchomiało zupełnie.

Poza Lequetrem zjawiły się trzy cienie. To Moreau, Legrand i de Convielle nadbiegali szybko zobaczyć, co się dzieje.

Ujrzawszy olbrzymią bryłę tłuszczu i mięsa, Legrand wydał okrzyk triumfu.

— Wiwat, pan Lequetre! Niech żyje nasz wybawca! — krzyczał, skacząc jak dziecko dokoła cielska. — Mamy opał, mamy mięso, mamy skórę, możemy czekać chociażby dwa tygodnie! Panie, niech mi pan pozwoli uściskać się.

Ujął w swoje niedźwiedzie ramiona uczonego, który aż stęknął i dech stracił.

— Tam do licha! Legrand, puść, do djabła. Żebra połamiesz! Uf!

Legrand wypuścił fizyka, zniknął w domku i za chwilę powrócił z wielkim nożem w ręku. W mgnieniu oka wykrajał potężny płat z brzucha potwora i, uginając się pod tym ciepłym jeszcze kawałem słoniny, wracał do schroniska.

Fizyk z dumą pokazywał swoją zdobycz.

Był to, jak się łatwo było przekonać, jeden z największych okazów swego rodzaju, istna kula tłuszczu i mięsa, ważąca przynajmniej dwa tysiące funtów. Olbrzymia kałuża krwi zbroczyła lód.

Z wielkim trudem i ostrożnościami zdołano wciągnąć potwora na pewniejszy lód. Moreau zabrał się do zdzierania skóry, ale Legrand nie pozwolił dokończyć tej roboty towarzyszom.

— Już się pali, chodźcie się rozgrzać, do stu djabłów! krzyczał, wychylając głowę z domku.

Kiedy nasi podróżni weszli do wnętrza, ze zdziwieniem przekonali się, że pośrodku izdebki lodowej płonął jasno kawał bawełnianego bandaża, zatknięty w otwór, zrobiony w słoninie morsa. Ognisko to kopciło wprawdzie i wydawało swąd, ale odór ten mile drażnił powonienie.

Wnet rozkoszne ciepło zaczęło rozchodzić się po całej izdebce.

Mechanik na płozie narty zawiesił imbryk z kawałkami lodu i w pół godziny potem wszyscy raczyli się gorącą herbatą, która wlewała nowe życie w skostniałe członki.

— Starczy nam tego na długo! — mówił Legrand, znosząc połcie grubej na piętnaście centymetrów słoniny. — I dla naszych trochę pozostanie, jeżeli się tu wkońcu znajdą.

Po herbacie przyszła kolej na doskonałą zupę z pemikanu i kakao.

Podróżnicy tonęli w obfitości i zbytku. Wielkie pla-

stry świeżego mięsiwa skwierczały na ogniu. Chociaż trąciły tranem, ale smakowały wybornie łaknącym odmiany w posiłku.

— Pokazuje się, że Opatrzność nie wypuściła nas jeszcze ze swej opieki — mówił Moreau niewyraźnie, mając zapchane usta pieczenią. — Możemy iść naprzód i dotrzemy wkońcu do parowca. Proszę pana, wyruszamy niezwłocznie w drogę.

Kornel nie odrzekł nic. Myśl jego pobiegła daleko do towarzyszy, którzy w braku broni nie mogli nawet marzyć o takiem szczęściu, jak to, które ich spotkało.

Kto wie, czy już nie zamierają w tej chwili z zimna. I im nafta musiała się wyczerpać.

— Czy lód nas utrzyma? — zagadnął Lequetre.

Wszyscy poszli się o tem przekonać. Zmierzono jego grubość. Pokazało się jednak, że nie jest to jeszcze pewna droga. Ruch fal czynił powierzchnię nowo tworzącego się lodu nierówną, niepewną. Co kilkanaście kroków trafiano na szczeliny, na słabe miejsca, które nie uniosłyby zapewne ciężaru naładowanych sanek.

Trzeba było jeszcze czekać.

Czas ten zużyto na poćwiartowanie potwora. Połowę tłuszczu zabrano z sobą, drugą, zarówno sadła jak mięsa, umieszczono na dnie wysokiego kopca, oznaczonego chorągiewką.

— To dla naszych — mówił Kornel, żałując, że nie może posłać tego wspaniałego daru kolegom, o których los był z każdą godziną niespokojniejszy.

Nazajutrz jednak nadzieje rozwiały się znowu. Nastał silny wicher, ukazała się woda morska.

Wędrowcy znów mieli przed sobą obszerną płachtę niemal wolnego od lodu morza.

Zorza nadziei ustąpiła znów głębokiej nocy rozpaczy.

XXIX. Cud!

Kornel, nie mogąc posuwać się naprzód, zaczął na serjo myśleć o powrocie.

Dręczyła go myśl, że jego towarzysze z profesorem i Celiną konają z zimna, kiedy on ze swoją trójką opływa w dostatki.

Tłuszcz morsa dostarczył bowiem doskonałego i obfitego opału.

W budce lodowej było ciepło, choć cokolwiek dymno i duszno. Można było w tych warunkach czekać, chociażby dwa tygodnie. Nie było zaś rzeczą niemożliwą, że jaki inny głupi czy ciekawy koń morski zbliży się do obozowiska i pomnoży zapasy.

— A gdybyśmy podzielili się na dwie partje? — proponował młodzieniec. — Pan, panie Lequetre, w razie gdyby morze zamarzło, udałbyś się z Moreau na poszukiwanie parowca; ja zaś razem z Legrandem wrócilibyśmy do swoich, biorąc z sobą zapas tłuszczu.

Fizyk potrząsnął głową.

— Mamy tylko jedne sanie. Bez nich zaś nie mógłbyś pan nawet marzyć o tem, żeby dostarczyć na znaczną odległość jaki taki ładunek.

— Ależ oni znajdują się w położeniu bez wyjścia! —

nalegał Kornel, który wpadał w rozpacz na myśl, że jego narzeczona może nie doczekać się pomocy.

— Mnie się zdaje, że z nimi nie będzie gorzej niż z nami. Posiadają bowiem harpuny z linami, przy pomocy których mogą zapolować na foki. W ostateczności mogą zastrzelić w przeręblu które z tych zwierząt z rewolweru, albo łapać odlatujące na południe mewy na haczyki z przynętą. Kapitan zna się na łowach w tych okolicach i z pewnością nie będzie siedział z założonemi rękoma. Zważywszy to wszystko, nie należy się zbytecznie niepokoić o los naszych towarzyszy.

De Convielle nie dał się jednak przekonać temi argumentami. Wyobraźnia stawiała mu przed oczyma obrazy, od których niemal drętwiał.

Miotany najwyższą trwogą, biegał godzinami nad brzegiem morza, które ciągle poruszane północnym wiatrem, wełniło się falami, niezmordowanie pracującemi nad kruszeniem świeżo tworzącego się lodu.

Ten przymusowy wypoczynek, w takich warunkach, stawał się dla niego nieznośną męką.

— Mój Boże, dlaczego nie posiadamy łodzi! — powtarzał po dziesięć razy na dzień.

— Ostatecznie możnaby zbudować kajak ze skóry morsa — rzekł razu pewnego Lequetre. — Z nart i z niektórych części sanek dałoby się zrobić szkielet.

— Spróbuj pan to uczynić! Błagam pana na wszystkie świętości! — mówił de Convielle, składając ręce jak do modlitwy. — Wie pan, oddałbym teraz życie za łódkę.

— Hm, jedna skóra nie wystarczy — kłopotał się fizyk. — Nie posiadamy też ani igieł, ani nici...

- Igły zrobimy z kości; ścięgna i żyły zastąpią nam nici i sznury!

— Tak, ale na taką robotę potrzeba co najmniej ty-

godnia czasu. Kto wie, czy morze nie zamarznie wcześniej. O ile wiatr ucichnie, nastąpi to bardzo szybko.

— Tak, ale my nie mamy ani jednego dnia do stracenia. Kto wie, co się już stało z tamtymi.

De Convielle formalnie wpadał w obłęd. Fizyk, patrząc na jego śmiertelny niepokój, uczuł litość.

— No, zabieram się do dzieła — rzekł. — Pan zaś postaraj się upolować jeszcze jednego morsa, albo przynajmniej fokę.

Dzielny fizyk dotrzymał słowa. Wyprawił, jak się dało, skórę, z olbrzymiego cielska powypruwał, przy współudziale Legranda i Moreau, ścięgna i żyły, wystrugał z kości igły. Zgromadziwszy ten materjał, zabrał się do budowy szkieletu. Pokazało się jednak, że drzewa było za mało. Należało, idąc za przykładem Eskimów, uciec się do kości. Żebra morsa przydały się bardzo. Po trzech dniach usilnej pracy ujrzano szkielet dla łodzi, która doskonale mogłaby pomieścić czterech ludzi. Ale sanie musiano popsuć. Uczyniono to jednak w taki sposób, żeby w razie konieczności, rozebrawszy szkielet kajaka, móc je odrestaurować. W ostateczności projektowano sobie ciągnąć statek po lodzie. Najgorzej było z pokryciem tej improwizowanej łodzi. De Convielle czatował na foki, ale nie wiadomo dlaczego, te zwierzęta nie ukazywały się wpobliżu obozowiska. Na żadnego morsa także nie było można natrafić. To też rozbudzone nadzieje gasły szybko. Mijał już szósty dzień od chwili, kiedy nasza czwórka znalazła się nad brzegami wolnego morza, które jak na złość nie zamarzało. Przeszkadzał temu silny wiatr północny przenikający do szpiku kości. Gdyby nie tłuszcz z morsa, wędrowcy ponieśliby oddawna śmierć skutkiem nieznośnego zimna.

Wkońcu zdecydowano się poświęcić namiot. Wygo-

towano go w tłuszczu, zeszyto podwójnie i z tego nietrwałego materjału zrobiono burty kajaka. Spód zaś pokrywała ciężka i gruba skóra morsa, która mogła się opierać nawet niewielkiej krze.

Ale puszczać się na takim wątłym stateczku podczas wiatru, który podnosił na oceanie dość wysoką falę, byłoby istnem szaleństwem.

Spuszczono wprawdzie na próbę kajak, ale wnet musiano go wciągnąć napowrót, gdyż groziło mu zniszczenie od bałwanów, wdzierających się chwilami na pole lodowe, które pod temi ciągłemi szturmami zmniejszało szybko swoją powierzchnię.

Doszło do tego, że musiano przenieść domostwo o kilkadziesiąt kroków dalej od skraju kry, co zabrało jeden dzień ciężkiej pracy i drogiego czasu.

Te przeciwności wyczerpały niemal do dna cierpliwość i energję podróżników. Gdyby nawet bezzwłocznie mogli rozpocząć swoją żeglugę, to ileż czasu minie, zanim zdołają pośród pływającej kry utorować sobie drogę do parowca, odległego w najlepszym razie na siedmdziesiąt kilometrów.

Rozpacz, przytłumiona na chwilę zabiciem morsa i zdobyciem zapasu paliwa, znów podniosła głowę i sączyła truciznę zwątpienia do duszy zgorzkniałej.

W miarę tego zaś, jak zima zbliżała się, nadzieja na uratowanie się malała, „Celina“ mogłaby nie wydobyć się z pośród lodów, które zapewne już ją zdołały skuć w swoich objęciach.

— Jeżeli mamy już koniecznie zginąć, to wszyscy razem! — mówił Kornel, któremu los towarzyszów nie dawał spokoju. — Wracajmy, panie Lequetre; nie doczekamy widocznie, żeby to przeklęte morze zamarzło, albo też, żeby wiatr zmienił swój kierunek i siłę. Ściga nas

jakaś fatalność niepojęta. Cięży nad naszemi głowami jakieś przekleństwo. Wszystkie nasze usiłowania obracają się wniwecz.

Ale we dwanaście godzin potem, sytuacja jak za skinieniem czarnoksięskiej różdżki, zmieniła się. Wiatr ustał prawie zupełnie, temperatura podniosła się do dwunastu stopni niżej zera, zawiał lekki zefirek od południowego zachodu, spędzając z morza krę ku brzegom pola lodowego. Morze oczyszczało się w oczach.

Uradowani żeglarze gotowali się do spuszczenia na wodę swojego stateczku.

Korzystając z roziskrzonego nieba, Lequetre postanowił dokonać czynności, w której przeszkodził mu był mors-zbawca, t. j. zdjąć położenie geograficzne. W tym celu wydobył znów swoją skrzynkę z instrumentami i wygodnie ulokował się na lodzie.

Kornel pomagał mu. Gwiazda biegunowa była doskonale widzialna, zdjęcie jej wysokości przy pomocy teodolitu nie przedstawiało żadnych trudności. Jednakże fizyk, odczytawszy wskazania instrumentu, potrząsnął głową z niedowierzaniem.

— Źle? — zagadnął de Convielle, widząc zakłopotanie fizyka.

— Musiałem się grubo pomylić... — mruczał Lequetre.

— Gdzież się znajdujemy? — nalegał niecierpliwie Kornel.

— Bah! Wypadło mi, że dotarliśmy pod 80 stopień 24 minutę szerokości północnej i 122° dług. Znaczyłoby to, że znajdujemy się o kilkanaście zaledwie minut od równoleżnika, pod którym, według ostatnich depesz iskrowych, „Celina“ miała się znajdować. Porównywając długości, dzieliłaby nas od parowca bagatelna przestrzeń szesnastu kilometrów! Jest to oczywista niedorzeczność!

Według bowiem skrupulatnych naszych obliczeń, mieliśmy jeszcze siedmdziesiąt kilometrów do przebycia. Muszę wobec tego, powtórzyć spostrzeżenia.

Kornel westchnął głęboko.

— Jaka szkoda, że to pomyłka, nic więcej! Czy mam panu pomóc?

— Nie, zdaje mi się bowiem, że to pan sprawia mi swoją obecnością roztargnienie.

— W takim razie usunę się, żeby panu nie przeszkadzać — odparł pokornie de Convielle, odchodząc na kilkanaście kroków.

Zapalił papierosa i, siadłszy na bryle lodu, czekał spokojnie, wpatrzony wdal, aż fizyk skończy swoje astronomiczne obserwacje.

Upłynęło kilka minut, i do uszu młodzieńca doleciało przekleństwo:

— Tam, do wszystkich mocy djabelskich! Teodolit musiał się popsuć! — krzyczał fizyk — tego jeszcze brakowało!

— Co pan mówi! — zawołał przerażony tą nowiną Kornel. — Trzeba go obejrzeć.

Lequetre wrócił do domu i przy świetle lampy tranowej oglądał bacznie instrument.

— Nie pojmuję... — mruczał pod nosem, — Napozór wszystko znajduje się w porządku, a jednak znowu głupio wypadło.

— Jakąż cyfrę otrzymał pan za drugim razem? — pytał Kornel zmartwiony.

— Niemal tę samą, co i za pierwszym.

— Mianowicie?

— Ośmdziesiąty stopień 23 min., piętnaście sekund.

— Cóż to ma znaczyć? A więc przez tych kilka dni

przebyliśmy więcej niż ośmdziesiąt kilometrów? — pytał Kórnel, szeroko otwierając ze zdumienia usta.

— Broń Boże! Zdejmowaliśmy przecie codzień położenie. Posuwaliśmy się mniej więcej o dziesięć kilometrów na południe w ciągu doby i napewno znajdujemy się przynajmniej o siedmdziesiąt kilometrów, czyli o siedm dziewiątych stopnia od „Celiny“, licząc w kierunku południowym. Odległość istotna jest niezawodnie jeszcze znaczniejsza, gdyż nie brałem pod uwagę długości geograficznej. Niema co! Muszę raz jeszcze zrobić zdjęcie. Tym razem jednak, zamiast gwiazdy biegunowej, obiorę sobie inną. Z tabliczek, które mamy z sobą, łatwo będzie odnaleźć i w tym przypadku szerokość geograficzną zajmowanego przez nas punktu.

Lequetre odszedł znowu do swego obserwatorjum. Sprawdził wszystko starannie i z pedantyzmem zabrał się do nowego zdjęcia, kierując teodolit na jedną z gwiazd pierwszej wielkości, położoną w sąsiedztwie Wielkiej Niedźwiedzicy.

Zaledwie jednak skończył odczytywanie na podziałce, gdy z jego piersi wyrwał się głośny okrzyk radości. Tańcząc, jak szalony, fizyk podbiegł do pana de Convielle.

Jesteśmy pod ośmdziesiątym stopniem, 23 minutą szerokości północnej! Niema co dłużej wątpić. Moje spostrzeżenia są dobre!

— Jakim cudem?

Jakim cudem — nie wiem, ale to fakt! Patrz pan! Zupełnie niemal ta sama liczba; różnica w sekundach zaledwie. Niepodobna się tak pomylić. Przecież znajduję się przy zdrowych zmysłach. Cóż u licha! Pokażę panu. Niech pan sam zrobi zdjęcie, według moich wskazówek. Zresztą pan to potrafisz. Proszę! Połóż się pan tak... ustaw instrument poziomo.

— Już.

— No, teraz wódź pan lunetą, dopóki nie odnajdziesz gwiazdy biegunowej.

— Już ją odnalazłem.

— Sprowadź ją pan na punkt skrzyżowania się pajęczych nitek w lunecie.

— Już to zrobiłem — rzekł po chwili Kornel.

— Doskonale! teraz odczytaj pan wysokość gwiazdy nad poziomem na nonjuszu.

— Ośmdziesiąt stopni, 23 minuty, dwadzieścia trzy sekundy.

— A więc różnica znowu w sekundach tylko! Stało się coś, czego nie potrafię wytłumaczyć — jakiś cud, bo jakże nazwać to inaczej? Siedzimy przykuci na miejscu od tygodnia przeszło, rozpaczamy, a mimo to posunęliśmy się przez ten czas o kilkadziesiąt kilometrów na południe. Czary, czy co?

— A więc parowiec niedaleko?! — zawołał Kornel.

— Wypada, że „Celina“ jest od nas odległa o siedmnaście do ośmnastu kilometrów, o ile naturalnie nie zmieniła sama położenia. Może i ją djabeł lodowy wodzi, tak jak nas, po tych pustyniach? Kto to może wiedzieć.

— Sprawdźmy jeszcze raz! — nalegał Kornel, któremu szumiało w głowie z bezmiernej radości. — Nie chcę, żeby pozostała najmniejsza wątpliwość.

— Ha, niech pan sprawdzi. Przecież nie możemy obaj podlegać halucynacji. Co do teodolitu, jest on zupełnie w porządku. Nie nosi śladów najdrobniejszego uszkodzenia.

Kornel po raz drugi dokonał zdjęcia, kierując instrument na inną stałą gwiazdę. Teraz kontrola była zupełnie dostateczna.

Szybkie obliczenie, według tabliczek nautycznych, wykazało znowu tę samą co poprzednio liczbę.

— Widocznie dzieją się jeszcze cuda! — mówił młodzieniec, pijany radością. — Staliśmy na miejscu, a jednak posuwaliśmy się szybko naprzód, tak, jakbyśmy podróżowali saniami.

— Wiem już, wiem, już znalazłem! — przerwał nagle Lequetre.

— Co?

— Znalazłem wytłumaczenie faktu, który istotnie wygląda na cud.

— Jakież to? Przecie staliśmy nieruchomie...

— Tak, myśmy pozostawali bez ruchu, ale pole lodowe, na którem znajdujemy się, płynęło z nami na południe. Wiatr północny, na który tak narzekaliśmy, pędził nas wciąż naprzód. Kiedy oddawaliśmy się rozpaczy, że fatalność przygwoździła nas tutaj, żywioły, jakby ulitowawszy się nad naszem położeniem, niosły nas do niedoścignego dla nas celu. Jeżeli to nie cud, to w każdym razie zdumiewające zrządzenie Opatrzności.

— Zdaje mi się, że to jakaś mara, jakiś sen — i lękam się przebudzenia... — szeptał Kornel, przecierając oczy. — Legrand, Moreau! Bóg ulitował się nad nami. Nie ruszając się krokiem w ciągu ośmiu dni, przebyliśmy w tym przeciągu czasu siedmdziesiąt bezmała kilometrów i obecnie znajdujemy się wpobliżu parowca. Słyszycie, wpobliżu „Celiny"! Jesteśmy ocaleni!

Marynarze z początku mieli pewne wątpliwości co do stanu umysłów swoich przewodników. Ale kiedy im wytłumaczono ten zadziwiający fakt, uwierzyli. Radość dzika zapanowała nagle w domku lodowym. Ogłuszające krzyki rozlegały się w ciszy nocnej. Moreau pochwycił fuzję i zaczął palić raz po raz na wiwat, dopóki, oburzony takiem marnowaniem amunicji, Kornel nie odebrał mu broni.

— Wobec takiego stanu rzeczy trzeba bacznie śledzić

powierzchnię morza — radził Legrand. — Zapalmy ognisko na jakim pagórku lodowym, żeby dać znać parowcowi, że się tutaj znajdujemy.

— A jeżeli i „Celinę“ lody uniosły na południe? — rzucił kruczą wróżbę Moreau.

— Niestety, mój chłopcze. Jest to zupełnie możliwe! — jęknął Kornel. — Ten sam wiatr, który pędził nas na południe, zapewne uczynił to samo z lodami, otaczającemi statek. W takim razie nicbyśmy nie zyskali.

— Tak, ale statek, stosując się do instrukcji, trzyma się możliwie blisko punktu, w którym się znajdował w chwili wysłania ostatniej depeszy, gdzie komunikowaliśmy naszym towarzyszom o odkryciu bieguna północnego zauważył Lequetre. — Przed nami leży morze wolne od lodów, więc parowiec przy pomocy swej maszyny łatwo odzyska utraconą szerokość geograficzną.

Rozważywszy gruntownie sytuację, nasi rozbitkowie doszli do przekonania, że „Celina“ powinna znajdować się niedaleko.

Ułożono, że wyprawa będzie bez straty czasu posuwała się w kierunku zachodnim, ażeby dotrzeć do południka, wskazanego w ostatniej depeszy.

Trzeba było przebyć nie więcej jak ośmnaście do dwudziestu kilometrów brzegiem pola lodowego. Należało się przytem śpieszyć, gdyż kra posuwała się ciągle na południe i mogła zanieść zbyt daleko naszą czwórkę.

Legrand zrobił z tłuszczu i knota rodzaj kaganka, palącego się jasnym płomieniem, zawiesił go na drążku i szedł przodem.

Napotkawszy barjerę, albo wzgórek, wdrapywał się na najwyższy punkt i stamtąd dawał sygnały świetlne.

Była to ciężka podróż. Trzej ludzie musieli wytężać siły, żeby wlec po nierównym lodzie improwizowany statek,

obładowany połciami mięsa i resztkami zapasów. Na szczęście, całotygodniowy przymusowy wypoczynek pokrzepił wszystkich znakomicie.

Niemniej przeto posuwano się dość szybko w kierunku, gdzie się spodziewano lada chwila ujrzeć maszty parowca.

Po dziesięciogodzinnym, wyczerpującym marszu podróżni zatrzymali się. Lequetre, zdjąwszy ponownie położenie geograficzne, skonstatował z radością, że znajdowano się o milę zaledwie od punktu, wskazanego przez kapitana Dumerque.

Kornel z lunetą wdrapał się na jakiś wysoko sterczący odłam kry i stamtąd uważnie obserwował widnokrąg.

Wiatr ucichł był prawie zupełnie; morze uspokoiło się, młody lód szybko pokrywał rozkołysaną do niedawna powierzchnię.

— No, i cóż? — pytał niecierpliwie fizyk, który pozostawał na dole.

— Nie dostrzegam nic godnego uwagi! — odparł smutnie Kornel, schodząc ze swego punktu obserwacyjnego.

Rozbudzona chwilowo nadzieja ustąpiła znów miejsca zwątpieniu.

— Moreau miał słuszność. Lody musiały unieść na południe „Celinę“ — rzekł. — Cóż teraz uczynić?

— Ha, czekać — mruknął zafrasowany fizyk.

— Ale ruch lodów nie ustaje, i za kilka dni znajdziemy się znacznie dalej na południe, niż potrzeba. Utrudni to bardzo naszym towarzyszom poszukiwanie nas.

— A jednak nie widzę innego wyjścia.

Podróżni czuli się bardzo znużeni. Zbudowali naprędce namiot z przewróconej do góry dnem łodzi, którą obsypali dokoła śniegiem i, strapieni doznanym zawodem, pogrążyli się niebawem w głęboki sen.

Jeden tylko Kornel długo nie potrafił zasnąć. Nie-

pokój o los Celiny i reszty towarzyszów, których pozostawił w najgorszych warunkach, gnębił go niewypowiedzianie. Nieszczęśliwy młodzieniec pogrążył się w najczarniejszych myślach. Mijała godzina za godziną, a de Convielle nie zmrużył oka.

Widział domek zbudowany z odłamków kry, a w nim kilkanaście skostniałych trupów. Między niemi swoją najdroższą, białą jak śnieg, śpiącą snem wiecznym w objęciach starego ojca.

Wyobraźnia pracowała tak silnie, podniecona bólem, że obraz ten chwilami zamieniał się w halucynację.

Z piersi trapionego widziadłami młodzieńca wydobył się głuchy jęk, niemal skowyt. Nie mogąc wytrzymać dłużej, Kornel podniósł się, ażeby poprawić kopcącą silnie lampę.

Kiedy się nachylał nad knotem, wpobliżu szałasu rozległ się jakiś dziwny szmer. Łapy uzbrojone pazurami drapały śnieg, otaczający łódkę, jakby zwierzę jakieś chciało się dostać do środka.

W pierwszej chwili Kornel myślał, że to przywidzenie, ale wnet przekonał się, że istotnie żywa istota znajduje się wpobliżu.

— Niedźwiedź? — przemknęło się przez głowę młodzieńcowi.

Ale nie! Drapanie było delikatne. Drobne łapki odgrzebywały ostrożnie śnieg, jakby chcąc utorować drogę do wnętrza szałasu.

— To niezawodnie lis polarny, który zwietrzył tłuszcz! — rzekł sobie de Convielle.

Natręctwo tych drapieżników było mu dobrze znane. Po chwili przestał zwracać uwagę na lisie manewry.

Ale nocny gość, któremu odór gorącego tranu, a może i mięsa, znajdującego się wpobliżu, nie dawał spokoju, prowadził dalej bez ustanku swój podkop.

Znudzony tą natarczywością, de Convielle schwycił drążek służący do podpierania się na nartach i uderzył nim kilkakrotnie w zaatakowane miejsce.

W tej samej niemal chwili rozległ się odgłos, który sprawił, że młodzieniec zerwał się na równe nogi, i to z taką gwałtownością, że uderzył głową o niskie sklepienie chroniska.

Było to szczekanie psa, które wpadało w ucho podróżnika, jak najpiękniejsza muzyka. Lisy szczekają także, ale Kornel słyszał je nieraz. Nie, to nie był lis!

Zelektryzowany, de Convielle odchylił skórę, przykrywającą wejście, i poprzez niski chodnik w śniegu na czworakach wypełznął nazewnątrz.

Powietrze było spokojne, gwiazdy świeciły jasno. Na bezmiernej powierzchni lodów błyszczał śnieg, na którego jasnoniebieskiem tle czerniała sylwetka poruszającego się zwierzęcia.

Zaledwie Kornel wyprostował się, kiedy tajemniczy gość z radosnem skomleniem przypadł mu do nóg.

— Paf! Paf! — powtarzał z najwyższem rozczuleniem Kornel, głaszcząc kudłaty łeb zwierzęcia.

Pomimo ciemności, poznał w nim swego ulubionego psa, z którym zawarł bliższą znajomość na pokładzie „Celiny". Zwierzę poznało go także, gdyż w napadzie dzikiej radości tańczyło dokoła niego, podskakując aż do piersi.

Zwierzę i człowiek nie mogli się sobą nacieszyć.

— Skąd się tu wziąłeś? Gdzie twoi towarzysze? — zasypywał pytaniami niespodziewanego gościa. — Prowadź, prowadź!

Pies jakby zrozumiał życzenia człowieka, gdyż co chwila odbiegał na kilkanaście kroków w zachodnim kierunku, potem wracał i znów się łasił.

— Prowadź! — powtarzał Kornel.

Pies pobiegł szybko naprzód; za nim podążał z biciem serca człowiek. Kiedy zwierzę znikało poza barjerą, nachylał się, ażeby nie utracić jego śladów na śniegu.

Paf oglądał się od czasu do czasu, zatrzymywał się, szczekając zachęcająco.

Wreszcie Kornel dosięgnął wysokiego wału, przez który z trudnością się przeprawił. Znalazłszy się na jego grzbiecie, ujrzał dwa cienie, posuwające się wolno ku niemu.

Wydał gromki, długi okrzyk, który zamarł mu w piersi ze wzruszenia.

Nastawił ucha. Dwa cienie odpowiedziały takim samym okrzykiem i zaczęły się szybko poruszać.

De Convielle zbiegł z barjery i podążał naprzeciw.

Zrobiwszy kilkadziesiąt kroków, stanął jak słup.

Tak, wzrok go nie myli. Poznaje te dwa cienie.

— Carré, Briot!

— De Convielle!

Szybki jak błyskawica uścisk dłoni. Kornelowi ćmi się w oczach, doznaje zawrotu głowy. Byłby runął ciężko na lód, gdyby Carré nie pochwycił go był w objęcia.

— Jakim cudem? pytał geolog. — Skąd się pan tu wziął?

— Z pod samego bieguna północnego! — odpowiada przez łzy młodzieniec. — Gdzie nasz parowiec?

— Na kotwicy, u wybrzeży małej wysepki, o kilka mil stąd!

— Boże, dzięki Ci!

To były na długi czas ostatnie słowa Kornela.

To, czego nie mogły trudy i niebezpieczeństwa, dokonała nagła radość. Kornel padł zemdlony na ręce wybawców.

XXX. Ocaleni.

W kilka godzin po tem spotkaniu, Kornel wraz z towarzyszami niedoli znajdował się w swojej wygodnej kajucie na „Celinie“, otoczony opieką.

Zaledwie jednak przyszedł do siebie, wydał polecenie poszukiwania załogi „Neptuna“, którego strata zaćmiewała ogólną radość z odkrycia bieguna północnego.

Okazało się, że parowiec, znalazłszy małą wysepkę wpobliżu swego stanowiska, pod jej osłoną skutecznie opierał się parciu lodów, ciągnących skutkiem wiatrów północnych w przeciwnym kierunku.

Dzięki temu de Convielle znalazł go prawie w tem samem miejscu, gdzie go się spodziewał zastać.

Teraz nie było nic pilniejszego i ważniejszego, jak odszukać nieszczęsnych rozbitków, o których los wszyscy byli w najwyższym stopniu zaniepokojeni.

Kapitan Dumerque od miesiąca z górą dokonywał ciągłych poszukiwań we wszystkich kierunkach, domyślając się katastrofy.

Teraz poszukiwania te powinny były szybko doprowadzić do celu.

— Czy tylko nie będzie za późno? — powtarzał Kornel. Według moich obliczeń, nasi pozostali bez opału. Jeżeli

więc nie zdążymy w ciągu kilku dni najwyżej, stanie się największe nieszczęście!

Młodzieniec wymógł na kapitanie, że tego samego dnia jeszcze wyruszyły aż trzy oddziały na saniach z zapasami paliwa i żywności, z ciepłą odzieżą, z kajakami, słowem doskonale zaopatrzone.

Dumerque, wysłuchawszy opowiadania de Conviella, także mocno się zaniepokoił losem załogi łodzi podmorskiej. Wiedział on, że brak opału o tej porze roku groził największem niebezpieczeństwem rozbitkom.

Nie było więc ani chwili do stracenia. Na czele jednego oddziału stanął sam Kornel, drugą powierzono niestrudzonemu Lequetrowi. Niezależnie od tego, parowiec, ufny w swoją ostrogę do kruszenia lodów, przebijał się poprzez cienkie pola lodowe, ażeby znajdować się jak najbliżej ratowników.

Na wielkim maszcie płonął ciągle reflektor elektryczny, posyłający snop jaskrawego, fioletowego światła we wszystkich kierunkach, jak latarnia morska.

Nadto wypuszczano co godzinę rakiety i strzelano z armatki, przeznaczonej do połowu wielorybów.

Rozbitkowie, o ile znajdowali się w odległości kilkunastu kilometrów, nie mogli nie zauważyć tych sygnałów.

Czy jednak byli w możności jeszcze je dojrzeć? Czy oczy ich nie zaszły już na zawsze bielmem śmierci?

Pytania te drążyły w duszy Kornela głębokie brózdy troski, trzymały go ciągle w stanie gorączkowego podniecenia.

W pośród takiego napięcia nerwów upłynęły dwa dni, które wydały się młodzieńcowi nieledwie dwoma tygodniami.

Wytężał wszystkie siły ducha, żeby podtrzymać słabnącą energję.

— Jeżeli jeszcze upłynie tydzień, wszystko przepadnie! — powtarzał sobie.

Prowadzono poszukiwania z całem zaparciem się. Z każdego wzgórka powtarzano sygnały, nie szczędzono trudu, aby jak najprędzej przebyć przestrzeń, dzielącą ich od rozbitków.

Przetrząsano pole lodowe jak najstaranniej.

Czwartego dnia wreszcie Kornel, poprzedzający kolegów na nartach, dostrzegł z wielkiem zdziwieniem jasny płomień pośród pogurbionego pola lodowego.

Nie przypuszczał jednak ani na chwilę, że to rozbitkowie.

Wiedział, że nie posiadają oni żadnych środków opałowych.

Początkowo sądził, że to księżyc wschodzi. Niebawem jednak spostrzegł swoją omyłkę. Pośród lodów płonął wyraźnie suty ogień, będący znać odpowiedzią na sygnały z „Celiny“, wdzierającej się przy pomocy swej ostrogi w świeżo utworzony pancerz lodowy.

Parowiec znajdował się o dziesięć może kilometrów poza pieszemi oddziałami, i właśnie na dowód, że z bocianiego gniazda dojrzano jasny punkt, pod niebo strzeliła rakieta, rozsypując się w tysiączne iskry na tle gwiaździstego nieba.

Tknięty przeczuciem, Kornel zaczął biec z całą szybkością, do jakiej był zdolny. Pochylony naprzód, pędził, nie zwracając uwagi na szczeliny, które przeskakiwał w pędzie, narażając się na złamanie nogi. Wymijał zręcznie pagórki, jakaś niepowstrzymana siła pchała go naprzód.

Jasny punkt rósł w jego oczach. Niebawem mógł już rozpoznać, że wpobliżu ogniska uwijały się sylwetki ludzi.

Po dwudziestu minutach takiej szalonej jazdy młodzieniec, pozbawiony tchu, znalazł się u celu.

Wielkie polana drzewa płonęły pośrodku czarnego cielska. Była to ratunkowa łódź „Neptuna“, pusta zupełnie.

O kilkadziesiąt kroków jednak od niej, w odblasku łuny, dostrzegł dobrze sobie znany lodowy domek, a przed nim kapitana Dubois, profesora Moriota, wreszcie wysoką i chudą postać mareografa.

— Żyjecie wszyscy?! — wołał, jak obłąkany, Kornel, chwiejąc się na nogach. — Celina, gdzie Celina?

Wśród radosnego gwaru powitań, u wnijścia ukazała się drobna figurka panny Moriot, otulonej w futro.

— Boże! To pani? Jakim cudem wytrwaliście dotąd? — bełkotał młodzieniec, odurzony szczęściem. — Skąd ten płomień? — dodał, wskazując na ognisko. — Drżałem na myśl, ze zmarzniecie tutaj, nie mając opału.

Nie spodziewaliśmy się was tak prędko! — mówiła panna, oblewając się rumieńcem. — Bóg czuwał nad nami. Znaleźliśmy drzewo.

— Drzewo? tutaj? — powtórzył Kornel, nie posiadając się ze zdziwienia.

To zasługa pana Bertheau!

Mareograf z dumą potwierdził te słowa.

— Udało mi się odkryć, podczas jednej z wycieczek, wspaniały pień modrzewiowy, według wszelkiego prawdopodobieństwa przyniesiony prądami i lodami aż ze wschodniej Syberji. Dzięki temu posiadamy zapas drzewa, który się jeszcze nie wyczerpał dotąd.

— Powiedz mi pan jednak — odezwał się Dubois, uścisnąwszy jak niedźwiedź przybysza, — jakim cudem w ciągu trzech tygodni zdołaliście odbyć tak odległą podróż trzystu kilometrów w obie strony? Chyba spotkaliście parowiec znacznie dalej na północ, niż się spodziewaliście?

— Bynajmniej. „Celina“ znajdowała się dokładnie

niemal tam, gdzieśmy się spodziewali ją zastać. Wnoszę z tego, że i was unosiło na południe pole lodowe.

Kiedy Kornel dawał wyjaśnienia, w jaki sposób, dzięki ruchowi lodów, trudna podróż po ławicy skróciła się do połowy, nadeszli jego towarzysze.

Witano załogę „Neptuna“ z oznakami najwyższego zdziwienia i radości. Teraz dopiero wyjaśniło się, że wszyscy niemal, nie wyłączając kapitana Dumerque i Lequetra, uważali rozbitków za zgubionych nieodwołalnie.

Dzielono się wrażeniami, opowiadano sobie przebyte niebezpieczeństwa, chwile zwątpienia i podniesienia ducha, szczęśliwe zbiegi okoliczności. Potwierdzenie dokonanego odkrycia, które było głównym celem wyprawy, rozbudziło powszechny entuzjazm.

Marynarze z parowca, którzy niebawem znaleźli się także w obozowisku, obnosili przy okrzykach triumfu rozbitków, którzy postawili byli nogę w punkcie najbardziej wysuniętym na północ.

Z pokładu parowca rozległo się dwadzieścia i jeden wystrzałów armatnich ku uczczeniu tego radosnego faktu. Na masztach ukazały się różnobarwne latarki i flagi trójkolorowe.

Spotkanie rozdzielonych wypadkami towarzyszów było jedną wielką uroczystością, w której wzięli udział wszyscy członkowie wyprawy.

Obliczenia wykazały, że przez cały czas, od chwili katastrofy z „Neptunem“, pole lodowe posuwało się w południowym kierunku z przeciętną prędkością sześciu kilometrów na dobę. Gdyby nie to, Kornel i jego odważni towarzysze nigdy nie byliby dotarli do parowca, odległego na sto sześćdziesiąt kilometrów od punktu zatonięcia łodzi podmorskiej.

— Widocznie władca państwa lodów i nocy, jego

królewsko-lodowata mość biegun północny, uważając się za pobitego, sam się postarał pozbyć jak najprędzej intruzów, którzy zakłócili jego odwieczny spokój... — objaśniał Bertheau wśród ogólnej wesołości.

Podróżni z pietyzmem przenieśli na pokład parowca swoje notatki, jedyne, bezcenne dziś dowody dokonanego odkrycia.

Niebawem wszyscy znaleźli się znów na wygodnym statku, gdzie czekał ich zasłużony wypoczynek po doznanych trudach i wzruszeniach.

Profesor zastał w swojej kajucie to wszystko, za czem tak tęsknił od chwili katastrofy: książki i mapy geograficzne. Panna Celina z rozkoszą wróciła do swojej „bombonierki“, Lequetre do swoich instrumentów, Bertheau do sond i słoików. Kornel czuł się najszczęśliwszym z ludzi przy boku narzeczonej. Oboje liczyli każdą godzinę, dzielącą ich od błogosławionej chwili, kiedy w Paryżu podadzą sobie w merostwie i w kościele ręce na drogę życia.

Jeden tylko inżynier był niepocieszony po stracie „Neptuna“.

Kornel musiał ponowić uroczyście swoje zapewnienie, że natychmiast po powrocie do Francji obaj zabiorą się do odbudowania arcydzieła mechaniki, które im pozwoliło dokonać odkrycia, nie mającego sobie równego w historji geografji.

Kapitan Dubois, kierownik łodzi podwodnej, także cieszył się nadzieją, że kiedyś powróci na swoje stanowisko w wieżyczce oszklonej i że odbędzie taką samą podróż na innych morzach, albo też odda swoje ramię i doświadczenie na usługi ojczyzny, której Raul postanowił złożyć w darze swój wynalazek.

Z powodu spóźnionej pory roku kapitan Dumerque, nie tracąc ani chwili drogiego czasu, skierował się na południe.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

			Str.
ROZDZIAŁ	I.	Wymagająca panna	5
„	II.	Człowiek, który musi zostać sławnym	12
„	III.	Białe pola	18
„	IV.	Samobójca	29
„	V.	Tajemnicze plany	42
„	VI.	Zagadkowe zniknięcie	48
„	VII.	Olbrzymi wieloryb	62
„	VIII.	Nowożytni Jonasze	76
„	IX.	Słowo	88
„	X.	Podmorska podróż zaczyna się	96
„	XI.	Niespodziewany gość	108
„	XII.	Uwięzieni pod lodami	119
„	XIII.	Powietrza!	133
„	XIV.	Walka z morsami	143
„	XV.	W lodowej pustyni	159
„	XVI.	Starcie z ruchomą skałą	170
„	XVII.	Unieruchomieni	181
„	XVIII.	Zuchwała wyprawa	189
„	XIX.	Pomysł Lequetra	197
„	XX.	Zabłąkani wśród lodów	222
„	XXI.	Na biegunie północnym	230
„	XXII.	Jak wygląda kraniec świata	245
„	XXIII.	Oryginalny pomnik	256
„	XXIV.	Wulkan podmorski	270
„	XXV.	Katastrofa	289
„	XXVI.	Robinsonowie podbiegunowi	291
„	XXVII.	Zadanie nad siły	300
„	XXVIII.	Odwiedziny potwora	314
„	XIX.	Cud!	324
„	XXX.	Ocaleni	338

DRUKARNIA
W·L·ANCZYCA
I SPÓŁKI
W KRAKOWIE